

SUSANNE  
MISCHKE

Zabij, jeśli  
potrafisz!



imprint

SUSANNE  
MISCHKE

Zabij, jeśli  
potrafisz!

Z języka niemieckiego przełożyła  
Sylwia Miłkowska

imprint

**Copyright © for the Polish edition by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., 2014**

Grupa Wydawnicza PWN

ul. Gottlieba Daimlera 2

02-460 Warszawa

tel. 22 695 45 55

[www.dwpwn.pl](http://www.dwpwn.pl)

Menedżer pionu wydawniczego: Monika Kalinowska

Wydawca: Marcin Kicki

Przekład: Sylwia Miłkowska

Redakcja: Maria Białek

Korekta: Olga Gorczyzna-Popławska, Anna Sot

Projekt okładki: Hauptmann & Kompanie Werbeagentur, Zürich

Opracowanie graficzne okładki: Ewa Modlińska

Zdjęcie na okładce: Marc Owen/Arcangel Images

Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska

Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Aneta Więckowska


Tytuł oryginału: *Töte, wenn Du kannst!*

Copyright: © 2013 Berlin Verlag in der Piper Verlag GmbH, München

ISBN 978-83-7705-721-6 (ePub)

ISBN 978-83-7705-722-3 (Mobi)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

 Prawolubni Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

*Polska Izba Książki*

*Promienie słońca przenikają przez koronę drzew niczym palce Boga. Stopniowo dróżka niknie w gąszczu. Krzaki chwytają go za stopy, a pakunek, który niesie, ciąży mu na ramieniu. Las, który wcześniej wydawał się cichy, teraz rozbrzmiewa niezliczonymi odgłosami. Szeleści i chrzęści, mruczy i szumi. Płaczliwy wrzask przyprawia go o drzenie. Nerwy ma skołatane.*

*Tobołek kładzie między wysokimi paprociami, pod drzewem, którego kora połyskuje srebrzyście. Nawet tutaj, w największym cieniu, da się jeszcze rozpoznać kolory, jednak on nie ma teraz głowy do podziwiania mrocznej urody tego miejsca. Choć drży i nasłuchuje niczym ścigane zwierzę, podnosi się. Najchętniej by uciekł.*

*Ściska łopatę, wbija metal w ziemię, rozdziera liście i korzenie – naczynia krwionośne gruntu. Kopie głębiej i głębiej. Potem przyciąga tobołek. Jama ziele ciemnością, zapach ziemi jest coraz silniejszy. Wie, że powinien usunąć plastikowe worki, jednak myśl o tym wywołuje napad paniki. Stopą strąca tobołek do dziury. Słyszy głuchy łomot. Przenikają go dreszcze. Zakopać, szybko!*

*Jego buty mocno ubijają ziemię, gałąź ukrywa ostatnie ślady i nagle zapada martwa cisza. Jakby las przestał oddychać. Słyszy krew pulsującą w żyłach, rozgląda się. Drzewa otaczają go niczym potwory, napierają. Potykając się, podąża nerwowo wydeptaną ścieżką. Ma nadzieję, że krzaczki borówek za kilka dni odrosną. Wszystko będzie jak przedtem.*

# Rozdział 1

17 sierpnia 2007 roku zaczął się spokojnie. Zjedli razem śniadanie. Lucie siedziała na swoim wysokim krzeselku i przeżuwała kanapkę z serem. Była delikatnym i ślicznym dzieckiem. Na jej twarzy w kształcie serduszka, na której najczęściej gościła słodko nadąsana minka, dominowały duże niebieskie oczy. Leander zauważył kiedyś, że przypomina te małpki, które żyją tylko na Madagaskarze. Od tej pory nazywał czasem Lucie lemurkiem.

Dopił resztkę białej kawy. Odkąd Tinka przestała czytać gazety, Leander wydawał się rankami trochę zagubiony, nie wiedział, gdzie podziąć wzrok. Teraz wstał i powiedział:

– Co ciekawego planujecie dzisiaj, moje panie?

To tylko pogorszyło humor Tinki. Odpowiedziała z taką samą sztuczną wesołością, że zamierza jechać z Lucie do miasta, żeby przyjrzeć się programowi zajęć dla dzieci w ogrodzie botanicznym.

– Na wiele rzeczy jest jeszcze za mała, ale może uda nam się coś znaleźć, co, myszko?

Ten nienaturalny ton między nimi pojawił się dopiero od czasu tamtej sprawy. Jakby byli własnymi karykaturami i przed niewidzialną publicznością musieli odgrywać szczęśliwe życie rodzinne.

Leander założył marynarkę i wcisnął aktówkę pod pachę. Jak na zawołanie Lucie zaczęła z całych sił krzyczeć i zrzuciła ze stołu swój plastikowy talerzyk. Ostatnio codziennie odgrywała to przedstawienie, kiedy opuszczał dom. Zastygł między wrzeszczącym dzieckiem, które wyciągnęło do niego ramiona niczym tonący, a kuchennymi drzwiami.

– Idź już, ja się tym zajmę – uspokoila go Tinka.

Leander z ulgą zmierzwił blond loczki córki, a potem wycisnął pocałunek na policzku Tinki. Drzwi się zamknęły. Tinka zmiotła kawałki chleba z podłogi. Lucie nadal wrzeszczała jakby ktoś obdzierał ją ze skóry.

Była córeczką tatusia. Tinka gdzieś przeczytała, że to normalne w tym wieku.

Wściekły ryk dało się słyszeć aż na ulicy. Leander stał i czekał. Na Boga, dlaczego Tinka nic nie robi? Nie może tak po prostu zostawić płaczącego dziecka! Był już bliski, żeby zawrócić, kiedy zapadła cisza. Wstrzymał oddech. Co się stało? Przecież ona chyba jej nie... Nagle usłyszał przez uchylone okno mruczący głos Tinki wcielającej się w rolę pluszowej małpki, a zaraz potem szczęśliwy śmiech Lucie. Ruszył przed siebie, uspokoiony i zawstydzony jednocześnie.

Ten śmiech to jego ostatnie wspomnienie związane z córką.

Nie, nie całkiem. Przed południem zadzwonił telefon. Wyszedł właśnie ze studia z Eyją de Lyn, jedną z najślawniejszych pisarek fantasy, i towarzyszył jej w drodze do biura, w którym zostawiła kurtkę i torebkę. Tinka. Była w mieście i pytała, co ma kupić na weekend: jagnięcinę, kurę, rybę czy coś innego.

Tinka wyrwana ze snu potrafiła wyjaśnić w szczegółach cykl wytwarzania kwasu cytrynowego, ale zaplanowanie posiłków na dwa dni ją przerastało. Leander podejrzewał, że kokietuje go brakiem gospodarskich umiejętności, a nawet wręcz to kultywuje. W weekendy gotowanie zrzucała na niego. W okresie przedmałżeńskich zalotów demonstrował swój talent kucharski, aby ją zdobyć. Teraz to się na nim mściło. Wzdychając w duchu, mimowolnie zerknął na zdjęcie na szafce. Tinka klęczała na piasku i uśmiechała się w stronę aparatu. Zaczesane wysoko włosy podkreślały zgrabną szyję. Ciało w czarnym kostiumie – szczupłe, prawie chude – było częściowo skryte za ubraną w kąpielówkę Lucie. Patrzyła z ciekawością w obiektyw. Na pierwszym planie królował zamek z piasku. Rodzinny urlop na Korfu, trzy miesiące temu. Leander posłał zmęczone spojrzenie nieśmiało błękitowi oczu Tinki.

– Jeśli będziesz przejeżdżała obok hali targowej, weź rybę. A na niedzielę jagnięcinę i jakieś warzywa. Muszę kończyć, mam...

– Jakie warzywa?

Pisarka uśmiechnęła się do niego i do zdjęcia wyrozumiale, wzięła torbę, przewiesiła kurtkę przez ramię i ruszyła ku drzwiom. Leander dawał jej znaki, by poczekała.



– Tinka, proszę, nie mogę dłużej rozmawiać, za dwie minuty mam audycję na żywo – skłamał. – Kup cokolwiek. Ciao, moje dwa słodziaki.

Usłyszał wymamrotaną odpowiedź, a w tle marudzenie Lucie, która zaczynała się nudzić. Wyłączył komórkę i odprowadził gościa do furtki, jak wymagała tego uprzejmość.

Tinka wlokła się przez Avenyn. Tak jak się spodziewała, w ogrodzie botanicznym nie było niczego, co mogłoby zabawić Lucie. Przeciwnie. Klaun napędził im obu stracha i dopiero dzięki czerwonej bejsbolówce udało jej się odwrócić uwagę córki. Teraz spokojna już Lucie gryzła tę czapczkę – prezent reklamowy od przedstawiciela Vodafonu.

Miasto przypominało mrowisko, jak zwykle latem, kiedy jedno zdarzenie wywołuje następne. Jednak punkt kulminacyjny sezonu wciąż stanowił sierpniowy festiwal kultury w Göteborgu. Kiedyś Leander i Tinka w tych dniach wychodzili, słuchali koncertów, oglądali przedstawienia teatrów ulicznych albo po prostu siedzieli na świeżym powietrzu i obserwowali rozlewającą się po chodnikach ludzką falę. Wieczory spędzali w jakimś barze i dopiero rano wracali dość zawiani do domu. Wówczas mieszkali jeszcze w Linné. Kiedy Tinka zaszła w ciążę, przeprowadzili się do Mölndal, głównie dlatego, że Leander był zdania, iż dziecko powinno przebywać w otoczeniu zieleni.

– Będzie mogła bawić się w parkach, a nie na jakimś betonowym podwórzu z jednym drzewkiem – argumentował uparcie.

Na przedmieściach jest dwa razy więcej miejsca dla trojga, niższe czynsze, mili sąsiedzi i wiele dzieci. Ale w takim dniu, jak dzisiejszy, tęskniła za życiem kulturalnym. Chociaż w tej chwili nie miała energii, by skorzystać z okazji.

Lucie nie była łatwym dzieckiem. Nie dość, że w nocy źle sypiała, to w ciągu dnia nieustannie marudziła. Często chorowała i wiecznie urządzała awantury przy jedzeniu. Każdy posiłek przekształcał się w próbę cierpliwości. Teraz, mając dwadzieścia miesięcy, mierzyła osiemdziesiąt centymetrów i ważyła dziesięć kilogramów.

– Nie jest chyba anorektyczką? – pytała Tinka pediatrę, na poły żartując, na poły się martwiąc.

On jednak ją uspokajał, że wszystko się ułoży.

– Potrzebuje czasu.



Czas, pomyślała Tinka. Jeszcze tylko dwa tygodnie! 1 września Lucie pójdzie do przedszkola. Gdy okazało się, że dostali miejsce, Tinka poczuła się niczym żołnierz podczas ostatnich dni wojny. Leander wolałby, żeby z przedszkolem poczekać do grudnia, kiedy Lucie skończy dwa lata.

– Tak przecież ustaliliśmy – upierał się.

Ale to nie była do końca prawda. Planowali tylko rok przerwy. Jednak gdy zbliżały się pierwsze urodziny Lucie, żadne z nich nie mogło sobie wyobrazić, aby powierzyć tę delikatną istotkę obcym. Tinka zgodziła się zostać jeszcze rok w domu. Ale po tej całej historii nie czuła się zobowiązana dotrzymać wcześniejszych ustaleń.

– To sam zostań z nią w domu do drugich urodzin – zaproponowała. – Jak pokazują ostatnie doświadczenia, nie wydaje się wskazane, abym nadal zaniedbywała karierę.

Wobec takiego argumentu Leander zgodnie z przewidywaniami skapitulował. Karzę Lucie za przewinienia Leandera, pomyślała Tinka ze skruchą, ale ostatecznie powiedziała sobie, że przedszkole to najzwyczajniejsza rzecz na świecie, nie pokuta czy represyjny środek wychowawczy.

Tinka przepchnęła się najpierw do hali targowej, w której było więcej zwiedzających niż kupujących. Zaopatrzyła się w norweskiego dorsza, a potem jeszcze w jagnięcy udziec. Ceny w Stora Saluhallen były wysokie, ale przynajmniej nie trzeba się było martwić o jakość. Tinka kupiła cynamonowe ślimaczki dla Lucie, która znowu robiła się niespokojna, i wyszła z powrotem na Kungstorget.

Jeszcze tylko warzywa i owoce. Tłok między straganami a halą był nie do opisanego. Mieszkańcy Göteborga załatwiali weekendowe zakupy, turyści czekający na wolny stolik na świeżym powietrzu tamowali ruch, kręcąc się przed kawiarniami, które otaczały halę. Lucie znowu zaczęła marudzić. Ciastka najwyraźniej już zjadła, albo, co bardziej prawdopodobne, upuściła na ziemię. Może uda się jej wytrzymać do końca zakupów.

Tinka postawiła wózek obok straganu, tuż przy zielonych plastikowych skrzynkach z sałatą, i zajęła miejsce w kolejce. Starsza pani przed nią kupowała małą ilość prawie każdego rodzaju owoców i warzyw. Tinka zastanawiała się, co wybrać, w każdej chwili gotowa wychwycić typowy ton marudzenia Lucie, który zazwyczaj kończył się płaczem i z każdym oddechem przeradzał w coraz bardziej przenikliwe zawrodożenie. Na szczęście Lucie siedziała cicho. Tinka starała się skoncentrować na

zakupach. Nie było to łatwe, ponieważ z obu stron klienci wykrzykiwali do sprzedawców swoje pytania i życzenia. I jeszcze ta przeciskająca się za nią trajkocząca na cały regulator grupa francuskich turystów. Pomidory, jabłka, szczypior, marchewka. Fasolka do jagnięciny. Rukola. Jeszcze coś? Tince coraz trudniej przychodziła walka z wyzwaniem dnia codziennego. Gubiła rzeczy, zapominała, po co szła do pokoju. Ostatnio przez pół godziny szukała samochodu, bo nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zaparkowała, a w ubiegłym tygodniu w Nordstan musiała zostawić zakupy. Stała przy kasie i nagle zapomniała PIN-u. Cztery cyfry, od lat te same, po prostu gdzieś się ulotniły. Jakby zostały wymazane gumką z jej mózgu.

– Coś jeszcze? – sprzedawczynie spoglądała na nią niecierpliwie. Czyżby już raz zadała to pytanie?

Tinka zaprzeczyła i ruszyła do kasy. Koszyk z rybą i udem jagnięcym ciężko zwisał z jej ramienia. Zapłaciła, włożyła zakupy do koszyka, a resztę do portfela. Kiedy się odwróciła, jej wzrok padł na mężczyznę, który siedział w kawiarni przed halą i mieszał kawę w filizance.

Axel?!

To był tylko flirt. W odróżnieniu od Leandera Tinka nigdy nie zamierzała go zdradzić. Ale taki niewinny podryw dobrze jej zrobił. Odkąd przestała pojawiać się w firmie, pisali do siebie e-maile. Nieczęsto i nieregularnie, tylko tyle, by nie stracić kontaktu. On relacjonował, co dzieje się w pracy, ona żartobliwie to komentowała. Sama miała niewiele do powiedzenia, bo to, czy Lucie wyrósł ząbek, czy dostała biegunki lub kaszlu, raczej by go nie zainteresowało. Czy ją dostrzegł? Nie wiedziała. Jego oczy zasłaniały ciemne okulary. A może w ogóle jej nie rozpoznał? Tinka od czasu porodu przybrała na wadze. Zauważyła też pierwsze zmarszczki mimiczne. Lepiej, żeby mnie nie zauważył, pomyślała, pragnąc zarazem, by się do niej uśmiechnął, wypił z nią kawę. Może nawet teraz... Absurd! Czy poczuł na sobie jej wzrok? Nagle wstał i zdjął okulary. Zakłopotana Tinka wbiła spojrzenie w ziemię. To nie był on. To nie Axel z działu marketingu. Mężczyzna był młodszy, niższy i miał całkiem inne oczy. Co za głupia gęś!

Musiała przedrzeć się przez tłum turystów do miejsca, gdzie zostawiła wózek z Lucie. Ale wózka nie było. Skrzynki z sałatą nadal tam stały, ale wózek zniknął. Spokojnie, przykazała sobie, zastanów się! Tam go odstawiłaś i zaciągnęłaś hamulec. Tak czy nie? Tak, na pewno! Musi tu stać. Ale go nie było.

Tinkę ogarnęło lodowate przerażenie, jednocześnie zaczęła się pocić. Może poszła nie na ten koniec straganu, może to w ogóle nie ten stragan? Rozpaczliwie biegła w tę i we w tę, odtrącając bez skrępowań na boki ludzi, którzy zachodzili jej drogę. Z drugiej strony stragan zakręcał, wyglądał inaczej, tutaj nigdy nie była. Stoisko z prawej też wydawało jej się obce, a w tym z lewej sprzedawano kwiaty.

Nie mogła już dłużej powstrzymać paniki.

– Lucie? – zamiast krzyku z jej gardła wydobył się jedynie zniekształcony jęk.

Jak to się mogło stać? Przecież nie wydostała się z wózka i go nie przesunęła, choć już raz jej się to zdarzyło, kiedy nie była przypięta pasami. Ale była zapięta, na pewno! Czy ktoś pomylił wózki? Rozejrzała się. Dostrzegła kilka osób z wózkami. Tam! Przez Kungssportsplatsen szła jakaś kobieta i pchała czarny wózek. Siedzące w nim dziecko miało coś czerwonego na głowie. Czapka Vodafonu! Tinka ruszyła pędem.

Leander został wywołany z narady. Czekali na niego funkcjonariusze policji kryminalnej – kobieta i mężczyzna. Z poważnymi minami oznajmili mu, że Lucie zaginęła.

Zdezorientowany nie rozumiał najpierw, o co im chodzi. Przez chwilę sądził, że Tinka go opuściła i zabrała ze sobą córkę. Wyjechała do rodziców do Utby albo za granicę, od czasu do czasu słyszy się o takich rzeczach. Gdy wyszła na jaw ta historia z Evą, Tinka najpierw zareagowała gwałtownie, z wściekłością, o którą nigdy by jej nie posądzał, a później całymi dniami milczała. Musiał się zastanowić co dalej. Niewiele brakowało, a odwołałaby wakacje na Korfu. Leander błagał ją, żeby tego nie robiła i dała mu jeszcze jedną szansę.

– Pomyśl o Lucie!

– Ty powinienesz być to zrobić!

Pod greckim słońcem poniekąd się pogodzili, pozostała jednak rysa, która w każdym momencie groziła pęknięciem. Od tej pory ich małżeństwo przypominało taniec na wulkanie.

Bzdura! Czegóż tak zwariowanego Tinka nigdy by nie zrobiła, a nawet jeśli, to nie powiadamiałaby policji. Po powrocie do domu zastałby po prostu puste szafy i liścik na stole kuchennym.

Zawieźli go na komisariat. Kilka wozów patrolowych szukało Lucie, czego Leander domyślał się po skrzeczących komunikatach dobiegających z radiostacji. Wszystko wydawało się nierzeczywiste, Leander miał wrażenie, jakby znalazł się w filmie. Lecz strach już tu był i z każdą minutą narastał.

Zaprowadzono go do komisarza. Greger Forsberg miał około czterdziestu lat, sprawiał wrażenie rozsądnego profesjonalisty. W zwięzłych słowach poinformował Leandera o tym, co udało się ustalić. Także Tinka była na komisariacie, w innym biurze. Komisarz chciał najpierw porozmawiać z Leanderem, który nie miał siły się temu sprzeciwić. Trudno mu było nawet utrzymać się na krześle. Bezgraniczny strach, jakiego jeszcze nigdy nie odczuwał, dławił mu gardło i ścisnął serce niczym stalowa obręcz.

„Zadanie kilku pytań” okazało się przesłuchaniem. Oni, rodzice, byli podejrzanymi.

Komisarz Forsberg dopiero od stycznia kierował referatem do spraw osób zaginionych. Jego koledzy z wydziału śledczego uznali tę decyzję, delikatnie mówiąc, za zaskakującą. Także komendant Anders Gulldén wahał się, czy podejmuje dobrą decyzję, powierzając mu to stanowisko, ale Forsberg sam go o to poprosił. Złośliwi twierdzili, że zrobił to tylko dlatego, ponieważ chciał mieć własny gabinet.

Jego pierwsza sprawa dotyczyła dziewięćdziesięciolatka z demencją. Odnalazł się już po dwóch dniach, niestety martwy. Zamarzył w pobliżu jeziora Delsjön, niedaleko mieszkania Forsberga w Skär. Można by to odczytać jako zły omen, ale komisarz nie był przesądny. Poszukiwania pięciu kolejnych zdezorientowanych staruszków, którzy od objęcia przez niego stanowiska trafili do bazy zaginionych, miały szczęśliwy finał. Dwoje nastolatków wróciło z własnej woli, troje innych namierzono po tym, jak Forsberg wziął w obroty ich znajomych. Do domu odstawiono także mężów po pijackim ciągu.

Jednak sprawa Lucie Hansson miała duży potencjał medialny i istniało realne ryzyko, że prasa zrobi z dziewczynki drugą Maddie. W każdym razie okoliczności, w jakich doszło do zaginięcia Lucie, były tak samo spektakularne i tajemnicze jak w przypadku małej Szkotki, która w maju tego roku zniknęła z hotelowego pokoju w Portugalii.

Kiedy wreszcie Forsberg pozwolił wypuścić rodziców do domu, dopadła go Eva Röög z „Göteborg Dagbladet”. Zwykle Forsberg flirtował trochę z dziennikarką, zanim podał jej informacje, lecz dziś oboje nie byli w nastroju na figle-migle. Nie sprzyjała też temu obecność jakiegoś smarkacza, którego dziennikarka przywlokła ze sobą („Leif Hakeröd, moja prawa ręka”). Zbladła, kiedy Forsberg w oszczędnych słowach opowiedział jej, co się stało. Zdawało się, że ta sprawa bardzo ją poruszyła. Żadne słowo protestu nie wydobyło się z jej ust, kiedy komisarz wypraszał z biura ją i jej pomocnika, mówiąc, że później policja wygłosi oficjalny komunikat dla prasy. Naprawdę nie miał dla niej czasu. Czekwały go kolejne przesłuchania.

Dochodziła północ, kiedy Forsberg odstawiał rower na podwórzu. Zmusił się, żeby jechać do domu. W tej chwili mógł tylko czekać. Lepiej, żeby się parę godzin przespał.

Od południa kontrolowano wszystkie drogi wyjazdowe, promy, pociągi dalekobieżne, lotniska i most nad Sundem. Powiadomiono służby administracji portowej w Norwegii, Finlandii, Niemczech i Danii. Sprawnie utworzony „sztab Lucie” zebrał i przeanalizował nagrania z kamer monitorujących śródmieście i umieszczonych na autostradach. Informacja o rozpoczętych poszukiwaniach ze zdjęciem dziewczynki ukazała się w wieczornych wiadomościach. Uruchomiono gorącą linię.

Hanssonowie byli sympatyczną parą. Leander Hansson należał do ludzi, których atrakcyjność dostrzega się dopiero przy drugim spojrzeniu. Stawał się czarujący, kiedy się poruszał i mówił, a sposób, w jaki gestami podkreślał wypowiedzane słowa, miał w sobie coś południowego. Jego głos nie był szczególnie głęboki, ale poważny ton sprawiał, że wszystko, co miał do powiedzenia, wydawało się szczere i ostateczne. Mówił zawsze odrobinę za cicho, co zmuszało innych do koncentrowania się na nim. Miał trzydzieści sześć lat i właśnie został szefem programowym działu literatury w drugim programie szwedzkiego radia, rozgłośni kulturalnej, której od czasu do czasu słuchał także Forsberg. Tinka Hansson była sześć lat młodsza. Ładna naturalna blondynka, bardzo szczupła, prawie chuda. Szarofioletowe cienie pod oczami zdradzały, że ostatnio nie sypiała wystarczająco dobrze. Była chemiczką w koncernie farmaceutycznym AstraZeneca. Obecnie przebywała na urlopie macierzyńskim.

Razem z inspektorem Malin Birgersson i technikiem Forsberg pojechał do Mölndal, gdzie w niepozornym domu szeregowym mieszkali Hanssonowie. Pani inspektor zaproponowała, że tam przenocuje. Ciągłe brano pod uwagę możliwość, że Lucie została uprowadzona przez rodziców dla wyłudzenia okupu. Na wypadek gdyby porywaczem okazał się kto inny i zadzwonił, w telefonie zainstalowano urządzenie do identyfikacji anonimowych abonentów. Hanssonowie nie dysponowali zbyt wielkim majątkiem, ale ojciec Tinki, Holger Nordin, był starszym wspólnikiem w koncernie składającym się z wielu dobrze prosperujących średnich przedsiębiorstw. Holger i Greta Nordinowie odbywali właśnie podróż statkiem po Karaibach i z najbliższego portu pospieszyli do Göteborga.

Forsberg rozejrzał się po domu Hanssonów, którego wystrój stanowił wysmakowaną mieszankę nowoczesnego skandynawskiego designu oraz drobiazgów z IKEA. Pokój Lucie był urządony z miłością, łóżeczko z baldachimem, dużo lalek i morze maskotek. Meble z ciemnowiśniowego drzewa były dopasowane do ukośnych ścian poddasza – pomysłowe rozwiązanie stolarskie, na pewno nietanie. W salonie ściany zakryto wysokimi regałami na książki. Poza antycznym stołem jadalnym i leżącym pod nim perskim dywanem nic nie wskazywało na zamożność rodziców żony. Najwyraźniej Hanssonowie chcieli pozostać niezależni i żyć z własnych pieniędzy. Leander w każdym razie nie wyglądał na łowcę posagów.

Nie, nie było powodu, aby nie ufać Hanssonom. Forsberg domyślał się, co teraz czują. Że ziemia usunęła im się spod nóg, że znaleźli się w piekle. Szczególnie żał mu było matki dziewczynki, która obwiniała się o tę tragedię.

Nie znaczy to, że komisarz nie zdawał sobie sprawy z tego, iż także w kulturalnych kręgach może dochodzić do przemocy.

– Nie wiedziałam, że odziedziczyłam porywczość po moim ojcu, póki Annika się nie pojawiła – wyznała mu kiedyś żona Benedikte. I przez kilka lat, kiedy byli małżeństwem, także Greger Forsberg doświadczył tego, że dziecko może doprowadzić człowieka do furii.

Jego zdaniem o niewinności rodziców świadczyły jednak osobliwe okoliczności całego wydarzenia: Lucie zniknęła w biały dzień, w centrum miasta, na Kungstorget. Rodzice, którzy chcieliby coś zatuszować, wymyśliliby lepszą historię. Do tego jest świadek. Sprzedawca zapamiętał

wózek, ponieważ zastawiał mu drogę. Niestety, młody mężczyzna nie widział, co się stało z dzieckiem.

Forsberg przykazał, aby poinformować go, jeśli pojawi się żądanie okupu. Jednak zwątpił, aby to miało nastąpić. Porywacz już dawno by się zgłosił. Poza tym porywacz liczący na okup nie pozostawiłby przypadkowi miejsca i czasu uprowadzenia, a Tinka Hansson dopiero po rozmowie z mężem spontanicznie zdecydowała się na zakupy w hali targowej. Bardziej prawdopodobne wydawało się komisarzowi, że Lucie stała się ofiarą jakiejś chorej psychicznie kobiety. Miła dziewczynka siedzi sama w wózku między skrzynkami z główkami sałaty i pomarańczami, może zaczyna płakać, matka nie reaguje natychmiast... Działanie pod wpływem impulsu.

Zamyślony Forsberg mijał właśnie skrzynkę na listy, kiedy w otworze zauważył coś kolorowego, połyskującego. Reklama, powiedział sobie. Ale serce mu załomotało.

Pocztówka. Miała włoski znaczek i było na niej zdjęcie czegoś w rodzaju kościoła. Na odwrocie widniał jego adres napisany bardzo wyraźnym drukowanym pismem, z lewej strony u góry wydrukowano małymi literami „Torino” i „Mole Antonelliana”. Poniżej rozciągała się drwiąco biała powierzchnia kartki.

Jakoś dotarł na drugie piętro, doczłapał do lodówki, nalał wódki do szklanki i wypił ją jednym haustem. Alkohol gładko spłynął i już czuł go w żołądku. Był głodny, ale siedział nieruchomo przy kuchennym stole i gapił się na kartki z Mole Antonelliana, katedrą Świętego Idziego w Edynburgu oraz widokiem amsterdamskiego kanału z łodziami wycieczkowymi i rowerami. Dwie ostatnie były przyklejone do ściany nad stołem. Na wszystkich trzech adres wypisano długopisem prostymi, jak z szablonu, drukowanymi literami. Na żadnej nie było tekstu. Ani sylaby.

*Nie mam ci nic do powiedzenia? Z żadnego miasta Annika nic nie mówi. Kościół, kanał... co to w ogóle jest „Mole”?* Włączył laptop. „Mole: bardzo duży budynek... Mole Antonelliana to znak rozpoznawczy Turynu i największa budowla we Włoszech, spektakularna winda... muzeum filmu...”. Czy ukrywa się za tym jakaś symbolika, której nie rozumie? Stempel z 31 lipca. Siedemnaście dni szła kartka z północnych Włoch, tyle jeśli chodzi o poprawę usług pocztowych w ramach Unii Europejskiej. Nic nieznacząca data.



Edynburg, nieczytelny stempel, kartka otrzymana 7 marca 2006 roku.

Amsterdam, stempel z 10 stycznia 2007 roku.

Turyń, stempel z 31 lipca 2007 roku.

Annika urodziła się 20 września 1987 roku. Jego urodziny były w lutym, urodziny Benedikte, matki Anniki, w maju. Benedikte i jej mąż Lars zmarli 12 lutego 2000 roku.

Forsberg słyszał kroki dochodzące z mieszkania nad nim, odrobina tynku opadła na pocztówki. Wydawało mu się, że rysa na suficie pojawiła się nie dalej niż kilka dni temu, ale mógł się mylić. W łazience w ubiegłym tygodniu odpadł ze ściany trzeci kafelek.

Okolo siedmiu procent mieszkań w mieście było zagrożonych zawaleniem, ponieważ zostało zbudowanych na podmokłym gruncie, donosił ostatnio „Dagbladet”. Władze miasta w żaden sposób temu nie przeciwdziałały. Wręcz przeciwnie, nie poinformowały, które ulice są dotknięte tym problemem. Choć może rację miał mężczyzna wynajmujący mu to mieszkanie, który twierdził, że wszelkie uszkodzenia są niegroźne i w przypadku starego budownictwa całkiem normalne.

– Dom pracuje – zwykły mawiać, kiedy Forsberg go o to zagadnął.

Jednak dwa z ośmiu mieszkań w tym domu stoją od tygodnia puste, co mówi samo za siebie, biorąc pod uwagę brak lokali do wynajęcia po okazyjnej cenie. Ale Forsberg nie chciał się przeprowadzać. Mieszkanie było niedrogie i miał stąd dość blisko do pracy. A poza tym: co by było, gdyby Annika wróciła? W październiku miną cztery lata i oczywiście rozum podpowiadał mu, że Annika, która zdążyła skończyć dwadzieścia lat – jeśli jeszcze żyje – jest na tyle dorosła i mądra, aby znaleźć go na komendzie. Jednak nie do zniesienia była dla niego myśl, że mogłaby któregoś dnia wrócić i zastać puste mieszkanie.

## Rozdział 2

*Patrzy na nią pożądlivym wzrokiem, kiedy się rozbiera i wślizguje w różową sukienkę. Teraz siedzi na łóżku, pośród chmury połyskującego i szeleszczącego materiału. Uśmiecha się.*

*– Jak pięknie wyglądasz! Jak księżniczka – mówi on.*

*Tak, tak jest. Sukienka księżniczki! Coś szeleści. Podaje jej w połowie rozpakowany batonik czekoladowy. Sięga po niego szybkim kocim ruchem. Na poduszce leży lalka z długimi blond włosami. Także ona ma na sobie różową sukienkę.*

*– To dla ciebie – mówi on.*

*Słodka i klejąca się czekolada rozpuszcza się w jej buzi. Materac się wykrzywia, kiedy on siada obok niej. Ciemne, szorstkie włosy na białym, rozlanym ciecie. Jak on dziwnie pachnie. Przysuwa się do niej, ona odchyła się, aż dotyka zimnych prążków tapety. Jego dłoń wędruje po jej nodze. Oślizgła niczym ryba. Włoski na przedramionach stają jej dęba. Przyciska lalkę do siebie. Lalka ma okrągłe niebieskie oczy z rzęsami i jest przepiękna. Dużo ładniejsza niż najnowszy miś.*

*– Nie masz się czego bać – mówi on.*

*Ale ona się boi, bardzo się boi, strach przenika jej ciało i wypełnia cały pokój, sprawia, że powietrze staje się ciężkie i duszne. Jego dłoń leży na jej karku. Opuszcza głowę, żeby mógł ją pogłaskać, jakby była małym kucykiem.*

Późnym popołudniem 17 sierpnia 2011 roku do gabinetu Gregera Forsberga weszła kobieta. Miała na sobie ciemnoniebieski kostium o ponadczasowym fasonie, do tego niskie czółenka i prostą czarną torebkę. Pachniała francuskim mydłem lawendowym. Marta Cederlund chciała zgłosić zaginięcie męża.

Komisarz poprosił, żeby usiadła, spisał jej personalia i zadał rutynowe pytania, na które odpowiedziała precyzyjnie i bez zdenerwowania. Była niska, wiotka i delikatna. Ufarbowane na orzechowy brąz włosy miała krótko ścięte, co podkreślało jej dziewczęcą wąską twarz, pozbawioną nawet najlżejszego makijażu. Z pewnością należała do tego typu kobiet, które starzeją się w bardzo korzystny sposób, w każdym razie nie wyglądała na sześćdziesiąt dwa lata. Forsberga coś jednak w niej irytowało. Oczy. Szare i zimne niczym beton wpatrywały się w niego ponad biurkiem.

Ludzie, którzy przychodzili do niego z powodu zaginięcia kogoś bliskiego, byli zdenerwowani, przestraszeni i zrozpaczeni. Nierzadko był świadkiem załamań nerwowych i napadów hysterii, a nawet wybuchów wściekłości. Oczywiście widywał także ludzi, którzy starali się opanować, ale i tak wyczuwało się ich niepokój. Kobieta, która zawiadania o zniknięciu męża, a przy tym zdaje się obojętna emocjonalnie, jakby chciała zarejestrować samochód, jeszcze się w karierze Forsberga nie zdarzyła.

Ukradkiem spojrzął na młodą koleżankę. Ta niewzruszenie wpatrywała się w ekran monitora. Z profilu nieco przypominała ptaka. Czarne włosy opadały jej głęboko na twarz, połyskiwały jak skrzydła kruka. Nos sterczał niczym sępi dziób. Lewe nozdrze ozdabiał mały brylant, który błyszczał, ilekroć promień słońca wpadł przez żaluzje. Usta żuły gumę. Długie palce z zapierającą dech w piersiach prędkością biegały po klawiaturze.

Forsberg skupił się na petentce.

Zaginiony miał sześćdziesiąt cztery lata i wczoraj przed południem wyjechał z domu samochodem. Żona nie wiedziała dokładnie, dokąd zamierzał się udać. Interesy.

Mieszkali w Långedrag. Forsberg był tam dwa, trzy lata temu. Chciał zaimponować pewnej kobiecie, zaprosił ją więc na rybę do jednej z tamtejszych restauracji. Nie pamiętał już, czy wieczór miał zadowalający dla niego przebieg. Pewnie nie. Kobietę też pamiętał dość mgliście.

Magnus Cederlund... Już gdzieś słyszał albo widział to nazwisko. Szperał w pamięci, podczas gdy Marta Cederlund oznajmiła, że mąż nie wrócił do domu, nie odezwał się do niej i nie odbierał komórki. Miał problemy zdrowotne – przed trzema laty przeszedł zawał serca.

Forsberg zapytał o krewnych.

Syn Dag Cederlund mieszkał z żoną w Malmö. Kobieta jeszcze ich nie powiadomiła, ale uważała, że to całkowicie wykluczone, aby mąż się tam zatrzymał.

– Dlaczego? – spytał Forsberg.

– Tak jest, proszę mi wierzyć.

Po spisaniu adresów i danych krewnych komisarz odesłał ją do domu.

Nie zdążyła przekroczyć progu, kiedy Ptaszyca chwyciła za telefon, by upewnić się w drogówce, że samochód zaginionego nie miał wypadku i że mężczyzna nie leży w żadnym z göteborgskich szpitali.

Forsberg wpisał w wyszukiwarkę: „Magnus Cederlund, Göteborg”. Najnowsze zdjęcie przedstawiało mężczyznę z wąskimi ustami i głęboko osadzonymi oczami spoglądającymi zza okularów w cienkich oprawkach. Jediną cechą charakterystyczną w tej nudnej skądinąd twarzy były gęste ciemne brwi, które kontrastowały z rzadkimi siwymi włosami. Cederlund miał udział w prywatnej stacji telewizyjnej oraz większość udziałów w „Göteborg Dagbladet”, w latach 1999–2003 pełnił nawet funkcję naczelnego tej gazety. Był też współwłaścicielem sieci księgarń i właścicielem wydawnictwa publikującego książki dla dzieci. Choć po zawale odszedł z kilku stanowisk, wciąż zasiadał w radach nadzorczych i zespołach doradczych. Bez wątplenia należał do elity finansowej miasta i kraju. Bardzo wąskiej elity. Urowadzenie? Pewnie już pojawiłoby się żądanie okupu.

Obdzwonienie szpitali nie przyniosło rezultatu.

Został jeszcze dom letni w Vättern. Z doświadczenia Forsberga wynikało, że domy letnie często były wykorzystywane do oszukiwania współmałżonka, do przenoszenia się tam po kłótni, do tego, aby w spokoju popracować lub popełnić samobójstwo.

Po szybkim rozważeniu za i przeciw Forsberg powiedział:

– Ej, Selmo.

Zamiast odpowiedzi rozległo się dziwne gruchanie. Ptaszyca się śmiała.

– Co cię tak śmieszy?

– Nic. To jest pierwszy raz, kiedy zwracasz się do mnie po imieniu.

– Czy coś źle powiedziałem? – zaburczał Forsberg.

– Nie. Jest tureckie, wiedziałeś?

– Valkonen?

– Selma.

Co, bardzo przepraszam, mogło być bardziej szwedzkiego niż imię Selma? Czy temu fińskiemu ptakowi odbiło? Najlepiej nie wdawać się w dyskusję. Poprosił, by zorganizowała wizytę w letnim domu.

– I w razie gdyby... zadzwoń po kolegów z Jönköping.

– Robi się.

– Gdybyś nie znalazła klucza...

Według Marty Cederlund wisiał on prawdopodobnie za boazerią przy drzwiach.

– Poradzę sobie – powiedziała Ptaszyca.

Najwyraźniej cieszyła się na tę wyprawę. Chwyła skórzaną kurtkę i wybiegła z zapalem z biura. Forsberg chwilę patrzył za nią. Już jej nie było.

Wzdychając, odchylił się, oparł stopy o biurko i skrzyżował ręce za głową. Wreszcie sam! Nie był przyzwyczajony do tego, żeby cały dzień z kimś przebywać.

W ubiegłym tygodniu został wezwany do jego eminencji Andersa Gulldéna, który z szyderym uśmiechem zapowiadającym kolejną podłość zaprezentował „długo oczekiwane posiłki”. Forsberg najpierw rozejrzył się pytająco, a potem pomyślał, że szef chce go nabrać. Bo chyba nie miał na myśli tego stworzenia, które wyprostowane i chude niczym czapla siedziało na krześle dla gości. Ta ptasia istota nie wyglądała na dorosłą, a już na pewno nie na „świeżo upieczoną inspektor”, jak ją wzniośle zapowiedział Gulldén. Gdzież on ją znalazł? W Transylwanii? Abstrahując od tego, nie

było nigdy mowy o żadnych posiłkach. Forsberg sam czuł się wystarczająco silny. Jeden czujny umysł, kiedy zostawi się go w spokoju, wpada na lepsze rozwiązania niż tabun ludzi, stosujący burzę mózgow, pracę zespołową i inne tego typu bzdury. Jednak musiał przyznać, że czasem współpraca jest potrzebna. Szczególnie teraz.

Sprawa Cederlunda nadarzyła się wyjątkowo nie w porę. W poniedziałek, 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, zaginęła sześciolatka Waleria Bobrow zamieszkała przy Önskevädersgatan w Biskopsgården. Jej matka, Oksana Bobrow, sprzątała nocami biura, więc była zadowolona, kiedy córka rano powiedziała, że chce pójść do Bahar Haaleh, która mieszka przy Godvädersgatan. Oksana nakarmiła dziesięciomiesięcznego syna i położyła się, po czym zasnęła. Kiedy Waleria o siódmej wieczorem jeszcze nie wróciła do domu, pani Bobrow wyszła jej szukać. Dziewczynka nie widziała się z przyjaciółką, która nie wiedziała o planowanej wizycie. Waleria najwyraźniej poza Bahar nie miała żadnych kolegów ani koleżanek. W każdym razie żadnych, o których wiedziałaby jej matka.

Dochodzenie utrudniało to, że matka Walerii pochodziła z Rosji, słabo mówiła po szwedzku i oczywiście niechętnie rozmawiała z policją. Dwa ostatnie punkty dotyczyły większości mieszkańców tej dzielnicy. Potrzeba by całego pułku tłumaczy, aby efektywnie przeprowadzić dochodzenie. Przyjaciel pani Bobrow, Iwan Krull, mieszkał w sąsiednim bloku. Ten drobny przestępca z Tallina do tej pory znany był ze szmuglowania papierosów i alkoholu, poza tym w jego aktach odnotowano wyrok w zawieszeniu za pędzenie bimbru. Krull tamto popołudnie spędził z dwoma kumplami w kasynie, co potwierdzili jego koledzy i obsługa lokalu. Nie było to alibi najwyższych lotów, ale w tej chwili Forsberg nie miał podstaw, żeby w nie nie wierzyć.

Nie istniało też żadne porządne zdjęcie Walerii. Matka nie miała aparatu, przez lata najwyraźniej nikt też nie przykładał wagi do tego, aby dziecko fotografować. Ostatnie zdjęcie pochodziło sprzed trzech lat, poza tym było jeszcze zdjęcie grupowe ze szkoły, ale wycięty kadr z twarzą Walerii po powiększeniu miał bardzo marną rozdzielczość.

Tymczasem rozwieszono w mieście plakaty ze słabej jakości zdjęciem i wielojęzyczną informacją, aby zgłosić się na policję, w razie gdyby ktoś coś zaobserwował albo widział Walerię 15 sierpnia czy nawet później.

Jednak albo nikt niczego nie widział, albo ludzie z różnych względów obawiali się przyjść na komisariat. Forsberga to nie dziwiło. Biskopsgården, a w szczególności część północna dzielnicy, to getto, w którym niewiele zmieniły działania mające polepszyć jego wizerunek, chociaż władze miasta wydały na nie co najmniej pięćdziesiąt milionów koron. Od czasu kryzysu regularnie płonęły tam samochody.

Oczywiście prasa zainteresowała się sprawą i wydrukowała odpowiednie komunikaty, co poskutkowało tym, że rozmaici głupcy i ważniacy poczuli się upoważnieni do wygłaszania na ten temat swoich sądów, skutecznie utrudniając pracę policji. Komendant Anders Gulldén kazał sprawdzić i przesłuchać wszystkich zarejestrowanych pedofilów na terenie Västra Götaland. Obszar leśny na zachód od jeziora Svartemossen, który graniczył z Biskopsgården, kilkakrotnie przeszukano z użyciem psów tropiących. Jednak wysiłki poszły na marne.

Waleria cierpiała na astmę na tle nerwowym.

Forsberg nie miał dobrych przeczuć.

Selma Valkonen potrzebowała prawie dwóch godzin na dotarcie do Vättern, ponieważ nie chciała dostać mandatu podczas pierwszej podróży służbowej. Poza tym rozkoszowała się samotnością. Nieobecnością Forsberga. System nawigacyjny skierował ją przez Jönköping na drogę numer 195, a później na coraz bardziej podrzędne lokalne ścieżki. Minęła wieś, podążała dalej wąskim polnym traktem, aż wreszcie skręciła w pokryty żwirem podjazd, na którym stało czarne volvo S80.

Samochód Cederlunda.

Nie wyglądało to dobrze.

Dom był jednopiętrowy, drewniany. Jego szczyt niczym ostry ząb sterczał skierowany w niebo. Selma weszła na pomalowaną na biało werandę okrążającą budynek, ale nie od razu poszukała kryjówki na klucze. Najpierw zajrzała za róg, skąd rozciągał się widok na jezioro. Skręciła papierosa. Pałac, wsłuchiwała się w otaczające ją drżące dźwięki, chłonęła okolicę. Krowy na pastwisku. Las. Woda, która w blasku słońca połyskuje niczym płynne srebro. Odwróciła się. Podeszła do dużej błyszczącej szyby okiennej i przysłoniła oczy dłońmi. Salon – stwierdziła. Szafy, regały z książkami, poroże łosia nad kanapą, kominek. Przed kominkiem fotel. W fotelu coś zwisało na bok. Ciało mężczyzny. Że to mężczyzna, można



było poznać jedynie po ubraniu, ponieważ tam, gdzie powinna być głowa, znajdowała się kotłowanina włosów, zębów, kawałków skóry i... czy to oko? Impet wystrzału sprawił, że ściana nad kominkiem była pokryta odpryskami mózgu, odłamkami kości, krwią i małymi czarnymi ziarenkami. Między butami trupa leżała dubeltówka, z lufą skierowaną pod fotel.

*Samobójstwo przez strzał z dubeltówki w głowę.*

Na języku Selmy nagle pojawił się ostry i zgniły smak. Więc tak się to odczuwa, pomyślała. Poczynając od nóg, jej ciało zaczęło się trząść. Wybiegła z werandy na podjazd i zwymiotowała zielonkawą żółcią za kuliście przyciętym bukszpanem.

Przyjemny wiatr rozwiewał mu włosy, kiedy Forsberg jechał do centrum na swoim holendrze. Od poniedziałku pracował niemal bez przerwy. Potrzebował powietrza, światła i słońca. Przez chwilę chciał poprzebywać wśród ludzi, którzy nie byli policjantami. Pokonał most rozpięty nad kanałem, zaparkował rower i ruszył spacerem po wąskich uliczkach. Niedawno otwarta kawiarnia miała powodzenie, ale znalazł się jeszcze jeden wolny stolik. Forsberg zamówił kawę i jagodową muffinkę. Pozostali klienci byli średnio piętnaście lat młodszy od niego, wszyscy z notebookami i iPadami – już przy składaniu zamówienia pytali o hasło Wi-Fi. Mieli markowe buty i okulary przeciwsłoneczne. Forsberg ze zdziwieniem zauważył, że zastanawia się, czy Ptaszyca także zdarza się tu przychodzić, ale nie mógł jakoś wyobrazić jej sobie wśród tej zdigitalizowanej bohemy. Właściwie Ptaszyca nie pasowała do żadnej szufladki. W zasadzie nie było to wadą.

Forsberg pomyślał też o Annice. Być może zachodzi do tego typu lokali w Londynie, Lizbonie, Turynie, Berlinie...

A może już od dawna nie żyje. Nagle nie mógł ugryźć ani kęsa. Poczul, że ani chwili dłużej nie wytrzyma w tej kawiarni. Już chciał się podnieść, kiedy usłyszał dzwonek swojej komórki. Osobnik z przedziałkiem z sąsiedniego stolika rzucił znad notebooka na poły zafascynowane, na poły współczujące spojrzenie na nokię, którą komisarz wyciągnął z kamizelki myśliwskiej w kolorze błota.

– Tak? – powiedział Forsberg.

– To ja.

Ptaszyca. Cholera, musi wreszcie przestać nazywać ją tak w myślach, inaczej kiedyś mu się to wymsknie.

– Tak?

– Znalazłam go. Zastrzelił się.

Głos Selmy był chropowaty i przytłumiony. Niczym głos wrony we mgle. Zresztą tak brzmiała także na co dzień.

– Zadzwoń do Jönköping i wracaj.

Rozłączył się.

Na chwilę jego wzrok przykuły dwie bardzo ładne kobiety, które weszły do kawiarni. W ogóle nie zwróciły na niego uwagi. Bywało inaczej, skonstatował rozczarowany. Powinien wybrać się do fryzjera i kupić nowe ubrania. Nawet koledzy zaczęli mu dokuczać z powodu wyciągniętych i przetartych sztruksów oraz koszul w kratę z wyświechtanymi kołnierzami. Poza tym czuł, że spodnie ciasno opinają się na brzuchu. Przejazdźka rowerem do komisariatu to zdecydowanie za mało, by utrzymać się w formie.

Znowu rozległ się sygnał komórki. Komisarz Erik Abrahamsson z Jönköping podawał szczegóły:

– Wygląda na to, że było to samobójstwo poprzez strzał w głowę ze śrutówki podczas *Traviaty*.

– *Traviaty*?

– Płyta była w odtwarzaczu CD. Anna Netrebko. Żadnego listu pożegnalnego. Potworna rzeźnia. – Abrahamsson powiedział to z takim wyrzutem, jakby Forsberg był za to odpowiedzialny osobiście. – Młoda była blada z przerażenia.

Sępi nos z błyszczącym kamieniem. Turecki.

Powinien był sam tam pojechać. Z drugiej strony odnajdywanie zwłok także jest częścią ich pracy. Forsberg podziękował za rozmowę, rozłączył się i zadzwonił do Selmy. Była już w drodze powrotnej.

– Jadę do Långedrag – powiedział.

– Dobrze.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Cichy odgłos mlaskania zdradził mu, że żuła gumę.

– Słuchaj, dziś jeszcze przyjdzie niejaki Leander Hansson. Będzie pytał o córkę Lucie. Gdyby mnie nie było, powiedz mu, że na razie nie wiemy

nic nowego, ale wciąż nad tym pracujemy.

– Dobrze.

Nie zapytała, skąd wiedział ani co się z tym wiązało. Ale Ptaszyca często reagowała nie tak, jak się tego oczekuje. Być może przypominała sobie nazwisko. Ten przypadek swego czasu wywołał sporą sensację i w ostatnich dniach w związku z zaginioną Walerią Bobrow znowu został przypomniany przez gazety. Mała Lucie Hansson zniknęła w piątek 17 sierpnia 2007 roku. Dokładnie przed czterema laty.

Selma przyglądała się, jak kawa z automatu leje się do papierowego kubeczka. Ciągle nie mogła nic jeść. Próbowwała odwrócić uwagę, przeglądając akta Lucie Hansson. Mimo że nie weszła do domu, wciąż miała przed oczami widok martwego ciała Cederlunda. Obraz tego pokoju wżarł się w jej mózg.

– Piękny kamień. – Barczysty mężczyzna, mocno opalony, z głową wygoloną na łyso stał za nią i klepał się po nosie.

Selma milczała. Nie była w nastroju do żartów.

– Pontus Bergeröd – przedstawił się. Przyglądał się Selmie z nieukrywanym zainteresowaniem. – Jesteś tą nową, która pracuje z Forsbergiem – dodał.

Właśnie wrócił z urlopu. Pewnie skądś, gdzie alkohol był tani, a prostytutka legalna.

– Tak – powiedziała Selma.

Skoro wiedział, kim jest, z pewnością znał też jej imię. Kubek już się napęnił. Wzięła go do ręki i się odwróciła.

– Cóż, miłej pracy – powiedział Bergeröd ze sztucznym uśmiechem, który zdradzał, że chętnie by jeszcze chwilę pogawędził.

Selma zignorowała go i odeszła, na co on wymamrotał coś w rodzaju „głupia lesba”. Nie przejmowała się tym. Bergeröd miał reputację macho komisariatu, a więc wcześniej czy później i tak by na siebie wpadli.

Czy tego chciała, czy nie, usłyszała już trochę również o Forsbergu: śmieszny dziwak, odludek, niezdolny do pracy w zespole, arogancki dupek. Albo: miły facet, tylko trochę pokrecony (choć tak sądziła jedynie mniejszość, a konkretnie Malin Birgersson i komendant Gulldén). Kiedyś... Kiedyś był bardziej towarzyski. Szarmancki, zabawny, kobieciarz wręcz. Tak było do października 2003 roku, gdy zdarzyła się historia z jego córką.

Ktoś jeszcze zauważył, że to dość makabryczne, iż Forsberg odpowiada akurat za zaginięcia. Ale podobno sam tego chciał. Przynajmniej, mówili cynicy, rozumiał, co czują ludzie, którzy do niego trafiają.

Mężczyzna stojący w drzwiach gabinetu miał najwyżej metr osiemdziesiąt wzrostu i proporcjonalną sylwetkę. Nosił ciemną marynarkę i kremową koszulę, której górny guzik był rozpięty. W ręce trzymał aktówkę.

– Leander Hansson?

Przytaknął. Cień uśmiechu rozjaśnił jego twarz na krótką chwilę.

– Selma Valkonen. Komisarz Forsberg jest w drodze. Proszę wejść.

Poprosiła, żeby się rozgościł. Przyciągnął krzesło pod biurko Selmy i usiadł.

– Czy to tylko dekoracja, czy pracuje pani nad tym? – Wskazał głową na akta rozłożone obok monitora.

– Właśnie zapoznaję się ze sprawą – powiedziała Selma.

Obecność Leandera ją zdenerwowała. Żołądek znowu wariował. Napiłaby się kawy, ale doszła do wniosku, że nie wypada. Zamiast tego zapytała:

– Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję, ale pani niech się napije, bo zaraz wystygnie.

Co za głos. Z wdzięcznością sięgnęła po kubek, jednak jej dłonie nagle zaczęły drżeć. Szybko odstawiła go ze strachu, że zaraz połowa się wyleje.

*Strzał z dubeltówki w głowę.*

Cholera, powinnam była coś zjeść!

– Nie czuje się pani dobrze? Jest pani bardzo blada.

Selma odetchnęła głęboko przez nos.

– Tak, nie... przepraszam. Właśnie wróciłam z miejsca, gdzie odnaleziono zwłoki. Mężczyzna popełnił samobójstwo i było to...

Wspaniale! Zamiast emanować zaufaniem i profesjonalizmem, przedstawia sobą obraz nędzy i rozpacz, i to przed ojcem zaginionego od czterech lat dziecka.

Hansson otworzył aktówkę i wyciągnął z niej tabliczkę czekolady. Gorzkiej. Jakby było to najzwyczajniejszą rzeczą w świecie, ułamał kawałek i wręczył go Selmie.

– Mnie to zawsze pomaga.

Było jej już wszystko jedno. Wzięła czekoladę, zjadła połowę i popiła dużym łykiem kawy. Ostry i zgniły smak ustąpił miejsca słodczy, a uczucie mdłości rzeczywiście trochę osłabło.

– Lepiej? – zapytał Hansson.

Ciemnoczerwony. Jego głos. Aksamitny ciemnoczerwony, jak mocny burgund.

– Tak. Dziękuję.

Selma szukała w jego twarzy śladów tragedii, ale ich nie znalazła. Mocne, ładnie wycięte usta, nos trochę krzywy, spojrzenie głęboko osadzonych szarych oczu bystre i mądre. W każdym razie opanowany typ.

– Czy wiadomo coś nowego o naszej córce?

Jego ramiona, pomyślała Selma. Widać to po ramionach. Bezsilne zwisały do przodu, niczym połamane skrzydła.

Zrozumiała, że ta wizyta stanowi swego rodzaju rytuał. Gdyby wydarzyło się coś znaczącego, Forsberg z pewnością by tego przed tym mężczyzną nie ukrywał.

– Ciągłe przychodzą jakieś informacje od ludzi, którzy rzekomo widzieli pana córkę. Sprawdzamy je i niczego nie zaniedbujemy. Także Scotland Yard i Interpol zajmują się tą sprawą. W ubiegłym roku przyszła jedna wskazówka z Oslo, jedna z Kopenhagi i jedna z Hanoweru. Wszystkie niestety okazały się fałszywym alarmem. W Oslo był to mały chłopiec.

– A w dwóch pozostałych przypadkach?

– Dziewczynka z Niemiec miała dopiero cztery lata. Dziewczynka z Kopenhagi... Tu zgadzał się wiek, nawet prawie co do miesiąca, ale matka, Szwedka, przedstawiła metrykę. Wyglądała właściwie trochę jak... jak pańska córka mogłaby teraz wyglądać.

– Czy nie można sfalszować aktu urodzenia?

– Można. Ale zgadzał się też wpis do rejestru mieszkańców, istnieją także dokumenty zaświadczające, że to dziecko urodziło się w Kopenhadze. Ponadto urzędnicy zaznaczyli w protokole, że dziewczynka jest rzeczywiście podobna do matki – dodała Selma.

Już przy lekturze tych informacji skonsternowana zastanowiła się, jak to jest, kiedy pewnego dnia przed drzwiami stają policjanci i żądają dowodu na to, że twoje dziecko jest rzeczywiście twoje.

– Oczywiście, im więcej czasu mija, tym jest trudniej – powiedziała Selma.

Co za bzdury wygaduję? Jakby on sam nie wiedział o tym najlepiej.

– Tak, naturalnie – odpowiedział Hansson i uśmiechnął się gorzko.

Wstał, wziął swoją torbę. Selma odprowadziła go do drzwi.

– Dziękuję za czekoladę.

Tym razem uśmiechnął się tak, że prawie zabrakło jej tchu.

– Do widzenia – powiedział.

Selma usiadła. Jeszcze chwilę wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął mężczyzna. Westchnęła i znowu zagłębiła się w aktach Lucie Hansson.

Forsberg wysiadł z linii 11, cofnął się kilka metrów wzdłuż głównej ulicy i skierował w stromo wznoszącą się ulicę Solhögsgatan. Im wyżej się wspinał, tym bardziej imponujące wille mijał. Nie, mieszkańcy Långedrag nie potrzebowali pomocy socjalnej. Dawna osada rybaków i przemytników dziś stanowiła ekskluzywną dzielnicę. Tutaj obok ludzi mających pieniądze od pokoleń osiedlali się ci, którzy pięli się w górę w tej neoliberalnej epoce.

Po dotarciu na szczyt Forsberg zatrzymał się na chwilę, aby odsapnąć. Słony wiatr od morza rozwiewał mu włosy. Jego wzrok wędrował po skalistej wyspie i zabudowaniach Nya Älvsborg. Całkiem z tyłu, we mgle, na granicy otwartej wody, można było dostrzec wyspę Vinga. Na północy nad klifami Öberget sterczały armaty fortecy Oskara II.

Nad jego głową zaskrzeczała mewa. Powinienem dużo częściej wyjeżdżać nad morze, pomyślał. Przed wejściem do portu gromadka dzieci w optymistycznych nastrojach kołysała się na morzu, do uszu Forsberga docierały niesione wiatrem polecenia instruktora żeglarstwa.

Łódka. Czy do wywiezienia za granicę małego dziecka, takiego jak Lucie Hansson, kiedy szuka jej cały kraj, użyłbym łodzi? W ładny sierpniowy dzień, wiosłując, można w kilka godzin dotrzeć do Danii, Niemiec czy Norwegii. Albo na wyspę. W końcu nie da się sprawdzić każdego portu jachtowego. Potem wystarczy poczekać w jakimś oddalonym domu wakacyjnym, aż wszystkie kontrole ustaną. Uśpić dziecko na krótki czas, którego potrzeba, aby dostać się na prom i potem z niego zejść.

Poszedł dalej.

Wyobrażał sobie dom Cederlunda jako szacowną willę, siedzibę rodzinną od wielu pokoleń. Gdy wreszcie przed nim stanął, stwierdził, że willa była wprawdzie imponująca, ale miała najwyżej dwadzieścia lat. Budynek

otynkowany na biało, dużo stali i szkła, wznosił się na najwyższym wzniesieniu wybrzeża. W latach dziewięćdziesiątych nawet góra pieniędzy nie wystarczyła, aby zdobyć taki kawałek gruntu. Potrzeba było odpowiednich znajomości.

Wojownik i pochlebca w jednym.

Co skłoniło tego króla przedmieść do samobójstwa? Depresja? Kryzys gospodarczy? Ciężka choroba? Forsberg miał nadzieję, że wdowa udzieli mu jakiejś wskazówki.

Podjazd został otoczony przez kanciasto wystrzyżony żywopłot z bukszpanu. Przy ścianie podwójnego garażu ułożono polana. Na trawniku automatyczna kosiarka – małe UFO – zataczała koła. Ostatnio ktoś w stołówce zachwycał się podobnym odkurzaczem. Forsberg pomyślał, że w jego przypadku nie byłoby to złe rozwiązanie.

Jeśli chodzi o koszenie trawy, to pierwszy raz widział takie urządzenie, obserwował je zafascynowany, póki Marta Cederlund nie otworzyła drzwi i nie zaprosiła go do środka bez pytania o przyczynę wizyty. Garsonkę zastąpiła opinającymi biodra ciemnymi spodniami oraz granatowym kaszmirowym swetrem. Pusty hol, którego granitowa podłoga błyszczała niczym nowy kamień nagrobny, prowadził do ogromnego salonu z wielkimi abstrakcyjnymi obrazami na białych ścianach oraz nowoczesnym kominkiem usytuowanym centralnie. Nawet jeśli była tu jakaś służba, to nie dało się jej zauważyć. Trzy mopsy skakały wokół pani domu i gościa. Forsbergowi przyszła na myśl brytyjska królowa i jej corgi.

Marta Cederlund spytała, czy się czegoś napije. Forsberg poprosił o szklankę wody. Wśród posapywań psów poszła do kuchni, oddzielonej od salonu dwoma stopniami.

Potem usiedli na skórzanej kanapie, której kolor pasował do koloru sierści psów (lub odwrotnie). Komisarz pomyślał, że Marta ze swoją staroświecką, czarująco przekwitającą urodą nie pasuje do tego miejsca.

– Czy mój mąż nie żyje?

– Tak.

Zacisnęła usta, jej biust nagle uniósł się i opadł.

– Co się wydarzyło? – spytała.

Wszystko jej opowiedział.

Coś w niej drgnęło. Do tej pory życie na jej twarzy rozgrywało się tylko w okolicach ust, teraz jednak w betonowych oczach pojawił się mroczny



blask. Pierwszy raz groziło, że straci panowanie nad sobą.

– Zastrzelił się? – powtórzyła i przenikliwym głosem dodała: – W domu letnim?

Niewątpliwie wybór miejsca stanowił dla niej wyjątkową nikczemność.

Forsbergowi ulżyło, że może zaobserwować przejawy ludzkich uczuć.

Kontynuował:

– Z dubeltówki. Miał dubeltówkę?

Nabrała głęboko powietrza, które zaraz głośno wypuściła, jakby chciała w ten sposób odpędzić mdłości.

– Tak.

Komisarz przyglądał się psom, które kotłowały się w koszyku obok kominka.

– Czy coś zostawił?

– Ma pani na myśli list pożegnalny?

– Tak – powiedziała.

– Nie. Na razie nic nie znaleziono.

Jej spojrzenie powędrowało gdzieś daleko, między Kattegat a Skagerrak.

– Broń należała do jego ojca, to był jego dom. Magnus nigdy nie polował, brzydził się tym. Nie wiedziałam nawet, że nadal ma tę broń. Od lat tam nie byłam.

– Kiedy przyszła pani do mnie... co pani myślała, że mogło się stać? – spytał.

Odwróciła się i spojrzała na niego, jakby powiedział coś niestosownego.

– Wypadek, oczywiście. Coś z jego sercem.

Dyskretna śmierć.

– Czy ma pani może jakieś wytłumaczenie dla jego zachowania? – drążył.

Krótką chwilą poczucia zranienia minęła. Odpowiedź była szybka i mocna niczym cios boksera:

– Nie, nie mam żadnego wytłumaczenia. Czy policja jakiegoś potrzebuje?

– Ja... Ja tylko pytałem z osobistej ciekawości.

– Czy znał pan mojego męża osobiście?

Ostatnie słowo zaakcentowała z drwiną. Co takiego ją spotkało, że się taka stała?

– Nie – powiedział Forsberg.

Wstał. Żałował, że nie wysłał patrolu. Strata czasu. Dobroduszość zawsze się mści.

Odprowadziła go do drzwi, gdzie przypomniała sobie o dobrych manierach.

– Dziękuję, że pan przyszedł, panie Forsberg.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedział i uciekł przed jej zimnymi oczami.

Wiadomość o śmierci Magnusa Cederlunda wywołała w redakcji „Göteborg Dagbladet” więcej krzątania niż smutku.

Gdy Eva Röög dowiedziała się od rzecznika prasowego policji, że za dochodzenie odpowiedzialne będzie Jönköping, chciała tam jechać, ale została powstrzymana przez Leifa Hakeröda.

– Stary mówi, że zostałeś właśnie wybrana do napisania nekrologu.

– To znaczy? – spytała Eva, mimo że już się domyślała.

– Dostałeś całą stronę, tekst musi być gotowy na rano. Sam pojedę do Jönköping. Przykro mi, Evo, to nie mój pomysł. Stary jest zdania, że masz odpowiednie wyczucie. Myślę, że ma rację – zaszczebiotał Hakeröd i zmierzwił swoje i tak już kędzierzawe włosy.

Mógłbyś sobie oszczędzić tych bzdur, pomyślała Eva. Możliwe nawet, że polecenie, aby napisać nekrolog Cederlunda, wyszło od samego naczelnego, Pettera Hinnforsa. Sprawa była trochę drażliwa, istniało kilka raf, które należało ominąć.

Magnus Cederlund miał dwie trzecie udziałów w „Göteborg Dagbladet”, a od 1999 do 2003 roku był także redaktorem naczelnym gazety. Za jego rządów tytuł stracił jedną czwartą nakładu, a także abonentów i reklamodawców. Kilku dobrych pracowników przeniosło się do konkurencji. Gdyby Cederlund żył, na pewno byłby zdania, że winę za to ponosi internet. Trzeba było czterech lat i dużych wysiłków, aby zyski ze sprzedaży wzrosły. Dawny nakład nie został osiągnięty, za co rzeczywiście może odpowiadać ekspansja sieci. Po odejściu Cederlunda redakcja była skłócona: parę osób, które zatrudnił, zostało zwolnionych przez jego następcę. Także Eva bała się o stanowisko, ponieważ to Cederlund przeforsował jej etat. Na szczęście Hinnfors i Reinfeldt stwierdzili, że jest trafionym nabytkiem, i ją zatrzymali. Poza tym już wcześniej pisywała dla „Dagbladet” jako wolny strzelec.

– Dobrze, napiszę nekrolog – powiedziała.

– Dzięki! – Hakeröd odetchnął z ulgą. – Spróbuję jeszcze dziś porozmawiać z wdową.

– Baw się dobrze – wymamrotała Eva, kiedy Leif oddalił się wystarczająco daleko.

Połamie sobie zęby na Marcie.

Zleciła stażystce Sigrun Jenssen, aby przeszukała internet oraz wydrukowała i położyła na jej biurku wszystko, co nadaje się do nekrologu. Dziewczyna natychmiast zabrała się do pracy. W redakcji wiadomości pracowała od kwietnia i była niegłupia. Przyłgnęła do Evy niczym szczeniak i robiła wszystko, co ta kazała. Prawdopodobnie była przekonana, że najwięcej może nauczyć się właśnie od niej. Sigrun była pilna i pomocna, ale Eva zachowywała ostrożność i nie odkrywała się przed nią za bardzo. Nie, Sigrun nie będzie następną osobą, która ją wyprzedzi. Leif Hakeröd znalazł się pod jej skrzydłami, kiedy ponad cztery lata temu przyszedł do dziennika. Bufon zachowujący się jak hrabia. Eva ustawiła go do pionu i nauczyła fachu.

Kiedy Peer Reinfeldt, szef działu wiadomości, dwa lata temu przeszedł na emeryturę, miała spore szanse na otrzymanie jego stanowiska. Razem z Fredriką Lindblom mogły się pochwalić najdłuższym stażem w tym dziale i przez moment ostro ze sobą konkurowały. Przy czym Eva była właściwie pewna, że wygra ten wyścig. Reinfeldt nie mógł nie widzieć, że ma więcej wigoru niż Fredrika. Sądziła, że Hinnfors, „stary”, wysyłał w jej kierunku znaczące sygnały. Ku ogólnemu zaskoczeniu kierownikiem został Leif Hakeröd. Trzydziestotrzylatek robiący karierę nie w swojej dziedzinie, który zanim przyszedł do „Dagbladet”, pracował jako model oraz w biurze detektywistycznym!

– Młody, świeży umysł! – powiedział Hinnfors.

A więc jej trzydziestoosmioletni umysł był stary i zużyty, czy tak to miała rozumieć? W pierwszym odruchu w porywie wściekłości chciała się zwolnić albo przynajmniej zażądać wytłumaczenia, dlaczego to jej wychowanek został szefem. Ponieważ był mężczyzną? W porządku, był dobrym reporterem, a nie „nadętym balonem”, jak go nazywała za jego plecami Fredrika. Miał nosa do ciekawych historii i talent do pojawiania się w odpowiednim miejscu i we właściwym czasie. Ale nie był lepszy od Evy. To po prostu niesprawiedliwe!

Ostatecznie przełknęła tę gorzką pigułkę w milczeniu. Zawdzięczała to Fredrice, która podczas wspólnego zalewania frustracji w irlandzkim pubie poradziła jej:

– Nie kompromituj się. Nie wytrzyma na prowincji dłużej niż to konieczne. Wkrótce przeniesie się w scenerię sztokholmskich barów. Ten typ tak ma.

W duchu Eva przyznała jej rację. To chwilowa sprawa. Przy następnym awansie, który go spotka, uwolnią się od niego i karty na nowo zostaną rozdane. Tymczasem – czekając, aż to nastąpi – każdego dnia patrzyła Hakerödowi na ręce, gotowa zadenuncjować najmniejsze uchybienie. Tak, człowiek uczy się na błędach i w przyszłości Eva będzie ostrożniejsza.

Kiedy w piątek około jedenastej Selma Valkonen weszła do biura, Greger Forsberg szeroko otworzył usta ze zdziwienia. Przyzwyczyił się do jej egzystencjalistycznego wyglądu, dziś jednak miała na sobie dzinsy, niebiesko-turkusową wzorzystą bluzkę i torebkę zamiast codziennego plecaka. Także fryzura wyglądała inaczej, jakoś grzeczniej niż zwykle. Nieważne, że spóźniła się prawie trzy godziny, bez żadnego usprawiedliwienia. To, co naprawdę wytrąciło go z równowagi, to wózek, który wciągnęła ze sobą. Siedziało w nim puciołowate dziecko, z twarzą w połowie zasłoniętą smoczkiem w kształcie śmigła. Okrągłe niebieskie oczy spoglądały z uwagą na komisarza.

– Co to do diabła...?

– To jest Wilma.

Spojrzenie Forsberga się zachmurzyło. Wiedział, że Selma ma dwadzieścia sześć lat, że nie jest mężatką i że mieszka w Linné – dzielnicy, którą lubią studenci i młodzi ludzie. Poza tym wiedział, że jej matka urodzona w Izmirze jako Özge Akbar w wieku trzech lat przeniosła się z rodzicami do Szwecji, gdzie dwadzieścia lat później, w 1984 roku, poślubiła niejakiego Emppu Valkonena z Turku, z Finlandii. Ślub wzięli w urzędzie stanu cywilnego w Halmstad – czyli tam, gdzie się poznali. Rok później na świat przyszła ich córka: Selma Nilay Valkonen. No rzeczywiście, Selma to imię tureckie. Tak wyczytał w internecie. Oznaczało: harmonię, pokój. Forsberg dowiedział się też od Gulldéna, że w 1995 roku Emppu Valkonen popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę z dubeltówki. Nie pytał, skąd komendant o tym wiedział.

Najwyraźniej nikt nie uznał za stosowne poinformować go, że Selma ma dziecko. Liczył się ze wszystkim, ale nie z tym. Ale właściwie dlaczego nie? – pomyślał samokrytycznie. Tylko dlatego, że na pierwszy rzut oka nie wygląda, żeby miała volvo, willę i psa – czyli wszystkie symbole ustatkowanego życia?

– Wszawica w przedszkolu? – spytał.

– Chciałam to wypróbować – powiedziała Selma.

Co chciała wypróbować? Przynieść tu częściej swoje ptasie dziecko? W myślach zaprotestował, lecz młodsza koleżanka wyjaśniła:

– Powinniśmy ruszać zaraz, będziemy mieli, że tak powiem, autentyczne okoliczności.

Wreszcie pojął. W środę Selma rozmawiała z Hanssonem. Musiał wyrzeć na niej duże wrażenie. Kobiety!

– My? – warknął. – Mamy nowy przypadek, którym trzeba się zająć.

– Ale wczoraj sam powiedziałaś, że w tym momencie nie zostaje nam nic innego, jak czekać na wskazówki od ludzi. W tym czasie moglibyśmy odegrać scenę uprowadzenia.

Forsberg poczuł zaskoczenie, stwierdził jednak, że pomysł nie jest zły. Wciąż zdarzały mu się bezsenne noce, podczas których pytał sam siebie, czy zrobił coś źle, czy coś przeoczył.

Wyszedł za Selmą na korytarz, po czym wsunął głowę do sąsiedniego pokoju i spytał Malin Birgersson, czy mogłaby na godzinę wyjść. Wstała energicznie, minęła komisarza i rzuciła się na Wilmę z takim wyrazem zachwytu na twarzy, jaki u większości kobiet pojawia się na widok dziecka, a u reszty – na widok szczeniaka.

– Selma, to twoja mała? Jaka śliczna! Ile ma lat?

– Wilma jest córką sąsiadki. Wypożyczyłam ją i za godzinę muszę ją oddać – odparła Selma.

– Szkoda – westchnęła Malin, a Forsberg poczuł ogromną ulgę, dla której nie miał wytłumaczenia. Dlaczego by mu to tak bardzo przeszkadzało?

W drodze do centrum wyjaśnił Malin ich zamiary.

– I co dokładnie chcesz zobaczyć?

– Ludzi. Czy rzeczywiście nikt nie reaguje, kiedy kobieta odstawia wózek z dzieckiem obok straganu, a inna go zabiera.

– A więc sądzisz, że to była kobieta?

– Nie, to tylko przypuszczenie. Ale mężczyzna z wózkiem nadal bardziej rzuca się w oczy niż kobieta. Nawet w kraju, w którym feminizm podniesiony jest do rangi religii państwowej – rzucił Forsberg, ale Malin nie zwróciła na to uwagi. Była wysoką blondynką o łagodnym spojrzeniu i wytrenowanym ciele, które swego czasu dobrze poznał.

– W każdym razie, kiedy jest to starszy mężczyzna – powiedziała i uśmiechnęła się do niego szeroko. – Ale dla pedofilów Kungstorget jest zbyt ryzykownym miejscem.

Forsberg też tak uważał. Pedofile preferują place zabaw na peryferiach, w biednych dzielnicach, gdzie nikt nadmiernie nie pilnuje maluchów. Nie zdają się na dzieło przypadku – wcześniej skrupulatnie wyszukują ofiarę i obserwują ją przez kilka dni lub tygodni. Często są świetnymi znawcami ludzkiej natury, pracują nawet z nieletnimi i potrafią rozpoznać, które dziecko jest outsiderem, z którym mają szansę na powodzenie. Taka Waleria z Biskopsgården. Pasuje nawet aż za dobrze do profilu ofiary. Z kolei Lucie... Aby uprowadzić dziecko w biały dzień z Kungstorget, potrzeba sporej dawki szaleństwa i śmiałości.

Na obszarze całego kraju zbierali wówczas przypadki śmierci dzieci w wieku około trzech lat. Szczególną uwagę zwrócono na matki zmarłych jedynaków, przede wszystkim te samotne. Ale akcja niczego nie przyniosła, tylko prowadzący dochodzenie urzędnicy musieli się czasem najeść wstydu. Oczywiście w grę wchodziła również kobieta, która nie mogła mieć dzieci albo poroniła. Nie znaleziono jednak żadnej podejrzanej.

– ... i inne matki oglądają się za młodym mężczyzną, jeśli jest przystojny – usłyszał, jak mówi Malin.

– No tak – powiedział.

Selma, milcząc, pchała wózek i paliła własnoręcznie skręconego papierosa. Być może Forsberg był beznadziejnie staroświecki, ale uważał za nieprzyzwoite, aby kobieta paliła na ulicy. Szczególnie matka z dzieckiem w wózku. Wilma usnęła, powieki jej drgały, a smoczek poruszał się, kiedy go ssała.

Przeszli przez ogród botaniczny. Ze względu na letni festyn wejście do parku było bezpłatne, co przyciągnęło wielu ludzi. Małe sceny i pawilony rozstawiono wzdłuż terenów zieleni, a przed teatrzykiem kukielkowym zebrała się grupa dzieci. Siedziały przed sceną, matki stały w półkolu za nimi.

Różne firmy prowadziły akcje promocyjne, więc po drodze musieli dziękować za rozmaite breloczki, papierowe korony i chorągiewki. Czerwonych czapeczek z daszkami, jaką kiedyś dostała Lucie, w tym roku chyba nie rozdawano.

Hala targowa znajdowała się na północnym krańcu Kungstorget. Budynek pochodził z dziewiętnastego wieku, dach ze stali i szkła sprawiał, że przypominał stary dworzec. Wokół niego tłoczyły się kawiarnie ze stolikami wystawionymi na zewnątrz. Po zachodniej stronie placu podczas festiwalu kulturalnego stała duża scena koncertowa. Na południu rozciągała się granicząca z kanałem Basargatan. Obok siebie rozstawiono tam w rzędach budki, które oferowały potrawy ze wszystkich stron świata: od szarańczy po sznyceł wiedeński. Wieczorem przez Avenyn, Kungstorget i sąsiednie ulice przetaczał się tłum spacerowiczów i zaludniał knajpy. Także teraz wokół hali wiele się działo. Stora Saluhallen to coś, co trzeba zobaczyć. Jest w każdym przewodniku. Amatorzy dalszych i bliższych wojaży mieszały się z mieszkańcami Göteborga, którzy przyjeżdżali na weekendowe zakupy.

Selma powinna postawić wózek w tym samym miejscu, w którym Tinka Hansson zostawiła Lucie. Potem musi kupić kilka rzeczy, przynajmniej cztery albo pięć, zapłacić, idąc ze sprzedawczynią do kasy. Malin zaczął się w pobliżu i chwyci wózek najpóźniej wtedy, kiedy Selma będzie płacić.

– Gdzie mam czekać? – spytała Malin.

– Czemu mnie o to pytasz? Ty jesteś porywaczem, pomyśl! – powiedział Forsberg. – Zastanów się też, jak wyjdiesz stąd z dzieckiem. Idź, aż do ciebie zadzwonię. Powiesz mi, gdzie jesteś.

Na ile czasu Tinka Hansson spuściła Lucie z oczu, Forsberg dowiedział się podczas przesłuchania.

Na tyle, ile sprzedawczyni potrzebowała, aby zsumować ceny; ile Tinka potrzebowała, aby wyciągnąć portfel, wyjąć i podać banknoty; ile sprzedawczyni potrzebowała, aby podejść do kasy i wydać resztę; ile Tinka potrzebowała, aby włożyć pieniądze do portfela i schować go do torebki. Potem z pełnym koszykiem przepychała się z powrotem.

Może minutę.

– Selmo, kiedy zapłacisz, podejź z zakupami na koniec stoiska, a potem kilka razy przejdź przed stoiskami w tę i z powrotem, jakbyś szukała dziecka.



Dwanaście metrów. To długość stoiska według policyjnych pomiarów. Kończyło się małym zakrętem. Kasa znajdowała się pośrodku. A więc Lucie była oddalona od matki o sześć–siedem metrów, kiedy ta przez krótką chwilę nie zwracała na nią uwagi.

– I na koniec pobiegiesz przez Kungssportsplatsen na przystanek tramwajowy.

Tinka Hansson zeznała, że na początku w panice błąkała się od stoiska do stoiska. Potem zauważyła jakąś kobietę, która pchała przed sobą czarny wózek z dzieckiem, mającym na głowie czerwoną czapkę. Taką, jaką dostała Lucie. Kobieta szła w pośpiechu przez skwer w kierunku przystanku.

Kobieta zeznała później, że Tinka Hansson napadła „jak szalona” na nią i dziecko, potem ją przeprosiła i zaczęła wołać o pomoc. Matka chłopca w czerwonej czapce przytomnie zadzwoniła po policję. Centrala odebrała zgłoszenie o dwunastej dwadzieścia sześć.

Był kwadrans po dwunastej. Forsberg rzucił kontrolne spojrzenie na Wilmę, ale główna bohaterka ich zaplanowanej maskarady spała spokojnie, niczego nie przeczuwając. Oby jeszcze zostało tak przez kilka minut.

– Zaczynamy. Malin, ty tu zostaniesz, nikt nie powinien widzieć was razem. Selma, poczekaj, dopóki nie dojdę przed kawiarnię. Ktoś musi mieć na wszystko oko, żeby na końcu nie okazało się, że jakiś cwaniak ulotnił się z naszym skarbem.

– Czy matka Wilmy w ogóle wie, po co wypożyczyłaś jej dziecko? – spytała Malin.

– Zwariowałaś? – odparła Selma i popchnęła wózek.

*Harmonia. Pokój.*

Forsberg spoglądał na nią ze zmarszczonym czołem. Czy to jej stała gburowatość, czy raczej złość, że poprosił Malin, by z nimi poszła? A może była rozżalona, że to Malin kazał „uprowadzić” dziecko? Ale przy wszelkiej sympatii: mimo dzisiejszego stroju Selma była jeszcze daleka od tego, aby wyglądać jak hipsterskie matki, które o tej porze spotyka się w centrum. A porywaczka Lucie na pewno nie rzucała się w oczy wyglądem.

Komisarz zajął stanowisko obok kawiarnianych stolików. Nie chciał siadać, na wypadek gdyby coś się miało zdarzyć i była potrzebna szybka interwencja. Zresztą i tak nie dostrzegł wolnego miejsca. Uważnie

obserwował bieg wydarzeń. Robił to w ciągu ostatnich czterech lat już wielokrotnie, z różnej perspektywy i w miarę możliwości w piątki. A także co roku podczas festiwalu.

Panował ożywiony ruch. Młode matki wykorzystywały ładną pogodę na snucie się po mieście. Wózki były do siebie podobne, niemal wszystkie czarne albo ciemnobrązowe: moda utrzymywała się uporczywie od kilku lat.

Odległość od stoisk do stolików wynosiła zaledwie trzy–cztery metry. Niemal nie do uwierzenia, że nikt niczego nie zauważył. A może i nie. Prawie sami turyści. Ktoś za nim mówił w północnoszwedzkim dialekcie, parę stolików dalej rozbrzmiewały niemiecki i angielski. Do obcych być może nie dotarły komunikaty o poszukiwaniach świadków zdarzenia.

Obserwował Selmę. Odstawiła wózek z prawej strony straganu i stanęła w kolejce. Malin zniknęła w tłumie. Nadeszła kolej Selmy. Widział, jak rozmawia ze sprzedawczynią. Wózek wciąż był na swoim miejscu. Nieustannie przesuwanym się przechodnie zasłaniał mu widok. Postanowił zająć lepszą pozycję. Przedarł się przez grupę rozgadanych Włochów, kątem oka rejestrując, że Selma płaci i pakuje torbę. Włosi odeszli. Wózka nie było. Forsberg rozejrzał się, ale nie dostrzegł Malin. Mimo że wszystko szło zgodnie z planem, ogarnął go niepokój. Z trudem powściągnął impuls, aby od razu zadzwonić do Malin i się upewnić, że to ona zabrała dziecko. Cholera, po co dał się wciągnąć w tę idiotyczną zabawę! Ptaszyca z torbą na ramieniu i grymasem na twarzy przecisnęła się przez kolejkę. Skinieniem głowy zarejestrowała brak wózka. Nie patrząc na Forsberga, przeszła kilka metrów dalej, w kierunku sąsiedniego stoiska, potem do kramu z kwiatami. Tam się zatrzymała i rozejrzała. Nagle rzuciła się biegiem w stronę Kungsportsplatsen, klucząc i potrącając ludzi. Forsberg chwycił za telefon. Serce waliło mu jak młot. Potrzeba było sześciu sygnałów, zanim Malin odebrała. Niemal doprowadziło go to na skraj szaleństwa.

– Masz dziecko?

– Tak, oczywiście. Wilma się obudziła i teraz płacze, ponieważ mnie nie zna.

Usłyszał zawodzenie i podziękował niebiosom.

– Gdzie jesteś?

– Blisko mostu, na końcu Basargatan.

– Dobrze, spotkajmy się przed Avalonem. Mam nadzieję, że już otworzyli bar, muszę się czegoś napić.

Eva Röög obserwowała mewę wyskubującą swój obiad z torebki z frytkami z McDonalda, którą ktoś wyrzucił na przystani promu Älvsnabben w Lilla Bommen. Zapaliła papierosa. Właściwie skończyła z tym nałogiem, ale nagle poczuła, że musi się zaciągnąć. Miała zawsze w torbie kilka fajek na wszelki wypadek. Dlaczego teraz? Wspomnienia? Widziała siebie, jak czeka tu na Leandera, który miał nadpłynąć rzeką, żeby mogli razem spędzić przedłużoną przerwę na lunch w operowej restauracji.

Na początku była to tylko przyjemna i nieskomplikowana historia, bez zobowiązań i uczuciowych obciążeń. A potem Eva, właśnie ona, zdeklarowana antyromantyczka, zakochała się. A on? Kto wie? Może też lubił ich rozmowy. A może rekompensował sobie w ten sposób jakieś seksualne braki.

W każdym razie zerwał z nią, gdy jego żona dowiedziała się o romansie i zagroziła rozwodem. Eva była zaskoczona, jak bardzo cierpi. Nikt nie mógł jej pocieszyć, bo nikomu nie opowiadała o tym związku, ani Fredrice, ani matce. Nikomu. Przecież wiedziała, że to nie przetrwa, a czy jest coś bardziej żalnego niż porzucona kochanka? Nie, nikt nie powinien się o tym dowiedzieć, a już na pewno nie teraz, kiedy wszystko się skończyło. Tak bardzo ją to dotknęło, że po jakiejś imprezie jubileuszowej z miejscowymi prominentami poszła do baru z młodziutkim Leifem Hakerödem. Pili piwo, ich kolana się dotykały, może także ich dłonie, ale mimo sporej dawki alkoholu szybko się pożegnała, złapała taksówkę i wróciła do domu sama. Jest sobie za to wdzięczna, dziś nawet bardziej niż wówczas.

A potem wydarzyła się ta historia z dzieckiem Leandera i w obliczu tej katastrofy jej zawód miłosny – śmieszne szczeniackie wyrażenie – wydał się drobnostką. I tym właśnie był: przygodą, miłością, błahostką. Chociaż minęły cztery lata, nadal myślała o Leanderze. Może nie ciągle, jednak za często jak na świeżo poślubioną żonę. A zresztą: jaka częstotliwość wspominania byłego kochanka jest normą dla mężatki?

Statek przybił do brzegu, Eva widziała stojącego przy relingu Stiega, blond włosy rozwiane przez wiatr, błyszczące niebieskie oczy, jakby wrócił ze zwycięskiej wyprawy po siedmiu morzach świata, a nie ze spotkania

z klientem w Eriksbergu. Chociaż rezultat mógł być taki sam. To jest terazniejszość. Evo! Wszyscy zazdroszczą ci tego faceta. Fredrika już oznajmiła, że natychmiast weźmie się za niego, gdyby Eva już go nie chciała, a Sigrun czerwieńczyły się uszy, ilekroć Stieg odbierał Evę z pracy i przy okazji trochę z nią flirtował. Mój mąż. Przedstawiając Stiega, zawsze wahała się przez krótką chwilę, zanim to wyrażenie przeszło jej przez usta. Podobnie reagowała, kiedy on nazywał ją swoją żoną. Ciągle bardziej jej się to kojarzyło z zeznaniem podatkowym niż z miłością, podczas gdy określenie mój ukochany miało wspaniałą wydźwięk. Niestety, nigdy nie mogła nikomu w ten sposób przedstawić Leandera. Koniec z tym! Objęła Stiega, jakby nie widziała go od tygodni.

Potem usiedli na tarasie restauracji z widokiem na dzielnicę po drugiej stronie rzeki, a on opowiadał jej o jednostkach funduszy inwestycyjnych, które właśnie sprzedał.

– Zwycięska wyprawa – powiedziała Eva.

– Ciągle nie masz za grosz szacunku do mojej pracy.

Stiega Mellqvista poznała dwa lata wcześniej w domu swojej matki. Zaalarmowana plajtą Lehman Brothers i zapowiadaną apokalipsą w postaci ogólnoświatowego kryzysu gospodarczego Gudrun Röög postanowiła zwrócić się do profesjonalisty i uratować spuściznę po zmarłym mężu. Eva stwierdziła, że doradca na pewno jest szarmancki, ale daleko mu do eksperta w dziedzinie finansów.

– Jest pan atrakcyjnym mężczyzną i robi wrażenie godnego zaufania, ale prędzej się z panem umówię, niż powierzę pieniądze mojej matki – wypaliła bez ogródek.

Trzeba przyznać, że zachował zimną krew.

Kiedy wyszedł, surowo nakazała matce, aby w przyszłości trzymała się z daleka od takich ludzi.

– To właśnie takie typki spowodowały całą tę nędzę.

– Ale poleciła mi go Inga Fryklund.

Jej pedikiurzystka!

– I był bardzo miły.

– Tacy są najgorsi!

W rezultacie Gudrun Röög prawie cały majątek przepisała na córkę: osiemset tysięcy koron oraz pakiet szwedzkich i norweskich obligacji skarbowych o mniej więcej tej samej wartości. Ten niewielki majątek był

ostatnio przyczyną nieustannych sprzeczek między Evą a Stiegiem. Także teraz usłyszała, że jest to niewybaczalne, iż trwoni pieniądze, trzymając je na lokacie terminowej.

– Przynajmniej jeszcze są – odparła.

– No właśnie, niedługo już nic nie będzie. Inflacja zeżre niskie odsetki i zasób kapitału – powiedział Stieg i jak zwykle wygłosił tyradę, że w czasie kryzysu można dużo zyskać, jeśli jest się wystarczająco sprytnym.

– Ale ja nie chcę zarabiać na nieszczęściu innych – zapierała się Eva.

– Tak działa kapitalizm! – Stieg z uśmiechem odbił piłeczkę.

Jego uśmiech bywał zniewalający, ale w tej kwestii Eva była nieprzejednana.

– Mój ojciec był uczciwym szwedzkim socjaldemokratą. Nie chciałby, żeby jego spadek wpadł w ręce spekulantów, którzy zarabiają na biedzie innych.

– A co powiesz na ekologiczne źródła energii? Moralnie nienaganne...

Pozostała nieugięta. Pieniądze stanowiły jej oszczędności na czarną godzinę, jej rezerwę finansową na starość. Nie chciała ich inwestować w coś, o czym nie miała pojęcia.

– Ale ja się na tym znam! Nie ufasz mi? – spytał.

Mewy krążyły hałaśliwie nad wypływającym promem Stena Line. Portowe pasożyty, pomyślała. Darmozjady i padlinożercy.

Oczywiście nie myślała, że Stieg ma chrapkę na jej spadek. Ale wiedziała także, że w tym momencie przecenia siebie i swoje zdolności. To pewnie jest warunkiem utrzymania się w tym zawodzie. Jak można przekonać kogoś do wyłożenia pieniędzy, jeśli samemu nie ma się do tego przekonania? W ostatnim czasie zauważyła, jak z zatroskaną miną ślęczy nad działem gospodarczym „Financial Times”. Odkąd na jej zadawane żartem pytanie „Skarbie, czy splajtowaliśmy?” zaczął odpowiadać, że wszystko jest w porządku, tylko nie można teraz histerycznie reagować, stało się dla niej jasne, że podjął kilka błędnych decyzji. Pieniądze swoje i klientów, które zainwestował w fundusze stoczniowe, zostały dosłownie utopione.

– Na pewno masz jeszcze jakieś niespełnione marzenia – kusił ją Stieg.

– Mam męczyznę marzeń, wspaniałe mieszkanie, wystrzałowe auto... Czego jeszcze mogłabym chcieć? – Uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie.

– A co z twoją pracą?

– A co ma z nią być?

Eva była przekonana, że gdyby przed dwoma laty – kiedy Leif Hakeröd sprzątnął jej sprzed nosa stanowisko – nie zakochała się w Stiegu, to nie pracowałyby już dla „Dagbladet”. Jego zaloty odwróciły jej uwagę od upokorzenia.

– Mogłabyś założyć własną gazetę – powiedział. – Czy nie narzekałaś, że nie ma u nas żadnego ogólnokrajowego tygodnika politycznego, takiego jak niemiecki „Spiegel” albo brytyjski „Economist”?

Zaśmiała się. W budowaniu zamków na lodzie Stieg był mistrzem. Poruszające było to, że jej marzenia nakręcały go bardziej niż ją samą. Był niczym chłopiec, który wierzy, że cały świat stoi przed nim otworem.

– Na to nie wystarczyłaby dziesięciokrotność mojego spadku.

– Niekoniecznie...

Ale zanim zdążył wyjaśnić swoją strategię, Eva powiedziała:

– Przestań, proszę. Jest taki piękny dzień, cieszymy się nim!

Stieg nachylił się nad stołem i ją pocałował. Pomyślała o trzech, czterech okazjach, kiedy siedziała tu z Leanderem. Redaktorka „Göteborg Dagbladet” i redaktor Sveriges Radio. Dlaczego nie? Nigdy nie zrobili nic, co by sugerowało, że nie były to spotkania biznesowe, choć z pewnością dało się dostrzec burzę uczuć, która nią targała, mimo że prawie się nie dotykali. Czy to było właśnie to, co ją podniecało? Tajemnica, tabu, dreszcze.

Rozbrzmiał klakson statku.

– Kolejny... – powiedziała Eva, spoglądając na zachód. – Jakby już teraz miasto nie było dość pełne.

– Chciałabyś wybrać się ze mną w rejs? – spytał Stieg.

Eva spojrzała na niego przerażona:

– O mój Boże! Czy tak wyglądam?

– To było łatwe – stwierdziła Malin, sadowiac się wygodnie w fotelu hotelowego baru Avalon. – Nikt nawet nie drgnął, kiedy sięgnęłam po wózek. Przechodziła właśnie grupa turystów, więc chyba nie widział mnie nikt z kawiarnianych gości. Przeszłam wzdłuż samochodów dostawczych, które parkują za straganami, potem z tyłu sceny w kierunku kanału. Chciałam przejść przez most do parku.

– Dlaczego szłaś za sceną? Nie byłoby szybciej przez plac? – zapytał Forsberg.

– Ale tam byłabym widoczna z każdej strony. Poza tym kamera internetowa filmuje południową i wschodnią część placu. Ale nawet gdybym tego nie wiedziała, instynktownie trzymałabym się jego skraju.

– Mogłabyś pójść przez halę targową i centrum – zasugerował.

Malin potrząsnęła głową i wyjaśniła:

– Tam, gdzie są sklepy, są też kamery. I jeśli w którejś z uliczek albo w jakimś pasażu nadjechałby z przeciwka patrol, wpadłabym w pułapkę. Most stanowił wąskie gardło, ale mogłam do niego dotrzeć w minutę, być może nawet zanim zostałaby zawiadomiona policja. Dopiero po minięciu Kungsparken i Nya allén miałam kilka możliwości: mogłam wsiąść do zaparkowanego w pobliżu samochodu, dojść do ulicy Vasagatan i tam złapać tramwaj albo przejść przez park do Storanu i wsiąść do auta stojącego na parkingu za teatrem.

Sposób rozumowania Malin był właściwy. Pierwszy radiowóz pojawił się na miejscu cztery minuty po zaalarmowaniu policji. Po dziesięciu minutach o zaginięciu wiedziały wszystkie patrole i komisariaty. Tyle czasu wystarczało, by dotrzeć do wymienionych miejsc.

– Dlaczego nie zaparkowałaś bliżej Kungstorget? – zapytał Forsberg.

– Gdzie? W strefie krótkiego parkowania przed halą? Wtedy każdy, kto by siedział w kawiarni, mógłby zobaczyć, jak wsiadam z dzieckiem do samochodu. Poza tym te miejsca są bardziej niż gorliwie kontrolowane, żeby zapełniać miejską kasę.

Wszystkie samochody, które tamtego popołudnia zostały zanotowane przez kontrolę ruchu, sprawdzono. Przeanalizowano też nagrania kamer internetowych, które rejestrowały, co działo się na Kungstorget. Jednak rozdzielczość nie była zbyt duża, a scena przesłaniała sporą część obrazu.

– A może wcale nie było samochodu – zastanowiła się Malin. – Rower z dziecięcym fotelikiem też by się nadał. Mogłabym go zostawić w parku albo nawet z tyłu placu.

– A co z wózkiem? – wtrącił Forsberg. – Wrzucenie go do kanału za bardzo rzucałoby się w oczy. Nikt też nie zgłosił, że znalazł pusty dziecięcy wózek.

– To nic nie znaczy. Ładny wózek szybko znajdzie właściciela. Zresztą powierzchnia załadunkowa rowerów z przyczepką jest wystarczająca, żeby

zmieścił się wózek z dzieckiem.

Selma siedziała milcząca i jakby nieobecna, obserwując śpiącą Wilmę. Teraz wyszała hałaśliwie przez słomkę resztę shake'a, odstawiła szklanekę i stwierdziła z mocą:

– To wszystko głównie prawda!

Harmonia, pokój, pomyślał Forsberg.

– Rower? – spytała Malin trochę urażona. – Przyznam, że...

– Nie, zeznania matki.

Selma z pamięci wyrecytowała zanotowaną w protokole z przesłuchania odpowiedź Tinki Hansson na pytanie, dlaczego odstawiła wózek: „Ponieważ przed straganem panował duży tłok. Nie chciałam zagradzać drogi przechodniom”. Popukała się w czoło.

– Żadna z matek, które znam, nie zostawiłaby dziecka obok straganu. Choćby tłok był jeszcze większy. Wjadą raczej na ciebie wózkiem albo właśnie staną wszystkim na drodze.

– To prawda, znam to – powiedziała Malin. – Żadnego zwracania uwagi na innych, najważniejsze to dziecko i ja...

Forsberg się zdziwił. Zwłaszcza po Malin nie oczekiwał tego rodzaju niechęci. Miał w uszach napastliwe tykanie jej zegara biologicznego. Od dwóch lat była mężatką i co dzień liczył się z tym, że zobaczy ją biegającą radośnie po korytarzach komendy ze zdjęciem z USG.

– I to ma znaczyć, że jesteśmy społeczeństwem przyjaznym dzieciom? – zauważył.

– Dzieci są w porządku. To matki są wkurzające – powiedziała Malin.

– W zeznaniach Tinki Hansson jest coś niewiarygodnego – podsumowała Selma.

Forsberg spojrział na zegarek.

– Czy ta Rosjanka nie powinna już tu być?

– Tak – powiedziała Selma.

Oksana Bobrow, matka Walerii, miała zgłosić się na ponowne przesłuchanie. W tej sprawie nie poczyniono żadnych postępów, a komisarz doszedł do przekonania, że kobieta coś przed nimi ukrywa. Tak czy owak nie była szczególnie skora do współpracy, każde słowo wyciągali z niej siłą.

– Może Rosjanie nie przywiązują wagi do punktualności – zrzędził.

– Jesteś również ksenofobem? – spytała Selma.



– Oczywiście – powiedział, a potem po chwili zastanowienia zapytał: – Co masz na myśli, mówiąc „również”?

– Wszystkie inne twoje skurwysyństwa.

Forsbergowi odebrało mowę, ale potem uśmiechnął się krzywo. Przejrzała go, nie była głupia.

– Kobieta sprząta nocą biura – zastanowiła się Selma. – Może zasnęła. Albo nie ma zaufania do policji.

– A kto ma?

– Nie jest o nic oskarżona, nie musi przychodzić – powiedziała Selma.

– Tak, tak. Ale, do cholery, jej dziecko od dwóch tygodni jest zaginione!

– Mam tam pojechać i sprawdzić? – spytała Selma.

Wysłać Ptaszycę samą do Bronxu? To właściwie wbrew przepisom, ale może warto zaryzykować. Może Oksana Bobrow będzie bardziej rozmowna sam na sam z kobietą.

– Dobrze, jedź – powiedział Forsberg, ostatecznie decydując, że pójdzie na pogrzeb Magnusa Cederlunda, który odbywał się tego popołudnia w Kvibergu.

W zasadzie nie widział powodu, aby tam iść. Dochodzenie nie wskazywało na udział osób trzecich. Forsberg poprosił Erika Abrahamssona z Jönköping o udostępnienie kopii dokumentacji zdjęciowej z miejsca zdarzenia oraz o protokoły zabezpieczenia śladów i sekcji zwłok. Według raportu Cederlund siedział na fotelu, dubeltówkę zaklinował między kolanami i kciukiem nacisnął spust. Jego czaszka eksplodowała. Na zdjęciach było wyraźnie widać, że broń leżała przed nim, a lufa wskazywała fotel. Wszystko było przekonujące. W szafie z bronią policja znalazła jeszcze sztucer myśliwski i pistolet.

– Pistoletem nie zrobiłby takiej rzeźni – poskarżył się Abrahamsson, a Forsberg musiał przyznać mu rację.

Dlaczego dubeltówka, a nie pistolet? Mógł tylko przypuszczać, że mężczyzna chciał być pewny wyniku, a do tego nie był szczególnie prózny ani taktowny. Kobieta, pomyślał Forsberg, nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Tak, to chyba rzeczywiście było samobójstwo, ale komisarz chętnie poznałby jego przyczynę. A także zobaczył, na ile Marta Cederlund pozostanie dziś bryłą lodu.

Kościół był wypełniony po brzegi. Także z „Göteborg Dagbladet” przybyła liczna reprezentacja. Obok naczelnego Pettera Hinnforsa siedział Peer Reinfeldt, dawny szef działu wiadomości. Eva złapała się na myśli, jak szybko ludzie się starzeją, kiedy rezygnują z życia zawodowego. Na początku wybrała ławkę z tyłu, obok kolegów, ale potem została poproszona przez Daga Cederlunda, który przywitał ją serdecznym uściskiem, o zajęcie miejsca z przodu. Teraz siedziała w drugim rzędzie, zaraz za rodziną. Po przekątnej widziała wygolony kark Daga, którego grzecznie zaczesane włosy ukazywały kilka siwych pasemek, obok blond kok jego żony Mette. Dag je sobie przedstawił. Ponad kapeluszem Marty Cederlund można było dojrzeć trumnę, która ginęła pod kaskadą kwiatów.

W kościele było chłodno i Eva cieszyła się, że założyła blezer. Dobrze też, że w ostatniej chwili zdecydowała się na małą czarną, ponieważ w pierwszych ławkach otoczona była sztywnymi na miarę włoskimi garniturami oraz kostiumami od najlepszych projektantów. Prominenci z odpowiednio ponurymi minami zastygli sztywno na niewygodnych siedzeniach. Oprócz osobistości Göteborga na uroczystość przybyło także kilku przedstawicieli branży ze Sztokholmu, znanych czytelnikom z działów ekonomicznych krajowych gazet. Dla Cederlunda „Dagbladet” stanowił raczej pasję, do której z jakichś sentymentalnych powodów był przywiązany. Obok Evy w kaszmirowym golfie i dusznych oparach perfum siedział wydawca jednego z magazynów o sztuce. Było też wielu przedstawicieli mediów. Eva przyłapała się na tym, że wśród tłumu gości szuka Leandera Hanssona. Nie było go tu, ale dlaczego miałby być?

Prowadząca ceremonię pastorka starała się dodawać otuchy i przypominała o życiu wiecznym. O samobójstwie Cederlunda wspomniała tylko przelotnie, stwierdzając, że nie wiadomo, co go skłoniło do popełnienia takiego czynu.

Mowa nie poruszyła Evy, tym bardziej była zdziwiona, widząc u niektórych łzy w oczach. Ważniak ze Stena Line bez skrępowania pociągał nosem. Czy rzeczywiście płaczą po Cederlundzie? Czy to tylko nastrój smutku, który wzbudza w nich melancholię i sprawia, że zaczynają myśleć o własnych troskach?

Dodatkiem do kazania był ponury monolog redaktora naczelnego wygłoszony po mowach kierownika wydawnictwa i szefa telewizji. Potem do mikrofonu podszedł Dag Cederlund. Podziękował zgromadzonym za

przybycie i w formie kilku anegdot przedstawił Magnusa Cederlunda jako surowego, ale troskliwego ojca, bez którego nie byłby tym, kim dzisiaj jest.

*A kim jest?* Był rewidentem gospodarczym w urzędzie skarbowym. Niezły zawód, nic naruszającego godność, ale też niezbyt ciekawa kariera dla syna milionera.

Co za aktor, pomyślała Eva, gdy zakończył przemowę.

Dag miał trzydzieści dziewięć lat, rok mniej od Evy i w dzieciństwie był dla niej niczym młodszy brat. Prawie codziennie bawili się razem w ogrodzie albo w domu. Tylko kiedy odwiedzały ją przyjaciółki, odprawiała go z kwitkiem. Stał wtedy przy płocie jak smutny pies, nawet gdy padał deszcz albo śnieg. Czasem litowały się nad nim, przywoływały go i kazały mu odgrywać służącego. Dag uwielbiał Evę i robił wszystko, co chciała. Teraz, po trzydziestu latach, musiała przyznać, że bardzo to wykorzystywała. Przeważnie to on przychodził do niej, rzadko bywało odwrotnie. Ilekroć bawili się w domu Cederlundów, Marta krążyła wokół nich i uważała, żeby niczego nie uszkodzili i nie pobrudzili. Magnusa Cederlunda widywało się rzadko, ale kiedy zjawiał się w domu, Marta natychmiast odsyłała Evę.

– Tak mi szkoda tego biednego chłopca – mawiała matka Evy, a jej ojciec nazywał Cederlunda tyranem. Przez długi czas Eva nie wiedziała, co rodzice mają na myśli. Nie rozumiała tego słowa, ale nie brzmiało jak coś dobrego. Ona sama uważała, że ojciec Daga jest całkiem w porządku. W każdym razie sądziła, że jest sympatyczniejszy od Marty, która wiecznie chodziła ze skwaszoną jak cytryna miną.

Eva miała dziewięć czy dziesięć lat, kiedy zbierała pranie w ogrodzie i z sąsiedniego domu dobiegły ją krzyki i odgłosy uderzeń. Gdy kilka dni później zaczęła o tym mówić, Dag zamknął się niczym ostryga. Od tej pory częściej snuła się między sznurami do prania, błogo drząc w przekonaniu, że robi coś zabronionego.

Pięć lat później po powrocie do domu zobaczyła matkę w kuchni siedzącą przy stole z Martą Cederlund. Nie wiedziała, co ją bardziej zszokowało: obecność sąsiadki, która nigdy wcześniej nie bywała w ich domu, czy okazane emocje. Nie zalewała się łzami, ale jej powieki były zaczerwienione, a oczy podejrzanie połyskiwały. Dag uciekł z domu. Czy Eva wie, dokąd poszedł?

Z czasem Eva i Dag zaczęli tracić kontakt, ale chodzili do tego samego gimnazjum i oczywiście wiedziała o jego ucieczce. Skłamała, że jest inaczej. Następnego ranka ciemna limuzyna Cederlundów zatrzymała się przed nią, kiedy stała na przystanku. Eva miała piętnaście lat i nie była jeszcze tak pewna siebie. Gdy Magnus poprosił ją uprzejmie, żeby wsiadła, nie miała odwagi odmówić. Bała się jego przenikliwych oczu i potężnych brwi. Czuła, że za uśmiechem legwana czai się coś mrocznego, niebezpiecznego.

*Tyran.*

Kiedy ją wysadził pod szkołą, zdążył wyciągnąć od niej wszystko.

Dag jeszcze tego samego dnia został złapany przez patrol w parku Schlosswald, gdzie krążył z grupą punków i popijał piwo z puszki, a następnie odstawiony do domu.

Kilka dni później Eva daremnie wyglądała Daga i robiła sobie ogromne wyrzuty. W wyobraźni widziała go całego w zielonych i niebieskich siniakach z połamanymi kończynami. Potem jej matka dowiedziała się, że chłopak został odesłany do siostry Marty w Malmö.

– Tak jest dla niego na pewno najlepiej – powiedziała.

Od tej pory Eva nie słyszała więcej o Dagu. Gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych Cederlundowie wybudowali dom w Långedrag i się wyprowadzili, ona studiowała w Uppsali. Do dziś zadawała sobie czasem pytanie, czy Dag wiedział, kto go wydał. I czy jej późniejszy etat w „Dagbladet” był judaszową zapłatą.

Nabożeństwo żałobne się skończyło i po błogosławieństwie wszyscy – niczym stado czarnych owieczek – ruszyli ku wyjściu. Ponieważ Eva siedziała z przodu, była jedną z ostatnich osób, które opuściły kościół. Szukała wzrokiem kolegów, kiedy zdecydowanym krokiem podeszła do niej Marta Cederlund. Eva składała już kondolencje, ale teraz Marta podziękowała jej za przybycie i pytała o matkę. Po oczach kobiety widziała, że jej zainteresowanie było poważne, nie pytała z czystej uprzejmości. Odparła więc zgodnie z prawdą:

– Niedobrze. Ma raka. Bez szans na wyleczenie.

Marta skinęła głową.

– Słyszałam o tym. Niezmiernie mi przykro. Jest bardzo sympatyczną kobietą.

– Tak, taka jest. – Nagle Eva także zaczęła walczyć ze łzami.

– A ty, słyszałam, wyszłaś za męża.

– Tak, cztery miesiące temu – potwierdziła Eva.

Stieg rano spytał Evę półgębkiem, czy ma jej towarzyszyć, ale odmówiła. To był raczej obowiązek zawodowy, nieboszczyk nie był jej szczególnie bliski. Stiegowi ulżyło, ponieważ nigdy nie chodził na pogrzeby i unikał wszystkiego, co przyprawiało go o smutek.

– Podobał mi się twój nekrolog o moim mężu – powiedziała Marta.

Eva podziękowała jej, uśmiechając się. Pochwała z jej ust to było coś.

– Czytam wszystkie twoje artykuły. Także w „Expressen” i „Svenska Dagbladet”.

Evę zdziwiło, że Marta jest tak dobrze poinformowana o jej publikacjach. Czytała codziennie kilka gazet? Chociaż... miała na to czas. Marta Cederlund, o ile Eva wiedziała, nigdy nie pracowała zawodowo. A może mąż dawał jej artykuły Evy do czytania?

Nagle Marta zbliżyła się do niej, ścisnęła ją za ramię i spod runda kapelusza spojrzała twardo w oczy. Musiała zadrzeć głowę, ponieważ Eva mierzyła prawie metr osiemdziesiąt. Abstrahując od formalnego podania ręki, był to pierwszy raz, kiedy Marta jej dotknęła i Eva omal się nie wzdrygnęła. Ale zdołała się opanować.

– Muszę z tobą porozmawiać – mimo że głos Marty był cichy, pobrzmiwało w nim zdenerwowanie.

– Tak, oczywiście, chętnie.

– Nie tutaj. Możesz przyjść do mnie?

– Oczywiście. Może jutro wieczorem?

Marta puściła jej ramię i pokręciła głową.

– Dag i Mette zostaną kilka dni. Jest jeszcze parę spraw do uregulowania.

Jej mina pozwalała przypuszczać, że ich wizyta niekoniecznie jest dla niej przyjemna.

– A o co chodzi? – spytała Eva.

– To ma związek z moim mężem. Na coś się natknęłam... Nie wiem, co z tym zrobić. Z Dagiem nie mogę o tym porozmawiać. Potrzebuję twojej pomocy. I dyskrecji.

Zdziwienie Evy wzrosło. Co mogło być tak drażliwego, żeby Marta nie mogła zaufać synowi? Jakie właściwie stosunki panowały między nimi?

– W takim razie zadzwoń, kiedy będzie ci wygodnie – powiedziała i oddaliła się, ponieważ jeden z gości skierował się w stronę Marty.

Jasnobrązowe oczy, siwy trzydniowy zarost, marynarka o kroju sprzed dziesięciu lat, trochę napięta w pasie, szpakowate na skroniach szpeceniaste włosy, którym przydałby się fryzjer. Greger Forsberg.

Marta Cederlund szybko wyciągnęła rękę w stronę komisarza. Wyglądało to tak, jakby dobywała miecza.

Czego, zastanawiała się Eva, chciał Forsberg? Czy ma to związek z samobójstwem Cederlunda? Wie coś, o czym nie dowiedziała się prasa? Jakieś niezgodności? Chętnie podsłuchałaby ich rozmowę, ale nie było odpowiednich warunków. Skinęła głową w jego stronę. Nie do końca wybaczyła mu, jak potraktował ją przed czterema laty, mimo że tylko wykonywał swoją pracę. Odwróciła się i nagle stanęła przed trzema czarnymi postaciami: Leifem, Fredriką i Sigrun. Ta ostatnia pocierała jeszcze zmarznięte ramiona.

– Chcesz wracać z nami? – spytał Leif.

– Nie, zajrzę jeszcze na grób taty.

Nie żył od sześciu lat i Evie go brakowało. Jednak przychodziła tu rzadko. Cmentarz nie był miejscem, w którym czuła, że jest blisko ojca.

– Czego chciała od ciebie Marta? – spytał Leif niby mimochodem, a Eva uśmiechnęła się w myślach z satysfakcją. Na pewno przez całe nabożeństwo łamał sobie głowę, dlaczego Eva siedzi przy tych wszystkich osobistościach. A teraz jeszcze wdowa rozmawiała z nią tak poufale, podczas gdy wcześniej odprawiła Leifa, kiedy prosił ją o wywiad. W każdym razie wrócił ze spotkania w podłym nastroju.

– Powiedziała mi tylko, że podobał jej się mój nekrolog.

Eva nie widziała potrzeby, aby wyjaśniać swoje powiązania z Cederlundami. Redakcję zaraz obiegałaby plotka, że posadę zawdzięcza znajomościom.

– Widzisz, jaką dobrą decyzję podjąłem, powierzając ci to zadanie – stwierdził Leif, a ona nie miała wątpliwości, że poważnie tak myślał.

– Znacie się, to znaczy ty i Dag Cederlund? – wypaliła Fredrika. – Wyglądaliście na zżytych.

Cholera! Nie dość, że po raz kolejny zachowała się jak słoń w składzie porcelany, to jeszcze miała gumowe ucho. Eva czuła, że spojrzenia kolegów prześwietlają ją na wylot. Dlaczego tak interesowało ich, o czym rozmawiała z Martą i skąd zna Daga? Odwróciła na chwilę wzrok. Pod portalem Dag rozmawiał z Petterem Hinnforsem. Idiotka! Oczywiście było

ważne, kto dobrze żyje z Dagiem i Martą Cederlundami, a kto nie. Któryś z nich musiało przecież odziedziczyć udziały w gazecie.

– Chodziliśmy do tej samej szkoły – wyjaśniła. – Szczerze mówiąc, słabo go pamiętam.

Kiedy Selma Valkonen wysiadła z tramwaju, przez warstwę chmur przedarło się słońce, ale to wcale nie polepszyło sytuacji. Tutaj Göteborg miał zupełnie inne oblicze. W tym rejonie królowały trasy wylotowe, sklepy z tanimi artykułami, kioski z automatami do gry i blokowiska. Osiedlali się tu ludzie z niewielkimi dochodami, pracownicy tymczasowi, imigranci nielegalni i półlegalni, przestępcy i wszelkiej maści wyrzutki społeczeństwa, których Europa wypuła na margines i wyrzuciła na przedmieścia.

Ponieważ Waleria zniknęła w święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, Selma nie była na służbie, a Forsberg – jak zwykle! – nie uznał za stosowne powiadomić nowej współpracownicy o sprawie.

Opisał Selmie drogę. Zgodnie z instrukcją właśnie przechodziła obok placu zabaw z rdzewiejącymi drabinkami. Piaskownica wyglądała jak przesadnie duża kuweta dla kotów. Żadne dziecko się w niej nie bawiło, w ogóle nigdzie nie było dzieci. Trzech małolatów, którzy stali wokół skutera, popalając papierosy, obrzuciło ją pogardliwym spojrzeniem. Przez sekundę Selma wyobraziła sobie, że ludzie nie mają odwagi, aby pozwalać bawić się tutaj dzieciom, ale potem przyszło jej do głowy, że teraz są one w szkole albo w przedszkolu. W końcu stanęła przed wielkim blokiem przy Önskevädersgatan, znalazła właściwą klatkę i zadzwoniła. Ściany pomalowano na chorobliwy żółty kolor, wręcz wołający o gryzmoły i graffiti, za którym to wezwaniem mieszkańcy pilnie podążyli. Obok typowych rysunków męskich narządów płciowych było tam wiele napisów arabskich i rosyjskich. Na drzwiach windy wisiała tabliczka „Nieczynna”, ale nawet gdyby tak nie było, Selma wybrałaby schody. Wspinaczka na piąte piętro okazała się urozmaicona. Na parterze i na pierwszym piętrze śmierdziało dymem papierosowym, na drugim zabrudzonymi pieluchami, na trzecim piętrze podłoga kleiła się od rozlanego piwa, a na czwartym coś się mocno przypaliło. Zapach biedy, pomyślała Selma i odegnała z pamięci kilka obrazów z dzieciństwa.

Wyglądało na to, że dzwonek nie działa, więc zapukała na początku delikatnie, potem mocniej. Oksana Bobrow otworzyła drzwi. Szlafrok z czerwono-różowego sztucznego włókna owijał jej wycieńczone ciało, czuć było od niej stary pot i tanie perfumy. Spoglądała na Selmę spod niestarannie umalowanych rzęs. Widziały się już na komisariacie, ale zdawało się, że kobieta potrzebuje trochę czasu, aby skojarzyć, kto przed nią stoi. W jednej chwili jej twarz przybrała przerażony wyraz.

– Waleria...?

– Nie – powiedziała Selma.

– To spadaj!

Selma wyczuła w jej oddechu zapach alkoholu. Spytała, czy może wejść, właściwie stojąc już w korytarzu mieszkania i podążając za kobietą, która zniknęła w kuchni, gdzie nastawiała wodę. Najwyraźniej była w domu sama.

– Gdzie jest pani dziecko? – Selma przypomniała sobie, że Forsberg wspominał o dziesięciomiesięcznym synu.

– Koleżanka. Ja sprzątać, ja spać. Nie móc przyjść na policję.

– Rozumiem – zapewniła ją Selma. – Nazwisko i adres koleżanki?

Oksana Bobrow potrząsnęła głową.

– Czy Waleria znała tę przyjaciółkę?

– Nie wiem.

Selma poznała, że kobieta kłamie. Dostrzegła to u większości ludzi. Zmieniała się barwa jej głosu. Głos – wcześniej gliniastobrązowy – stał się bladożółty jak herbata rumiankowa. Predyspozycje Selmy do widzenia kolorów dźwięków i słyszenia obrazów, a czasem także czucia ich smaku często przeszkadzały jej w życiu, ale przy przesłuchaniach i grze w karty okazały się wyjątkowo przydatne. Pokerowa twarz – nie ma sprawy! Głos był tym, co zdradza większość ludzi. Nawet jeśli oni sami wierzą swoim kłamstwom.

– Proszę posłuchać, nie interesuje mnie, czy pani przyjaciółka przebywa tu nielegalnie albo pracuje na czarno czy robi jeszcze coś innego. Tu chodzi o pani córkę. A więc nazwisko i adres poproszę. – Ton głosu Selmy sygnalizował, że bardzo jej zależy na tej informacji.

– Janne Siska, drugie piętro – wycedziła przez zaciśnięte usta Oksana Bobrow. Z szafki wyjęła słoik z kawą rozpuszczalną. Miała trzydzieści dwa lata, ale jej ruchy były sztywne i powolne, jakby musiała przedzierać się



przez jakąś gęstą masę, twarz należała do zniszczonej czterdziestolatki. – Kawy? – spytała.

Selma potaknęła i Oksana wsypała kawę do dwóch kubeczków Henkela i zalała ją gorącą wodą. Potem usiadła na krześle i wpatrywała się tępo w blat kuchennego stołu.

– Co powiedziała Waleria, że dokąd chce pójść tego popołudnia, kiedy zniknęła?

– Bahar. Mówić to policji – odpowiedziała zmęczona.

– Czy Bahar tu kiedyś była?

Oksana potrząsnęła głową przecząco.

– Ale Waleria chce zawsze do Bahar.

– Dlaczego?

Podniosła filiżankę do ust, ale szybko ją odstawiła, bo kawa była jeszcze za gorąca.

– Tu dziecko. Nie ma miejsca. U Bahar dużo rzeczy do zabawy. Chodź...

Zaprowadziła Selmę do dziecięcego pokoju. Wąskie łóżko, szafa z imitacji drewna, plastikowy dom dla lalek, z którego jedna część była urwana. Z okien krzywo zwisały żaluzje. Obok łóżka piętrzył się stos przyborów szkolnych. Biurka nie było, podobnie jak nocnej szafki. Gdzie Waleria odrabiała lekcje? W kuchni? Nad łóżkiem wisały dwa obrazki, które namalowała sześciolatka. Wisały krzywo, jakby sama Waleria przypięła je tam pinezkami. Na obrazkach świeciło słońce. Las, dom z dachem i kominem, w ogóle niepodobny do bloku, w którym naprawdę mieszkała. Niezidentyfikowane zwierzęta stały między zielonymi kreskami trawy, grzybami i czymś, co wyglądało jak małe drzewko z niebieskimi kulkami. Krzew z jagodami, rozpoznała Selma. Czarne jagody. Może Oksana zbierała je kiedyś z córką, oczywiście nie dla rozrywki, tylko dla pieniędzy. Jezioro z rybami. Svartemossen? Krowy na łące. Gdzie to dziecko widziało krowy? Drugi obrazek pokazywał samolot. W jednym z okrągłych okien widać było głowę dziewczynki z ciemnymi włosami i uśmiechniętą buzią.

Poduszkę oblegały pluszaki oraz dwie lalki ze skołunionymi sztucznymi włosami i plastikowymi twarzami, przy czym jednej z nich odkruszyła się farba z domalowanego oka.

Pokój biednej dziewczynki. Nic nie wskazywało na to, aby matka próbowała w jakikolwiek sposób upiększyć ten dziecięcy ką. Naprzeciwno

łóżka Walerii stało łóżeczko z drewnianymi szczebelkami, a obok o ścianę opierała się deska, która służyła jako przewijak. Oksana wzięła misia z łóżka Walerii.

– Bahar. Prezent.

– Na urodziny? – spytała Selma.

Matka zaprzeczyła i wzruszyła ramionami.

Miś nie wyglądał na używanego i wyraźnie odróżniał się od reszty chińskich zabawek leżących na poduszce. Był piękny, trochę staroświecki, z mechatym brązowym futerkiem i ruchomymi przegubami u ramion i u nóg. Twarz misia ze szklanymi oczami w kolorze bursztynów i czarnym noskiem promieniowała melancholią. Maskotka trochę przypominała Selmie Forsberga. To był miś, którego kupiłby infantylnie usposobiony dorosły. Na metce było napisane: Bukowski Design AB, 14 250 Skogås/Sweden.

– Kiedy Waleria dostała tego misia?

– Dwa tygodnie... – Matka szukała słów.

– Dwa tygodnie przed zniknięciem?

Potaknęła, także wtedy, gdy Selma spytała, czy może pożyczyć zabawkę.

– Pani Bobrow, czy Waleria była w ostatnim czasie jakaś inna?

– Inna?

– Dziwnie się zachowywała? Była smutna, agresywna...?

Matka potrząsnęła głową. Selma szukała w jej twarzy oznak smutku, zobaczyła jednak tylko zmęczenie.

Wiedziała, że istnieje świat, w którym rodzice nie kochają swoich dzieci, ponieważ nie wiedzą, jak to się robi. Świat, w którym liczą się tylko pieniądze, których nie ma; świat, w którym ojcowie znikają i nigdy nie chcą słyszeć o swoich dzieciach; świat, w którym ojcowie poddają się bólowi egzystencjalnemu, upijają się i strzelają do siebie w leśnej chacie.

*Samobójstwo przez strzał z dubeltówki w głowę.*

Znowu ten zgniły smak na języku.

Spytała, czy może pójść do toalety. Łazienka była koło pokoju dziecięcego. Aż dziwne, że prysznic, umywalka i sedes mogły zmieścić się na tak małej przestrzeni. W różowym kubeczku tkwiły dwie szczoteczki do zębów. Szczoteczkę Walerii skonfiskowano do zabezpieczenia śladów, razem z jej grzebieniem, na wypadek gdyby potrzebna była próbka DNA. Selma napiła się wody z kranu, potem otworzyła szafkę z lustrem nad

umywalką. Czopki zbijające gorączkę, aspiryna oraz okazały zbiór środków uspokajających i pobudzających. Na dolnej półce zapasowy smoczek, puder dla dzieci i duża paczka prezerwatyw. Inna część szafki mieściła arsenał kosmetyków, lubrykant oraz środek do rozjaśniania włosów. Skoro już Selma tu weszła, to rzeczywiście usiadła na sedesie. Z tej perspektywy pod umywalką zauważyła plastikowy kosz na brudną bieliznę. Stopa czarnych jedwabnych pończoch zwisała niczym czarny język. Otworzyła pokrywę. Różowa mieszanka, pachnąca potem i perfumami. Wyglądało na to, że matka Walerii sprząta biura w kabaretkach, stringach, przezroczystym biustonoszu i obcisłym połyskującym topie...

Co jest? Selma nie chciała popełnić błędu, teraz, kiedy Forsberg zaczynał jej ufać. Oksana Bobrow na pewno by wszystkiemu zaprzeczyła. Wprawdzie prostytutek się nie karze, a przed sąd stawia się tylko klientów, ale obywatelka kraju spoza Unii Europejskiej zostałaby ze Szwecji wydalona. Oksanie ani by się śniło przyznać do tego, czym się naprawdę zajmuje, a najbardziej wzbraniałaby się przed zdradzeniem nazwiska sutenera. Selma podejrzewała, że jest nim Iwan Krull, „przyjaciół”. Miała jeszcze przed oczyma jego twarz fretki z szyderczym półuśmiechem. Krull nie po raz pierwszy był na komisariacie. Doskonale wiedział, że należy wszystkiemu zaprzeczać. W przypadku takich typów zawsze potrzebne są dowody. Przeszukanie mieszkania, inwigilacja. Ale o tym musiałyby zdecydować Forsberg, a może nawet Anders Gulldén. Powinno się to zrobić dopiero wtedy, kiedy Krull poczuje się pewnie. Selma wzięła pod ramię misia, pożegnała się z panią Bobrow, która opierała się o szafkę kuchenną, paląc papierosa i pijąc kawę. Przyszło jej do głowy, że swojej kawy nawet nie ruszyła, ale wyglądało na to, że kobieta da radę wypić i drugą filiżankę.

Forsberg natychmiast rozpoznał Evę Röög, dziennikarkę „Göteborg Dagbladet”, mimo że nie widział jej od dość dawna. Miała długie kręcone włosy w kolorze kasztanowego brązu. Trochę za duże usta i wydatny orli nos kontrastowały z nieco wylupiastymi niebieskozielonymi oczami, na które miękko opadały delikatne powieki. Twarz jak z Picassa, myślał Forsberg, obserwując nieregularne proporcje. Poza tym była wysoka, miała szerokie ramiona i biodra oraz mały biust. Nosila buty przynajmniej w rozmiarze czterdzieści dwa. Wszystko to było fascynujące i stanowiło

materiał na erotyczne fantazje. Forsberg uwielbiał kobiety, które nie odpowiadały przeciętnym gustom.

Jeszcze dziś namiętnie zazdrościł Leanderowi Hanssonowi romansu z tą piękną, o którym poinformowała go Tinka Hansson drugiego dnia po zniknięciu Lucie.

Według Tinki Hansson niewierność męża wyszła na jaw w kwietniu 2007 roku, czyli cztery miesiące przed zniknięciem Lucie. Röög jako była kochanka ojca dziewczynki automatycznie znalazła się w kręgu podejrzanych. Ponadto tego przedpołudnia przebywała w bezpośredniej bliskości miejsca przestępstwa, a mianowicie w holu hotelu Avalon przy Kungsportsplatsen – na godzinę przed zniknięciem Lucie. Ponieważ podczas letniego festiwalu redakcja działu wiadomości pomagała działowi kultury w obstawieniu wszystkich wydarzeń, Eva czekała tam z Leifem Hakerödem na fiński zespół tańczący tango, który nocował przy Kungsportsplatsen. Jednak Finowie za dużo wypili poprzedniego wieczoru albo zapomnieli o spotkaniu, bo się nie pojawili. W czasie popełnienia przestępstwa Eva była w drodze na następne spotkanie w centrum sztuki współczesnej. Do Göteborgs Konsthall dotarła przed trzynastą, co Forsberg skrupulatnie sprawdził. Na to, co robiła przez poprzednie pół godziny, nie ma świadków. Przyznała mrukliwie, że snuła się po Avenyn i zajrzała do kilku sklepów.

Mimo że Forsberg nie myślał poważnie, iż w przerwie między spotkaniami mogłaby uprowadzić dziecko byłego kochanka, musiał ją przesłuchać. Była to nieprzyjemna sytuacja dla nich obojga. W przeszłości Eva prawie co tydzień pojawiała się w ich referacie i próbowała wyciągać od urzędników informacje o najnowszych postępach w śledztwach toczących się właśnie spraw kryminalnych. Forsberg przypomniał sobie flirty, na które ona nigdy nie dała się złowić, mimo że czasem wydawało się, że była tego bliska. Teraz pewne sprawy stały się jasne.

Podczas przesłuchania komisarz, który próbował prowadzić z nią rozmowę w zażyłym tonie (co było kompletną porażką), wyczuł, że Eva rzeczywiście kochała Leandera Hanssona. Czy była to zemsta rozczarowanej kochanki? Wszystko w nim przeciwstawiało się tej teorii, ale też nie mógł jej po prostu zignorować. Najwyraźniej Eva Röög do dziś miała mu to za złe. W każdym razie od tamtej pory nigdy więcej jej wielkie piękne stopy nie stanęły w jego gabinecie. Może też dlatego, że ta sprawa ją

zawstydziała. Poza tym Forsberg nie tylko zrobił wszystko, aby chronić jej reputację, lecz nawet zadziałał wbrew przepisom. W żadnych raportach nie pojawia się nazwisko Ewy, również w protokole z przesłuchania Tinki Hansson, która na szczęście podpisała go bez czytania.

Ale także dziś, cztery lata później, Eva jedynie krótko skinęła mu głową. I tyle mam z tego, pomyślał Forsberg, składając wdowie oficjalne kondolencje. Wydawała się zdziwiona jego obecnością, ale podziękowała mu za przyście z charakterystycznym dla niej uprzejmym dystansem.

Strata czasu, pomyślał, lepiej było pojechać z Ptaszycą do Biskopsgården. Odwrócił się, żeby odejść. Eva Röög stała z kolegami. Pozdrowił ją raz jeszcze i zdumiony zauważył, że skierowała ku niemu swoje kroki.

– Można chyba palić na cmentarzu, nie? – spytała, kiedy stanęła przed nim.

– Nie wiem – odpowiedział.

Mimo to zapaliła papierosa, wydmuchnęła chmurę dymu i powiedziała:

– Wkrótce będzie można palić tylko w dużych kłatkach, które będą budowane w podłych miejscach i otoczone licznymi tablicami ostrzegawczymi.

Forsberg był zachwycony. To było do niej podobne, takie powitanie po czterech latach urażonego milczenia. Pozostawało pytanie, czego chciała. Nie musiał długo zgadywać.

– Czy coś się nie zgadza z samobójstwem Cederlunda?

– Dlaczego?

– Ponieważ tu jesteś – odparła krótko.

Odeszli dalej, żwir skrzypiał pod jej stopami. Forsberg cieszył się w ciszy, póki nie spytała:

– Pojawiło się coś nowego w sprawie Lucie Hansson?

– Ciągłe dostajemy wskazówki z całej Europy.

– Wierzysz, że ona jeszcze żyje?

Jego wzrok wędrował po grobach. Trzy dziewczynki. Lucie, Waleria, Annika. Oraz ich bliscy, którzy sto razy dziennie zadają sobie to pytanie. Nie na darmo uprowadzenia stanowiły ulubiony środek nacisku dyktatorów. Zmarłych można opłakiwać, można ich pochować i w ten sposób jakoś domknąć sprawy. Z zaginionymi nie da się uporać.

– Między nami? – spytał.

Spojrzała na niego z ukosa i wydmuchnęła dym w sposób, jaki można zobaczyć jeszcze tylko w starych francuskich filmach.

– Nie wierzę – powiedział.

Na drugim piętrze dzwonek działał bez zarzutu. Szybkie kroki zbliżyły się i głos kobiety powiedział z ulgą:

– To pewnie twoja mama.

Zbyt wąska i zdecydowanie zbyt kwiecista sukienka oraz staromodny fartuch owijały obfitą figurę Janne Siski, kobiety pod czterdziestkę z włosami ufarbowanymi na rudo, które z tyłu głowy związała w ciasny kok. Na zakolu jej szerokich bioder kurczowo uczone dziecko z brudną buzią. W obliczu jej wydatnie bujnego biustu Selma przez sekundę sama poczuła się jak dziecko. Potem przedstawiła się, wylegitymowała, a Janne Siska spoglądała na nią z mieszanką zaskoczenia i nieufności. Dziewczynka z kręconymi blond włosami, trzy- lub czteroletnia, zerknęła zza rogu, a zaraz za nią pojawiło się drugie dziecko, które wyglądało jak jej negatyw: ciemna skóra, rozczochrane włosy, brązowe wyraziste oczy. Maluchy umknęły niczym spłoszone zwierzęta, po tym jak rzuciły okiem na Selmę. W tle było słycać odgłosy telewizora.

– Lena, ścisz to, tata śpi – wrzasnęła Janne Siska, po czym zaprosiła Selmę do środka.

Mieszkanie Sisków wydawało się większe od klitki Bobrowej. Po chodniku w orientalne wzory szło się do kuchni. Na parapecie ścieśniły się doniczki z kwiatami, na kuchence gotowało się coś, co pachniało kusząco, szczególnie teraz, kiedy pani Siska podniosła przykrywkę i zamieszała. Gulasz, zgadywała Selma, albo barszcz. Uświadomiła sobie, że dziś zjadła tylko jabłko.

Zajęła miejsce na obitej materiałem narożnej ławie. Ścianę za nią ozdabiały ceramiczne talerze oraz flaga: poziome paski w kolorze żółtym, zielonym i czerwonym. Litwa. Najwyraźniej starano się, aby w obcym otoczeniu zachować charakter klasy średniej; wszystko było czyste i porządne, jedynie przed kaloryferem, na kawałku gazety czekały na czyszczenie ubrudzone męskie buty z cholewami.

– Mąż pracował przez całą noc – wyjaśniła pani Siska niepytana.

Usiadła naprzeciwko Selmy, podczas gdy mały Alexander niczym żuk pełzał po podłodze.

- Gdzie pracuje i co robi pani mąż? – spytała Selma.
- Jeździ taksówką – odparła pani Siska po chwili wahania.
- Dla jakiego przedsiębiorstwa?
- Dla siebie.

Jej niebieski głos przybrał zieloną poświatę. Temat wyraźnie nie przypadł jej do gustu. Na pewno nielicencjonowany przewóz osób. Wrzód na tyłku legalnych firm taksówkowych, ponieważ, szczególnie nocami, kierowcy nie czekali na klientów na przeznaczonych do tego postojach, lecz zbierali ich bezpośrednio spod klubów.

Janne Siska potwierdziła, że od czasu do czasu pilnuje syna Oksany Bobrow, gdy tamta musi iść do pracy. Selma spytała, czy Janne wie, na czym polega praca Oksany.

– Sprzątanie – odpowiedziała pani Siska na zielono, mieszając energicznie w garnku.

- Czy odwiedzają ją czasem mężczyźni?

Kobieta przestała mieszać i oparła pięści na biodrach.

- Skąd mam to wiedzieć? Przyprawdza i odbiera dziecko, to wszystko!

Krępy mężczyzna w rozciągniętym dresie i białym opiętym podkoszulku przeczłapał obok kuchennych drzwi. Łazienka musiała znajdować się zaraz obok, ponieważ przez cienką ścianę było wyraźnie słychać, że pan Siska usiadł na sedesie. Daremnie jego żona usiłowała łyżką zagłuszyć dźwięki dobiegające z toalety. Selma z trudem powstrzymywała uśmiech.

- Cieszę się, że niedługo się stąd wyprowadzamy – jęknęła pani domu.

- Dokąd? – spytała Selma.

– Mamy działkę w Askim. Budynek w stanie surowym jest już gotowy. Być może uda się jeszcze przed Bożym Narodzeniem. To najlepsze dla dzieci.

Stąd ubrudzone buty. Obok szumiała golarka elektryczna. Selma skierowała rozmowę na małą Walerię.

Kobieta westchnęła. Tamtego dnia nie widziała dziecka.

- Byłam wtedy z Leną w Lisebergu. To były jej czwarte urodziny.

- Czy pani mąż był z wami?

Potrząsnęła głową.

– Nie. W taki długi weekend Michael musi pracować. Musi całe lato dużo pracować, często dwie zmiany jedna po drugiej. Wkrótce będzie mógł

odpocząć, jesienią, kiedy nie ma turystów. Ale teraz najważniejsza jest budowa, prawda Michaelu?

Spojrzała na drzwi, których ramę w całości wypełnił jej mąż. Selma się przedstawiła. Skinął głową i wymruczał powitanie. Miał szeroką twarz z blizną nad prawym okiem i wyglądał na zaspanego. Wilgotne krótkie ciemne włosy przykleiły mu się do głowy. Blond dziewczynka, Lena, wystrzeliła z salonu i uwiesiła się niczym małpka u jego przedramienia, podczas gdy on łagodnie i dobrodusznie protestował, że nie powinna zachowywać się jak dzikus. Drugie dziecko się nie pojawiło. Córka i ojciec znikli w salonie, ale ślad zapachu jego wody po goleniu został i wymieszał się z aromatem gulaszu.

Selma chciała wiedzieć, czy pani Siska w ostatnim czasie zauważyła coś rzucającego się w oczy u Walerii?

– Nie. Od czasu do czasu przyprowadzała lub odbierała Alexandra, to wszystko.

*Przyprowadzała i odbierała dziecko, to wszystko.* Prawie ten sam dobór słów. *To wszystko.* Frazes, który raczej wskazuje na przeciwieństwo, tak jak wyrażenie „prawdę mówiąc” najczęściej wskazuje na kłamstwo.

– Czasem, przy odbieraniu, siadała w kuchni i wypijała szklankę mleka, podczas gdy ja szykowałam małego. Ale nigdy dużo nie mówiła. Była trochę nieśmiała. Miła, spokojna dziewczynka. Nie tak bezczelna jak inne dzieciaki, które tu mieszkają. To takie straszne... Kochane dziecko...

Janne Siska rogiem fartucha wytarła oczy, a Selma zapytała siebie w duchu, dlaczego dziewczynki uważa się za szczególnie miłe, kiedy są spokojne.

– Czy widziała pani kiedyś tego misia u Walerii?

Pani Siska obejrzała brązowego pluszowego zwierzaka, którego Selma posadziła obok siebie na ławie.

– Nie.

– Zna pani Bahar Haaleh, przyjaciółkę Walerii?

Potrząśnięcie głową.

– Jak powiedziałam, właściwie nigdy nie bywam na górze.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Walerię?

Wzrok Janne Siski zaplątał się wśród doniczek z kwiatami, jakby tam szukała odpowiedzi.



– Nie wiem. Na pewno nie w poniedziałek i dzień wcześniej też nie... Myślę, że w piątek Waleria odebrała stąd małego, ponieważ jej matka znowu nie miała czasu. Ale już teraz dokładnie nie pamiętam.

– Zna pani Iwana Krulla, przyjaciela Oksany Bobrow?

Janne Siska zmarszczyła czoło i machnęła ręką.

– Wydaje się, że niewiele ma pani o nim do powiedzenia.

– Można tak to ująć. Prawie go nie znam.

Trawiastozielone kłamstwo. Kiedy Selma ją przycisnęła, kobieta powiedziała więcej.

– Stałam raz przed mieszkaniem. Po małego nikt jeszcze nie przyszedł, a ja musiałam wyjść. Sama więc go odprowadziłam. Usłyszałam krzyki, kłótnię, a potem Krull wyszedł. Śmierdział alkoholem i o mało mnie nie przewrócił.

– O co poszło?

– Skąd mam wiedzieć? Nie wtrącam się.

– Jak radził sobie z Walerią?

– Nie potrafię tego powiedzieć. Sądzi pani, że ma coś wspólnego z jej śmiercią?

Wygładziła kosmyk włosów, który uciekł ze ściśniętego koka na jej okrągłą twarz.

– Skąd pani wie, że Waleria nie żyje? – spytała Selma.

Kobieta przekrzywiła głowę na bok, a na jej szyi pojawiły się dwa zgrubienia.

– Proszę pani! Minęły już ponad dwa tygodnie. Gdzie mogłaby być?

– Czy zauważyła pani coś, co by potwierdziło pani podejrzenia względem Krulla?

– Podejrzenia? Ja nikogo nie podejrzewam – odparła przestraszona Janne Siska. – Po prostu go nie lubię i... no tak, często za tego typu sprawami stoi przyjaciel matki, czyż nie?

– Czy spodziewałaby się pani tego po nim?

– Nie! – Potrząsnęła energicznie głową i zawołała: – Tego nie powiedziałam! – A potem ciszej dodała: – Umiałabym sobie wyobrazić, że mógł na nią podnosić rękę. Dzieci potrafią takiego porządnie zdenerwować...

Wstała i zabrała z podłogi chłopca, który właśnie zamierzał pogrzebać w koszu ze śmieciami. Posadziła go sobie na kolanach, tak że patrzył na

Selmę. Z buzi wypłynęła mu długa nitka śliny. Selma nigdy nie mogła zrozumieć, co kobiety widzą w dzieciach.

– Czy Waleria o czymś takim wspominała?

Potrząśnięcie głową.

– Czy miała pani wrażenie, że źle ją traktowano? Że była bita albo zanedbywana?

– Bzdura! Pani Bobrow dbała o nią jak najlepiej. Czasem jest przeciążona, ale na pewno nie jest złą matką!

*Na pewno nie jest złą matką.* Zdanie to odbijało się w Selmie echem, kiedy z misiem pod pachą szła przez wielki parking za blokiem Walerii. Przeszła Sommarvädersgatan – wielopasmówkę, która prowadziła przez Biskopsgården. Przy Frisväderstorget, jednym z tych sztucznie stworzonych placów, na których nikt nie czuje się dobrze, wisiły jeszcze plakaty ze zdjęciem Walerii, najczęściej już porwane lub brudne. Przed przystankiem tramwajowym krążyło kilku typków na skuterach.

– Hej, zdziro, chodź tu!

– Ma misia, ale słodko!

Selma zacisnęła pięści. Przyspieszyła kroku, niewzruszony wzrok skierowała przed siebie. Udało się jej odegnąć duchy przeszłości. Przyrzekła sobie, że nigdy więcej nie będzie ofiarą. A poza tym nosi teraz przy sobie służbową broń, na co upierał się Forsberg. Co go skłoniło, żeby iść na pogrzeb tego bogacza? Komisarz był dla niej zagadką. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przyzwyczała się do jego nieokrzesanego stylu bycia, nawet go polubiła i często musiała opierać się pokusie, żeby go nie prowokować. Nie zawsze się to udawało.

Skuterowcy najwyraźniej znaleźli sobie coś lepszego do roboty niż naprzykrzanie się Selmie, więc mogła bez przeszkód kontynuować marsz wzdłuż Flygvädersgatan. Na ulicach niewiele się działo. Dzieci przypuszczalnie były jeszcze w szkole. Waleria chodziłaby teraz do drugiej klasy. Selma zwolniła i skręciła w Godvädersgatan. Potrzebowała zaledwie dziesięciu minut. Niecały kilometr, oceniła.

Ulica miała mnóstwo odnóg. Blok, w którym mieszkała Bahar Haaleh, był jednym z wielu czerwonych prostopadłościanów. Osiedle z klinkierowej cegły, rozplanowane skromnie i użytecznie, sprawiało sympatyczniejsze wrażenie niż kolos na Önskevädersgatan. Być może dlatego, że budynki

tutaj nie były tak wysokie, większość z nich miała tylko trzy piętra, albo dlatego, że między budynkami i parkingiem znajdował się – wprawdzie nie nadzwyczajny, ale jednak – kawałek zieleni. Zamyślona Selma zatrzymała się przy ogrodzeniu boiska. Stąd było tylko kilkaset metrów do Svartemossen. Jezioro, las, bagna. Na pewno dziewczynki były tam niejeden raz.

Rodzina Haaleh od 4 lipca do 14 sierpnia przebywała w Teheranie. W Göteborgu była dopiero dzień po zaginięciu Walerii. Jak więc Bahar mogła podarować misia Walerii dwa tygodnie przed zniknięciem dziewczynki? Czy Waleria wiedziała, kiedy przyjaciółka wróci z Iranu? Czy sześć- albo siedmioletnie dzieci w ogóle orientują się w datach? Pani Bobrow nie miała dostępu do internetu, a Waleria – komórki. Nie mogła po prostu zadzwonić do Bahar, aby dowiedzieć się, czy już jest w domu. Nie pozostawało jej nic innego, jak iść i sprawdzić. Być może robiła to codziennie – pełna nadziei i oczekiwania. I za każdym razem spotykało ją rozczarowanie. Nudziła się. Może w drodze powrotnej trochę się ociągała. Nie miała nikogo innego. Kto tak powiedział? Matka? Nie, nauczycielka, przypomniała sobie. Są takie dzieci, o tym Selma wiedziała aż za dobrze. Wieczni outsiderzy. Ponieważ trochę inaczej wyglądają, trochę inaczej mówią, są niepełnosprawne albo mają dziwnych rodziców. Często zresztą nie istnieje żaden wyraźny powód.

Miła, kochana i spokojna – taka była Waleria według Janne Siski. Podobnie mówiła o niej nauczycielka.

To nie jest dziewczynka, która złamałaby nos starszemu chłopcu, bo ten nazywał ją pajakiem albo żyrafą.

Oczywiście wyobraźni widziała Walerię idącą ulicami tych ponurych przedmieść – wśród niezliczonych bloków, setek okien. Może w jednym z nich stał ktoś, kto zwrócił uwagę na samotną dziewczynkę. Ktoś, komu wpadła w oko. Ktoś, kto ją obserwował dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Czy jest łatwiejsza ofiara?

Marta Cederlund odpoczywała na kanapie. Mopsy utworzyły na jej stopach ciepłą futrzaną poduszkę. Nareszcie! Trochę się tego wstydziła, ale kiedy w południe Dag i Mette wsiedli do bmw i odjechali, dokładnie to sobie pomyślała: „Nareszcie!”. Zostali u niej dwa tygodnie. Dużo rozmawiała z synem o pieniądzech, udziałach, akcjach, obligacjach, pertraktowali

z dyrektorem banku i odbyli spotkanie z notariuszem. Marta była jedyną spadkobierczynią, ale pragnęła, aby syn od zaraz miał dostęp do dużej części spadku. Jak się do tego zabrać?

Dag chciał uczestniczyć w ustaleniach. Spełniła jego prośbę i pertraktacje zostawiła jemu, co zaowocowało zawarciem kilku naprawdę zadowolających umów. Tylko gazety nie oddali, nie osiągnęła określonej przez Daga ceny. Ale dlaczego nie miałyby jej sobie zostawić?

Tyle czasu z synem Marta nie spędziła od ponad dwudziestu lat. Ostatecznie nie był jej już tak obcy, jak wtedy, kiedy pojawił się na pogrzebie ojca, ale pozostał jeszcze między nimi jakiś dystans nie do przewyciężenia. Jej synowa Mette, bezbarwna, bezkrwista istota, snuła się wokół nich, najwyraźniej nie potrafiąc zająć się sama sobą. Ale Marta była pewna, że i bez Mette nie zbliżyłaby się bardziej do Daga. Niektórych rzeczy nie da się naprawić żadnymi pieniędzmi świata.

Wreszcie przyszedł czas na działanie. Gdy tylko Dag wyjechał, Marta zadzwoniła do Evy Röög. Przemądrzały dzieciak z sąsiedztwa wyrósł na naprawdę niezłą dziennikarkę. Nekrolog Magnusa był ciepły, pozytywny, ale nie ugrzecznony. Co ważne, Eva wydawała się osobą godną zaufania. Jej rady i umiejętności Marta mogła teraz potrzebować.

Najpierw dodzwoniła się do koleżanki Evy. Ta powiedziała, że przekaże wiadomość, i rzeczywiście godzinę później Eva oddzwoniła. Umówiły się na następny wieczór, ponieważ teraz Marta czuła się zbyt wyczerpana, aby rozmawiać o tych okropieństwach. Zamęt wokół skandalicznej śmierci męża, pertraktacje, pogrzeb, Dag i Mette w domu... Wszystko to ją wykańczało.

Była sama. Całkiem sama. Bez Magnusa. Nigdy więcej. Nie mogła przywyknąć do tej myśli, ale nie czuła się źle. Ze zdumieniem stwierdziła, że wypila już prawie całą butelkę wina, która została po wczorajszej kolacji. Chyba nie zostanie alkoholiczką? Wciąż dziwiąc się samej sobie, spoczęła na sofie i na chwilę zamknęła oczy. Była zmęczona, tak przeraźliwie zmęczona...

Aż podskoczyła, kiedy psy się zerwały i pognały do drzwi. Nic nie słyszała. Czy była już tak pijana? Mopsy szczekały, a raczej wydawały z siebie zachrypnięte dźwięki, które z dużą fantazją przechodziły w ujadanie. Było już ciemno. Musiała spać dłuższy czas.

Wstała z ciężkimi powiekami. Teraz, kiedy Dag wyjechał, powstało zagrożenie, że sąsiedzi poczuli się zobowiązani jej doglądać i dotrzymywać jej towarzystwa. I rozmawiać. Tylko nie to! Przegoniła psy i otworzyła drzwi. Nikogo tam nie było. Zwierzęta? Inaczej na zewnątrz automatycznie zapaliłoby się światło. Zrobiła krok do przodu, by uruchomić czujnik ruchu. Coś zaskrzypiało pod podeszwą jej domowych pantofli. Szkło. Lampa musiała się zepsuć, pomyślała, jednocześnie rejestrując za sobą jakiś ruch. Coś roztrzaskało się na jej głowie.

– Czy coś nowego z Lucie?

Leander Hansson wzruszył ramionami i odpowiedział niedbałym tonem, takim samym jak Greta zadała swoje pytanie:

– A tak, Lucie... Siedzi na górze w pokoiku, zapomnieliśmy wam o tym powiedzieć.

Leander wykorzystał ciszę, która zapadła po jego słowach, by wstać i pójść do kuchni. Z przesadzoną starannością wstawił filiżanki po kawie do zmywarki, opłukał kieliszki po szampanie, którymi wznosili toast z okazji trzydziestych czwartych urodzin Tinki.

Zachowujesz się dziecinnie, stwierdził. Ale czuł, że ma prawo. Całe popołudnie jego teściowie tak usilnie unikali mówienia o Lucie, że było to aż niedorzeczne. Zamiast tego Greta bez przerwy rozplýwała się nad ich drugim wnuczkiem – Williamem, trzyletnim synem Gunnara, brata Tinki. Trzeba przyznać, że nastąpiło to po tym, jak Tinka dla przyzwoitości spytała o bratanka i w ten sposób otworzyła służę.

Zrobiła to prawdopodobnie po to, by odsunąć przykry temat, który do tej pory dominował w rozmowie: plajtę koncernu Nordinów, jak nazywała to prasa. Gunnar nie miał na to wpływu, wszystkiemu winny był unijny kryzys gospodarczy – taką interpretację obrali sobie Nordinowie. Nie było aż tak źle, jak pisały gazety. Ale Leander nie chciał być w skórze szwagra. Godzina osiemnasta. Musieli zaraz wychodzić. Ojciec Tinki zwykle wolał wracać do domu, kiedy było jeszcze widno. Mimo że po ciemku źle widział, wzbraniał się stanowczo przed jazdą taksówką, a co dopiero mówić o podróży tramwajem lub dopuszczeniu żony za kierownicę mercedesa.

Leander lubił teścia. Holger Nordin miał osiemdziesiąt lat, od pięciu nie pracował i zaczynał właśnie nadrabiać zaległości. Chodził na ryby,

okazjonalnie brał udział w rejsach żaglowcem dla seniorów i od niedawna wydawał się zachwycony literaturą.

– Skoro za zięcia mam intelektualistę, muszę to wykorzystać – mawiał.

Leanderowi zdawało się, że przy słowie „intelektualista” wyczuwał zawsze ślad ironii. Jednak okreśną drogą przez literaturę stopniowo znaleźli wspólny temat. Leander zaopatrywał teścia w książki ze swojej biblioteki oraz w stopy nowości, które piętrzyły się w jego biurze w radiu. Wywiązywały się między nimi dyskusje o filozofii, polityce, poglądach na świat. Ku swemu zaskoczeniu zauważyli, że zapatrywania byłego szefa dużej firmy i redaktora działu kultury nie są tak różne, jak można by się spodziewać.

Z kolei z matką Tinki Leander nie był w ciepłych stosunkach. Greta miała ponad pięćdziesiąt lat, ciągle była jeszcze piękną, elegancką kobietą, która jednak z wiekiem zachowywała się coraz bardziej jak diwa. Wydawała się coraz chudsza i ostatnio farbowała włosy na kolor siwobiały. Była drugą żoną Holgera. Pobrali się krótko po urodzeniu Gunnara, brata Tinki. Dwa lata później pojawiła się na świecie Tinka, która prawdopodobnie była „wpadką”. Greta mówiła o tym od czasu do czasu, używając właśnie tego sformułowania, jakby to był dobry żart towarzyski. Że mogłaby tym zranić Tinkę, najwyraźniej nie przyszło jej nigdy do głowy. Ostatnio Leander spytał ją:

– A kim w takim razie był Gunnar? Pułapką małżeńską?

Od tej pory Leander i teściowa nie robili więcej tajemnicy z wzajemnej niechęci, co przygnębiało Tinkę. Leander uważał to za zdecydowanie lepsze od udawanej sympatii. Gdy przestał udawać, Greta zrobiła podobnie.

Co za szczęście, myślał często, że Tinka charakter i intelekt odziedziczyła po ojcu, a po matce jedynie wygląd.

Na blasze do pieczenia leżały trzy cynamonowe ślimaczki. Ich widok wywołał u Leandera ukłucie. Lucie zawsze bardzo lubiła ślimaczki. Schował je do plastikowej puszki i wyczyścił blachę. Po tym, mimo najlepszych chęci, nie zostało mu nic do roboty, ale wracać do stołu – antycznego monstrum, które dostali od Nordinów w prezencie ślubnym – nie chciał w żadnym razie.

Poczta. Mógłby przynieść pocztę. O tym nie pomyślało dziś żadne z nich. Wyszedł ostrożnie na korytarz. Eleganckie skórzane buty Holgera stały grzecznie obok drzwi, zdjął je zgodnie z dobrym szwedzkim

zwyczajem i założył otrzymane od Tinki filcowe kapcie. Greta szpilki od Prady naturalnie zostawiła na nogach.

Leander zszedł dwa piętra w dół do skrzynek. Za drzwiami innych mieszkań panował spokój, tylko z lokalu na pierwszym piętrze po lewej stronie dochodziło dziecięce kwilenie. Oby Tinka to zniosła. Nie miał ochoty znowu się przenosić.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem w 2007 roku wyprowadzili się z szeregowca w Mölndal. Nie mogli znieść widoku pustej huśtawki w ogrodzie i piaskownicy, w której Lucie nigdy więcej miała nie usiąść, a poza tym nagle całe osiedle zaroilo się od dzieci. Dzięki szczęściu i znajomościom udało im się znaleźć mieszkanie czynszowe w Hadze. Tamtejsze lokale wzbudzały powszechną zazdrość, dawne osiedle robotnicze było teraz szczególnie modne. Przed ponad dwudziestoma laty zostało porządnie odrestaurowane i uchodziło za wzorowy przykład ochrony zabytków. Stanowiło magnes przyciągający rzesze turystów.

Oboje byli zadowoleni z tego, że znowu mieszkają w mieście, nawet jeśli nie wychodzili za często z domu. Jednak kiedy przyszło lato, tłumy zwiedzających działały im na nerwy bardziej, niż się tego spodziewali. W każdym razie taki podawali powód, kiedy ich pytano, dlaczego wyprowadzili się z Hagi.

To nie byli turyści. Mieszkali przy Västra Skansgatan już pół roku, kiedy dwóm parom w ich bloku urodziły się dzieci, a do mieszkania studenckiego na parterze wprowadziła się rodzina z trojgiem maluchów. W ogóle zaczęło im się wydawać, że jest tu jeszcze więcej dzieci niż w Mölndal. Nic dziwnego: Haga straciła status dzielnicy łacińskiej Göteborga. Studenci i bohema zostali wyrugowani przez młodych lepiej zarabiających, czyli takich ludzi jak Leander i Tinka. Tyle że oni nie byli już tacy sami.

– Ostoja ekokołtunerii – narzekał Leander, nie zauważając nawet, że brzmi jak teść.

Za każdym razem, kiedy w mieszkaniu pod nimi płakało dziecko, oboje podrygiwali.

Jeszcze przed ślubem Leander postawił warunek, że będą żyć za własne pieniądze. „Inaczej będę się czuł jak utrzymanek i pasożyt”. Tinka go rozumiała albo przynajmniej tak się zachowywała. Także nie chciała być zależna od rodziców, twierdziła. Oni więc ograniczyli się do kilku prezentów, a młodzi radzili sobie sami, nawet wtedy, gdy po pojawieniu się

Lucie ledwo wiązali koniec z końcem. Jednak nie można było powstrzymać Greta przed przynoszeniem wnuczce nieprzyzwoicie drogich ubranek i zabawek. Pewnego razu Leander nie wytrzymał.

– Byłoby bardziej pomocne, gdybyś raz wzięła Lucie na kilka dni – powiedział do teściowej, ale Greta jak zwykle zareagowała zarówno błyskotliwie, jak i gruboskórnie:

– Chętnie ją weźmiemy, jak tylko zacznie przesypiać całe noce i odpowiednio zachowywać się przy stole. Dlaczego nie przeprowadzicie się do większego domu i nie zatrudnicie opiekunki, tak jak ja to zrobiłam? W każdej chwili możemy wam dać na to pieniądze.

Z obecnej perspektywy Leander musiał przyznać, że propozycja Greta mogła nie być taka zła. Kiedy w pierwszych dniach po porwaniu Lucie wierzono, że porywacz zgłosi się z żądaniem okupu, Leander przyjąłby od teściów każdą sumę, nawet jeśli nigdy nie mógłby im jej zwrócić. Zgodził się także na to, by jego teść publicznie oświadczył, że wyłoży dwa miliony koron za informację o miejscu pobytu Lucie. Dlaczego wcześniej nie akceptował ich pomocy, aby ułatwić Tince życie? Być może wtedy nie wydarzyłoby się to, co się wydarzyło.

Z kolei rodzice Leandera od czasu do czasu wyciągali do nich pomocną dłoń. Mimo że oboje pracowali jeszcze w aptece jego ojca i w weekendy bardzo potrzebowali odpoczynku, czasami brali Lucie do siebie, do Karlstad. Niby wszystko szło dobrze, ale za każdym razem dawało się zauważyć, jak bardzo męczące było to dla matki Leandera.

Ponieważ Tinka skarżyła się na złe warunki w Hadze i brak czynszowych mieszkań w przystępnej cenie w Göteborgu, jej ojciec zatrudnił maklera, aby znalazł „odpowiedni obiekt”. Cały dzień odwiedzali z nim domy i mieszkania. Cenowo były daleko od tego, na co mogli sobie pozwolić. Ale Leandera ogarnęła obojętność. Życiowa tragedia wszystko zrelatywizowała, przyjmowanie pieniędzy od teścia nie raniło już więcej jego ego, jeśli dzięki temu żonie miało być lepiej.

Ostatecznie Tinka zdecydowała się na przestronne mieszkanie ze stiukowym sufitem i parkietem w kamienicy przy Viktoriagatan, po tym jak mąż zapewnił, że bardzo mu się ono podoba. Komu nie spodobałoby się dwieście metrów w wyremontowanej szycownej kamienicy w najlepszej dzielnicy Göteborga? Poza tym Leander zrozumiał, że nieważne, gdzie i jak się mieszka: nieszczęście czai się wszędzie.



Holder Nordin nie był tępy. Wszystkie sprawy finansowe załatwił cicho i dyskretnie. Widać było, że cieszy go, iż może pomóc. To była prawdziwa radość, bez żadnej złośliwości. Wtedy pierwszy raz przyszło Leanderowi na myśl, że swoją dumą i ciągłym odmawianiem korzystania z bogactwa Nordinów obrażał ojca Tinki. Kiedy starszy pan wręczał im klucz do nowego mieszkania, po prostu się rozkleił. Ze łzami w oczach przycisnął do siebie Leandera – wprawdzie stracił wnuczkę, ale zyskał zięcia. To był początek ich przyjaźni.

W skrzynce leżały trzy przesyłki: dwie zaadresowane do Tinki kolorowe koperty, w których zazwyczaj wysyła się życzenia urodzinowe, i zaadresowana do Leandra biała koperta bez okienka. Żadnego nadawcy. Leander nie miał ochoty wracać na górę, więc otworzył list na miejscu. Znalazł w nim kartkę A4 złożoną na pół z wydrukowaną wiadomością: „Chcesz mieć córkę z powrotem? Wiem, gdzie jest Lucie”. Trzecia linijka była złożona z cyfr numeru telefonu komórkowego.

Krew uderzyła mu do głowy. Czuł, że nogi się pod nim uginają, a żołądek ściska się podobnie jak tego dnia, kiedy jego życie rozpadło się na kawałki. Od tamtej pory nie minęła ani jedna godzina, w której nie myślał o Lucie, nie pytał siebie, co się wydarzyło, czy córka jeszcze żyje, czy już od dawna jest martwa, kto ją zabrał.

Oparł się o ścianę i wpatrywał w skrzynkę pocztową. Długo. Wreszcie wetknął kartkę do koperty i zaczął wspinać się na górę – z mozołem, jakby szedł przez wodę.

– ... nie sądzę, że muszę przeprosić. Gdzie on się w ogóle podział? – usłyszał teściową, kiedy niezauważony doczłapał się do swojego gabinetu.

Szuranie krzesel.

Powinien do nich wyjść, pożegnać się, przeprosić, przynajmniej Holgera. W przeciwnym razie Tinka będzie jeszcze bardziej zła, choć i bez tego już jest.

Ale nie dał rady. Po prostu nie mógł. Dopiero kiedy wyjdą, znów zacznie myśleć jasno. Myśleć o liście: czy to głupi żart, a jeśli tak, to kto za nim stoi? Czy rzeczywiście pojawiła się iskierka nadziei?

Tinka – postanowił Leander – nie może się na razie dowiedzieć. Zdenerwowałyby się tak samo jak on, a tego chciałby jej oszczędzić. Usiadł przy biurku, otworzył szufladę i ukrył list pod stertą wyciągów z konta.

Głosy na korytarzu, trzask zamykanych drzwi, cisza. Leander niczym przyklejony siedział w fotelu i patrzył przez okno. Zmierzchało. Wiatr zrywał żółte liście z kasztanowca na dziedzińcu. Wkrótce będzie szósta rocznica urodzin Lucie.

– Idę do łazienki, nie zapomnij, że na w pół do ósmej mamy zarezerwowany stolik – zawołała Tinka w kierunku gabinetu, w którym zaszył się Leander. Jak mały chłopiec, który coś zbroił, pomyślała.

– Dobrze!

Jego ulgę, że najwyraźniej kłótni nie będzie, dało się odczuć nawet przez zamknięte drzwi. Do tego Tinka w duchu cieszyła się z odpowiedzi męża na głupie pytanie matki. Lubiała jego cynizm, o ile to nie ona była celem zatrutej strzały. W końcu nie musieli znosić bez słowa niekończących się hymnów Grety na cześć małego Williama. Trafił swój na swego, pomyślała.

Weszła pod prysznic i rozkoszowała się ciepłym strumieniem wody. Krótkie chwile przyjemności, taka była strategia Tinki na przetrwanie. To, co zaraz po zniknięciu Lucie wydawało się niemożliwe, wychodziło jej coraz lepiej: wydzierać życiu małe odcinki czasu, w których nie myślała o córce. Minuty, czasem całą godzinę. Momenty, w których z czegoś się cieszyła i były to rzeczy banalne: ptak na poręczy balkonu, piosenka w radiu, film, sukces w pracy.

Na początku była przekonana, że jej małżeństwo się rozpadnie. Jak Leander mógłby jej wybaczyć, że całkowicie zawiodła? Jak miała być z mężczyzną, któremu zrobiła coś najgorszego na świecie? On musi jej przecież nienawidzić! Jej poczucie winy było tak duże, że nawet zabroniła sobie opłakiwać Lucie. Uważała, że nie zasłużyła na to, aby szukać pocieszenia w smutku, tak jakby córka zmarła na jakąś chorobę lub w wypadku. Każdego ranka budziła się z pytaniem, co jeszcze jest winna życiu. Trochę śmieszną nadzieję, że Lucie pewnego dnia się pojawi? Czuła się pustą, martwą powłoką, która z jakichś względów co rano wstawała, myła się, ubierała, jadła, piła i funkcjonowała.

A jednak pewnego dnia niespodziewanie zauważyła, że życie znowu jej smakuje, że znowu potrafi się śmiać. Nieświadomie robiła postępy jeden za drugim. Największym był powrót do pracy. Leander ją w tym wspierał. Przez kilka tygodni Tinka miała uczucie, że w ten sposób dopuszcza się zdrady wobec Lucie. Ale to także się jakoś ułożyło. Przeprowadzka tutaj

była dobrą decyzją. Tym razem starannie wybrali okolicę. Lokatorami kamienicy byli ludzie starsi, ale nie tak starzy, żeby mieli wkrótce umrzeć i zrobić miejsce młodym rodzinom. Do niektórych jednak przychodzili z wizytą wnukowie, a kobieta z pierwszego piętra w wieku lat czterdziestu jeszcze urodziła... Oby wkrótce się wyprowadzili, daleko – im dalej, tym lepiej!

Od czasu do czasu Leander podpytywał, czy Tinka nie myśli o drugim dziecku. Ale ona za każdym razie odpowiadała szorstko, że nie potrzebuje terapeutycznego dziecka. Nie, Tinka nie chciała mieć więcej dzieci. Ustawiczna obecność, wieczne zmęczenie, bezustanna zależność, zredukowanie do cielesności. Nie miała ochoty ponownie tego doświadczać. Stałe zaopatrzenie Lucie – tak w tajemnicy nazywała samą siebie. Nie skarżyła się, to nie było w jej stylu. W końcu miliony kobiet doświadczały tego od tysięcy lat. To by przecież kiedyś minęło. Jako matka miała bezinteresownie zniknąć za wszystkimi obowiązkami. Kiedyś otrzymałaby zapłatę za swój trud. Drobne chwile szczęścia, gdy Lucie była zadowolona i się uśmiechała, nie mogły jednak równoważyć wszystkich wysiłków.

Uśmiech Lucie.

– Nigdy się do mnie nie uśmiecha. Do ciebie tak, ale do mnie nie. Myślę, że mnie nie lubi – poskarżyła się Tinka, kiedy córka miała około roku.

– Nieprawda – odparł Leander. – Kiedy udajesz małą, śmieje się do rozpuku.

– Śmieje się do małej, a nie do mnie – odpowiedziała, a on zamilkł.

Tinka skonstatowała, że jej oczekiwania wobec macierzyństwa musiały być wyraźnie za wysokie. Typowy dla innych matek rozpromieniony wyraz twarzy u niej nigdy się nie pojawił. Nie wiedziała dlaczego. Powtarzać ten eksperyment? O nie.

I coś jeszcze. Do tej pory nie powiedziała tego Leanderowi, ale w duszy była przekonana, że gdyby nie Lucie, w życiu męża nie pojawiłaby się inna kobieta. Drugi raz nie chciała ryzykować.

Unieśli kieliszki. Leander raz jeszcze życzył żonie wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kiedy jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy: Aldo, właściciel lokalu, przyniósł przystawki, a do restauracji weszła wysoka

kobieta z ciemnymi lokami w szerokim, miękko opadającym czarnym płaszczu. Drzwi przytrzymał jej przystojny mężczyzna.

O tym, że Eva wyszła za mąż, mówiło się wszędzie. Kim był ten facet, konsultantem do spraw zarządzania? Nie, doradcą finansowym. Jednym z tych cwaniaków, którzy zajmują się cudzymi oszczędnościami i pobierają za to solidne prowizje. Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska mężczyzny, ale Eva na pewno zachowała to, którym wcześniej zawsze podpisywała artykuły w „Göteborg Dagbladet”. Leander kazał sobie przysyłać dziennik do biura.

Aldo życzył Tince i Leanderowi smacznego, potem poświęcił swoją uwagę nowo przybyłym gościom. Pozdrowił ich niczym starych znajomych, wziął od nich płaszcze i przekazał kelnerowi. Eva miała na sobie czarną obcisłą sukienkę, która niezwykle korzystnie uwypuklała wszystkie zaokrąglenia jej figury, oraz naszyjnik z pereł. Naszyjnik z pereł! Eva! Przecież to w ogóle nie jej styl, pomyślał Leander. Jednak musiał przyznać, że jej w nim do twarzy, że wydobywa blask jej wielokolorowych oczu. Mimo usilnych prób nie udało mu się odkryć w jej towarzyszku jakichś wad. Gęste ciemne blond włosy, niedbale ułożone, ale starannie ścięte, klasyczne rysy twarzy, atletyczna figura. No i był wysoki. W każdym razie wyższy od Leandera. W najlepszym razie można było mu zarzucić, że wygląda za dobrze.

W drodze do stolika Eva na chwilę się zatrzymała, rzuciła okiem na Tinkę i skinęła mu szybko głową z delikatnym uśmiechem wymalowanych na krwistoczerwono ust. Leander odklonił się jej, ale odważył się tylko na ledwo dostrzegalny uśmiech. Potem pospiesznie skierował wzrok na Tinkę, która zastygła nad sałatką z owoców morza.

Z jakiegoś powodu, być może z kobiecej złośliwości, Eva wybrała takie miejsce, że patrzyła w jego kierunku, kiedy tylko odrobinę skręcała głowę w prawo. To samo dotyczyło Leandera, który zaczął jeść carpaccio z żabnicy, przy czym usilnie wpatrywał się w talerz.

– Zamienimy się miejscami? Żebyś potem nie myślała, że ciągle na nią patrzyłem – powiedział.

Ale Tinka, która doszła już do siebie, stwierdziła, że zmiana miejsc byłaby śmieszna. Leander nadział na widelec dwa plasterki surowego mięsa. On i Tinka spojrzeli na siebie i wybuchli śmiechem. Przez resztę wieczoru Tinka była trochę zbyt rozmowna, być może po to, aby nie

sprawiać przed tamtą parą wrażenia milczącego małżeństwa. Nie rzucało się więc w oczy, że Leander pozostał małomówny. Myślał o wiadomości. Czy rzeczywiście powinien zadzwonić pod ten numer? Kiedy Tinka była wreszcie gotowa do wyjścia, Eva i jej mąż pili espresso. Leandera bolał kark.

Camilla była ślicznotką z Öckerö, ale chciała opuścić wyspę, chciała do miasta. Zapisła się więc na kurs stenografii i maszynopisania i pewnego dnia po ukończeniu dwudziestu jeden lat pojechała do Göteborga, aby zaprezentować się w jakiejś firmie. W znoszonej brązowej walizce wiozła ze sobą wszystko, co posiadała, także oszczędności – niecałe trzysta koron. Matka stanowczo potępiała jej zamiary i dała jej pieniądze na podróż powrotną, ale kiedy Camilla wkroczyła w Hönö na pokład promu płynącego do Lilla Varholmen, przyrzekła sobie, że nigdy nie wróci, a jeśli już, to tylko drogim samochodem, w eleganckich ubraniach ze wspaniałym mężczyzną u boku. Albo coś w tym stylu. Wprawdzie od Göteborga dzieliło ją tylko dwadzieścia kilometrów, ale dla niej była to podróż do nowego świata.

Dostała posadę i oczywiście szybko zakochała się w swoim szefie, w jego wytwornie szpakowatych skroniach, wysokiej i szczupłej sylwetce, eleganckich manierach i łagodnym, choć władczym tonie głosu.

Pierwszą wypłatę zainwestowała w minispódniczkę, wąskie spodnie i suszarkę. Każdego ranka wstawiała pół godziny wcześniej, prostowała blond włosy i malowała mocną kreskę na powiekach – jak gwiazdy pop w telewizji. Jednak asystentka dyrektora, zgorzkniała stara jędza, zwróciła jej uwagę, że tu jest poważne przedsiębiorstwo, a nie dyskoteka. Wtedy Camilla znowu zaczęła chodzić do pracy w spódnicach do kolan, wysoko zapiętych bluzkach i własnoręcznie uszytych sweterkach, które przywiozła z wyspy. Mimo to jędza trzymała ją teraz z dala od biura dyrektora, sama chodziła notować albo wysyłała inną, trochę pulchną dziewczynę. Camilla natomiast mogła tylko przepisywać na maszynie listy i porządkować dokumenty. Jednak te środki ostrożności nastąpiły za późno. Szef od dawna rzucał na nią okiem i kiedy pewnego letniego wieczoru zobaczył ją idącą do domu, zaprosił do samochodu i zaproponował kolację. Camilla postanowiła, że to jest właśnie życie, jakie chciałyby wieść: światło świec

odbijające się w srebrnej zastawie, krążący wokół kelnerzy, którzy wyczytują z oczu każde życzenie, francuskie wino i nieznane potrawy. Ale najbardziej pragnęła tego mężczyzny, na którego skinienie wszyscy tańczyli tak, jak im zagrał.

Stał przed starym telefonem z tarczą. Ciągłe próbował wybrać numer, który był nadrukowany na kartce, ale za każdym razem jego palec zjeżdżał z jakiejś cyfry i musiał zaczynać od początku. Było coraz trudniej, pocił się, jego dłonie zwilgotniały, serce waliło jak oszalałe. Aż za którymś razem rozległ się ciągły sygnał, kliknięcie, a potem metaliczny śmiech, szyderczy i głuchy, jak z „woreczka śmiechu”, które w czasach jego dzieciństwa można było kupić w sklepach z gadżetami. Śmiech nie ustał, nawet kiedy odłożył słuchawkę na widełki.

Zerwał się, ciężko dysząc. Poślanie obok niego było puste, wokół unosił się zapach kawy. Niedziela. Wszystko w porządku. Nie, zrozumiał po całkowitym obudzeniu się, nic nie jest w porządku. Lucie zniknęła, pojawił się ten list.

Przebudzenia były zawsze najgorszym momentem dnia. Często przez pierwsze dwie–trzy sekundy czuł się dobrze, jak kiedyś, gdy był dzieckiem, miał wakacje, a przed sobą dzień pełny obietnic i nadziei. Zaraz potem jednak do jego mózgu przenikała świadomość sytuacji i za każdym razem uderzała go z całym impetem, tak że marzył, by obudzić się w innym życiu.

Zadzwoni, oczywiście zadzwoni. Bał się tego. Bał się, że w słuchawce rzeczywiście mógłby rozleć się śmiech ze snu. Bzdura! A co, jeśli ten numer w ogóle nie istnieje i nigdy nie dowie się, kto stał za tym listem? Jeszcze jedna niepewność w jego życiu.

Tinka weszła do pokoju, niosąc filiżankę. Postawiła ją na nocnym stoliku i wśliznęła się z powrotem do łóżka. Leander sięgnął po kawę, przez chwilę napawał się jej zapachem, a potem zaczął pić małymi łykami.

Tinka wtuliła się w jego klatkę piersiową, jej dłonie głaskały go po brzuchu. Odstawił filiżankę i poddał się pieścizotom. Nie miał nastroju na seks, ale łatwo sobie wyobrazić, jakie wytłumaczenie znalazłaby Tinka. Musiał się wziąć w garść. Cholera, dlaczego właśnie teraz na horyzoncie pojawiła się Eva z tym swoim lalusiem?



Może pomogłoby myślenie o Evie? O smaku czereśni na jej ustach. Jej miękkich, małych piersiach, które tworzą pociągający kontrast wobec jej mocnych mięśni...

Selma Valkonen ułożyła dłonie wokół porcelanowego kubka z białą kawą i rozkoszowała się milczeniem sir Henry'ego, który siedział naprzeciwko niej przy stole kuchennym. Nie zaprotestował także, kiedy zapaliła papierosa. Jeszcze nie brała prysznic i miała na sobie dużo za duży męski szlafrok kąpielowy w sprane popielato-czerwone paski. Należał do jej współlokatorki Anny, która z jakichś względów nadała mu imię Amundsen. Anna przebywała na stypendium w Singapurze, a Amundsen wypełniłby jej pół walizki, więc musiał zostać. Ze względów finansowych Selma chciała początkowo poszukać nowego współlokatora. Przy problemach na studenckim rynku mieszkaniowym na pewno miałyby dużo kandydatów do wyboru. Ale ostatecznie nie mogła się przemóc, żeby przyzwyczajać się do kogoś, kto zostałby tylko na kilka miesięcy, a potem zniknął. Za dużo by ją to kosztowało. Dlatego rozkoszowała się samotnością w królestwie, które dzieliła jedynie z sir Henrym.

– Tylko bądź dla niego miła – surowo nakazała jej Anna i wymogła jeszcze obietnicę, że nie będzie grała dużo w pokera. Ale dwa razy w tygodniu to przecież nie jest często.

Między kawą a papierosem Selma mówiła do sir Henry'ego:

– I nie dziwi mnie, że prawie nikt w referacie nie chce mieć z nim do czynienia. W pierwszym tygodniu nie odezwał się do mnie prawie ani słowem. Może myślał, że w ten sposób mnie zniechęci. Ale się pomylił. Wiesz przecież, że nie mogę znieść ludzi, którzy za dużo gadają. W piątek spytałam go, czy coś go łączyło z tą lalą z pokoju obok – oczywiście nie powiedziałam „z lalą”, tylko z Malin, bo ona właściwie tak ma na imię. I zresztą nie jest lalą mimo srebrzystego głosu. „Gównu cię to obchodzi!” – odpowiedział. Dosłownie!

Selma znowu się zaciągnęła i posłała dym w stoicką i bladą twarz sir Henry'ego.

– Rozumiem, że ma świra. W końcu jego dziecko też zniknęło, osiem lat temu. To musi być straszne. Oczywiście nie ma prawa wyżywać się za to na mnie. To jasne. Ale nie biorę tego do siebie, on wyżywa się właściwie na każdym. Może przypominam mu jego córkę. Miałyby teraz dwadzieścia

cztery lata. Tylko trochę mniej niż ja. Dlatego nie traktuje mnie poważnie. Powinni byli przysłać mu kogoś starszego. Albo w ogóle nikogo nie przydzielać. Ze wszystkim poradzi sobie sam. W każdym razie tak myśli.

Zaśmiała się cicho.

– Żałuj, że nie widziałeś, jak mi się przyglądał w gabinecie Gulldéną: jakby mu się Maryja objawiła. Jak on wygląda? Och, właściwie całkiem dobrze, biorąc pod uwagę wiek. Ciągłe ma wszystkie włosy i zęby, tak, włosy są już trochę siwe, ale poza tym...

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Z modą jest na bakier, ale ma bursztynowe oczy, niczym pies, i ładne dłonie. A jego głos jest zielony. Przytłumiony zielony, jak liście szaławii. Musi uważać, żeby nie przytyć i nie wyglądać jak menhir... Nie, nie jestem w nim zabujana i nie mam żadnego kompleksu ojca, no naprawdę, proszę cię!

Zgasła papierosa.

– Idę wziąć prysznic.

Zostawiwszy Amundsena na krześle, wstała i poszła do łazienki. Sir Henry siedział niewzruszony i milczący. Inna reakcja zdziwiłaby zresztą Selmę. Rozmowy z manekinem nie uważała za szczególne dziwactwo. Ostatecznie ludzie rozmawiają też z kwiatkami. Osobliwe byłoby dopiero, gdyby któregoś dnia manekin odpowiedział.

Leander stwierdził, że ma ochotę na świeże bułeczki. Tinka uznała, że to dobry pomysł.

Wziął rower. W kieszeni kurtki miał komórkę i kartkę z numerem przepisany z listu. Zrobił zakupy, potem skręcił w spokojną boczną uliczkę, zsiadł z roweru i wystukał podane cyfry. Dzwonił i dzwonił. Nikt nie odbierał. Pomylił się? Spróbował jeszcze raz. Nic.

Wpatrywał się w wyświetlacz. Co teraz? Zadzwoić ponownie? Albo później? Drgnął, kiedy telefon wydał z siebie dwa krótkie dźwięki. SMS: „Poniedziałek, siedemnasta, sprawdź w Google Maps 57643739, 11863021, żadnej policji!”.

Z trudem udało mu się z powrotem włożyć komórkę do kieszeni. SMS przyszedł tak szybko, że ktoś musiał już wcześniej przygotować jego treść. Dlaczego więc miejsce spotkania nie było zapisane w liście? Głupie pytanie: trzeba było sprawdzić, czy da się złapać. Co to za gra? Skoro ktoś

wie, gdzie jest Lucie, dlaczego tego nie powie? Tak zrobiłby każdy normalny człowiek. Chodzi o pieniądze? To by znaczyło, że Lucie ciągle żyje! Niekoniecznie, hamował się Leander. Przecież nagroda, którą wyznaczył Holger, nadal jest aktualna. Ta informacja pojawiła się w gazetach, kiedy prasa stwierdziła, że przypadek Lucie ma związek ze zniknięciem tej dziewczynki z Biskopsgården. Jednak wszyscy wiedzieli, że koncern Nordinów obecnie ma problemy. A co, myślał Leander, jeśli rzeczywiście będą potrzebne pieniądze? Mogliby zastawić mieszkanie. Jest jeszcze willa Nordinów w Utby. Dwa miliony koron, według kryteriów Nordinów, to wciąż niewielka kwota. Ale może autor listu chciałby więcej.

Cztery lata temu Holger Nordin chciał zaproponować dziesięć razy większą nagrodę, ale komisarz mu to odradził. Tak duża suma rozbudziłaby tylko chciwość, spowodowałaby zalew bezużytecznymi wskazówkami, które utrudniłyby śledztwo – argumentował Forsberg i, co najdziwniejsze, teść dał się raz w życiu przekonać i posłuchał tej rady.

Być może Lucie nie żyła, być może nieznajomy chciał sprzedać tylko tę informację. Sformułowanie „mieć córkę z powrotem” niekoniecznie oznaczało, że żywą. Ile warta byłaby dla niego pewność, że Lucie odeszła na zawsze?

Często to sobie wyobrażał. Pewnego dnia ciało Lucie zostaje odnalezione w jakimś jeziorze lub lesie. Policja zachowała jej grzebień i szczoteczkę do zębów do analizy DNA. A potem? Czy przeszliby z Tinką fazę żałoby, tak jak propagują to psychologowie, i wreszcie zaakceptowali śmierć córki i zaznali spokoju? Może. Ale nie, póki nie zostanie znaleziony jej morderca!

Popedałował z powrotem. Po raz pierwszy przeklinał swoją staroświecką postawę, z powodu której nie kupił smartfona. Chciał jak najszybciej sprawdzić podane współrzędne.

– Jakoś długo to trwało – zauważyła Tinka, kiedy położył bułki na stole.

Była wykąpana i ładnie pachniała, jak jakiś egzotyczny owoc.

– Trafiłem na kolejkę – powiedział i zdziwił się, skąd wziął ten beztroski ton.

Zmuszał się do jedzenia. Ze zdenerwowania miał zasznurowane gardło. A gdyby tak wtajemniczyć Tinkę? Czy nie powinna wiedzieć o wszystkim, co dotyczy Lucie? Oczywiście, stwierdził Leander. Jednak na początku to on musi odkryć, kto i co za tym stoi. Nie chciał budzić w żonie nadziei, która później mogłaby zostać zniszczona. Tego chyba by nie zniosła.

\*

Starsza pani siedziała sama przy stoliku w ogrodzie zimowym i patrzyła na park. Późne róże jeszcze kwitły, chociaż liście spadały już z drzew. Miała na sobie bluzkę w kwiatki pod różową kurtką z dzianiny. Każdy lok jej białych włosów trzymał się w odpowiednim miejscu dzięki lakierowi. Selma zrezygnowała dla niej ze swojego codziennego ubrania i założyła szare spodnie i niebieski sweter. Rzeczy wisały na niej, ponieważ należały do Anny. Ale w końcu odwiedzała cioteczną babkę współlokatorki. Przyjeżdżała tu każdego niedzielnego popołudnia, poza tymi dniami, kiedy miała służbę. To także obiecała Annie.

Prywatny dom seniora w Lundby dawał schronienie naprawdę bogatym ludziom. Na pierwszy rzut oka można by go uznać za elegancki hotel z wystawnymi obrazami na ścianach i dużą biblioteką. Nie pachniało tam także jak zazwyczaj w domach starców, co najwyżej trochę kuchnią, a w niedzielne popołudnia kawą.

Na początku Selma bywała tu niechętnie. Nawet się nieco tego bała, jak przed wizytą u chorego w szpitalu, mimo że wcześniej wpadały tu z Anną. Ale z czasem odwiedziny u ciotecznej babki współlokatorki zaczęły ją cieszyć. Elin Nielsen była niekłopotliwa. Prawie zawsze opowiadała Selmie te same historie rodzinne, a po kawie grały w warcaby. Selma pilnowała, żeby Elin większość partii wygrywała, trzeba było to robić w niezbyt ostentacyjny sposób, inaczej starsza pani zauważała machlojki i protestowała, że nie jest małym dzieckiem, które nie umie przegrywać. Selma rozumiała to doskonale, ale jej przeciwniczka nie wiedziała, że ma do czynienia z profesjonalistką. Elin Nielsen miała osiemdziesiąt cztery lata i była jeszcze w dobrej formie umysłowej.

– Filizanek w szafce ubywa powoli – mawiała.

Czytała gazety od deski do deski i lepiej niż Selma orientowała się we wszystkich göteborgskich plotkach. Odkąd Selma zaczęła pracę w wydziale śledczym, Elin ze szczególną uwagą śledziła kroniki kryminalne.

– Czy moglibyście wreszcie aresztować tę rosyjską bandę, która kradnie rasowe psy? – zagadnęła ostatnim razem i dziś znowu o to spytała.

Najwyraźniej los psów leżał jej na sercu. Selma musiała jej przypomnieć, że od miesiąca pracuje w referacie do spraw osób zaginionych.

– Ale psy przecież też zaginęły – upierała się Elin, a wszystkie jej zmarszczki zmieniły kształt, gdy uśmiechnęła się łobuzersko.

Selma również się uśmiechnęła. Podejrzewała, że starsza pani delikatnie z niej szydzi.

Ogród zimowy i granicząca z nim jadalnia były pełne gości. Personel chodził po sali z wózkami kelnerskimi, serwując kawę i ciasto mieszkańcom domu oraz ich bliskim. Dwóch chłopców szalało między odstawionymi balkonikami i było ciągle upominanych. Selma spytała Elin, czy wolałaby, żeby odwiedzać ją innego dnia, w tygodniu, kiedy jest spokojniej, ale starsza pani stwierdziła, że niedziela jest w porządku, ponieważ wtedy podają najlepsze ciasto. To prawda. Ciasta były wyborne, Selma zjadała zawsze przynajmniej dwa kawałki i czasem brała jeszcze jeden na następny dzień.

Być może było to jak stygmat, kiedy w niedzielę siedziało się samotnie przy stole z kawą, tak jak ta kobieta z włosami w kolorze bzu przy stoliku obok. Z zaciśniętymi ustami wpatrywała się w okno, od czasu do czasu popijała z filiżanki. Selma nachyliła się nad stołem i szepnęła:

– Elin, przypomnij mi, jak się nazywa ta pani, która siedzi obok nas. Niedawno mi ją przedstawiałaś.

– Pernilla Nordin – powiedziała Elin trochę za głośno, gdyż osadzona na żółtawej szyi głowa pani Nordin odwróciła się w ich kierunku.

Nordin. Selma widziała to nazwisko w aktach Lucie Hansson. Holger Nordin, dziadek Lucie Hansson. Nazwisko Nordin nie jest popularne w Göteborgu. Czy była ich krewną?

Selma przeprosiła Elin. Musi szybko wyjaśnić coś, co ma związek ze sprawą, którą właśnie się zajmuje. Staruszka patrzyła zdumiona i zła zarazem, jak Selma podchodzi do stolika obok i pyta, czy może się przysiąść. Nie była zadowolona, że jej gość ją porzucił. Pani Nordin ze zdziwieniem spojrzała na trzy wolne krzesła i przytaknęła. Selma wprost powiedziała, że jest inspektorem policji kryminalnej i zapytała o pokrewieństwo z Holgerem Nordinem.

Pernilla spojrzała na nią z niezadowoleniem. Selma próbowała określić kolor jej oczu, ale jej się nie udało.

– Był moim mężem – przyznała opornie.

– Kiedy to było? – spytała Selma.

– Ach, mój Boże, dawno temu. Rozwidlił się w roku 1975.

Zacisnęła usta i zamieszała herbatę. Przez przegub dłoni pełnej brązowych plamek biegły poplątane żyłki. Jaskrawoczerwony lakier na paznokciach wyglądał dość groteskowo.

– Byłam dla niego dobrą partią... – Jej głos przypominał zardzewiałą śrubę okrętową. – Ale nie mógł oderwać rąk od młodych latawic. I nagle jedna z nich złapała go na bachora. Cała firma o tym szeptała. On chyba myślał, że ja tego nie zauważałam. Nawet wezwała go do zrobienia testów na ojcostwo, widziałam list. Wreszcie miałam dość i wniosłam sprawę o rozwód. – Nachyliła się w kierunku Selmy i powiedziała ze złowrogim spojrzeniem: – Teraz dostał swoją karę.

Swoją karę. Co ona ma na myśli? Chyba nie zaginioną wnuczkę?

– Selmo?! – Usłyszała pełen wyrzutu głos z sąsiedniego stolika.

– Już idę – powiedziała i pożegnała się z panią Nordin.

Ona tylko skinęła głową, a potem znowu obserwowała róże i rododendrony za oknem.

Pod koniec roku Camilla wypowiedziała umeblowany pokój w Hadze, w podupadłej dzielnicy robotniczej, i wprowadziła się do apartamentu w Rosenlund. Dwa pokoje z centralnym ogrzewaniem i wyposażoną kuchnią. Niezwykle światowe. Odwiedzał ją mniej więcej dwa razy w tygodniu, a na urozmaicenie pozostałych wieczorów kupił jej kolorowy telewizor. Zostawał zawsze kilka godzin, do jedenastej lub dwunastej, żonie mówił, że wraca ze spotkań biznesowych. Bardzo się bał, że może coś zauważyć, gdyż istniała między nimi umowa majątkowa, która w przypadku rozwodu uczyniłaby go biedakiem. W każdym razie tak to przedstawiał Camilli.

Camilla była przekonana, że on przesadza. Był przecież taki sprytny. Na pewno miał jakieś ukryte oszczędności. I czy nie mówił, że ją kocha? W każdym razie powiedział jej to owego wieczoru, kiedy wypili za dużo czerwonego wina, żeby wprawić się w odpowiedni nastrój. Po seksie zasnął w jej ramionach, zamiast, jak zwykle, wziąć prysznic i pojechać do domu, do żony. Camilla prawie przez całą noc nie zmrużyła oka. Pragnęła delektować się każdą ukradzioną sekundą spędzoną przy lekko chrapiącym ukochanym. Snuła plany na przyszłość. Wreszcie coś drgnęłoby w jej sprawach. Jego żona, która go ani nie chce, ani nie rozumie, musiałaby w końcu pojąć, że on kocha inną, a mianowicie Camillę.

Wspominał, że chciałby mieć dzieci. Syna, spadkobiercę. Jego żona miała czterdzieści lat i ciągle nie urodziła mu potomka. Pewnie już tego nie zrobi. Ale ona, Camilla, była młoda i płodna. Kilka tygodni temu odstawiła tabletki antykoncepcyjne.

Rano, po przebudzeniu, na jego twarzy pojawiła się panika. Nakrzyczał na nią, że go nie obudziła, potem się ubrał i wybiegł, trzaskając drzwiami.

Tego dnia nie pojawił się w biurze.

Szyderczy uśmiech na twarzy starej jędzy przypominał napięty łuk, kiedy dwa dni później kładła na biurku Camilli wypowiedzenie. Dziewczyna

otrzymała odprawę w wysokości dwumiesięcznego wynagrodzenia i miała osiem dni na opuszczenie mieszkania w Rosenlund.



Poniedziałkowy poranek zaczął się dla Forsberga telefonem od Evy Röög.

– Droga pani, czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zaświergotał, podczas gdy Ptaszyca wykrzywiła twarz, jakby dopadł ją ból zęba.

– Sprawa Marty Cederlund. Czy są jakieś nowe wieści?

Forsberg zastanowił się, czy warto wykorzystać jej ciekawość i umówić się z nią na spotkanie. Ale nic nowego nie wiedział, a Eva na pewno nie byłaby zachwycona, gdyby przekazał jej jedynie kilka marnych informacji. Odpowiedział więc:

– O ile wiem, nadal leży w szpitalu Sahlgrenska i nie odzyskała świadomości. Tyle. Nie odpowiadam za włamania.

– Czy mimo to miałbyś czas na krótką rozmowę w cztery oczy?

Forsberg był zachwycony.

– Taaa, zobaczę... Ciężko będzie. Tkwię w samym środku tej sprawy...

– Forsberg, skończ z tymi wykrętami!

Umówili się w czasie przerwy obiadowej w kawiarni przy Avenyn. Kiedy odłożył słuchawkę, rzucił spojrzenie w stronę Selmy, która uśmiechała się zgryźliwie do rozłożonych przed nią akt. W każdym razie nie wyglądała już na obrażoną. W piątkowe popołudnie Malin przyniosła z jakiejś okazji ciasto – urodziny albo diabli wiedzą co. Forsberg z zasady trzymał się z dala od takich biurowych spędów. Ptaszyca także nie lubiła uczestniczyć w tego typu przyjemnościach albo nie była zapraszana. W obliczu przychylności Malin wobec Forsberga Selma spytała, czy kiedyś coś go z nią łączyło. Odpowiedział impertynenckiemu babsztylowi w dość jasnych słowach, jak sądził, na co ona zarzuciła kurtkę i wyszła bez pożegnania.

Malin. Dawno temu. Parę lat. Wszystko zmierzało ku „związkwowi”, ale on w ostatnim momencie się wycofał. Poznał siebie zbyt dobrze i przy każdej kobiecie dochodził do takiego momentu, kiedy przestawał ją kochać, kiedy miał pewność: to nie ta. W przypadku Malin ten moment jeszcze nie

nastąpił, ale Forsberg wiedział, że i z nią w końcu by to nastąpiło. Poza tym podejrzewał, że ciągła bliskość z innym człowiekiem byłaby dla niego nie do zniesienia. Jako dziecko chętnie zaszywał się samotnie w domku na drzewie. Ponieważ naprawdę bardzo lubił Malin, uznał, że zasługuje na szczerłość. Oczywiście była rozczarowana i rozżalona. Ale go zrozumiała i udała im się rzadka sztuka utrzymania ze sobą relacji przyjacielskiej.

W sprawie Walerii Bobrow ciągle nie posunęli się do przodu. Przypuszczenia Selmy, że pani Bobrow uprawia okazjonalnie prostytutkę, się potwierdziły. Sprawdzili plan dyżurów w firmie, w której miała być zatrudniona, i stwierdzili, że pracę tę wykonuje tylko dorywczo, dwa–trzy razy w tygodniu. Pod wpływem nalegań Selmy Forsberg tak długo molestował Gulldéna, aż ten wreszcie zgrzytając zębami, zgodził się na nadzór policyjny wobec Iwana Krulla, przyjaciela pani Bobrow. Nic z tego nie wyszło, bo Krull wyjechał do rodzinnego Tallina i już nie wrócił. Nie pozostało im nic innego, jak przesłuchać panią Bobrow i wycisnąć z niej, kim był sutener. Są przyjemniejsze sprawy niż branie w obroty matki zaginionej dziewczynki tylko dlatego, że nielegalnie zarabia na chleb. Do tej pory Forsberg się od tego wykręcał. Tego popołudnia miał się wziąć wreszcie do działania.

– ...Nordin? – szorstki głos Ptaszycy wyrwał go z rozmyślań.

– Co?

– Pytałam, czy rozmawiałeś wówczas z Pernillą Nordin.

– Pernillą Nordin?

– Pierwszą żoną Holgera Nordina, dziadka Lucie Hansson – powiedziała Selma.

Skąd do diabła przyszło jej to teraz do głowy?

– A co jest w aktach?

– Protokół z przesłuchania Greta Nordin, żony numer dwa. Cytuję: „Nie zdziwiłoby mnie, gdyby ta stara wiedźma miała z tym coś wspólnego”. I jeszcze jest napisane, że Malin Birgersson nie zastała Pernilli Nordin w jej ówczesnym mieszkaniu, bo ta przebywała wtedy w szpitalu.

– Ale ta kobieta ma...

– Siedemdziesiąt osiem lat. Spotkałam ją. W domu spokojnej starości.

Kogo Ptaszyca odwiedza w domu spokojnej starości?

– A więc to raczej nie ona uprowadziła wnuczkę byłego męża.

– Nie, raczej nie ona – zgodziła się Selma, chwyciła kubek z kawą i wyszła z nim. Pewnie poszła powiercić dziurę w brzuchu Malin w sprawie przesłuchania Pernilli Nordin.

Czy przed spotkaniem z Evą zdąży jeszcze pójść do fryzjera? Bez wątpienia było to potrzebne, uznał Forsberg, przeciągając dłonią po szczeciniastych policzkach i włoskach na karku. Ciekawe, czy można się tam też ogolić? Robią to tureccy fryzjerzy, widział kiedyś przez szybę. Nie odważył się jednak nigdy wejść do ich zakładu. Spytać o to Selmę? Potrząsnął głową. Nie kompromituj się, stary idioto!

Młoda kobieta przy stoliku Evy podniosła się, kiedy Forsberg wszedł do kawiarni. Musiała pracować w redakcji Evy, ponieważ ta upomniwała ją, żeby nie wdawała się w polityczną gadaninę, i na drogę rzuciła jej wesoło:

– Dasz radę, Sigrun!

Forsberg ukłonił się jej, przechodząc obok, a ona uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Czy młodzi ludzie stają się coraz młodszy, czy to on staje się coraz starszy?

– Najwyższy czas! – przywitała go Eva Röög.

– Tak, już kilka lat temu powinniśmy razem gdzieś wyjść!

– Miałam na myśli twoją fryzurę. Zgoliliś włosy, bo robi ci się łysina?

– No proszę cię!

– Pasuje ci, wyglądasz jak Bruce Willis.

– Chcesz dotknąć? – kusił Forsberg.

– Lepiej nie.

Komisarz przejechał dłonią po tym, co podstępny Osman zostawił na jego głowie. Jakby dotykał wycieraczki. Na wspomnienie golenia wielką szablą, z którą prawdopodobnie jeszcze sam Sulejman Wspaniały oblegał Wiedeń, zalewał go zimny pot. Za to jego policzki były gładkie i miękkie niczym pupa niemowlęcia. Po wizycie u fryzjera kupił ciemnoszarą marynarkę i koszulę, której barwę sprzedawczyni określiła jako kolor kamienia. Obie rzeczy zostawił na sobie, a czerwoną koszulę w kratę upchnął w aktówce. Nie miał tylko czasu, żeby poszukać nowych spodni, ale doszedł do wniosku, że nie ma co przesadzać.

Przyszła kelnerka i oboje zamówili cappuccino. W środku było pustawo, podczas gdy na tarasie prawie brakowało miejsc. Choć dzień zaczął się pochmurnie i ponuro, w południe się rozpogodziło i miasto natychmiast pokazało swoją słoneczną twarz.

– Praktykantka? – spytał Forsberg.

– Sigrun? Nie, to stażystka. Są coraz młodsze – westchnęła Eva. – Albo to my się starzejemy.

– Ty wyglądasz wspaniale – powiedział Forsberg z prawdziwym podziwem.

Była nawet ładniejsza niż cztery lata temu. Kilka pierwszych zmarszczek czyniło jej twarz jeszcze atrakcyjniejszą. A jeśli chodzi o ubranie – zawsze miała dobry gust, ale teraz wydawała na nie chyba więcej. Włożyła jasnoszary garnitur, jaki nosili mężczyźni w latach dwudziestych. Ciemne loki były dziś ściśle zebrane z tyłu w warkocz. Na stopach miała płaskie pantofle. Być może nawet były to męskie buty.

Forsberg był całkowicie zauroczony i koncentracja na rozmowie wymagała od niego wysiłku. Co właściwie chciałyby wiedzieć? Czy nie uważa – spytała – że to dziwne: najpierw samobójstwo Cederlunda, a potem napad na jego żonę.

– Tak – powiedział.

Sąsiadka, która wyprowadzała wieczorem psa na spacer, zauważyła na ganku rozbitą lampę. Zadzwoiła do drzwi, ale usłyszała tylko skomlenie mopsów. Zapaliła latarkę i oglądała zniszczone oświetlenie, aż wreszcie między odłamkami szkła na ziemi odkryła coś, co wyglądało jak krew. Wezwała policję.

Marta Cederlund leżała w holu nieprzytomna z krwawiącą raną na głowie. Ukryte w kuchni psy powarkiwaly na płaczących się po domu funkcjonariuszy. W gabinecie Magnusa Cederlunda segregatory i książki leżały rozrzucone na podłodze, a ścienny sejf wybebeszono. Szyfr otwierający sejf przyklejony był do wewnętrznej strony cokołu rzeźby z brązu, która leżała przewrócona na parapecie.

– Po co w ogóle sejf? Równie dobrze mógłby go nie zamykać – zauważył w rozmowie z Forsbergiem jeden z policjantów zabezpieczających ślady.

Także reszta pomieszczeń willi została przeszukana. Bizuterii i części dokumentów nie ruszono. Obrazy, inne dzieła sztuki i wartościowe przedmioty także pozostały na swoich miejscach. Jedynie zdjęcie ślubne w sypialni leżało z rozbitą szklaną ramą w koszu. Torebka Marty była opróżniona, papiery i karty bankomatowe nadal tkwiły w portmonetce, zniknęła tylko gotówka. Nie znaleziono żadnych obcych odcisków palców ani przydatnych śladów butów przed drzwiami, w sąsiedztwie nie widziano żadnej podejrzaney osoby.

– To nie było zwykłe włamanie. Syn przyznał, że jedyne, czego brakuje, to laptop ojca. Ale nie od czasu włamania, lecz od śmierci ojca – westchnął Forsberg. – Bogaci zawsze mają tajemnice...

– Skąd sprawca wiedział, że Dag kilka godzin wcześniej wyjechał? – zastanawiała się Eva. – Obserwował dom od czasu pogrzebu? Przez dwa tygodnie?

– Wystarczyło przejechać obok domu dowolnego wieczoru i sprawdzić, czy samochód Daga tam stoi – stwierdził Forsberg.

– Policja sądzi więc, że ktoś szukał w domu czegoś konkretnego i atak na Martę był swego rodzaju efektem ubocznym – podsumowała Eva.

*Efekt ubocznym.* Forsberg przytaknął.

– A jeśli było odwrotnie? Jeśli chciał zabić Martę i zamaskować to włamaniem? Może sądził, że jest martwa, kiedy odchodził?

Komisarz wzruszył ramionami. To nie była jego sprawa, mimo że nie pozostawał wobec niej obojętny. Czego Eva od niego chce?

Kobieta przysunęła się bliżej stołu i nachyliła się w jego kierunku. Angielskie róże i świeżo ścięte drzewo. Forsberg z rozkoszą zaciągnął się zapachem perfum.

– Po pogrzebie Marta mnie zagadnęła. Chciała coś ze mną omówić, ale dopiero jak Dag wyjedzie.

– Dlaczego z tobą?

– Byliśmy kiedyś sąsiadami, zanim oni przenieśli się do Långedrag.

– Aha – powiedział. – Nie wiedziałem o tym.

– Nie każdy musi to wiedzieć.

– A czy ja jestem każdy?

– Miałam na myśli przede wszystkim kochanych kolegów z redakcji.

– Zawsze myślałam, że wy tam jesteście jedną wielką szczęśliwą rodziną.

– Ależ oczywiście – powiedziała Eva.

– I czego chciała od ciebie Marta?

– Nie mam pojęcia. Miałam nadzieję, że ty mógłbyś mi coś na ten temat powiedzieć.

Potrząsnął głową. Jego kark, tak wygolony! I to teraz, kiedy zbliża się zima.

– Nic nie wiem. Zgłosiła u mnie tylko zaginięcie męża, a ja ją potem poinformowałam o jego śmierci. Na pogrzebie byłem tylko ze względów

grzecznościowych.

– Naprawdę? – spytała Eva.

– Tak!

– Przyzwoity z ciebie facet.

– Niektórzy są innego zdania.

– W każdym razie było coś, czego nie chciała lub nie mogła omówić z Dagiem.

– Mówiłaś o tym komuś?

– Nikomu!

– Czy Marta zawsze była taka...?

– Tak! – Nie musiał kończyć. – Zawsze.

Przyniesiono kawę.

– Jesteś pewien, że to było samobójstwo? – spytała Eva, wypiwszy łyk cappuccino, a piana z mleka pozostawiła na jej górnej wardze czarujący wąsik.

– Widziałem zdjęcia z miejsca zdarzenia zrobione przez funkcjonariuszy z Jönköping, czytałem protokoły zabezpieczenia śladów i sekcji zwłok. Nic nie wskazuje na udział osób trzecich.

Liczył się z tym, że Eva powie, iż Cederlund nie był typem zdolnym do popełnienia samobójstwa, ale żadne podobne stwierdzenie nie wyszło z jej ust.

– A więc sam nie byłeś na miejscu?

– Nie.

– Hm – mruknęła Eva.

Forsberg domyślił się, co to może znaczyć. Ale to nie wchodziło w grę. W żadnym wypadku! Nawet jeśli było to aż nazbyt kuszące: pojechać z taką pięknnością na kilka godzin na wieś. Sprawa była zamknięta, nie mógł bez nakazu sądowego wejść do czyjegoś domu i w nim myszkować. Do tego w towarzystwie dziennikarki. Gdyby Dag Cederlund albo koledzy z Jönköping to odkryli, ostro by go zjechali i jeszcze donieśli Gulldénowi. Napytałby sobie biedy.

– Powinniśmy tam zajrzeć – rzuciła tymczasem Eva, oblizując z ust mleczną pianę.

Miejscem, które wyznaczały współrzędne, był parking powyżej portu w Fiskebäck. Szlak turystyczny prowadził stąd wzdłuż wody aż do Önnered, przez obszar zwany Dansholmen. Bagniste łąki i płaskie skały. Wyspy Lilla Rösö i Stora Rösö leżały ciasno przy wybrzeżu, za którym teren unosił się ku zalesionemu wzgórzcu, według mapy noszącemu nazwę Schlossberg.

Tince powiedział, że jedzie zrobić wywiad z autorem książek dla dzieci, który mieszka w Tynnered. Na parkingu stały dwa samochody, opel na niemieckich numerach i mazda ze szwedzką rejestracją. Leander wysłał SMS z numerem rejestracyjnym szwedzkiego samochodu pod 71456 – numer serwisowy wydziału komunikacji. Godzina czwarta. Przyjechał wcześniej, ponieważ chciał rozpoznać teren. Poszedł na przełaj. Na ogrodzonym wybiegu paść się koń. Po kilku minutach Leander dotarł do drugiej strony półwyspu. Wzdłuż stoku rozciągały się nadmorskie apartamentowce. Widok wydał mu się znajomy, ale przecież czerwono-białe domki z drewna, w których rybacy i żeglarze zostawiali sprzęt i żagle, były typowe dla wybrzeża Göteborga i Bohuslän i można było je spotkać w pobliżu każdej zatoki. Naprzeciwko, rzut kamieniem stąd, znajdowała się Lilla Rösö. Z przybrzeżnych skalnych szczelin wyrastały wrzosa, krzaki jałowca, jarzębiny i dzikie jabłka. Wzniesione w pobliżu stanic żeglarskich na palach połączono drewnianymi kładkami. Łodzie kołysały się na stalowoniebieskich falach. Przed nimi stało starsze małżeństwo w wiatrówkach. Mężczyzna robił zdjęcia, a kobieta pokazywała raz na to, raz na tamto i wydawała się zachwycona. Niemiecki opel. Przy stanicach nie było nikogo. Leander poszedł dalej. Droga prowadziła teraz tuż przy wodzie. Nisko stojące słońce oświetliło kilka pierzastych chmur, poza tym niebo było lazuruwe. Niebieska godzina, pomyślał. Lubił ten nastrój krótko przed zmierzchem. W ogóle było to urocze miejsce, cały czar południowej Szwecji przedstawiał się w tej małej zatoce i w innych warunkach Leander



na pewno rozkoszowałyby się spacerem. Ale teraz był niespokojny. A nawet trochę się bał. Co się wydarzy? Czy nie jest to wręcz niebezpieczne? Może wszystko to było pracochłonnym trikiem mającym na celu obrabowanie go i kradzież samochodu. Jego saab miał dopiero pół roku. Wziął go w korzystny leasing dzięki pośrednictwu przyjaciela brata Tinki.

A co, jeśli nic się nie wydarzy? Komórka zapikała. Dane mazdy. Samochód ma osiem lat. Jego właścicielką od samego początku jest Elizabeth Lundell, urodzona w 1949 roku. Leander schował telefon. Autor listu nie byłby tak głupi, żeby tutaj zaparkować.

Za dziesięć piąta. Leander zjechał z drogi i wspinał się na skały. Sięgały aż do wody, niektóre były porośnięte mchem i trawą. Małe kwiatki zakwitły delikatnymi barwami, między nimi było widać resztki palonego tutaj ogniska. Zapewne w letnie wieczory dużo się tu dzieje. Stojąc na jednej ze skał, Leander obserwował parę turystów. Myślał o urlopie z Tinką i Lucie na Korfu. O zranionym milczeniu Tinki, o swoich staraniach, żeby sprawy znowu wróciły do normy. Nie miał wówczas pojęcia, że to wszystko wkrótce stanie się zupełnie nieważne.

Zapowiadający jesień chłodny wiatr uderzył go nagle w twarz. Postawił kołnierz płaszcza i schował ręce do kieszeni.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia bez Lucie spędzili na Kubie wśród pijanych Skandynawów, Anglików i Niemców. *All inclusive*. Po sztywnej kolacji wigilijnej poszli do pokoju, upili się rumem i płakali. W następnym roku pojechali do rodziców Leandera do Karlstadt, teraz Tinka też chciała tam jechać. Nauczyła się doceniać ich spokojny i skromny sposób obchodzenia tych świąt. Nordinowie kupowali wielką choinkę i dekorowali cały dom tak, że niemal stanowił on konkurencję dla jarmarku bożonarodzeniowego w Lisebergu. Byli tam też Gunnar, Sanna i William.

– Co za dużo, to niezdrowo – mówiła Tinka, ale niekiedy Leander podejrzewał, że w ten sposób odsuwa smutek z powodu Lucie.

Poza tym Tinka nie znosiła swojej szwagierki Sanny. Nic dziwnego, skoro Sanna przypominała młodszy egzemplarz Greta Nordin. Ciekawe, czy Gunnar był świadomy, że poślubił własną matkę? A co z nim, z Leanderem? Istniały pewne podobieństwa między Tinką a jego matką. Z wyglądu nie były do siebie podobne, ale miały zbliżone wykształcenie. Jego matka studiowała farmację, a Tinka – chemię.

– Ty także ściągnąłeś sobie na wieś aptekarkę? – zauważył ojciec, a Tinka przyznała Leanderowi, że jego matkę lubi bardziej niż swoją. Czy to dlatego przyszło jej kiedyś do głowy, że Lucie mogłaby jej nie lubić?

Rodzina, pomyślał. Nie ma się pojęcia, co to oznacza, kiedy bierze się ślub: człowiek sądzi, że wiąże się z jedną osobą, co już jest wystarczająco niesamowite i trudne, ale o problemach z krewnymi drugiej połowy prawie wcale nie myśli, dopóki się nie pojawią.

Poznali się dziewięć lat temu w księgarni. Zagadnęła go i poprosiła o radę, ponieważ sądziła, że jest sprzedawcą. Spodobał mu się jej subtelny, ale niezależny styl. Wydawała się naturalna i nieskomplikowana. Pojawiła się akurat w tym momencie jego życia, kiedy znudziły mu się związki z przypadkowymi kobietami i zaczął się rozglądać za normalnością.

Oczywiście zadawał sobie od czasu do czasu pytanie, dlaczego Tinka poślubiła akurat jego, a nie jakiegoś kumpla Gunnara, który w sprawach materialnych mógłby jej zapewnić bez porównania więcej. Chciała wystawić na próbę miłość swego ojca, a może był to akt buntu wobec rodziców albo nieprzyjemna niespodzianka dla aroganckiej matki? Czy za późno zorientowała się w sytuacji? Leander wiedział, że robi pewne wrażenie na kobietach, ale nie utrzymywało się ono zbyt długo. Jedna z nich powiedziała mu kiedyś, że jest bardzo dobrym kochankiem, ale nie nadaje się na męża. Wówczas uznał to za komplement.

Turyści go minęli. Leander zszedł ze skały i w pewnym odstępie podążył za nimi do parkingu. Obserwował, jak odjeżdżają. Nie było też mazdy, stał tylko jego srebrnoszary saab. Wymacał w kieszeni na piersiach telefon i upewnił się, że jest włączony. Za cztery piąta. Stał obok samochodu i czekał. Odganiał nedorzeczne wyobrażenie, że zaraz pojawi się auto, w którym będzie siedzieć Lucie.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Piąta. Dziesięć po. Leander wahał się między wściekłością a zwątpieniem. Ktoś sobie z niego zakpił. Doprowadzał go do ostateczności... Znowu zapikała komórka. SMS. Zdenerwowany wyjął telefon i odczytał tekst: „Kosz między dwiema ławkami. Torba z czerwoną tasiemką”. Tak, przypominał sobie ławki, które stały na drodze po stronie jeziora. Pobiegł z powrotem. Stał tam kosz, tak jak było opisane. Między puszkami po napojach i skórkami bananów tkwiła biała siatka związana czerwoną tasiemką. Leander poczuł, że jego serce przyspiesza. Rozejrzał się. Nie dostrzegł nikogo. Delikatnie chwycił

czerwoną wstążkę i wyłowił torbę z kosza. Nie była ciężka. Podeszedł do ławki, położył na niej torbę i usiadł. Dopiero teraz zorientował się, jak bardzo drżą mu kolana. Ostrożnie rozwiązał kokardkę, chwycił siatkę za dolne rogi i wytrząsnął jej zawartość na ławkę. Brał pod uwagę wszystkie możliwości, ale nie to: czerwony bucik marki Nike.

Ten widok zaparł mu dech w piersiach. Nie wiedział już, czy tamtego dnia Lucie nosiła właśnie te buty, ale pamiętał, że na pewno miała takie same. Kupiła je Greta, co zdenerwowało Leandera, ponieważ obawiał się, że przez tego typu prezenty Lucie przyzwyczai się do markowych rzeczy.

Co za śmieszny problem! Uniósł but. Czy to rzeczywiście własność jego córki, czy tylko ten sam model? Był to but z lewej nogi, wyglądał na dość nowy, ale Lucie prawie nie nosiła tych butów, ponieważ były na nią jeszcze trochę za duże. Na czubku skóra była nieco zdarta. Wetknął nos do środka, licząc, że poczuje specyficzny zapach córki. Zawsze tak ładnie pachniała. Szamponem jabłkowym i kremem dla dzieci – po prostu jak Lucie. Ale wyczuł jedynie woń chemikaliów syntetycznej podeszwy. Podmuch wiatru porwał torbę z ławki. Leander ją podniósł. Dopiero teraz zauważył, że w środku znajduje się list. Otworzył złożoną na pół kartkę i przeczytał: „W zamian za informację o miejscu pobytu Lucie chciałbym, abyś zabił pewną osobę, której nazwisko w odpowiednim czasie ci podam. Jeśli się zgadzasz, wyślij SMS o treści OK. Żadnej policji!”.

Forsberg przyglądał się eleganckim dłoniom Evy spoczywającym na kierownicy. Niezmiennie go dziwiło, jak kruche mogą zdawać się dłonie kobiet, nawet tych wykonujących zawody, w których muszą umieć porządnie przywalić. Malin na przykład potrafiła kantem dłoni rozbić cegłę, co mu kiedyś w imponujący sposób zademonstrowała. A dłonie miała drobne jak u elfa. Albo ptasie szpony Selmy... Jeszcze nie odezwała się z Biskopsgården.

– Co to za pierścionek? – spytał Forsberg.

– Obrączka.

Spojrzał na Evę. Zaśmiała się.

– Żartujesz! – wypalił.

Natychmiast spochmurniała.

– Dlaczego tak mówisz? Myślałeś, że nikogo nie znajdę?

– Nie... nie, oczywiście, tylko... myślę...

– Co myślisz?

– Że to marnotrawstwo! – wyrwało mu się. – Kobieta taka jak ty powinna mieć romanse...

Przerwał, ponieważ zdał sobie sprawę, że plecie bzdury. Jedno nie wyklucza drugiego. Przeciwnie, Forsberg nawet preferował romanse z mężatkami. Nie musiał się obawiać, że będą mu się naprzykrzać życzeniami, takimi jak wspólne mieszkanie, ślub, dzieci i podobne nieprzyjemności. A poza tym wtedy nie trzeba się spotykać zbyt często, człowiek ma czas dla samego siebie. Gdy przyszło co do czego, znikwały przed śniadaniem. Jeśli chodzi o wspólne posiłki, w grę wchodziła jedynie kolacja. Na obiad Forsberg połykał zawsze jakieś przekąski, a przy śniadaniu z zasady nie chciał jeszcze nikogo widzieć na oczy.

– Z moim ostatnim romansem wiązało się wiele przykrości. Zwłaszcza z twojej strony – przypomniała mu Eva.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Czy naprawdę mnie wówczas podejrzewałeś? – spytała.

– Nie! Ale policjant nie może polegać tylko na swoich uczuciach.

Śmiesznie to zabrzmiało. Jak tekst z byle serialu kryminalnego. Dlaczego, do cholery, pozwala teraz sobą manipulować? Dlaczego siedzi w tym pozerskim aucie i jedzie na Boråsleden w kierunku Jönköping, do miejsca, w którym nie ma zupełnie czego szukać?

Wydawało się, że Eva odczytała jego myśli. Jej twarz przybrała rozbawiony wyraz, ale tylko nieznacznie, wokół samych ust.

– Kim jest ten facet, zabiję go!

– Ma na imię Stieg i jest doradcą finansowym. Siedzisz w jego samochodzie.

Doradca finansowy! Forsberg spojrzał na składany dach Z4. Czy to dla pieniędzy?

– Musiało tak być? – spytał.

– Tak – powiedziała Eva.

– I on jest teraz twoją wielką miłością czy jak? – Wyszło jakoś bardziej nerwowo, niż zamierzał.

– Może – powiedziała Eva i po krótkiej przerwie dodała: – On mnie rozśmiesza.

*Rozśmiesza mnie.* Forsberg odchylił się odprężony. To nie wygląda na kipiącą namiętność, raczej na lęk przed staropanieństwem i kompromis. Był

zbyt leniwy, aby policzyć mężów, którzy rozśmieszali żony i byli przez nie zdradzani – właśnie z nim, Gregerem Forsbergiem, najpoważniejszym z ludzi.

Delikatny kobiecy głos systemu nawigacyjnego skierował Evę na drogę 195. Milczeli, póki samochód nie skręcił w wyboistą polną ścieżkę, na której końcu, na niewielkim wzniesieniu, stał jasnoszary drewniany dom ze spadzistym dachem łupkowym i białą werandą. Mimo dużych rozmiarów był proporcjonalny i Forsbergowi podobał się bardziej niż kłoc w Långedrag. Najeżone zarośla maskowały wjazd, późne róże wiły się wysoko po poręczy werandy.

– Piękny – stwierdziła Eva.

Stanęli przed drzwiami, a komisarz przypominał sobie, jak Marta mówiła, gdzie jest schowany klucz. Pomacał brzeg boazerii nad kamiennym cokołem, znalazł gwóźdź, ale żadnego klucza. Pewnie koledzy nie chcieli go zostawić w tej „kryjówce”.

– Zamknięte – powiedział. Systemu alarmowego nie widział.

– Sprawdź, czy umiesz otworzyć. – Eva położyła dłonie na biodrach w oczekiwaniu.

– To byłoby włamanie. Jestem urzędnikiem państwowym.

A poza tym nie miał ochoty się ośmieszyć. *Rozśmiesz mnie.*

– Chodź, zajrzemy przez okno z drugiej strony – zaproponował.

– Nie po to tu przyjechałam, żeby zaglądać przez okna.

Eva zaczęła grzebać w torebce. W napięciu przyglądał się, jak kartą klienta księgarni manipuluje przy zamku, przeklinając przy tym niczym portowa dziwka.

– Tylko zniszczysz sobie paznokcie – powiedział, ale w tym samym momencie zamek puścił.

– Proszę bardzo!

Był pod wrażeniem. Jakie jeszcze zdolności drzemią w tej kobiecie?

– Uczą tego w gazecie? – burknął.

– Tego i jak podsłuchiwać policyjne radio – zaśmiała się szyderczo Eva, zamierzając wejść do domu, ale Forsberg ją zatrzymał.

– Kontrola torebki.

Żadnych zdjęć, to był jego warunek. Żadnych zdjęć i żadnych relacji. Nikt nie może wiedzieć o tej wizycie. Eva wprowadzie mu to obiecała, ale lepiej się upewnić.

– Nie ufasz mi?

– Ani trochę – odparł, wyławiając z torebki telefon komórkowy.

– Zastrany gliniarz.

Weszli do korytarza, a potem do pokoju dziennego z kominkiem. Panoramiczne okno wychodziło na jezioro Wetter. Ale oboje w tym momencie nie zwracali uwagi na widok.

– Czy to dzieło twoich kochanych kolegów? – spytała Eva, rozglądając się.

Pokój wyglądał jak w jednym z filmów o trzęsieniu ziemi. Zawartość regałów – książki, bibeloty, płyty – walała się po podłodze, szuflady komody były otwarte. Sofę odsunięto od ściany, a poduszki leżały przed nią. Tylko kilka ogromnych olchowych szpadli wisiało nietkniętych.

– Z całą pewnością nie.

Na zdjęciach wszystko wyglądało porządnie, poza ciałem, któremu brakowało połowy głowy, i ścianą za kominkiem, która była w części oklejona właśnie tymi brakującymi fragmentami. Teraz widniała tam tylko brązowawa plama. Fotel, w którym znaleziono trupa, jeszcze stał, beżowe obicie oparcia plamiła zaschnięta krew. Policjanci zabezpieczający ślady wycięli kwadrat. Porządne chłopaki. Już dobry miesiąc upłynął od samobójstwa Cederlunda. Wyglądało na to, że Marta ani Dag nie byli tutaj – pozbyliby się zniszczonego fotela, a ściany kazali odmalować. Kto zatem odebrał samochód? Spojrzenie Ewy zatrzymało się na rozbryzgach krwi.

Forsberg poszedł do kuchni. Na podłodze leżały naczynia, w części potłuczone. Kakao rozsypano. Z kieszeni jego marynarki dobiegł obcy dźwięk. Telefon Ewy. Na wyświetlaczu uśmiechał się smarkacz, który był jej szefem. Poniżej zobaczył napis: „Dzwoni Leif”. Forsberg odwzajemnił uśmiech i odrzucił połączenie.

W korytarzu znajdowała się gablota z bronią, wąska szafka z metalu. Drzwi były otwarte. Poza pożółkłymi pudełkami z nabojami śrutowymi różnej ziarnistości nic w niej nie zostało. Blacha obok zamka była wygięta. Śrutówkę na pewno zabrali śledczy z Jönköping jako dowód rzeczowy, ale gdzie podziały się sztucery i pistolety, o których mówił komisarz Abrahamsson? Czy nacięcie w zamku było nowe, czy stare? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie bez zdradzania nikomu, że był tutaj, wymagałoby od Forsberga trochę wyczucia. Przeklął raz jeszcze, że nie przyjechał tu osobiście, zamiast konfrontować Ptaszycę z martwym ciałem, które...

Z marynarki dobiegło słodkie rzępolenie. Z wyświetlacza spoglądał na niego blond wiking. „Dzwoni Stieg”. Forsberg wydał z siebie pomruk. Precz z nim! Wyłączył telefon.

Drewniane stopnie wzdychały pod jego ciężarem, kiedy wspinał się po schodach na pierwsze piętro. Znajdowały się tam główna sypialnia z podwójnym łóżem i dwa mniejsze pokoje. Jeden był urządzone jak pokój dla dziewczynki, z meblami polakierowanymi na biało, różowymi paskami na tapecie i zasłonami w wyblakły wzorek w róże. Kołdra i poduszki leżały bez poszewek między francuskim łóżkiem, szafą z otwartymi drzwiami i wywróconym krzesłem. Przeciąg zwiął na podłogę folię po czekoladowym batoniku. Forsberg podniósł ją ostrożnie i schował do kieszeni nowo kupionej marynarki. Drugi pokój musiał należeć niegdyś do Daga Cederlunda. Także tutaj na gołym zielonkawym materacu leżała pognieciona pościel. Przed regałem piętrzyły się książki z literaturą młodzieżową i komiksy. Modele samochodów, przynęty wędkarskie, zniszczone szmaciane zwierzątka i lalka leżały na jednym stosie. Lalka? Może z domu korzystali także inni członkowie rodziny. Forsberg poszedł raz jeszcze do głównej sypialni. Na zdjęciach nad komodą widniał chłopiec z wędką. Magnus Cederlund. Mężczyzna obok niego musiał być jego ojcem, obaj mieli charakterystyczne brwi. Jedno ze zdjęć przedstawiało młodą Martę. Była bez wątpienia bardzo ładna, w dziewczęcy sposób. Na jej kolanach siedziało blond dziecko w białej letniej sukience, dwu- albo trzyletnie.

Eva weszła na górę i stanęła za nim.

– Czy słyszałam moją komórkę?

– Nie – powiedział Forsberg. – Czy Cederlundowie mieli córkę?

Eva się zastanowiła, potem powiedziała:

– Musiałabym spytać mamę, ale zdaje się wspominała, że Dag miał starszą siostrę. Zmarła, gdy miała dwa albo trzy lata, kiedy Dag był jeszcze malutki.

Zeszli na dół. Forsberg wyszedł na werandę. Pachniało grzybami i wilgotną trawą. Tęsknił już za długimi nocami. W ciemności i spokoju zimy czuł się bezpiecznie. Hałas, pośpiech, egzaltacja lata były mu w zasadzie niemiłe.

Myślał o pistolecie i śrutówce – wybrałby pistolet, gdyby chciał się zabić, śrutówkę, gdyby chciał upozorować samobójstwo. Na głowie, która

prawie się oderwała, nie można stwierdzić żadnych wcześniejszych obrażeń. Ale czy morderca nie przeszukałby mieszkania od razu? To nie miało sensu. Wszystko było zbyt zagadkowe.

Jaką tajemnicę zabrał Cederlund do grobu i komu zależało na tym, żeby nie ujrzała światła dziennego? Co wiedziała Marta, co chciała opowiedzieć Evie? Czy za tę wiedzę miała zapłacić śmiercią?

I co właściwie tutaj robił on, Greger Forsberg, poza tym, że pakował się w kłopoty? Dlaczego nie zajmuje się swoimi nierozwiązanymi sprawami?

Eva stanęła obok, a on powiedział:

– Jeśli jest jakaś sprawa, tak drażliwa, że Marta nie chce powiedzieć o niej synowi, to dlaczego zwraca się z nią akurat do ciebie? Nie ma żadnych przyjaciół?

– Możliwe – stwierdziła Eva i także Forsbergowi trudno było sobie wyobrazić Martę w sytuacji towarzyskiej. Jeśli o to chodzi, była bardzo podobna do niego. – Mogłabym nawet sobie wyobrazić – dodała – że i z Dagem nie rozmawiała długie lata.

Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

– Dag w wieku czternastu lat przeprowadził się do ciotki w Malmö, do siostry Marty.

Opowiedziała mu o sznurkach na pranie i kłótni. A potem o patrolu, który przywiózł Daga do domu.

– Bił Martę? – spytał Forsberg.

– Nie wiem.

Oboje na chwilę zamilkli, aż Eva powiedziała:

– Ciekawe: jako szef był zawsze całkiem miły. Abstrahując od faktu, że nie miał pojęcia, jak kieruje się redakcją, i niemal ją zrujnował.

*Zawsze całkiem miły.*

– Co dokładnie powiedziała ci Marta na cmentarzu? – spytał.

– O Boże, myślisz, że dam radę teraz odtworzyć jej słowa?

– Tak.

Eva zmarszczyła czoło. Widać było, że się wysila. Potem uniosła wskazujący palec niczym uczennica, której właśnie coś się przypomniało.

– Najpierw spytała o moją matkę, jak jej się wiedzie. Miałam wrażenie, że nie zrobiła tego tylko z uprzejmości. Potem powiedziała, że podobał się jej nekrolog, który napisałam, i że bardzo ceni moją pracę. Rzekomo



czytała wszystkie artykuły, także te w innych gazetach. To mnie bardzo zdziwiło.

– Jakie artykuły w innych gazetach?

– W „Expressen” i w „Svenska Dagbladet” – wyjaśniła z dumą Eva. – Jeden dotyczył zanieczyszczenia morza zachodniej strony Schären. Wiele osób nie wie...

– Co jeszcze? – wtrącił Forsberg.

– Artykuł w „Expressen” był o miłości przez internet...

– Cyberseks?

– Raczej o portalach randkowych, giełdach partnerów i czatach.

Forsberg się zachmurzył.

– Wyrwałaś swego wikinga przez internet?

– Nie! I skąd w ogóle wiesz...?

Spojrzała na niego oburzona.

– W i e d z i a ł a m, że słyszałam mój telefon! Oddawaj!

Oddał jej telefon i się zaśmiał.

– No powiedz! Przecież to nic takiego!

– Nie! Był u mojej matki, ponieważ... Co cię to w ogóle obchodzi!

Forsberg znów się zaśmiał, a Eva wróciła do poprzedniego tematu.

– Były dwa artykuły o pornografii dziecięcej w sieci i o pedofilii. Rozmawiałam z mężczyznami, którzy się do tego przyznali i odbywali terapię. Istnieje program pomocy, który prowadzi uniwersytet w Sztokholmie, są internetowe grupy wsparcia. Spotkałam się nawet z dwoma mężczyznami, oczywiście nie podali mi prawdziwych nazwisk... Byli... mili.

– Ach tak? – Forsberg spojrzał na nią, marszcząc czoło.

*Zawsze całkiem miły.*

– Chodzi o to, że nie byli obleśni, jak to sobie wyobrażamy. Ale wśród pedofilów bywają, jak to się mówi, przyzwoici. Nie ci, którzy wywodzą swoją perwersję od starożytnych Greków, porównują się z homoseksualistami i uważają się za niesprawiedliwie prześladowanych.

Komisarz stęknął z niesmakiem.

– Dlaczego właśnie ten temat?

– Z powodu Lucie – odpowiedziała Eva.

– Myślisz, że...?

– To przecież obojętne, co myślę! – rzuciła szorstko.

Dla Forsberga było jasne, że temat Lucie mógłby tylko doprowadzić między nimi do kłótni. Chciał tego uniknąć, ponieważ zamierzał zaprosić Evę na kolację. Znał wspaniały lokal w Gränie.

– Co jeszcze napisałaś?

– W ubiegłym roku w „Svenska Dagbladet” pojawił się artykuł o korupcji w naszym pięknym mieście. Podczas żeglowania i gry w golfa są załatwiane publiczne przetargi...

A gdzie tak nie jest, pomyślał Forsberg, i przerwał jej.

– Czy Cederlund miał z tym coś wspólnego?

– Nic, o czym bym wiedziała. Chodziło głównie o trwonienie publicznych pieniędzy. Na przykład te autostrady z Włoch, które zimą nie działają, i ten australijski system biletowy za pół miliarda, który ciągle jest zepsuty i którego nikt nie rozumie. No i oczywiście stadion piłki nożnej, który podczas meczów powoduje trzęsienie sąsiednich domów. Naturalnie to wszystko nie dotyczy jego, on jest człowiekiem mediów, a nie potentatem budowlanym.

Forsberg się zamyślił. Człowiek mediów. Właściciel gazety i wydawnictwa dla dzieci.

– Czy to wszystko? Mam na myśli twoje artykuły...

Szerokie usta Evy rozciągnęły się w kocim uśmiechu.

– Na święta Bożego Narodzenia pojawił się artykuł o reniferach z Laponii, o tym, jak są dziś hodowane i zabijane.

– Na święta?

– No wiesz: Święty Mikołaj, renifer Rudolf...

– Obrzydliwe – powiedział Forsberg.

– Po to jesteśmy, my, dziennikarze: by tarzać się w brudzie.

– Czy sprawa Marty może się jakoś łączyć z pornografią dziecięcą i tymi historiami o pedofilach?

Eva wzruszyła ramionami.

– To tłumaczyłoby, dlaczego nie chciała rozmawiać z Dagiem.

*Kłótnie. Bicie. W wieku czternastu lat do ciotki.*

Wykorzystywanie seksualne zawsze kojarzyło się Forsbergowi z ciszą. Ale może się mylił.

– Miałaś wrażenie... mam na myśli, wówczas, kiedy mieszkali obok ciebie...

– Chodzi ci o to, czy on mnie obłapiał?

– Eee, no tak.

Potrząsnęła głową.

– Nigdy nie byłam z nim sama.

Forsberg myślał o lalce z blond włosami na pierwszym piętrze. Wyglądała na nową, a nie na taką sprzed czterdziestu lat.

Eva patrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Zakładając, że coś było na rzeczy: o ile znam Martę, zrobiłaby wszystko, żeby nikt się o tym nie dowiedział i milczałaby dalej.

Zdjęcie Marty w sypialni. Kobieta, która wyglądała jak dziewczynka...

Eva zapaliła papierosa i patrzyła na jezioro.

– Chcesz jednego?

– Nie, bo znowu się uzależnię.

– Zawsze mnie odsyłała – powiedziała Eva. – Kiedy bawiliśmy się u Daga i Magnus wracał, musiałam wychodzić.

Forsberg westchnął i przyglądał się metalicznie połyskującemu jezioru, nad którym rozciągało się coraz cięższe szare niebo. Dom stał na wzniesieniu, w dole było widać kilka mniejszych letniaków na obrzeżach lasu. Między lasem a jeziorem rozciągała się łąka, na której pasły się krowy. Wokół Wener i Wetter panował charakterystyczny klimat, cieplejszy i wilgotniejszy niż na wybrzeżu, a zimą najczęściej mglisty. Mokre serce Szwecji. Powietrze było rześkie, a nad krajobrazem unosiło się światło, które pozwalało z dużej odległości rozpoznać ostre kontury. Świat rozciągał się przed nim niczym wycięty z papieru, nic nie ginęło we mgle ani morzu.

Waleria Bobrow zaginęła 15 sierpnia. Cederlund zastrzelił się dzień później. Przypadek?

– Daj mi jednak jednego – powiedział i zaciągnął się zachłannie.

Myślał o chłodzie Marty, obojętności, która rzuciła mu się w oczy na komisariacie. Mimo to wydawała się zaskoczona samobójstwem Magnusa, a przede wszystkim wyborem miejsca, czyli domu letniego. Być może, zastanawiał się Forsberg, Cederlund wysłał do żony list z wyjaśnieniem, który dotarł do niej, gdy komisarz już zdążył przekazać Marcie informacje o śmierci męża. Może to ona stoi za zniknięciem laptopa: zniszczyła go albo ukryła. Czy o tym chciała porozmawiać z Evą? Czy Eva miała jej pomóc rozważyć, co jest ważniejsze: reputacja zmarłego i rodziny czy wyjaśnienie przyczyn śmierci małej dziewczynki?

Nie było wiatru. Dym z papierosów stał w powietrzu jak gruba zasłona. Forsberg myślał o tym, jak szybko działa poczta, i o pustych kartkach. W tej chwili była to tylko hipoteza. Zresztą dość ryzykowna. Eva nie potrzebowała dużo czasu, aby dojść do podobnych wniosków. W każdym razie bez mocnych dowodów nie odważyłaby się napisać ani słowa w gazecie. Gazeta Daga Cederlunda. Jeśli wystrzełiłaby z taką informacją i się pomyliła, jako dziennikarka byłaby w tym kraju skończona.

W ciągu ostatnich kilku tygodni akta Walerii zwiększyły swoją objętość, ale nie przybyło w nich krzty użytecznej treści. Prasa podgrzewała sprawę, więc odezwało się wielu ludzi, którzy byli absolutnie pewni, że rozpoznali dziecko. Osiemdziesiąt zgłoszeń nadeszło przez gorącą linię. Widziano ją na placach zabaw w Motåla, Norrköping i Gävle. Siedziała w samochodzie w Södertälje, na pokładzie promu do Kilonii. Kilka osób było stuprocentowo przekonanych, że musiał mieć z tym coś wspólnego ich sąsiad. Ten, który zawsze tak dziwnie patrzy i wrzuca butelki do niewłaściwego kosza. Ten z dużym psem i tajska żoną. Funkcjonariusze rozjechali się po całym kraju, by sprawdzać zgłoszenia, w każdym razie te, które wydawały się rozsądne.

Tylko w Biskopsgården słyszano o tym niewiele. Sąsiedzi Haalehów potwierdzili przypuszczenia Selmy: Waleria Bobrow kilkakrotnie pojawiała się tam w czasie wakacji. Stała przed domem albo wracała stamtąd z opuszczoną głową. Dokładnych dat jej wizyt ludzie nie potrafili podać, ale jedna starsza pani, która dużo czasu spędzała ze swoim kotem w oknie, powiedziała, że widywała dziewczynkę prawie codziennie.

Nadal nie było jasne, czy dziecko rzeczywiście zniknęło w poniedziałek, jak twierdziła Oksana Bobrow. Nie znalazł się nikt, kto by widział Walerię w sobotę albo w niedzielę, przed dniem świątecznym. Nie widzieli jej także sąsiedzi Bahar. Mogło więc być tak, że kobieta kłamała, a alibi Iwana Krulla z kasyna nie było nic warte.

Wyglądało na to, że Forsberg nie zaszczyci już dziś komisariatu swoją obecnością. Z wcześniejszej telefonicznej paplaniny wynikało, że zorganizował sobie przyjemne popołudnie w kobiecym towarzystwie. Mimo to Selma zadzwoniła do niego na komórkę.

– Tak?

– Tu Selma.

Słyszała odgłosy jazdy i audycji radiowej. Przed oczami stanął jej Leander Hansson, siedział naprzeciwko niej i proponował czekoladę. Wczoraj wieczorem – nie po raz pierwszy – wtulona w miękkiego Amundsena leżała na kanapie i słuchała podcastów audycji, w której Hansson rozmawiał z autorami o ich nowych książkach. Upajała się burgundowym głosem. Chciałaby mówić w taki sposób, z nieświadomym, aczkolwiek wyczuwalnym cynizmem.

– O co chodzi? – warknął Forsberg.

Najwyraźniej zakłócała mu schadzkę. Ale dokąd by człowiek doszedł, gdyby się czymś takim przejmował?

– Sprawa z Pernillą Nordin... nie zgadza się część danych, chciałabym...

– Zrób dopisek w dokumentach, porozmawiamy o tym jutro.

Zanim zdążyła się sprzeciwić, Forsberg się rozłączył. Co za dupek, stwierdziła.

Rozległo się pukanie.

– Tak? – rzuciła.

Za drzwi wychylił swoją ogoloną czaszkę Pontus Bergeröd.

Telepatia, pomyślała Selma.

– Gdzie Forsberg? – spytał.

– W drodze.

Bergeröd medytował przez chwilę, a potem powiedział bez ceregieli:

– Wczoraj wieczorem nasi koledzy złapali pewną rosyjską kurwę.

Sposób, w jaki wymówił słowo „kurwa”, rozkoszny i pełen pogardy jednocześnie, nie spodobał się Selmie. I w ogóle – co ją ta sprawa obchodzi?

– Zgadnij, kto to był? – kontynuował Pontus.

– Wal – powiedziała.

– Oksana Bobrow. Matka...

– Wiem, kim jest Oksana Bobrow.

Cholera, pomyślała, nie mogą przecież tego zrobić.

– Gdzie teraz jest?

– Nie mam pojęcia. Pewnie w areszcie deportacyjnym. Dowiedziałem się o tym przypadkiem, pomyślałem, że to was zainteresuje.

Podczas gdy Pontus Bergeröd tkwił na progu, jakby czekał na aplauz, Selma wstała, schowała komórkę i tytoń do kieszeni skórzanej kurtki.

– Dokąd idziesz? – spytał zaskoczony.

– Fajrant – wyjaśniła i skierowała się ku drzwiom.

Jednak Bergeröd wrósł w miejsce niczym drzewo i uśmiechał się szeroko. Było jasne, że nie przepuści jej bez ceregieli. Taki typ jak on nie potrafił inaczej. Poczwała ogromną chęć, aby dać mu kopa albo rozdeptać jaja, albo najlepiej zrobić jedno i drugie. Mężczyźni jego pokroju wywoływali w niej nieuniknioną agresję i pewnie działało to też w drugą stronę. Byli jak kot i pies, z natury sobie wrodzy, co najwyżej skłonni do tego, aby się nawzajem znosić i schodzić sobie z drogi. Selma nakazała sobie spokój. Ten rottweiler nie zrobił jeszcze niczego, co można by mu zarzucić, nie licząc złośliwego uśmieszku. Mogłaby poczekać, aż sobie pójdzie, albo po prostu poprosić, aby ją przepuścił. Ale ona prosiła niechętnie, a czekać nie chciała. Musiała natychmiast porozmawiać z Andersem Gulldénem, może zastanie go jeszcze w biurze. Mówić jak do psa, pomyślała. Tak się robi, kiedy jednego z nich ma się przed sobą. Podeszła do Bergeröda i poklepała go jowialnie po ramieniu, jak tylko mężczyźni potrafią to robić między sobą. Jednocześnie przesunęła go trochę na bok i przecisnęła się obok niego, przewyciężając nawet niechęć i zmuszając do rzucenia przez zaciśnięte zęby:

– Dzięki, kolego.

– Nie ma sprawy – wydukał zaskoczony Bergeröd.

A ponieważ w głębi serca był dobrze wychowanym chłopcem, nawet zamknął drzwi biura, które Selma zostawiła otwarte.

Trzy dni po tym, jak Camilla otrzymała wypowiedzenie, dostała od ginekologa zaświadczenie, że jest w siódmym tygodniu ciąży. Ojciec wyparł się nienarodzonego dziecka przez telefon. Camilla była zrozpaczona, wściekła i bliska tego, aby wpaść do jego biura i urządzić scenę. Ale bała się gniewu jędzowatej asystentki i jego wściekłości. Jak zimno na nią patrzył, zanim wyszedł. Chwyciła za swoje szkolne pióro i napisała do niego niebieskim tuszem list o miłości do niego oraz ich wspólnym dziecku. Syn, spadkobierca! To było przecież jego najskrytsze marzenie! O tym, że będzie to syn, Camilla śniła poprzedniej nocy. Pełna dobrych myśli wysłała list do biura z dwukrotnie podkreśloną adnotacją „osobiste”.

Kilka dni minęło bez żadnego znaku życia z jego strony. Czy jędzia przechwyciła list? Upłynął ośmiodniowy termin, który on dał jej na opuszczenie mieszkania. Niechby wreszcie przyszedł! Już ona by wiedziała, jak go omamić, przecież nigdy nie potrafił oprzeć się jej powabowi. Kilka razy w ciągu dnia kładła sobie plasterki ogórka na opuchnięte oczy, ponieważ noce były długie i samotne, a ona nie mogła powstrzymać tego przeklętego płaczu. To musiały być hormony. Każdego ranka myła włosy i zakładała prześwitującą bieliznę, którą on jej podarował. W turkusowym wdzianku krążyła przy oknie w oczekiwaniu i nadziei, że pod dom podjedzie jego samochód. Na zewnątrz panoszyła się wiosna, drzewo wiśniowe po drugiej stronie ulicy zakwitło na biało, ale ona nie zwracała na to uwagi.

Kiedy pewnego dnia przed domem wreszcie zaparkowała limuzyna, Camilla tego nie zauważyła, bo właśnie wymiotowała w łazience. Jednak natarczywego dzwonka nie mogła nie usłyszeć. Że też akurat teraz! Szybko! Płyn do płukania ust, perfumy, bielizna... Lśniąca młodością i pięknnością otworzyła drzwi, przed którymi stał przysadzisty, łysy mężczyzna z teczką. W pierwszym momencie pomyślała, że ma przed sobą

domokrążcę, ale mężczyzna powiedział, że jest prawnikiem i musi z nią coś omówić.

Zaproponował pięć tysięcy koron za milczenie i aborcję. Camilla była rozczarowana i głęboko zraniona. Ale zebrała się w sobie. Nie chciała się skompromitować w obecności tego łysola, który pożerał ją wzrokiem. Poszła do sypialni, ubrała się porządnie, a potem zażądała dziesięciu tysięcy. Zgodził się. Pieniądze przyniósł już następnego dnia. Camilla podpisała kwit i wręczyła mu list. Pisała, że chce urodzić „ich wspólnego syna”. A pieniądze przydadzą się jej na kolejne miesiące życia.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, ale wiedziała, że kiedy on na własne oczy zobaczy swego syna, zmieni zdanie i wszystko się ułoży.

Mijały tygodnie. Jej ciało się zaokrągliło. Nikt nie przychodził, aby wyrzucić ją z apartamentu w Rosenlund. Zacisnęła zęby i napisała jeszcze jeden chwytający za serce list, który również pozostał bez odpowiedzi. Dużo czasu spędzała przed telewizorem, szydełkując jasnoniebieskie dziecięce ubranka i śpioszki. Wyobrażała sobie taką scenę: oni oboje przy kołysce otuleni chmurą szczęścia ponad różowiutkim chłopczykiem... Albo on przychodzi do szpitala z wielkim bukietem kwiatów i pierścieniem z brylantem... Była przekonana: gdy na świecie pojawi się jego pierwszy syn, on pójdzie po rozum do głowy i będzie ją błagał o wybaczenie, rozwiedzie się, a potem poprosi Camillę o rękę. Po co mu firma, po co pieniądze, skoro nie ma spadkobiercy?

W listach do domu opisywała swoją pracę i zapewniała, że dobrze jej się wiedzie i że niedługo otrzyma podwyżkę. Kiedy matka prosiła ją, żeby przyjechała, lub sama zapowiadała wizytę, Camilla odpowiadała krótko: podróż służbowa, nadgodziny, przeziębienie.

Była samotna. Z coraz większym brzuchem najchętniej nie wychodziłaby za drzwi. Od czasu do czasu ciągnęło ją jednak na przystań. Patrząc ponad rzeką Göta na stoczniowe dźwigi, myślała o ławce z urwanym oparciem, na której często siadywała z ojcem. O cichym plusku fal między nadbrzeżnymi kamieniami i krzyku mew. Oglądali statki, póki słońce nie zaszło i nie rozplynęło się na horyzoncie. Ojciec skręcał papierosy, ona na kolanach trzymała robótkę na drutach. Czasem opowiadał jej historie, prawdziwe albo wymyślone. Jako dekarz nasłuchiwał się różnych rzeczy. Ale sprawa z własną firmą poszła źle, czego matka Camilli do dziś nie mogła mu wybaczyć. Potem kładł dachy na zlecenia firm budowlanych, wykonywał



dorywcze prace w sąsiedztwie, a zimą jeździł po targach i sprzedawał swetry, które Camilla i jej matka dziergały przez cały rok.

Pewnego burzliwego listopadowego wieczoru nadeszły bóle porodowe – trzy tygodnie przed terminem. Student z parteru zawiózł Camillę swoim rozklekotanym daffodilem[1] do szpitala uniwersyteckiego Sahlgrens. Poród trwał dwadzieścia godzin i był całkiem inny, niż przedstawiano go w książkach i broszurach u ginekologa. Jak można taki ból zmniejszyć za pomocą „wydechów”? Były takie chwile, w których Camilla wołała umrzeć, anizeli sekundę dłużej znosić ten ból. Tylko myśli o jej złotej przyszłości pozwoliły jej to jakoś przetrwać.

Z ostatnim parciem przyszedł szok. Dziewczynka. Koniec z przyszłością w roli żony przedsiębiorcy. Dziewczynka. Mała czerwona nieopierzona kura. Podobno zdrowa. Spytana, jak chce nazwać córeczkę, Camilla nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nigdy nie zastanawiała się nad imieniem dla dziewczynki. Bezradna popatrzyła na plakietkę na fartuchu pielęgniarki.

– Lillemor – powiedziała.

Następnego dnia po porodzie spytała, co musi zrobić, aby oddać dziecko do adopcji. Ale źle trafiła ze swoim pytaniem. Siostra Lillemor Söderström wyjaśniła jej, że po prostu cierpi na depresję poporodową. Wkrótce świat będzie wyglądał całkiem inaczej. A co z ojcem dziewczynki? Czy sprawa opłat na jej utrzymanie jest już uregulowana?

Camilla była pewna, że nie ma żadnej depresji. Była tylko rozczarowana i potwornie wściekła. Na niego i na dziecko, którego wtrąciło się w jej życie, którego płęć niewłaściwie ukształtowała się w jej ciele. Nie chciała dziecka. Nie w ten sposób. Pielęgniarka poruszyła jednak ważny temat. Pieniądze od prawnika już się skończyły, a ona musiała jakoś żyć.

Lillemor Söderström była sprytną i energiczną osobą, która nie mogła ścierpieć, kiedy mężczyźni uchylali się przed obowiązkami. Powiedziała więc Camilli, co ma robić.

Statek Germanica III punktualnie opuścił niemiecki terminal. Tłumek żegnających i gapiów stał na nabrzeżu i wstrzymywał oddech, kiedy kolos przepływał pod Älvsborgsbron. Patrząc z tej perspektywy, wydawało się to trudnym manewrem, bo od mostu dzieliły go centymetry. Jednak najdłuższy obecnie prom świata dokonał tej sztuki bez muśnięcia i sunął majestatycznie w dół rzeki. Wieczne słońce wypełzło spod gęstej warstwy chmur i całe widowisko zanurzyło się w złotym świetle.

Iwan Krull zafascynowany obserwował, jak w brzuchu dwustuczterdziestometrowego giganta znikają samochód za samochodem, ciężarówka za ciężarówką. Jako dziecko zawsze chciał zostać kapitanem statku. Nikogo nie żegnał, czekał na nowego partnera w interesach, który tutaj chciał się z nim spotkać. Dwa tygodnie temu Krull postanowił zniknąć na trochę z Göteborga. Podejrzanie dużo policjantów w cywilu zaczęło nagle zachodzić mu drogę. Nie, to nie była paranoja. Krull wciąż jeszcze miał nosa do glin. Jednak od wczoraj znowu był w mieście. Gliny czy nie, nie może sobie dłużej pozwalać na zaniechanie interesów. Musi być tylko ostrożny i unikać określonych miejsc, a przede wszystkim ludzi. Do nich zalicza się, niestety, jego własne mieszkanie i oczywiście Oksana. Ją, tak czy inaczej, mógł już spisać na straty.

Teraz na oku miał nowe źródło dochodów: pędzona na czarno wódka w perfekcyjnie podrobionych butelkach Absolutu. Z zewnątrz niczym nie różniła się od oryginału. A i smak też nie był najgorszy. Próbkę towaru miał w kieszeni kurtki, pierwsza dostawa miała nadejść za trzy dni statkiem. Ze względu na niemiłe zdarzenia ostatnich tygodni postanowił w przyszłości koncentrować się na głównych obszarach swojej działalności, czyli na rzeczach, na których się zna: wódce, papierosach, kawiorze – tego typu dobrach. Dziwki może przynosiły zyski, ale ciągle były z nimi jakieś kłopoty. No i jeszcze tamta sprawa... To już zbyt obrzydliwe. Niespokojnie przechadzał się po wybrzeżu w tę i z powrotem. Zerwał się ostry wiatr

i rozrzucał hałaśliwie puszki po coca-coli. Gdy słońce się schowało, nagle zrobiło się chłodno. Krull stwierdził, że stoi tu już ponad godzinę. Osoby zegnające odpływających dawno sobie poszły. Co jakiś czas pojawiali się już tylko zziębnięci biegacze. Zapalił papierosa. Jeszcze tylko jeden, pomyślał, i spadam. Usłyszał odgłos silnika. Pobrzękiwanie diesla. Cholera, ciemny mercedes – to nie był jego klient, tylko pośrednik. Co znowu poszło źle? Zdaje się, że w ostatnim czasie pech lepi się do niego niczym psie gównem do podszwy. A dokładniej – od tej parszywej sprawy z małą.

Samochód zatrzymał się, a kierowca pomachał.

Krull wsiadł.

– Co jest?

Jego kompan odwrócił się do niego, przez chwilę wyglądało, jakby chciał go objąć. Ciało Krulla zeszytywniało, wszystko nastroszyło się w nim wobec gestu, do którego nie przywykł, i nagle poczuł ból – rozżarzony lód między żebrami. Krzyknął, szukając klamki, jednak ktoś przytrzymał go mocno za kołnierz kurtki, więc mógł się tylko bezradnie przyglądać, jak ostrze noża ponownie zagłębia się w jego piersi. Usłyszał jeszcze skrzypiący odgłos...

Leander nie wiedział, jak trafił do domu. Oczywiście, przyjechał samochodem, bo jak inaczej, ale nie miał żadnych wspomnień z podróży powrotnej. Teraz, ponieważ powoli dochodził do siebie, siedział w gabinecie i wpatrywał się w listy – pierwszy i drugi – oraz w bucik. Tinki nie było w domu, nie wiedział, dokąd poszła. Ona na pewno by mu o wszystkim powiedziała. Włączył komputer i otworzył folder ze zdjęciami Lucie. Nie robił tego często, za każdym razem odczuwał ból. Dobrze było wiedzieć, że są te zdjęcia, ale ich oglądanie go nie pocieszało. Niekiedy miał nadzieję, że z czasem niektóre rzeczy zapomni: jej głos, śmiech, płacz. Jednocześnie bał się, że to właśnie mogłoby się stać. Zdarzało się, że gdzieś płakało jakieś dziecko, a on pędził w jego stronę, ponieważ mógłby przysiąc, że słyszał płacz córki. I często wpatrywał się w małe blond dziewczynki, ponieważ jakiś szczegół przypominał mu Lucie. Przecież wszystko było możliwe... Ostatnio jakaś kobieta zagroziła mu policją, jeśli nie przestanie patrzeć na jej córkę. Od tej pory próbował wziąć się w garść. Najczęściej dzieci, które wzbudzały jego ciekawość, były zbyt małe. Leanderowi trudno było oswoić się z myślą, że Lucie miałyby już pięć lat,

prawie sześć. Dziecko w wieku szkolnym. Nie był pewny, czy potrafiłby odróżnić pięciolatkę od sześć- czy siedmiolatki.

Nerwowo przeglądał zdjęcia w poszukiwaniu tego, na którym mógłby zobaczyć Lucie w czerwonych butach. Nie znalazł żadnego. Buty były zbyt nowe. Chyba że... Poszedł do salonu, gdzie na dolnej półce regału stały albumy. Najładniejsze fotografie Lucie wydrukowali na papierze i całkiem tradycyjnie wkleili do albumu. W tych trzech albumach znajdowało także kilka zdjęć, które zrobili Lucie dziadkowie. Matka Leandera fotografowała z pasją lustrzanką marki Leica, a Holger Nordin miał wspaniałego starego hasselblada. Leander musiał przyznać, że ich zdjęcia były najbardziej udane. Szczególnie te jego matki były małymi dziełami sztuki. Może któreś z nich sfotografowało Lucie, kiedy była w tych butach. Oczywiście Leander wiedział, że sam bucik w zasadzie niewiele znaczy. Że to gorączkowe poszukiwanie potwierdzenia jego istnienia na zdjęciach służyło odreagowaniu i wykręceniu się od odpowiedzi na zasadnicze pytania. Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Kogoś zabić! Co za nedorzecznosc! I jak ma postąpić z Tinką – wtajemniczyć ją czy nie?

Siedział po turecku na podłodze za fotelem z albumami na kolanach. Ostatni tom był wypełniony tylko do połowy. Zdjęcia z urlopu, Lucie w piaskownicy, Lucie na plaży. Wtedy jeszcze nie miała tych butów. Potem było kilka zdjęć z Lisebergu, w tle dało się rozpoznać drewnianą kolejkę górską. Zrobione przez Holgera. Greta także przy tym była, można ją zobaczyć na jednym ze zdjęć z Tinką i Lucie. Lucie miała na sobie kolorową sukienkę i niebieskie sandały. To były jej ostatnie zdjęcia. Na odwrocie widniał napis: „lipiec 2007”. Leander był tak pochłonięty oglądaniem zdjęć, że aż się wzdrygnął, kiedy nagle usłyszał przeraźliwy krzyk.

Tinka najwyraźniej szukała go w gabinecie. Teraz stała tu z pytającym wzrokiem i trzymała w wyciągniętej ręce czerwony bucik. Listy ciągle leżały na jego biurku, na pewno już je przeczytała. Przynajmniej podejmowanie tej jednej decyzji miał z głowy.

Opowiedział jej o SMS-ie ze współzrędnymi i o tym, skąd ma ten but.

– I kiedy chciałeś mi to wszystko powiedzieć?

– Nie chciałem, żebyś niepotrzebnie się denerwowała. Myślałem, że to może być jakiś chory żart. Na tym świecie jest dużo pomyleńców.

Tinka nadal trzymała but w dłoni.

– To but Lucie – powiedziała zdyszczanym głosem, jakby biegła. – Miała je na sobie tamtego dnia. Moja matka jej je podarowała, pamiętasz?

– Nie byłem tego całkiem pewien – powiedział Leander.

Tinka podeszła do niego i wtuliła głowę w jego szyję. Jej ramiona drżały. Objął ją niezdarnie niczym nastolatek. Ulżyło mu, że ona już wie. Posiadała jasny, analityczny umysł, była bardziej pragmatyczna i w niektórych sprawach mądrzejsza od niego. Zewnętrzna delikatność okazywała się zwodnicza – Tinka potrafiła być nieustępliwa, dokładnie jak jej matka, a nawet bezwzględna i przebiegła. Uratowała ich małżeństwo, podejmując w odpowiednim czasie właściwą decyzję i bezkompromisowo ściągając cugle: ona albo my. Eva albo Lucie. Kiedy się uspokoi – Leander przypomniał sobie, z jaką konsternacją i zgrozą sam zareagował w sobotę na list – być może podpowie mu, jak to wszystko rozegrać. Poszedł za nią do kuchni.

Wstawiła wodę na herbatę. Zawsze tak robiła, gdy była zdenerwowana albo musiała się nad czymś zastanowić. Rozboliła go głowa, pomasował sobie skronie.

– Czy była wtedy w gazetach mowa o tych butach? – spytał.

– Tak, szczegółowo opisali jej ubranie.

Tinka odmierzyła herbatę i wsypała do dzbanka, skoncentrowana i dokładna, jakby na świecie nie było nic ważniejszego. Potem odwróciła się do niego.

– Dlaczego miałbyś kogoś zabić? Co to za perwersyjny pomysł?

Leander wzruszył ramionami.

– I kogo? Jak?

– Tinka, powiem ci wszystko, co wiem. A jest tego tylko tyle, ile w listach.

Nieumyślnie podniósł głos. Rozsadzało mu głowę, nie mógł jasno myśleć i to czyniło go zdenerwowanym.

– Tylko głośno myślę – odpowiedziała i kontynuowała: – Dlaczego nie zgarnął nagrody, którą proponował ojciec? Dlaczego po prostu nie zażąda pieniędzy i nie załatwi sobie płatnego mordercy?

– Płatnego mordercy nie znajdziesz w książce telefonicznej. A po tych komunikatach o plażcie... Może ten typ nie jest zainteresowany pieniędzmi, może jemu chodzi o coś innego.

– O co więc?

– Zemstę, sadyzm, jakąś zwyrodniałą grę? – zastanawiał się Leander. – Ktoś, kto mnie nienawidzi, chce mnie doprowadzić do granic wytrzymałości.

– Kto na przykład? – spytała Tinka. – Gdybyś był prawnikiem albo policjantem, tak, tacy ludzie mają zawsze wrogów... Ale ty?

– Dziękuję, że uważasz mnie za zbyt pozbawionego znaczenia, żeby mieć wrogów!

– Więc znasz kogoś takiego? – spytała, nie przejmując się jego irytacją.

– Nie. Ale w moim zawodzie ma się wrogów, o których nawet się nie wie.

– Autor, którego książkę skrytykowałeś?

Znowu ten drwiący ton.

– Na przykład – powiedział Leander. – Nawet jeśli tobie wydaje się to śmieszne.

– Ale skąd akurat on miałby wiedzieć, gdzie jest Lucie? – spytała.

– Mógłby tylko tak mówić – odrzekł.

Woda się zagotowała. Wlała ją do dzbanka.

– Co o tym myślisz? – spytała, ciągle jeszcze nadzwyczaj spokojnie.

– Że to jakiś kiepski żart. Wszystko inne byłoby... zbyt szalone!

Tinka skinęła głową. Jego odpowiedź chyba ją rozczarowała, ale teraz nie miał siły przekonywać jej do swojego zdania.

– Pomyślałem, że najpierw zażądam jakiegoś znaku życia Lucie – wyjaśnił. – To znaczy... nigdzie nie jest napisane, że ona...

– Tak – stwierdziła Tinka. – Potrzebujemy jakiegoś znaku życia.

Zacisnęła dłonie na ustach, po czym zabrała je z powrotem i spytała:

– Czy sądzisz, że jest możliwe, że ona jeszcze żyje?

Nigdy głośno nie sformułowali tego pytania. Nawet jeżeli Tinka sądziła, że Lucie nie żyje, to nigdy tego nie powiedziała. Jednak z jej zachowania Leander wywnioskował, że w ciszy uznała córkę za martwą. Jakoś musiało jej się udać przekonać o tym samą siebie. W ostatnim czasie wydawało się, że znowu uwierzyła w siebie i że przepracowuje powoli swój ból. Jemu nigdy się to nie udało, on potrzebował pewności. Pewnego razu Gunnar spytał go – w rzadkim przypływie bliskości i szczeroci – co by wybrał, gdyby mógł: Lucie, która żyje gdzieś szczęśliwie, ale on o tym nie wie, czy Lucie, która nie żyje, ale on o tym wie. Leander spontanicznie odpowiedział: „Chciałbym wiedzieć”.

A może to była ułuda. Może Tinka dobrze zrozumiała, że musi ukrywać uczucia. Charakterystyczna cecha Nordinów.

Na chwilę zapadła cisza. Tinka nalała herbaty i zaproponowała:

– Wyślijmy SMS na ten numer i zażądajmy dowodu, że Lucie żyje.

– Dobrze – zgodził się Leander. – Tak zrobimy.

Camilla coraz lepiej radziła sobie z niemowlęciem. Dopasowała się do rytmu snu dziecka. Na szczęście mała rzadko płakała. Jednak było to nudne, nieciekawe, a jednocześnie męczące życie i Camilla czasem bała się zatopienia w tym grzęzawisku.

W chwilach słabości myślała o tym, żeby wrócić do Öckerö. Ojciec na pewno by jej przebaczył, ale matka? Zaciśnęłyby usta niczym zamek portmonetki i przypominałaby o swoich słowach, iż Camilla w mieście źle skończy. *Źle skończy.*

Ale był jeszcze jeden problem: zbliżały się święta i oczywiście rodzice oczekiwali odwiedzin. Rozważała zapytanie Lillemor Söderström, czy przez dzień lub dwa zajęłaby się dzieckiem, jednak szybko porzuciła tę myśl. Musiałaby się przyznać, że rodzice ciągle nie wiedzą o jej córce. Rezulutna pielęgniarka na pewno by tego nie zaaprobowała. Nie, bożonarodzeniowa wizyta musi zostać przesunięta. W styczniu Lillemor będzie miała na pewno więcej czasu na pilnowanie dziecka. Trzy dni przed Wigilią Camilla zadzwoniła do sąsiadów rodziców, ponieważ jej rodzice ciągle nie mieli telefonu, i prosiła, aby im przekazali, że ma grypę i nie może przyjechać.

Zamówiła z katalogu zestaw gorących wałków na włosy i kiedy pewnego dnia ktoś zadzwonił do drzwi, pospieszyła do nich w radosnym oczekiwaniu z dzieckiem na ręku. Godzinę później siedziała w rozklekotanym samochodzie dostawczym ojca. Była pewna, że nigdy nie zapomni lodowatego i pogardliwego spojrzenia, którym obrzuciła ją matka, kiedy wносиła Lillemor z samochodu.

– I jak to będzie wyglądać? – spytała Ulrika Ahlborg w świąteczny dzień po obiedzie.

Camilla liczyła się z tym, że usłyszy takie pytanie, i już miała na języku gotową przekorną odpowiedź. Ostatecznie do tej pory radziła sobie bez



pomocy rodziców. Wkrótce mogłaby oddać Lillemor do żłobka i zacząć szukać pracy. Jeśli chodziło o ojca dziecka, wszystko przemilczała.

Ulrika wciąż narzekała. Nie podobało się jej, że Camilla odstawiła Lillemor od piersi. Karmienie piersią jest przecież o wiele tańsze. Nie, nie powinna od razu do niej zaglądać, jak tylko mała zapiszczy, i zaraz brać jej na ręce, w ten sposób tylko ją rozpuści. Smoczek – kardynalny błąd! Camilla to zrozumie, jak dziecko będzie miało krzywe zęby. I te pieluszki jednorazowe, dużo za drogie, czyste marnotrawstwo...

– Skoro wszystko wiesz lepiej, to ją sobie weź – powiedziała Camilla.

Ulrika stwierdziła w związku z tym, że córka tylko czeka na okazję, żeby się pozbyć małej, co z nienawiścią wyrzuciła z siebie:

– To by ci pasowało! Zwalić mi na głowę bękarta, żeby znowu móc się puszczać!

Camilla zacisnęła zęby i odpaliła bez namysłu:

– Oczywiście ty byś dostawała pieniądze na utrzymanie, które przekazuje jej ojciec. W końcu to osiemset koron miesięcznie.

– Osiemset koron, mówisz?

– Tak.

– To nie jest spektakularna suma.

– Pomyśl o tym. Jutro wyjeżdżam.

Selma nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek znalazła się w Skår, stwierdziła jednak, że niewiele straciła. Budynek stał na końcu ulicy. Teraz, w mroku, robił wrażenie zaniedbanego i nie pasował do reszty porządných domów w okolicy. To typowe dla Forsberga, pomyślała, naciskając klawisz domofonu. Nazwiska wskazywały na najemców międzynarodowych. Trzy mieszkania albo były puste, albo ich mieszkańcy woleli pozostać anonimowi. Nikt nie otworzył. Cały wieczór próbowała dodzwonić się do niego na komórkę. Bez powodzenia. Postanowiła więc przyjechać. Sądziła, że powinien wiedzieć o aresztowaniu pani Bobrow. W skrytości ducha była też ciekawa, jak Forsberg mieszka.

Drzwi się otworzyły i jakaś młoda Hinduska wypchnęła wózek. Miała na sobie niezwykle kolorowe sari. Selma przytrzymała jej drzwi i wykorzystała okazję, żeby wejść do środka. Wytarte drewniane stopnie. Coś zaskrzypiało pod podeszwami jej sportowych butów, jakby piasek z kuwety kota. Na drugim piętrze na drzwiach widniało jego nazwisko, a przez szybę nad nimi widać było zapalone światło. Nie znalazła dzwonka, zastukała więc do drzwi. Najwyraźniej przesadziła, bo zamek puścił, chociaż nie słyszała żadnych kroków ze środka. To było do niego podobne, nie zamykać drzwi na klucz.

– Greger? Hej, to ja, Selma. Jesteś tam?

Marynarka, której jeszcze nigdy na nim nie widziała, wisiała w korytarzu. Ściana obok garderoby miała tak szeroką rysę, że widać było cegły. Czy to miało być jakieś dzieło sztuki?

– Hej, jest tu ktoś?

Zamknęła za sobą drzwi i podążyła za światłem, które wydobywało się z kuchni. Mam nadzieję, że nie trafię na romantyczną schadzkę, pomyślała, ale szła dalej.

Rzeczywistość okazała się nie mniej zenująca. Forsberg siedział przy stole, obejmował szklanekę i przyglądał się jej oczami nabiegłymi krwią.

Miał krótko wystrzyżone włosy, tak że wyglądał prawie jak starszy egzemplarz Bergeröda. W powietrzu unosił się zapach alkoholu. Jeżeli butelka, która stała na stole, przed chwilą była pełna, to teraz cała jej zawartość zdążyła trafić już do organizmu komisarza. Selma zastanawiała się, czy nie powinna wyjść. Gdyby miała szczęście, Forsberg rano nie pamiętałby jej wizyty albo to wspomnienie przypisywał pijackim zwidom. Ale na aż tak pijanego nie wyglądał.

– Co tu, u diabła, robisz?

Selma zrelacjonowała mu, co usłyszała od Bergeröda, ale nie miała wrażenia, że choć w połowie ją zrozumiał. Podczas całego jej wywodu patrzył na nią tępo, a potem opuścił wzrok na zbiór pocztówek, które ludzie kiedyś tak często wysyłali z wakacji.

Selma usiadła naprzeciwko niego, gotowa na to, że będzie kazał jej sobie pójść. Ale on tylko poprosił ją o papierosa. Skręciła mu jednego, a potem drugiego dla siebie. Kiedy palili, strzepując popiół do brudnego talerza, ukradkiem rozglądała się wokół. Mieszkanie było dość czyste. W każdym razie porządek był większy niż u niej. Na ścianie za zlewozmywakiem brakowało dwóch kafelków, w drewnianej skrzyni leżały trzy puste butelki po winie, butelka po piwie i kilka kartonów po pizzy. Wszystko to nie wyglądało na melinę, a i podczas służby Selma nigdy nie wyczuła od niego alkoholu. Czy był pijakiem okazjonalnym?

Forsberg wstał, zachwiał się dość poważnie, ale udało mu się zakręcić w stronę szafki kuchennej, skąd wyjął kieliszek. Postawił go przed Selmą. Potem niczym dojrzały owoc opadł z powrotem na krzesło.

– Masz piwo? – spytała.

– W lodówce – wymruczał. Najwyraźniej nie chciał po raz drugi podejmować wysiłku wstawania.

Na lodówce stało zdjęcie dziewczynki z cienkimi blond włosami, dużymi ustami i wysokimi kośćmi policzkowymi. Szeroka, nordycka twarz – była bardzo podobna do ojca, różniła się od niego jedynie niebieskimi kocimi oczami. Wnętrze lodówki wyglądało jak u Selmy – Forsberg chyba w ogóle nie robił zakupów. Znalazła tam jednak heinekena. Usiadła, wzięła duży łyk i wtedy dostrzegła ryse, która ciągnęła się po przekątnej sufitu. Jej rozgałęzienie przypominało błyskawicę. Ktoś nawet podjął próbę, żeby ją zacementować, ale w kilku miejscach świeży gips znowu popękał.

– Dom się kruszy – zauważyła Selma.

– Wiem – odparł Forsberg.

– Co to za pocztówki?

Nie odpowiedział, tylko wydał z siebie głębokie wódczано-tytoniowe westchnienie.

Kartek było siedem: Reichstag w Berlinie, Tower Bridge w Londynie, jakaś duża budowla z kopułą, most Vasco da Gamy na rzece Tag w Lizbonie, kościół, gotycki albo coś w tym stylu, kanał, może Gracht w Holandii i ogród z palmami.

– Mogę je przeczytać?

Forsberg zaśmiał się gorzko, co Selma zinterpretowała jako zgodę. Na wszystkich pocztówkach widniał tylko adres wypisany drukowanym pismem, nic poza tym.

Komisarz napełnił sobie ponownie szklanę.

– Zaczęło się pięć lat temu. Dziś przyszła kartka z Montpellier.

Popukał palcem w pocztówkę z ogrodem botanicznym. Zważywszy na poziom alkoholu we krwi słowa przechodziły mu przez usta dość wyraźnie, stwierdziła Selma.

– Jutro... jutro Annika ma urodziny. Ale to na pewno przypadek.

Stąd to pijaństwo. Sądził, że kartki mogą być od jego córki. Co za podłość, jeśli to od niej i nie ma na nich ani słowa. A cóż dopiero za straszliwa podłość, jeśli wysyła je ktoś inny.

– Łamałem sobie głowę, czy jest w tym wszystkim jakaś cholerna logika, ale nic nie znalazłem.

– Typowe miasta turystyczne – powiedziała Selma.

Forsberg wpatrywał się w nią wzrokiem przesiąkniętym alkoholem.

– To są miejsca, o których ludzie mówią: „Chciałbym kiedyś tam pojechać”.

– Do Montpellier?

– Południowa Francja – powiedziała Selma. – Chodzi o rejon. O samym mieście nic nie wiem.

– Hm – powiedział Forsberg. – Dużo studentów i stary ogród botaniczny.

– Studenci – odpowiedziała. – To są miasta uniwersyteckie. Jak Göteborg.

– Zgadza się – potwierdził.

– Byłeś kiedyś w którymś z tych miejsc?

– Marzec 2006. Pięć dni w Edynburgu. Godzinami krążyłem pod tą przeklętą katedrą, prawie mnie zgarnęli, bo myśleli, że jestem kieszonkowcem.

Selma dużym łykiem piwa próbowała wypłukać to dziwne uczucie, które wypełniało jej piersi.

– Amsterdam, rok później. Znalazłem nawet ten cholerny kanał. Był styczeń i lało jak z cebra. Tkwiałem tam jak ten idiota i wyobrażałem sobie, że ona stoi w jakimś oknie i mnie obserwuje. – Jego usta wykrzywiły się w niezdatnym uśmiechu. – Przynajmniej raz w życiu byłem w coffee shopie.

Selma uświadomiła sobie, że też musi się znowu zaopatrzyć.

– Kartka z Turynu przyszła w sierpniu 2007 roku, w czasie sprawy z Lucie Hansson. Ale i tak bym tam nie pojechał. – Opróżnił szklanekę jednym łykiem i niedbale stłumił beknące. – Łyczka? – zaproponował.

Selma potaknęła, a on napełnił wódką na dwa palce najpierw jej szklanekę, a później swoją.

– Czy ona lubiła takie rzeczy?

– Co?

– Zagadki, zaszyfrowane wiadomości.

Wzruszył ramionami.

– A co z jej matką?

– Benedikte. Zamieszkaliśmy razem, ona studiowała, a ja byłem w szkole policyjnej. Zawsze była wyluzowana. *Cool*, jak się dziś mówi. Ale jak tylko pojawiło się dziecko... – Napił się, wytarł usta i mówił dalej: – Nic nie robiłem dobrze, obojętne, jak zajmowałem się dzieckiem, ona zawsze miała mi coś do zarzucenia. A więc pozwalałem, żeby ona robiła wszystko. Wtedy zarzucała mi, że się wymiguję. W końcu rzeczywiście się ulotniłem. Na początku widywałem Annikę regularnie, potem coraz częściej okazywało się, że córka jest chora, że jej koleżanka ma urodziny... Zawsze coś. Czasem mi to pasowało. Pracowałem, wtedy jeszcze miałem jakieś ambicje. Któregoś razu Annika podobno przestała chcieć mnie widywać, więc każdego roku na urodziny wysyłałem jej prezent.

Zrobił przerwę, aby opróżnić szklanekę. Selma też wypiła swoją wódkę. Alkohol palił niczym lawa.

– Cholera, co to za obrzydlistwo? – wydyszała.

– Pędzona na czarno, nie dla małych dziewczynek!

Selma zakaszłała.

– Benedikte i jej mąż zmarli w 2000 roku. Wypadek samochodowy. Annika trafiła do mnie. Miała dwanaście lat. Prawie mnie nie znała i miała mi za złe, że nigdy się o nią nie troszczyłem. Miała rację. Byłem okropnym ojcem.

– Bywają gorsi ojcowie niż ci, których nie ma – powiedziała Selma.

Forsberg zajrzał do swojej pustej szklanki.

– Była... no tak, okres dojrzewania. A potem ten upór... Ciągle się o coś kłóciliśmy. Sądziłem, że mnie nienawidzi.

– Jak zniknęła?

Wykonał gest, jakby chciał pogładzić się po włosach, ale zdziwiony stwierdził, że prawie nic z nich nie zostało. Wymamrotał coś o jakimś przeklętym Turku i wlał resztę bimbru do kieliszka.

– 10 października 2003 roku chciała iść na imprezę, a ja jej zabroniłem. Miała wtedy szesnaście lat. Jej chłopak... dziewiętnastolatek... kilkakrotnie był notowany z powodu kradzieży i narkotyków. Byłem tak głupi, że jej to powiedziałem...

– Co? – spytała Selma.

– Że go sprawdziłem. Była wściekła. A ja tylko chciałem ją ochronić! Ale wieczorem miałem służbę... Przecież nie mogłem jej przywiązać do kaloryfera. Następnego ranka nie zastałem jej w domu. Najpierw pomyślałem, że poszła na tę imprezę i tam zapiła. Ale nie.

– A jej chłopak? Był tam?

– Tak. Najpierw jeszcze sądziłem, że ukryła się u przyjaciół, żeby mnie ukarać. To był błąd. Człowiek popełnia tyle błędów. – Napił się i wytarł usta grzbietem dłoni. – Kiedy nie wróciła, wszystkich ich przesłuchałem od nowa: przyjaciół, przyjaciółki, kolegów z klasy... Nikt nie wiedział, gdzie była, podobno z nikim się nie kontaktowała. Chłopak, Boris Lindström, zgotowałem mu piekło, tygodniami był nadzorowany. – Forsberg wykrzywił usta. – Teraz jest bankierem! Nawet pasuje...

– Zabrała coś ze sobą? – spytała Selma.

– Tak. Ulubione ubrania, notes z adresami, paszport i trzy pluszaki. I zdjęcie matki.

– Żeby zniknąć, potrzebna jest pomoc.

– O ile ją znam, po prostu wyjechała. Pewnie autostopem. Może natknęła się na jakąś świnię...

Selma raz jeszcze przyjrzała się siedmiu pocztówkom: Edynburg, Amsterdam, Turyn, Berlin, Londyn, Lizbona, Montpellier. Pierwsza po prawie trzech latach.

– Chcesz zobaczyć jej pokój? – spytał Forsberg.

Powiedziała, że tak, chociaż wcale nie miała na to ochoty. Zbyt osobiste. Jutro Forsberg będzie ją za to nienawidził.

Wstał, odsapnął, zachwiał się trochę, a potem poszedł przed siebie, na końcu korytarza otworzył drzwi, na których znajdowała się naklejka z pięścią i wyprostowanym środkowym palcem.

Typowy pokój nastolatki, w którym zewnętrzny chaos odzwierciedla wewnętrzny bunt. Plakaty zespołów spod znaku rocka gotyckiego i *dark wave* wisiały na ścianach, z których dwie pomalowano na czarno, a dwie na krwistoczerwono. Na regale obok podręczników stały powieści historyczne, sagi i książki fantasy, w tym przynajmniej dziesięć tomów Eyji de Lyn.

– Też je wszystkie przeczytałam! – zawołała Selma. – Księżniczka elfów Ámunda, jej oswojony orzeł Mýsingur i nocna wróżka Druna... – wyliczała niczym starych znajomych.

Forsberg przyglądał się jej, jakby była jakimś dziwołagiem.

– Nie znasz tych książek? – spytała.

– Nie – odpowiedział.

– Myślę, że nie ma dziewczynki, która by ich nie przeczytała.

– Nigdy nie byłem dziewczynką – zauważył.

Łóżko przykrył sklejonymi workami na śmieci, na których leżały teraz białe kawałki gipsu.

– Miała bzika na punkcie czarnego koloru – potrząsnął głową. – Ja, idiota, sądziłem na początku, że to z powodu matki. Że była w żałobie. Możesz to sobie wyobrazić?

– Tak – odparła Selma.

– Przekłuła sobie brwi, następny miał być język. Przez to i całe to gotyckie gówno także często się... – W połowie wyjaśnień przerwał, spojrzał na Selmę i machnął zrezygnowany ręką. – Ach, cholera!

Selma chciała mu powiedzieć, że ona tylko dlatego ubiera się na czarno, bo jest to kolor nierzucający się w oczy. Ale on by tego pewnie nie zrozumiał, a nawet gdyby, to był tak pijany, że jutro by nie pamiętał. Zamiast tego przyjrzała się kolekcji płyt: były tu gotyckie zespoły jak Corpus Delicti, Ataraxia, Fading Colours, Grūxshadows, Specimen,

Skeletal Family, a także viking rock i viking metal reprezentowane przez: Ultima Thule, Nidhöggs Vrede, Månegarm, Mithotyn, Thyrfing i Borknagar.

– Słuchałeś tego kiedyś? – spytała.

– Ja? Cały dom! Jak sądzisz, dlaczego kruszy się tu sufit?

Selma wyjęła jedną płytę:

– Zobacz, Månegarm to zespół blackmetalowy z Norrtälje. Potężny wilk Månegarm żył w Järnskogen, czyli w Żelaznym Lesie, i dożywił się krwią umarłych. Według legendy to Månegarm powodował zaćmienie słońca, podczas którego wstrzykiwał sobie tak dużo krwi umarłych, że słońce robiło się od tego czarne.

– Bardzo poetyckie.

– Przynajmniej dzieciaki poznają nordycką mitologię.

– Czy tego nie słuchają głównie sataniści i neonaziści?

– Bzdury! Sama słucham tego od czasu do czasu.

Z wyrazu twarzy Forsberga dało się odczytać, że w jego oczach Selma stanowi idealny dowód na szkodliwość tego stylu muzycznego.

Inne światy, pomyślała Selma. Ojciec i córka. On i ja.

– A ty jakiej muzyki słuchasz? – spytała.

– Ja? – zdziwił się Forsberg.

– Tak.

– Bluesa. Czasem soulu. Nieczęsto.

Blues. Soul. Brązowy i fioletowy.

– Czy miała coś wspólnego z satanizmem albo prawicową sceną muzyczną?

– Nie, to raczej taka poza.

– A może ta muzyka jej się po prostu podobała... – powiedziała Selma. – Co wiesz o Turynie? – zapytała ni stąd, ni zowąd.

Forsberg przytrzymał się framugi drzwi, a mimo to chwiał się, jakby stał na pokładzie statku na wzburzonym morzu.

– Fiat i piłka nożna.

– Mówi się, że w Turynie diabeł poczułby się jak w domu. To miasto zabobonów i czarnej magii. Odbywają się tam nawet czarnomagiczne wprowadzania po mieście. To miasto fanów rocka gotyckiego.

Selma musiała przyznać, że jej szef teraz nie wyglądał zbyt inteligentnie.

– Myślisz...?



– Idę już – powiedziała Selma. – Przestań pić.

Wymamrotał, że tak czy inaczej w butelce nic już nie zostało. W każdym razie dał radę odprowadzić Selmę do drzwi.

– A ty? Idziesz jeszcze do jakiejś gotyckiej nory, tak?

Czy rzeczywiście był tak głupi, czy tylko udawał? Selma doszła do wniosku, że po pierwsze jest pijany, a po drugie nieszczęśliwy. A jutro będzie miał morderczego kaca.

– Nie – odparła. – Teraz idę poleżeć z Amundsenem na kanapie.

Tinka położyła się sama do łóżka. Leander stwierdził, że chce jeszcze poczytać, co oznaczało, że dalej siedzi w gabinecie i rozmyśla. Oczywiście ona także nie mogła spać. W głowie kłębiły jej się niezliczone pytania. A jeśli Lucie żyje?

Historii o mężczyźnie w kawiarni przed halą targową, którego wzięła za kolegę Axela, nikomu do tej pory nie opowiedziała. Często pytała samą siebie, czy gdyby tam wtedy nie stała i nie przypatrywała się nie wiadomo jak długo nieznanemu, utrudniłaby porwanie. Ale co by to dało, że komisarz i Leander wiedzieliby o tym? Nie miałyby to żadnego wpływu na przebieg śledztwa. W każdym razie to nie ten mężczyzna uprowadził Lucie, bo to Tinka by zauważyła. Zdawała sobie sprawę z tego, że mąż i tak przypisuje jej dużą porcję winy za to, co się stało, nawet jeśli tego nie mówi na głos. Jeśli Leander dowie się o tym, zostawi mnie, stwierdziła wtedy. Potem było już za późno, aby powiedzieć prawdę, i byłoby to zresztą całkiem bezsensowne.

W pierwszych dniach Tinka kurczowo trzymała się słów Forsberga. Komisarz sądził, że to była jakaś kobieta z zaburzonym instynktem macierzyńskim, która miała tylko niesłychane szczęście, że udało się jej niezauważonej uprowadzić dziecko spod hali targowej. Ale im więcej czasu minęło – a żaden ślad po Lucie się nie pojawił – tym bardziej wątpiła w tę teorię. A ponieważ nie знаła prawdy, sama ją sobie stworzyła i już się z nią pogodziła: Lucie była martwa. Ta myśl była bardziej pocieszająca niż ta, że córka mogłaby gdzieś wieść życie, jakie przez osiem lat musiała znosić Natascha Kampusch, austriacka dziewczynka, która w końcu zdołała uciec porywaczowi w 2006 roku, czyli rok przed zniknięciem Lucie. Jednak Tinka nie mogła uniknąć tego, aby to wyobrażenie we wszystkich jego

najokropniejszych aspektach nie straszyc jej we snach. Budzila sie z nich wczesnym rankiem z uczuciem wstydu.

– Czy nadal bys mnie kochala, gdybym zostal morderca? – spytal ja dopiero co Leander, a ona sklamala i powiedziala, ze nie, poniewaz nie chciala, zeby nawet o tym myslal i dal sie poniec pomyslowi tego szaleńca.

Camilla znalazła zatrudnienie w domu towarowym w dziale z perfumami. Praca jej się podobała, mimo że wieczorami bolały ją stopy. Wynagrodzenie nie było wygórowane, ale zostawało jej jeszcze czterysta koron z pieniędzy na utrzymanie Lillemor, miesięcznie miała więc do dyspozycji tysiąc dwieście koron i jeszcze przez rok mogła za darmo mieszkać w Roselund. Ogólnie rzecz biorąc, nie jest tak źle, myślała. Znowu widziała przyszłość w różowych barwach. Często bywała teraz w lokalach dla studentów. Zainteresował się nią pewien student medycyny i Camilla widziała się już w roli żony ordynatora jakiejś dużej kliniki.

Co trzy–cztery tygodnie jeździła do Öckerö, gdzie odwiedzała córkę. Matka tego od niej oczekiwała. Ulrika potrzebowała kogoś, komu mogłaby się pożalić na swój los: interes szedł źle, mąż był chory i najczęściej bezrobotny, a miała jeszcze na głowie dziecko swojej nieudanej córki. Camilla wysłuchiwała lamentów matki bez komentarza, ponieważ nie chciała jej rozdrażnić i niechęć popchnąć do oddania dziecka.

Czasami, wracając do miasta, myślała o metodach wychowawczych Ulriki. Żeby oduczyć Camillę ssania kciuka, nacierała jej palce skórkami od papryczki chilli, a kiedy córka robiła błąd podczas szydełkowania, nie dawała jej kolacji. Z drugiej strony – czy nie jest tak, że babcie bywają łagodniejsze i bardziej cierpliwe wobec wnuków? W każdym razie dziecko sprawiało wrażenie radosnego. A ostatecznie trochę dyscypliny mu nie zaszkodzi. Poza tym był tam jeszcze ojciec Camilli. On jej nigdy nie bił.

Zaświtał szary poranek. Dragan prowadził mechaniczną zamiatarkę wzdłuż muru nabrzeża. Wszystko musiało być czyste, kiedy potężny statek z Kilonii przybędzie o dziewiątej. Turyści nie powinni już na wstępie wyrobić sobie złego zdania o mieście. Drugi raz przejeżdżał obok gromady mew, które kłóciły się o coś w wodzie tuż obok muru. Niektóre z ptaków trzymały coś w dziobie, odlatując z tym dalej, żeby spokojnie gdzieś usiąść i zjeść. Jakaś padlina? Dragan westchnął. Ludzie wrzucają do wody wszystko, co się da, albo z lądu, albo ze statku. Widział już kilka martwych kotów kołyszących się w basenie portowym, raz nawet psa. Zatrzymał się, zajrzał do wody i nagle jego żołądek się skurczył. Patrzył na ludzkie ciało albo raczej na jego szczątki.

– A kysz stąd – zawołał i zamachał rękami.

Chciwe ptaki nie dały się łatwo przepłoszyć, wręcz przeciwnie: kilka latało nad jego głową w bojowym nastroju, tak że czuł uderzenia powietrza od trzepotu ich skrzydeł. Gotowe bronić łupu wydawały głośne i agresywne krzyki. Dragan uniesionymi ramionami chronił głowę, ciągle jeszcze zaszokowany widokiem ciała. Czy te potwory oderwały topielcowi głowę? Teraz obsiadły tułów. Ostrymi dziobami przebiły właśnie powierzchnię brzucha i rzuciły się na trzewia. Dragan od dawna nie znosił mew, ale po tym, co zobaczył, wiedział, że nigdy się już nie wyleczy z niechęci do tych ptaków. Ocknął się z osłupienia, zrobił kilka kroków i wymiotował. Potem zadzwonił do szefa, ponieważ ciało musiało stąd zniknąć. Co by pomyśleli turyści?

Greger Forsberg spojrział w lustro i musiał stwierdzić, że przez noc nie wypiękniał. Siwy jednodniowy zarost pokrywał jego policzki niczym szron, jaskrawoczerwone żyłki przecinały białka oczu. Na szczęście istniały na to genialne krople. Z wysiłkiem wykonał podstawowe czynności higieniczne, ubrał się i poszedł do kuchni. Poczówki leżały rozrzucone na stole wokół

pustych butelek po wódce. Sprzątnął butelki, ułożył pocztówki w stos, zrobił kawę i spróbował zjeść wyschnięty chleb tostowy. Z ulgą stwierdził, że jedzenie się w nim utrzymało i mdłości powoli ustępują. Pogrążony w myślach pojechał rowerem do pracy. To, co Ptaszyca mówiła mu wczoraj o Turynie, pamiętał mimo upojenia alkoholem. Ale dlaczego właściwie Selma się u niego pojawiła? Co wpadło do głowy tej niemożliwej osobie, żeby po prostu przyjść do jego domu, jakby byli starymi przyjaciółmi? A tak: Bobrow została zamknięta za prostytutkę. To najwyraźniej bardzo wzburzyło Ptaszycę. Nabrał powietrza. Kobiety! Wczoraj zaprosił Evę na kolację, ale odmówiła, twierdząc, że wiking już coś ugotował. Gotujący doradca finansowy, który ją rozśmiesza. Świat stoi nad przepaścią, pomyślał zrezygnowany. Ale dużo bardziej zajmowało go wspomnienie wczorajszej rozmowy z Evą przed domem Cederlundów. To był tylko mglisty ślad, lecz nie aż tak mglisty, żeby go nie sprawdzić. W każdym razie musi załatwić to dyplomatycznie, żeby zatuszować swoją rolę w tej sprawie.

Gdy przekroczył próg komisariatu, miał już obmyśloną strategię działania. Najpierw skierował się do automatu z kawą, a potem do gabinetu Andersa Gulldéna. Ten właśnie w pośpiechu zgarniał papiery z biurka do skórzanej aktówki.

– Dwie minuty! Przyniosłem ci kawę – powiedział Forsberg.

Kilka kropli wylało się z filiżanki, kiedy zbyt zamasyście postawił kawę na biurku.

Szef, pomrukując, usiadł w fotelu i starł wylany płyn chusteczką.

– O co chodzi? Muszę iść zaraz na zebranie. Dziś wczesnie rano przy nabrzeżu, do którego wpływają promy z Niemiec, wyłowiono ciało bez głowy.

Forsberg wpatrywał się w niego. *Ciało, Annika...*

– Greger, co jest? – Gulldén bębnił palcami w biurko.

Komisarz odchrząknął nerwowo.

– Chcę ponownie przeprowadzić procedurę zabezpieczenia śladów w domu letnim Cederlundów. Podejrzewam, że Magnus Cederlund miał coś wspólnego ze zniknięciem Walerii Bobrow.

Twarz Gulldéna się zachmurzyła.

– Wiesz, o czym ty mówisz?

– Tak.

– Wiesz, co oznaczałoby oskarżenie w tym wypadku? Wyobrażasz sobie, co się stanie, kiedy prasa coś zwęszy?

– Wskazówka przyszła od prasy. Ale ona... Mój informator będzie siedzieć cicho, póki nie będziemy mieli dowodów. Na przykład śladów DNA.

– Jak ten twój informator doszedł do takich wniosków?

– No, chyba włamał się do domu – ci ludzie nie mają żadnych skrupułów – i w jednej sypialni znalazł lalkę.

– Lalka należała do zaginionej dziewczynki?

– Tego nie wiem – powiedział Forsberg. – Ale może są na niej odciski palców.

– Nigdy przecież nie było mowy o żadnej lalce, czyż nie?

– Nie.

Miś, żadnej lalki. Miś, który nie pochodził od Bahar, przyjaciółki Walerii.

– Z powodu lalki w domu letnim mam zarządzić przeszukanie? – spytał Gulldén i spojrzał na Forsberga, jakby mu się poprzestawiały klepki.

*Ciało w rzece.*

– Co? Nie. To nie tylko lalka. Daty... To przecież podejrzane. Waleria zniknęła 15 sierpnia, a Cederlund zastrzelił się dzień później.

Gulldén napił się kawy. Jego mina buldoga zdradzała, co myśli o toku rozumowania Forsberga.

– No i jest coś jeszcze – powiedział komisarz. – Wszystko zostało tam przetrząśnięte. Dokładnie tak jak w willi w Långedrag.

Twarz Gulldéna się rozjaśniła.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu? Włamanie to coś porządnego, z czym można iść do prokuratora. I oczywiście byłoby mi na rękę, gdyby wreszcie w tej sprawie coś się ruszyło. Nie wiem już, co mam opowiadać prasie i prokuraturze.

Forsberg zniósł tę przyganę bez słowa komentarza.

*Ciało. Bez głowy.*

– Twój informator... jest godny zaufania?

– Tak.

Gulldén rozciągnął się na całe swoje dwa metry.

– Dobrze, porozmawiam potem z prokuratorem. Ale na razie nikomu ani słowa, Forsberg! Oficjalnie przeszukujemy dom z powodu włamania,

jasne?

– Jasne – odpowiedział komisarz.

Podążając za szerokimi plecami Gulldén, skierował się ku drzwiom.

– Powiedz jeszcze, to ciało... – zaniemówił, kiedy zobaczył, że Gulldén wpadł na korytarzu na Ptaszycę.

– Hola! Dokąd to tak spieszo? – zatrąbił szef.

Bez trzymania się zbędnych zwrotów grzecznościowych Selma wyrzuciła z siebie, że musi natychmiast z nim pomówić. Wyglądało na to, że dopiero później zauważyła Forsberga wyłaniającego się zza masywnej sylwetki Gulldén.

– Idę na zebranie, zajmij się nią – warknął Gulldén. Najwyraźniej był zdenerwowany, że cały referat do spraw osób zaginionych akurat dzisiaj go nachodzi, chociaż zazwyczaj wyróżniał się nieobecnością na zebraniach i nie słychać z rozmowności ani umiejętności pracy w zespole.

– Ale ja... – zaprotestowała Selma.

– Za mną, natychmiast! – Mina Forsberga była niczym zaciśnięta pięść, więc Ptaszyca posłusznie podreptała za nim. Z czystego sadyzmu kazał jej pozostać jeszcze chwilę w niepewności i w milczeniu szukał w swoim biurku aspiryny, a kiedy wreszcie ją znalazł, wyjął jedną tabletkę z opakowania i popił łykiem zwietrzałej coli. Nie zaszkodzi, pomyślał, jeśli Selma od czasu do czasu sobie przypomni, że on jest jej przełożonym, szczególnie po wczorajszym wieczorze, który na pewno nie przyczynił się do wzbudzenia w niej szacunku wobec niego. Znowu poczuł nieznośne pulsowanie w głowie.

Ptaszyca obwarowała się za monitorem komputera, ze wzrokiem będącym mieszanką przekory i niepewności. Ponieważ Forsberg nadal milczał, wyrwała się z wyjaśnieniem.

– Nie wiedziałam, o której przyjdiesz, i kiedy o dziewiątej cię jeszcze nie było... – Hardo zadarła brodę. – Trzeba coś przecież zrobić w sprawie Oksany Bobrow!

– Dlaczego? Przynajmniej póki siedzi, jest łatwo dostępna. Może wreszcie się wygada, gdzie przebywa Krull i czy jest jej sutenerem.

W spojrzeniu Selmy, które mu posłała, była czysta pogarda.

– O co ci chodzi? – zdenerwował się. – Przecież to ona złamała szwedzkie prawo, a nie ja. Nie mam nic przeciwko dziwkom ze wszystkich stron świata, przeciwnie, zapraszam! – Nagle rozbawiony, rozłożył

teatralnie ramiona w powitalnym geście, kontynuując: – Teraz musi ponieść konsekwencje, nawet jeśli właśnie zaginęła jej córka. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. A jeśli już, to powinna usłużnie otworzyć buzię, żeby raz dla odmiany coś powiedzieć.

– Skończyłeś już swój macho show? – spytała Selma.

– Tak – odpowiedział Forsberg. – Byłem dobry?

– Dowiedziałam się trochę o misiu – zignorowała go i wskazała za siebie, gdzie obok wysuszonego kwiatka w doniczce siedział brązowy pluszak i z wyrzutem spoglądał na Forsberga swymi szklanymi oczami. – Można go kupić wszędzie. W ostatnim półroczu takie misie jako gadżet reklamowy otrzymywali też pasażerowie klasy biznes linii lotniczych SAS.

Klasa biznes, pomyślał Forsberg. Zadzwoił jego telefon. To była Malin.

– Greger, ja w sprawie ciała na przystani promów...

Forsberg przełknął ślinę:

– Tak?

– Właśnie przyszedł wstępny raport lekarzy sądowych. Śmierć przez dwa pchnięcia nożem w lewą komorę serca i brzuch, odcięcie głowy nastąpiło *post mortem*. Martwy został zidentyfikowany poprzez odciski palców, jego nazwisko brzmi Iwan Krull, obywatel Estonii.

– Krull – powiedział Forsberg i posłał pojednawczy uśmiech w kierunku Ptaszycy.

– Po głowie nie ma śladu.



Wiosną pulchna dziewczyna, która kiedyś pracowała z Camillą w tym samym biurze, kupiła u niej szminkę do ust. Miała na imię Ingegerd. Nawet jeśli wiedziała o prawdziwych powodach zwolnienia Camilli, nie dała tego po sobie poznać, a ponieważ w sklepie był mały ruch, Camilla wdała się z nią w rozmowę. Dowiedziała się, że jędrza złamała nadgarstek – *i dobrze jej tak!* – i że Ingegerd boi się teraz o swoje stanowisko. Szef się podobno rozwodzi i musi zapłacić dużą odprawę. Fabryka papieru w Sunne została już sprzedana, i było wątpliwe, czy biuro przy porcie się utrzyma. A jeśli już, to ze zmniejszoną załogą.

Kariera Ingegerd była Camilli najzupełniej obojętna, ale słowo „rozwód” ją zelektryzowało. Zasypała dziewczynę próbkami perfum i szminek, mówiąc, że ucieszyłaby się, gdyby znowu do niej wpadła.

Wróciły stare marzenia i stłumione tęsknoty. Wbrew najlepszym chęciom w kolejnych tygodniach Camillą zawładnęły wyobrażenia, że on się u niej pojawi, kiedy tylko cała sprawa się zakończy. Ale nie opuszczało jej dręczące pytanie: dlaczego teraz zdecydował się na rozwód? Dlaczego nie rok temu? Mroczne przypuszczenie coraz śmieiej panoszyło się w jej głowie.

Próbki kosmetyków spełniły zadanie – Ingegerd była teraz częstym gościem w dziale z perfumami. Donosiła, że rozwód już nastąpił, ona chyba zachowa stanowisko, a szef ma nową przyjaciółkę. Widziała ją.

– Ma prawie tyle samo lat, co my!

I jest w ciąży.

Dziecko ma się urodzić w listopadzie. Syn.

Szef postawił szampana, paplała Ingegerd. Camilli zdawało się, że świńskie oczka koleżanki świecą szyderczo, a jej śmiech jest podły i chytry.

Powiedziała Ingegerd, że tym razem, niestety, nie ma żadnych próbek.

Syn.

Cztery tygodnie później Camilla siedziała w pomieszczeniu pracowniczym sklepu. Miała półgodzinną przerwę na odpoczynek od bożonarodzeniowego zgiełku. Masowała sobie napuchnięte stopy i przeglądała gazetę, kiedy zobaczyła nadęte ogłoszenie o zaślubinach. Od tego momentu jej nienawiść zyskała imię.

Leander wziął dzień wolny. Nie mógł pójść do rozgłośni i pracować, jakby wszystko było w porządku. Co, jeśli nieznajomy zadzwoni i to być może w czasie zebrania? Tinka też została w domu. Zakopała się w kuchni i piekła cynamonowe ślimaczki. To ją uspokaja, powiedziała, a Leander, który zdenerwowany snuł się po mieszkaniu, obserwował, jak odmierza precyzyjnie co do grama składniki, jak niegdyś jego matka w aptece, kiedy przygotowywała maść.

„Żądam dowodu, że Lucie żyje”, odpisał wczoraj wieczorem SMS-em. „Chcielibyśmy...”, najpierw chciał napisać, ale Tinka pomyślała, że byłoby lepiej, aby przeciwnika zostawić w niepewności co do wtajemniczenia jej w sprawę.

– Poza tym „chciałbym” jest zbyt uprzejme, aby w ten sposób korespondować z tym gnojkiem – dodała.

Leander przyznał jej rację i w przypiływie wisielczego humoru pomyślał, że szantażysta trafił pod niewłaściwy adres ze swoim zleceniem morderstwa. Jeśli którekolwiek z nich miałyby do tego nerwy, to prędzej Tinka niż on. W każdym razie ona dysponowała pewnym doświadczeniem w tej kwestii.

Na początku ich związku czasem pytał ją podczas porannych pożegnań, w połowie w żartach, w połowie ze współczuciem, czy znowu idzie męczyć szczury. Któregoś razu nie wytrzymała.

– Do twojej wiadomości: prowadzimy badania nad alzheimerem i tak, kilka myszy i szczurów musi to znieść, i nie tylko one. Oczywiście to wszystko odbywa się bezkrwawo i na pewno jest tak samo ważne dla ludzkości, jak filozofowanie o wierszach Edith Södergran albo porównywanie ze sobą dzieł, takich jak *Autostopem przez Galaktykę*[2] i *Dziura w słoninie*[3].

Po tych słowach zatrzasnęła za sobą drzwi, a Leander zawołał za nią:

– Nie mam nic przeciwko Mikaelowi Niemi!

Zaśmiał się i potrząsnął głową. Z powodu takich błahostek się kiedyś kłócili!

Jeszcze żadne z nich nie powiedziało tego głośno i pewnie się to nigdy nie zdarzy, ale odkąd Lucie zniknęła, ich małżeństwo wróciło na spokojne tory. Ból po jej stracie przykrył stare zadry i uodpornił na okrucieństwa, jakie życie miało dla nich w zanadrzu.

W ciągu ostatnich czterech lat Leander czasem myślał o tym, jak by to było, gdyby on i Tinka się rozwiedli i każde z nich miało nowego partnera. Nowi partnerzy, nowe dzieci... Czy udałoby się im przewyciężyć ból po Lucie? Nawet o tym rozmawiali – teoretycznie. Tinka uważała, że z czegoś takiego nie da się po prostu otrząsnąć, a on przyznał jej rację, więc wszystko pozostało w teorii.

Z kuchni zaczął dobiegać wspaniały zapach. Leander krążył po pokoju, podchodził do okna i wyglądał za rowerem listonosza. Jeśli przysłałby zdjęcie, można by było iść z nim na policję. W czasach sieci społecznościowych, gdyby mieli aktualne zdjęcie Lucie, byłyby duże szanse na jej odnalezienie. Hipnotyzował wzrokiem komórkę, ale ta milczała. W końcu usiadł w gabinecie i włączył komputer. Przynajmniej powinien spróbować trochę popracować.

Mógłby jeszcze wygładzić recenzję książki Torbjörna Flygtsa, potrzebuje też czegoś do złośliwego felietonu *Nowości z radiowej dziupli*. Miał osiem wiadomości na pracowniczej skrzynce. Jedna przyszła od [luciegoeteborg@hotmail.com](mailto:luciegoeteborg@hotmail.com).

– Tinka!

Wpadła do pokoju otoczona zapachem cynamonu i masła. Wytarła ubrudzone w mące dłonie o dzinsy i patrzyła Leanderowi przez ramię, podczas gdy on otwierał e-mail. Wiadomość zawierała tylko link składający się z mieszanki cyfr i liter. Kliknął.

Był tam film wideo bez głosu. Zaczynał się niewyraźnie, było jednak widać zarys kilku osób. Potem zostało pokazane zbliżenie na dziewczynkę z gładkimi brązowymi włosami. Można ją było zobaczyć tylko od tyłu, kosmyki włosów miała związane czerwoną gumką. Musiało być wtedy ciepło, bo nosiła oliwkowozielone spodnie, które sięgały do łydki, sandały i jasnoniebieską koszulkę. Teraz wychodziła z kadru, a jej ciało – szczupłe, ale nie chude – rzucało krótki cień. Jej ramię było wyciągnięte, jakby ktoś za nie ciągnął. Potem nagle się zatrzymała i odwróciła. Pokazała się twarz

z lekko otwartymi ustami i okrągłymi oczami. Nie wydawały się tak duże jak kiedyś, jednak wyraz oczu i sposób, w jaki trzymała głowę były typowe dla Lucie. Leander dopiero teraz, w tej chwili, przypomniał sobie o tym. Patrzyła z zainteresowaniem na coś poza kamerą. Potem spojrzała w obiektyw. Fala przepłynęła przez jego ciało, poczuł się tak, jakby spojrzała wprost na niego. Słyszał, jak Tinka mocno nabiera powietrza. Czoło dziewczynki zmarszczyło się, jak wtedy, kiedy Lucie coś się nie podobało. Odwróciła głowę, obraz nagrania się poruszył i ekran zrobił się czarny.

Leander poczuł, jak jego serce przyspiesza, a gardło wypełnia mu piasek. Tinka zakryła usta dłonią, i wydała z siebie zduszony dźwięk.

Popatrzyli po sobie. Potem Leander spojrzał w ciemny ekran. Zaciśnął pięści. Lucie żyje i jest nagranie wideo! Można skopiować zrzut z ekranu i wysłać w świat, można wideo pokazać w wiadomościach telewizyjnych, na YouTube... W policji są zapewne specjaliści, którzy na podstawie starych zdjęć i nagrania wideo mogą wywnioskować, czy tą dziewczynką rzeczywiście była Lucie. Sądowni antropolodzy. Tak się ich przecież fachowo nazywa. Dobre sobie – zabić kogoś, dobre sobie – „żadnej policji”!

– Jeszcze raz – ciepły oddech Tinki musnął jego ucho. Wyciągnęła z kąta składane krzesło i usiadła na nim wykrzywiona, jakby bolał ją brzuch.

Leander otworzył e-mail raz jeszcze i kliknął link.

*The content of this video is no longer available.*

Spróbował raz jeszcze i jeszcze.

*The content of this video is no longer available.*

– Co... co się dzieje? – zawołała Tinka.

Leander uderzył w klawiaturę.

– Gównno, gównno, gównno! Nie idzie! Albo poczekaj...

– Co zamierzasz?

– Poczekaj! – przekierował e-mail na prywatny adres i spróbował odczytać go na notebooku, ale znowu pojawiał się tylko ten angielski tekst.

– Nie pójdzie więcej – powiedziała Tinka. – Ale to była ona, prawda? To ona?

– Tak myślę. – Leander podskoczył i walnął się w czoło. – Idiota ze mnie! Straszliwy idiota!

– Dlaczego tak mówisz? – Odwróciła się do niego.

– Mogłem przecież choćby nagrać to wideo!

Zapał się w sobie. Poczł dłoń Tinki na ramieniu.

– Kto myśli o czymś takim? – powiedziała.

Nagle poczł zapach spalenizny. Cynamonowe ślimaczki. Tinka wstała i bez pośpiechu wyszła z pokoju.

Po chwili Leander doszedł do siebie. OK, ta runda należy do tamtego. Najważniejsze, że wiedzą, iż Lucie żyje. Czy naprawdę wiedzą?

Tinka wróciła. Wyglądała na spokojną. Nie, nie spokojną. Tylko na opanowaną.

Zapiszmy wszystko, co zobaczyliśmy na tym nagraniu, żebyśmy nic nie zapomnieli – powiedziała.

– Dlaczego?

– Tak po prostu – odparła i zaczęła wyliczać. – Jej ubranie: niebieska koszulka, brązowe spodnie bojówki długości trzy czwarte...

– Oliwkowozielone – dodał Leander, zapisując słowa Tinki w notesie. – Sandałki, brązowe.

Co oni właściwie robili? Czy Tinka chciała z tym pójść na policję? Leander poczuł się zbyt bezsilny, aby w tej chwili rozważyć z nią wszystkie za i przeciw, a poza tym żona miała rację – teraz wspomnienie z nagrania było jeszcze świeże, planowanie można przesunąć na później.

– Nie była już taka chuda jak kiedyś – powiedział. – Twarz miała pełniejszą, a włosy ciemniejsze. Jasnobrązowe.

– Raczej ciemny blond – zauważyła Tinka. – I bez loków. Włosy do brody, może trochę dłuższe.

Wyczuł zdenerwowanie za jej rzeczowym tonem. „Gładkie włosy, ciemny blond, do brody”, zanotował.

– Zęby – powiedziała Tinka.

– Co z nimi? Chyba miała zęby?

– Widziałeś jakieś? W tym wieku dzieci często są szczerbate.

Potrząsnął głową.

– To szło za szybko. Myślę, że miała zamknięte usta. Ale buzia... to była na pewno buzia Lucie! Czyż nie?

Tinka potaknęła.

– W każdym razie była na zewnątrz – powiedział. – Tam było więcej osób, na początku nagrania. Nie jest więc trzymana w ukryciu. Myślę...

– Wiem, co myślisz – odpowiedziała Tinka szybko.

– Nagranie było z lata. Może tego lata.

– Tak – powiedziała Tinka. – Sądzę... – Przerwała.

– Co? – spytał Leander.

– Ach, nic.

– No powiedz.

– Wyglądała na zdrową. Wygląda... – Tinka przełknęła ślinę, a potem przez łzy wydusiła z siebie: – Wygląda na to, że dobrze jej się wiedzie.

– Tak – odpowiedział Leander i spróbował przywołać najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Włochaty różowy ręcznik w białe kropki, żółtka kacuszka z materiału, zielona kanapa. Zamarznięte jezioro. Nic więcej. Ile wtedy miał lat, trzy? Chłopiec z sąsiedztwa, któremu zawsze z nosa zwisał smark, czerwona koparka, tygielki i garnuszki na zapleczu apteki, których nie mógł dotykać, przedszkole... Wtedy miał już cztery lata. Od tej pory wszystko zaczyna być wyraźniejsze. Wtedy dopiero pojawiają się też twarze rodziców. Jeśli Lucie żyła, to on i Tinka egzystują w jej podświadomości jedynie jako cienie. Ta myśl go zasmuciła, poczuł gulę w gardle i właśnie chciał wstać, zrobić coś, może pójść do łazienki, wysikać się, napić wody, kiedy zadzwonił domofon. Oboje się wzdrygnęli.

– Idź ty, proszę – powiedział.

Kurier – wywnioskował z ciężkich kroków na klatce schodowej i krótkiej rozmowy przy drzwiach między mężczyzną a Tinką.

Tinka weszła do gabinetu z paczką wielkości pudełka na buty. Nie było na niej danych nadawcy. Leander wziął ją bez słowa i rozdarł papier. Między kilkoma kawałkami folii bąbelkowej leżała broń. Pistolet. Rękojeść była rowkowata, a lufa połyskiwała matowo i niebezpiecznie. Były tam także małe pudełko z nabojami i liścik: „Do ćwiczeń. Kolejne instrukcje nastąpią później”.

Selma zamówiła taksówkę, żeby pojechać do Lundby. Musiała poświęcić przerwę obiadową, ponieważ nie miała ochoty wtajemniczać w sprawę Forsberga zajętego przesłuchiwaniami Oksany Bobrow. Rosjankę dzięki jej staraniom zwolniono z aresztu deportacyjnego, żeby mogła opiekować się dzieckiem. Ale dziś rano zatelefonował szef, żeby dowiedzieć się o jakieś badania DNA z domu letniego.

– Co, dopiero dziś?! – wrzasnął i rzucił słuchawką.

Kiedy Selma spytała, o co chodzi, opieprzył ją, że powie jej w swoim czasie. Dupek, pomyślała i podjęła decyzję: skoro on ma swoje tajemnice, to i ona może mieć swoje. A poza tym jest duże prawdopodobieństwo, że wszystko pójdzie na marne. Wtedy nie będzie musiała znosić drwin Forsberga.

Ale to nie pasowało. Dane się nie zgadzały.

Pernilla Nordin mówiła w niedzielę o jakimś „bachorze”, na którego jej ówczesnego męża złapała jakaś „lafirynda”, a przez co zażądała rozwodu. Selma najpierw założyła, że musiało chodzić o Gretę Nordin, a dzieckiem, na które złapała męża, był Gunnar. Jednak Gunnar Nordin według biura meldunkowego urodził się 11 listopada 1975 roku jako Gunnar Darpö i po zawarciu małżeństwa w grudniu 1975 roku otrzymał nazwisko Nordin. Małżeństwo Pernilli i Holgera przestało istnieć cztery miesiące wcześniej, w lipcu. Wtedy Greta była w piątym miesiącu ciąży. Pernilla wspominała coś o testach na ojcostwo, które miały pośrednio doprowadzić do wniesienia pozwu o rozwód. Ale żeby zrobić testy na ojcostwo, dziecko musi być już na świecie. Zatem to nie Gunnar Nordin był tym „bachorem”. Przed Gretą musiała być jakaś kobieta, która zaszła w ciążę z Holgerem Nordinem i urodziła dziecko jakiś rok wcześniej, szacowała Selma, a tak drogie rozwody nie są przeprowadzane szybko, z dnia na dzień.

Przy bramie wejściowej do domu seniora pokazała legitymację służbową i czekała, aż portierka zadzwoni do pokoju Pernilli Nordin i powie jej, że policja chce z nią rozmawiać. Obiad właśnie się kończył, pachniało sosem bolońskim, a Selmie nagle zaburczało w brzuchu. Pani Nordin kazała przekazać, że zejdzie i że to chwilę potrwa. Selma zapaliła papierosa. Pernilla Nordin wyszła z windy kwadrans później. Miała na sobie niedzielne ubranie, a słodkie perfumy wzmacniały tylko zapach starości. Usta pomalowała pomadką, na blade policzki nałożyła zbyt dużo różu. Kogo, na Boga, się spodziewała?

– To znowu pani – westchnęła rozczarowana.

Usiadły w ogrodzie zimowym przy tym samym stole, który pani Nordin zajmowała w niedzielę.

– Właściwie o tej porze mam swoją poobiednią drzemkę.

– To nie potrwa długo. Mam tylko jedno pytanie...

– Nie szkodzi. – Machnęła ręką. – Spać będę mogła, jak umrę.



Najwyraźniej dzisiaj Pernilla Nordin była w nastroju do pogawędki. Gdy tylko padło imię jej byłego męża, jej głos w kolorze rześkiej zieleni przebiegł przez pokój.

– Małżeństwo ze mną otworzyło przed nim wszystkie drzwi. A raczej spadek po moim ojcu. On był przecież nikim! Synem nauczycielki i urzędnika pocztowego. Nie miał nic, poza wdziękiem. Tak, był przystojny, to prawda. Wie pani, dla młodego mężczyzny, który chce coś osiągnąć, nie ma nic bardziej pociągającego aniżeli dziewczyna z wyższych sfer. Szybko dałam się uwieść. Wzenił się w rodzinę i zaczął się rozwijać. To były dobre czasy. W tych latach pod względem wzrostu gospodarczego Szwecja zajmowała drugie miejsce na świecie, przed nią była tylko Japonia. Powiększył firmę, wykupił konkurencję, zakładał spółki córki i otworzył eleganckie biuro bezpośrednio przy przystani. Mój ojciec był już wtedy śmiertelnie chory i nie mógł się niczym zajmować. Dobrze, muszę przyznać, nie był złym człowiekiem interesu.

– Pani Nordin...

– Przy rozwodzie musiał mnie spłacić i to porządnie! Wartość tartaku i fabryki papieru, które wniosłam do małżeństwa. I zyski! – Wydała z siebie ochrypy dźwięk, coś między śmiechem a kaszlem. – To prawie złamało mu kark, niestety, tylko prawie. Miał trochę pieniędzy na boku, o których nie wiedziałam. Za mało się tym interesowałam. Niech pani nigdy nie popełni tego błędu! Jest pani zameżna?

– Nie.

– To dobrze. Gdyby się jednak pani kiedyś porwała na tę głupotę, to proszę się zawsze interesować, gdzie są pieniądze.

– Tak zrobię – obiecała Selma. – Ale chciałam zapytać...

– Tak, tak, rozmawiamy o moim byłym mężu, wiem, nie mam demencji. Potem wziął kredyt i zaczął kupować lasy. Daleko na północy, w Finlandii, na Syberii. To był czas, kiedy IKEA zaczęła się rozrastać. Rozkręcił z nimi interes. Meble do samodzielnego składania! Do tego każdy potrzebuje dużo taniego świerkowego i sosnowego drzewa. Ale inwestował także w innych obszarach. Transport i budowa maszyn. Pewnie nie chciał być zależny tylko od przemysłu drzewnego i jednego dużego klienta. Przebiegłe. Ale wszystko to działa się długo po naszym rozwodzie. Śledziłam jego karierę za pośrednictwem gazet. A teraz podobno plajtuje, on, czy raczej jego syn. Dobrze mu tak. Lepiej późno niż wcale!

Jasnozielony napad kaszlu przerwał potok jej słów. Z rękawa dzianinowego zakietu wyjęła chusteczkę, do której coś wypłuła. Jej szminka była teraz trochę rozmazana. Selma dostrzegła, że nadchodzi jej szansa:

– Kobieta, o której mówiła pani w niedzielę, nazwała ją pani lafiryndą, to była Greta?

– Greta? Tak, ona też jest lafiryndą. Ten sam typ: młoda, blondynka, głupia. Człowiek niełatwo rezygnuje ze swoich nawyków, a szczególnie mężczyźni.

– Ten sam typ jak kto? – spytała Selma.

– Jak ta biurowa wywłoka z Öckerö. Nazywała się Camilla, teraz mi się przypomniało. On chyba sądził, że o tym nie wiem. Ale po tym, gdy dowiedziałam się, że ona urodziła tego bachora, poszłam do prawnika.

Znowu suchy kaszel połączony ze śmiechem.

– Co właściwie wyrosło z tego bękarta?

Lillemor cieszyła się, że idzie do szkoły. Dziadek powiedział jej, że nauczy się tam czytać książki, w których są różne historie. Takie, jakie on jej opowiadał, kiedy oboje patrzyli na morze. Historie czytałaby chętnie. Potrafiła już trochę szydełkować, ale to jej się nie bardzo podobało. Ale musi to robić, w przeciwnym razie Ulrika się zezłości. Zezłości się też, kiedy odkryje, że prześcieradło i piżama przez noc zrobiły się mokre. To się, niestety, zdarzało często. Ale czasem Lillemor nie wiedziała nawet, z jakiego powodu jej babcia była zła. Wtedy najlepiej schować głowę, zachowywać się cicho jak mysz pod miotłą i starać się robić wszystko właściwie: ładnie nakryć do stołu, grzecznie zjeść, nie poplamić się, nie hałasować i nie wnosić do domu brudu. W przeciwnym razie można było oberwać.

Stopniowo Lillemor zaczęła rozumieć, co to jest matka i że ona także ją ma. Camilla. Kiedy przy pływała statkiem, Lillemor i dziadek odbierali ją samochodem dostawczym. Była taka ładna. Miała niebieski kolor na powiekach i czerwone usta, zawsze przywoziła ze sobą słodyczne, a czasem zabawki. Zwierzę z plastiku albo materiału, a raz nawet lalkę Barbie. Następnego dnia, najczęściej po obiedzie, jej babcia i matka się kłóciły, a potem Camilla znowu wyjeżdżała. Lillemor nie rozumiała, dlaczego się kłóca, ale wtedy padało także jej imię, więc za każdym razem postanawiała, że w przyszłości będzie jeszcze grzeczniejsza, żeby nie było tylu kłótni, a wtedy Camilla może zostanie na trochę dłużej.

Czasami Lillemor mogła zabrać się z dziadkiem, kiedy ten jechał do pracy. Stała na zewnątrz i przyglądała się, jak uderza młotkiem, piłuje, hebluje i niezdarnie wspina się na dachy. Albo siedziała w obcych kuchniach z obcymi ludźmi oraz ich dziećmi. Dzieci ją przerażały. Były głośne i brudne, bezczelnie odpowiadały swoim matkom. Śmiały się z niej i grały w gry, których nie знаła. Pewnego razu spędziła pół dnia przywiązana do pnia drzewa, dopóki obca kobieta jej nie uwolniła i nie

zgańa swoich dzieci. Lillemor myślała, że to było częścią zabawy. W obcych domach były jednak również ciekawe i smaczne rzeczy. Kakao, wafelki, batoniki czekoladowe, lody, lemoniada. Czasem nawet cola. Nie wiedziała, co to jest cola, ale inne dzieci robiły wokół niej wiele hałasu. Była dobra w smaku. Najpierw słodka, ale później nawet nie za bardzo. W kuchniach albo ogrodach zawsze były matki, nigdy babcie, jak u niej. A dzieci, choć niegrzeczne, nie były za to policzkowane i żadne z nich nie musiało siedzieć za karę w drewnitni czy pomieszczeniu na miotły. Lillemor bardzo chciała, żeby jej matka przyszła i została. Matki były miłsze niż babcie.

Potem nadchodził wieczór. Lillemor i dziadek siadywali na ławce. Było lato, słońce stało nisko na horyzoncie i wydawało się stanowić środek krajobrazu.

Tego dnia dziadek reperował w sąsiedniej wsi oborę dla owiec. Nie mogła z nim tam pojechać.

– Nie wszyscy lubią, kiedy dzieci biegają po placu budowy – powiedział, chociaż ona nigdy nie biegała, bo gdyby upadła i porwała rajstopy, to dostałaby trzepaczką do dywanów.

Lillemor przysłuchiwała się z zapartym tchem jego głosowi.

– Dawno temu żyli bogowie, którzy bali się napaści olbrzymów. Postanowili więc postawić mur wokół Asgardu[4]. I właśnie pewien olbrzym zgłosił się, że wzniesie tę budowlę. Wynagrodzeniem za pracę miała być Freja. Bogowie zgodzili się, nie pytając Thora o pozwolenie. Jednak mur musiał zostać zbudowany w ciągu jednej zimy, w przeciwnym razie olbrzym nie otrzymałby wynagrodzenia. Bogowie cieszyli się z przebiegłego planu, ponieważ zima była o wiele za krótka, aby uporać się z tak ciężką pracą...

Przerwał i przycisnął dłoń do klatki piersiowej, ale Lillemor nalegała, aby opowiadał dalej.

– Jednak olbrzym pracował dniami i nocami, a jeszcze pomagał mu w tym jego silny ogier Swadilfari...

Górna część tułowia coraz bardziej się pochylała i wreszcie całym ciężarem oparł się na jej ramionach. Zachichotała i próbowała zsunąć go z siebie, ale był za ciężki.

– Daj spokój. Opowiadaj dalej!

Kiedy nie zareagował, wymknęła się spod jego ciężaru. Przechylił się na bok, jego oczy były w nią nieruchomo wpatrzone, smużka śliny wyciekła mu z ust i spadła na ławkę. Lillemor przestraszyła się i pobiegła po babcię.

Potem dziadek przebywał dłuższy czas poza domem, a kiedy wrócił, siedział na krześle na kółkach z uchwytami przy oparciu. Poruszał tylko jedną dłoń i nie mógł mówić. Z jego ust, które były dziwnie wykrzywione, wydobywały się jedynie niezrozumiałe dźwięki. Siedział krzywo i nie pachniał zbyt ładnie.

Dwa dni później przyjechała Camilla. Rozpłakała się na widok dziadka, a potem pokłóciła się z Ulriką – bardziej niż zazwyczaj. Tym razem do portu pojechała autobusem i zabrała ze sobą Lillemor.

– Nikogo nie zabijesz – powiedziała Tinka. – Zaproponujemy mu pieniądze, dużo pieniędzy.

– Jemu nie chodzi o pieniądze – zaproponował Leander. – W przeciwnym razie by ich zażądał.

– Jeśli nawet byśmy dzięki temu odzyskali Lucie, to ty wylądowałbyś w więzieniu. Co byś z tego miał?

– Jak możesz zadawać takie pytanie?

– Nie zgrywaj szlachetnego rycerza!

– Ja nic nie odgrywam i ten facet też nie gra! – Podniósł głos. – Jest cholernie poważny!

– Ale ja tego nie chcę! Nie za taką cenę! – krzyknęła Tinka.

Leander siedział w swoim fotelu. Tinka przycupnęła na brzegu biurka. Między nimi leżało pudełko z pistoletem i amunicją. Żadne z nich nie ważyło się go dotknąć.

– Może wcale nie chcesz, żeby Lucie wróciła! – wyrwało się Leanderowi.

Tinka pochyliła się, jej oczy się zwęziły, kiedy go zbeształa.

– Jasne – naskoczyła na niego. – Jestem okropną matką! Tak, możesz to spokojnie powiedzieć. No, mów! Wyduś to z siebie wreszcie, dobrze ci to zrobi. To w końcu ja jestem winna temu, że Lucie została uprowadzona. Ale myślenie, że nie chcę, że nie chcę jej mieć z powrotem, to jest... to jest... – Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy.

Leander chwycił ją za dłoń, którą opierała się o biurko, ale wyrwała ją i skrzyżowała ramiona na piersiach.

Tak, chciał ją zdenerwować, ponieważ nie wiedział, co zrobić z zamętem w głowie. Co się z nimi działo? Właśnie dowiedzieli się, że ich dziecko być może nadal żyje, a oni co? Wrzeszczeli na siebie. Mówili sobie podłe rzeczy. W przedziwny sposób czuli się dzięki temu lepiej.

Powiedział, że mu przykro, a Tinka odparła, że oczywiście chce, żeby Lucie wróciła, ale nie w taki sposób. Nie, jeśli przez to ma stracić jego. A straci go, jeśli on zabije człowieka, tak czy owak.

– Nawet jeśli cię nie złapią. Nie jesteś typem, który mógłby to znieść. Rozpaczałbyś nad tym, co zrobiłeś.

Leander wiedział, że Tinka ma rację. I to go wściekało. To i fakt, że go przejrzała.

– Wiem, że uważacie mnie, ty i twój ojciec, za byle pięknoducha z nieprzydatnym zawodem, który potrafi tylko mówić, ale jest do niczego, kiedy trzeba zrobić coś poważnego...

– Skończ z tym użalaniem się nad sobą! – przerwała mu Tinka, ze złości aż czerwona na twarzy. – Przyznaj się: to z powodu kompleksu niższości nie chcesz zaproponować temu dupkowi pieniędzy?

– No tak, że też zapomniałem o twoim kreda: każdego można kupić! Wybacz, Tinko, ale nie wszystkie problemy da się rozwiązać za pomocą forsy. Szkoda, że nie nauczyłaś się tego do tej pory.

– Dziękuję za pouczenie! Nie chodzi jednak o wszystkie problemy, tylko o określony problem. I ten może da się rozwiązać pieniędzmi. Wystarczy, że będzie ich dużo.

– Ale tak się składa, że twoja rodzina już nie ma płynności finansowej, podobno.

– Masz satysfakcję, co? Nie wierz we wszystko, co piszą w gazetach.

– Pewnie! Tacy jak wy nie plajtują. Po prostu ci, co dla was harowali, tracą pracę...

Ale Tinka nie dała się już dłużej prowokować i powiedziała poważnie:

– Musimy spróbować.

Leander się zamyślił.

– A może pójść na policję? Forsberg sprawia wrażenie rozsądnego, tak myślę.

Minął rok, odkąd widział komisarza. Rozmawiał z tą dziewczyną w czerni, Selmą Valkonen. Przypomnił sobie jej imię, jej smoliście czarne oczy i ciemne błyszczące włosy. Nietypowa policjantka. Ciekawy głos.

– A co do tej pory osiągnął? – spytała Tinka. – W dodatku podejrzewał nas oboje!

Podczas gdy Leander zrozumiał, że traktowanie rodziców zaginionego dziecka jako potencjalnych podejrzanych stanowi po prostu obowiązek

policji, Tinka ciągle postrzegała to jako osobistą zniewagę. Zarozumiałość Nordinów...

– Gdybyśmy chociaż wiedzieli, o kogo chodzi – powiedział.

– O kogo chodzi? – powtórzyła Tinka.

– Kogo mam zabić.

– Przecież to bez znaczenia – odparła. – Nie mamy prawa nikogo zabijać tylko po to, żeby uratować własne małe szczęście!

*Małe szczęście.*

Wieczorem przed pierwszymi urodzinami Lucie, krótko po tym, jak wprowadzili się do szeregowca w Mölndal, Holger Nordin stał w oknie tarasu i patrząc na ładnie uformowane grządki z kwiatami, murek z kamienia i lampki wśród krzaków, stracił panowanie nad sobą i powiedział do Leandera:

– Jest mi obojętne, czy chcesz do końca życia mieszkać w ciasnym światku klasy średniej, ale moja córka i moja wnuczka zasłużyły na coś innego niż to tutaj.

Pokłócili się, gdy goście już wyszli. Wtedy Tinka niespodziewanie stanęła po stronie ojca. Zarzucała Leanderowi, że musi płacić za jego dumę, a on nazwał ją nielojalną wobec niego rozpuszczoną córeczką tatusia. Trzasnąwszy drzwiami, wyszedł z domu i pojechał do miasta po męsku urznąć się w pierwszej lepszej knajpie. Jednak im bliżej był centrum, tym bardziej plan tracił na swej atrakcyjności. Przypomniawszy sobie wtedy, że został zaproszony na otwarcie wystawy w jakiejś galerii sztuki. Ze względu na wizytę teściów nie miał zamiaru tam iść. Chociaż lubił sztukę, niekoniecznie cenił artystów, których próżność i egoizm z roku na rok budziły w nim coraz większy wstręt. Na nerwy działali mu szczególnie malarze i rzeźbiarze. Może dlatego, że nie umiał kilkoma słowami trafnie opisać ich pracy – jak robił to w przypadku pisarzy. Ale teraz wystawa w pofabrycznym budynku w Linnéviertel wydała mu się bardziej kusząca aniżeli samotne picie w przygodnej knajpie.

Tak jak się tego spodziewał, było okropnie. Przedstawiciele göteborskiej elity zbili się w gromadkę jak dopiero co narodzone kotki. Do tego paru dziennikarzy i celebryci. Siłący się na dowcip ważniacy i pozerzy ze sztucznymi uśmiechami trzymali mizerne przekąski w swoich wymanikiurowanych pazurach, popijając ciepłe chardonnay. Natężenie próżności i bufonady było wprost nie do wytrzymania. Ale nie tylko on tak



to postrzegali. Kilkakrotnie wymienili umęczone spojrzenia i w końcu do niego podeszła. Znali się z widzenia. Szepcząc i chichocząc niczym para nastolatków, obmawiali wszystkich gości i cały ten „event”. I w końcu padło to magiczne zdanie:

– Zabierz mnie stąd!

Kto wie, jak skończyłyby się ten wieczór, gdyby Eva powiedziała: „Chodźmy się napić gdzie indziej”.

*Zabierz mnie stąd.* Ten wykalkulowany podryw go oszołomił.

– Dobrze – odpowiedział.

*Dobrze.*

Dotarłszy pod jej dom, odczekali, aż zgasną światła taksówki, a potem niczym para wariatów zaczęli się namiętnie całować mimo zimnej grudniowej nocy.

*Małe szczęście.*

– A co to ma wspólnego z prawem? – zdenerwował się Leander. – Nikt nie miał prawa porwać Lucie. Nikt nie ma też prawa teraz nas szantażować!

– Musimy spróbować – powiedziała Tinka, a na jej czole niczym wykrzyknik pojawiła się pionowa zmarszczka.

Leander wyciągnął w stronę kobiety telefon komórkowy, jakby był ręcznym granatem.

– Masz! Spytaj ojca, ile pieniędzy ukrył w Szwajcarii, i złóż facetowi ofertę.

Wcisnął pudełko z pistoletem pod ramię, w korytarzu sięgnął po kurtkę i kluczyki do samochodu. Tinka stała w drzwiach gabinetu i przyglądała się, jak mąż zakłada buty.

Nie spytała go, dokąd się wybiera, i nie zrobiła nic, żeby go zatrzymać.

Męski głos zawołał: „Proszę” i Eva, która właściwie nie oczekiwała odpowiedzi na swoje pukanie, lekko się wzdrygnęła. Lekarz? Nie, przy łóżku siedział Dag Cederlund. Marta miała pokój tylko dla siebie. Na ścianach, które pomalowano na uspokajający jasnozielony kolor, wisiły akwarele: zaśnieżony krajobraz, łąka z kwiatami, las, morze.

– Dag. Przepraszam, ja...

– Wejdz – powiedział.

– Nie chcę przeszkadzać.

– W czym?

Ostatnio widzieli się kilka dni przed napadem na Martę. Dag spotkał się z Petterem Hinnforsem i szefami różnych redakcji, na tak zwanym spotkaniu zapoznawczym, a potem został oprowadzony przez Hinnforsa po redakcji. Dag i Eva tylko skinęli do siebie głowami.

Eva spojrzała na Martę, której ciało ginęło w wielofunkcyjnym łóżku szpitalnym. Włosy zniknęły pod bandażem, usta pozostawały lekko otwarte, oczy skryły się zaś pod delikatnymi powiekami. Jeden przewód z kroplówką kończył się w nadgarstku, a pozostałe prowadziły pod łóżko. Aparatura z monitorem wyświetlała życiowe parametry. Pół roku temu matka Evy też tak leżała, prawie identycznie, tylko bez bandaża na głowie. Zanim przed śmiercią odesłali ją do domu.

– Co z nią?

Dag wzruszył ramionami.

– Urazowe uszkodzenie mózgu. Lekarze nie potrafią albo nie chcą podać prognozy.

Eva skinęła głową i milczała. Co można w takiej sytuacji powiedzieć? Pytała samą siebie, dlaczego w ogóle tu przyszła. Ponieważ nie chciano udzielić jej przez telefon informacji o stanie Marty, ale również z powodu skrywanej nadziei. Być może Marta akurat dzisiaj by się obudziła, usiadła energicznie i zwierzyła się Evie, tak jak zamierzała to zrobić, nim została napadnięta.

– Miło z twojej strony, że ją odwiedziłaś – powiedział Dag. – Utrzymywałyście ze sobą kontakt?

– Nie – odparła i zanim zdążył się zdziwić, spytała: – A wy?

– Niewielki. Właśnie się do siebie z powrotem trochę zbliżyliśmy. A teraz...

Zrobił bezradny ruch ramionami. Miał wąskie usta swego ojca i pozbawione twardości szare oczy Marty. Przez chwilę milczał i wpatrywał się w monitor. Wszystko w porządku. Eva przystawiła sobie krzesło i usiadła obok.

– Jakim właściwie szefem był mój ojciec? – spytał Dag.

– Nie miał zbyt wielkiego pojęcia o codziennej działalności gazety. Doświadczeni redaktorzy potrafili zamącić mu w głowie. Dobrze, że zrezygnował ze swojego stanowiska. Ale zawsze był... w porządku.

– W porządku – powtórzył Dag.

Palce Marty poruszyły się na kołdrze.

– Automatyczne odruchy – wyjaśnił Dag.

Eva potaknęła.

– Czy ty właściwie wiesz, dlaczego wtedy uciekłem z domu?

Eva zawahała się chwilę.

– Tak myślę. Oczywiście doszły mnie słuchy, że u was było czasem głośno.

– Tak, głośno – powiedział i przejechał dłonią po karku.

Eva poczuła się nieswojo. Te stare historie.

– Wiesz, czasem miesiącami panował spokój i już myśleliśmy, że się polepszyło. Ale potem znowu wystarczył jakiś drobny powód... Żyłem w stanie ciągłego napięcia, bałem się jakiegoś niepowodzenia, złych ocen albo że zdarzy się coś, na co nie będę miał wpływu. Dlatego tak chętnie przebywałem u was.

– Obawiam się, że jako dziecko nie byłam dla ciebie zbyt miła – powiedziała Eva.

– To było mi obojętne. U was czułem się bezpiecznie.

Brzozy w śniegu i stado wron w niebieskiej ramce na ścianie naprzeciwko. Niepokój Ewy wzrósł. Wyrzuty sumienia. Forsbergowi powiedziała, że nigdy nie była sam na sam z Magnusem Cederlundem. Ale to nieprawda. Raz przecież przebywała sama z ojcem Daga. Kiedy zobaczył ją na przystanku i zaprosił do samochodu. Po przejechaniu krótkiego odcinka drogi w milczeniu skręcił w boczną uliczkę dojazdową do terenu sportowego. Tam się zatrzymał, wyłączył silnik i jeszcze raz poprosił, aby się zastanowiła, czy nie wie, gdzie może być Dag. Prześwietlał ją wzrokiem. Bała się, ale powiedziała, że nic nie wie. Wtedy on odwrócił się od niej, skrzyżował ramiona na kierownicy, położył na nich głowę i się rozpłakał. Dosłownie zalewał się łzami. Eva nie widziała dotąd mężczyzny płaczącego w ten sposób. Zakłopotana jego rozpaczą, powiedziała mu, że powinien poszukać syna w lesie, tam, gdzie zawsze snują się punki.

– Czy on... bił także Martę? – spytała.

Dag spojrział na Evę, a potem zaczął się śmiać. Nieporadnie, smutno – jakby nigdy nie nauczył się prawdziwego śmiechu.

– Ty też nic nie rozumiesz – powiedział. – To nie on nas bił. To ona. Moja matka spuszczała mi lanie z powodu każdej drobnostki. Używała wszystkiego, co się jej nawinęło pod rękę – trzepaczki do dywanów, paska,

wszystkiego. Czasami też napadała na ojca, kiedy miała te swoje... humory. Była wtedy zupełnie odmieniona, jak w furii. Podobno zaczęło się to po śmierci mojej młodszej siostry. Nie pamiętam jej, byłem jeszcze bardzo mały, gdy to się wydarzyło. Coś się musiało przepalić w jej głowie.

Eva zapomniała zamknąć usta.

Dag zaśmiał się smutno.

– Nikt tego nie rozumie. Spójrz na nią, wygląda tak krucho. Prawie jak dziecko.

Dziecko, pomyślała Eva.

Powieki Marty zdrzały. Czyżby słyszała, o czym mówili? Podobno są tacy pacjenci w śpiączce, którzy czasem słyszą. Jeśli nawet, pomyślała Eva, to przecież nie poznała żadnej tajemnicy.

– On nigdy nie oddawał. Może powinien był. Ale nie potrafił tego zrobić. Zawsze mi powtarzał: „Mężczyźni nie biją kobiet”. Ja pewnego dnia to zrobiłem. Chciałem przynajmniej raz ją powstrzymać. Kiedy mój ojciec się o tym dowiedział – nie udało jej się tego przed nim ukryć, bo uderzyłem ją pięścią pod oko – nakrzyczał na mnie i mnie zbił. Po tym uciekłem z domu. Tyle że policja mnie znalazła i przywiozła z powrotem.

Eva przełknęła ślinę. Zastanawiała się, czy powinna się przyznać. Czy zrozumiałaby zdradę. Zawahała się, ale doszła do wniosku, że lepiej zostawić przeszłość w spokoju.

– Potem matka powiedziała, że muszę się wyprowadzić, i że ojciec też sądzi, iż będzie to dla mnie najlepsze. Znaleźli dla mnie internat. Wakacje spędziłem u ciotki Helgi w Malmö. Ojca do czasu jego śmierci widziałem trzy, może cztery razy.

*Najlepsze dla niego.*

– Pewnie miał wyrzuty sumienia, że cię zawiódł – powiedziała Eva i zdała sobie sprawę, że mówi, jakby udzielała porad w czasopiśmie dla kobiet.

Dag siedział na brzegu krzesła, pochylony do przodu, ugniatał swoje dłonie i patrzył na ciało Marty, którego zarys odciskał się na kołdrze. Eva pytała samą siebie, czy Mette wie to wszystko o teściowej.

– Nie rozumiem, dlaczego jej nie zostawił. Po prostu tego nie rozumiem!  
– wyrzucił z siebie Dag.

Żeby podtrzymać pozory, pomyślała Eva.

– Rozmawiałeś z nią o tym, to znaczy ostatnio?

– Nie. Chciałem dać sobie czas. Gdybym wiedział...

Evie buzowało w głowie. Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dag, muszę ci coś powiedzieć. Twoja matka chciała ze mną pomówić o czymś ważnym. Krótco przed tym, jak została napadnięta, zadzwoniła do mnie, żeby się ze mną spotkać.

– Dlaczego akurat z tobą?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że miało to jakiś związek z twoim ojcem. Tylko to mi powiedziała, nic więcej.

Szczęka Daga była napięta, zacisnął zęby.

– Czy wiesz, dlaczego się zastrzelił? – spytała ostrożnie Eva.

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Matka też nie. A jeśli już, to mi tego nie powiedziała.

Eva zastanawiała się, czy spytać go o laptop ojca, ale na razie się pohamowała. Lepiej żeby Dag nie wiedział, że wymienia się informacjami z policją.

Spojrzał na nią i wyglądało to tak, jakby zastanawiał się, czy może jej zaufać.

– Policja mówi, że podobno także dom letni został przetrząśnięty.

– Czy masz pomysł, czego mógł szukać sprawca?

– Jeszcze nie wiem – odparł Dag.

– Co masz na myśli, mówiąc „jeszcze”?

– To, co mówię. W tym momencie nie mogę więcej powiedzieć – zirytował się.

Eva westchnęła. Ta rodzina doprowadzi ją do szaleństwa. Co teraz? Zaryzykować i skonfrontować go z teorią o pedofilii, która od czasu wizyty w domu letnim chodzi jej po głowie? Lepiej nie. Dag jest teraz właścicielem gazety i nowym pracodawcą Evy. To jednak Forsberg powinien przejąć tę część, w końcu to była jego praca. Może znalazł już dowody. Ona, Eva, jest osobą, której Dag ufa, inaczej nie zdradziłby jej przecież rodzinnej tajemnicy. Nie powinna ryzykować utraty tego zaufania przez swoją nadmierną ciekawość.

Wstała, mówiąc, że musi wracać do redakcji, co nie mijало się z prawdą. Leif patrzył na nią z obrażoną miną, kiedy rano powiedziała mu, że robi sobie dłuższą przerwę obiadową, a Sigrun przewróciła znacząco oczami i rzuciła: „Spotykasz się ze swoim słodziakiem, co?”. Nie chcąc zbytnio komplikować sprawy, Eva potakująco skinęła głową.

– Dobrze było znów z tobą porozmawiać – powiedział Dag.

– Tak – odparła Eva i się uśmiechnęła.

Kiedy była już przy drzwiach, nie mogła się powstrzymać i spytała:

– Zatrzymasz gazetę?

– Na razie tak. Wydaje się, że znowu do pewnego stopnia wyszła na prostą. Ale nie będę się za bardzo mieszał. Jestem kontrolerem finansowym, na dziennikarstwie się nie znam. Liczby są szczerze i obliczalne. A ludzie nie.

– Czy ja też mogę ci zdradzić pewną tajemnicę?

– Oczywiście.

– Liczba kobiet na szczeblu kierowniczym gazety jest ekstremalnie niska.

– Naprawdę? – zaśmiał się Dag. – Zajmę się tym.

– Gdzie byłaś?! Jest pół do trzeciej!

– Musiałam kupić sobie sukienkę na uroczystość obrzezania i trochę długo to trwało. Przepraszam. Zostanę dziś dłużej.

Forsberg zamilkł.

– Jest w sobotę. Chcesz też pójść?

– Na... na...

– Na uroczystość obrzezania – podpowiedziała Selma.

– Nie! Nie, dziękuję. Ja... Nie znoszę widoku krwi.

– Tak tylko pomyślałam, bo ostatnio byłeś u tureckiego fryzjera.

– Skąd wiesz? Wszyscy jesteście w jakiejś zмовie?

– Wywąchałam wczoraj wieczorem. Mydło do golenia na twoich policzkach...

– Już dobrze! Tylko następnym razem mnie powiadom, OK?

– Tak jest, szefie! – Selma uśmiechnęła się krzywo, maltretując swoją gumę do żucia, podczas gdy Forsberg starał się opanować. Czy Ptaszycy już całkiem odbiło?

– Jak idzie sprawa z Oksaną Bobrow? – spytała po chwili.

Komisarz chrząknął.

– Na początku wszystkiemu zaprzeczyła. Ale po tym, jak dowiedziała się, że facet nie żyje, najpierw płakała pół godziny, a potem przyznała, że rzeczywiście był jej sutenerem. Nie wiemy, czy to prawda, czy obciążając martwego gościa, chroni kogoś innego.

– Kretynka – podsumowała Selma.

Tak, pomyślał Forsberg, kretynka. Pokazał Oksanie Bobrow zdjęcie Cederlunda, ale ona stwierdziła, że nigdy nie widziała tego mężczyzny. Nie pozostawało mu nic innego, jak odesłać ją do domu.

– I oczywiście nie miała pojęcia, kto zabił Krulla – narzekał Forsberg. – Chociaż w to nawet wierzę. Biorąc pod uwagę, jaki z niego drań. Na szczęście to nie nasz problem.

– Chyba że między tymi sprawami istnieje jakiś związek? – spytała Selma.

– Wtedy tak.

Pistolet okazał się zadziwiająco lekki, a jednocześnie miał w sobie coś brutalnego. Leander zastanawiał się, jak to możliwe, żeby za pomocą tak małego przedmiotu można było zabić człowieka i to tylko przez zgięcie wskazującego palca. Nie znał się na broni – wiatrówka i łuk, do którego samodzielnie ciosał drewniane strzały, to jego całe doświadczenie. Stawił się na komisję poborową, ale nie został zaciągnięty. Ale nawet gdyby się tak stało, zdecydowałby się na służbę bez broni. A teraz trzymał w rękach pistolet. To wszystko w ciągu kilku godzin nabrało niebezpiecznego wymiaru. Listy i SMS-y stanowiły pewną abstrakcję, wideo i bucik też mógł uznać za ułudę. Pistolet był prawdziwy. Zimna szaroczarna stal. Niedługo będzie musiał postanowić: stać się dla córki mordercą czy do końca swych dni rozpaczać z powodu zaprzepaszczonej szansy. Tak czy inaczej, jego życie zmieni się diametralnie. Jakiś perwersyjny hazardzista był właśnie bliski tego, żeby mu je spartaczyć.

Co za dramat, pomyślał Leander. „Całkiem wielkie kino”, jak mawiała jego stażystka. Że też przytrafiło się to właśnie jemu – zawsze uważał się za pacyfistę. Może ktoś chce tylko sprawdzić, jak daleko odważy się posunąć. Jak w Biblii, kiedy Bóg kazał Abrahamowi złożyć w ofierze syna, a potem w ostatnim momencie go powstrzymał. Czy ktoś chciał zabawić się w Boga? Zobaczyć, czy rodzice naprawdę zrobią dla dziecka wszystko, absolutnie wszystko? Czy był to po prostu eksperyment cynicznego psychopaty, w którym Leander pełnił funkcję marionetki? A może stała za tym jakaś osobista sprawa? Kto mógł nienawidzić go do takiego stopnia, aby prowadzić z nim taką grę?

Bardzo chciał z kimś o tym porozmawiać. Z przyjacielem albo przyjaciółką. Problem w tym, że oni już nie mieli przyjaciół. „Jesteśmy w kontakcie. Zgłóście się, jeśli będziemy mogli coś dla was kiedykolwiek zrobić” – mówili wszyscy po zniknięciu Lucie, ale Leander i Tinka nigdy się do nikogo nie odezwali. Zaproszenia na urodziny czy parapetówki nagle się skończyły, jakby ich nieszczęście było jakąś zaraźliwą chorobą. Przyjaciółki Tinki zostały matkami albo planowały nimi zostać, było więc oczywiste, że jej unikały. Ona na początku nie mogła znieść nawet widoku bratanka i cierpiała, ilekroć Greta, nie zważając na niestosowność swego zachowania, zachwycała się Williamem. A on? Czy kiedykolwiek miał przyjaciół, z którymi rozmawiałby o intymnych sprawach, jak kobiety mają to w zwyczaju robić między sobą? Nie. Leander wiedział, że w głębi serca jest nieśmiałym melancholikiem i indywidualistą, który lepiej czuje się w towarzystwie książek niż ludzi. Było dwóch, trzech kumpli z czasów studenckich, z którymi czasami grywał w tenisa albo uprawiał jogging. Ale żadnego z nich nie chciałby wtajemniczyć w tę sprawę. Jediną osobą, której mógłby zaufać, była Eva Röög. Nie łączył ich tylko seks, oni się także dobrze rozumieli. To było prawdziwe duchowe pokrewieństwo, choć Eva unikała takiego określenia. Ale zwierzenie się jej nie wchodziło w grę. Tinka skrzyłaby mu za to kark. Nie potrzebował teraz więcej problemów. Poza tym minęły ponad cztery lata. Ludzie się zmieniają. Miała męża, nadzianego maklera. Pod jego wpływem na pewno stała się inna.

Pieniądze. Być może wszystko dałoby się rozwiązać całkiem prosto i bez dramatu za pomocą cholernych pieniędzy. Może powinien w ogóle całą reżyserię zostawić Tince, może to ona zrobiłaby porządek z tym facetem. Zmniejszyłoby to jej poczucie winy. Jadąc na wschód w kierunku Borås, zastanawiał się, czy Tinka potrafiłaby zabić człowieka.

Kilka kilometrów za Borås skręcił z autostrady i jechał małą uliczką, która prowadziła do lasu. Upewniwszy się, że jest sam, zatrzymał się i poszedł dalej wśród drzew. Miał nadzieję, że się nie zgubi. Uświadomił sobie, że nie zabrał ze sobą komórki.

Jesień okazała się kapryśna, wcześniej padał deszcz, teraz nagle zza chmur wyjrzało słońce i zrobiło się nieprzyjemnie ciepło. Zresztą może tylko jemu było tak ciepło. Leander nieszczęśliwie lubił lasy, bał się ich, chociaż nie wiedział, jaka jest tego przyczyna. Czy to wina krwiożerczych baśni i historii o stworach zamieszkujących gęstwiny? Przynajmniej tym



razem jestem uzbrojony, pomyślał, ściągając usta w typowym dla siebie cynicznym uśmiechu.

Pachniało liśćmi i grzybami. Tu. Tu było dobre miejsce. Drzewa stały niezbyt blisko siebie, a kilka skał wznosiło się na końcu polany. „Glock 17, Austria, 9 × 19” – wypalono na lufie. Leander całą swoją wiedzę o broni czerpał z filmów w telewizji, ale miał całkowitą pewność, że dziewięć oznaczało średnicę pocisku w milimetrach i że były to pociski większego kalibru. W każdym razie na pudełku z amunicją widniał napis „115 gr. Remington JHP OG .355”. Pudełko wyglądało na nowe. Prawdopodobnie pociski pasowały do pistoletu.

Ustalił, jak otwiera się magazynek i że rygiel należy pociągnąć do tyłu. Wyglądało na to, że nie ma tu żadnego dodatkowego zabezpieczenia, ale spust miał punkt nacisku, który trzeba było przewyciężyć dość sporym nakładem sił. Potem następowało kliknięcie. Przez chwilę bawił się pustą bronią, potem naładował magazynek nabojami w kolorze mosiądzu, dziwiąc się, jak dużo ich się tam naraz pomieściło. Jeśli dobrze policzył – siedemnaście. Oczywiście, ty głupku! Glock 17. Jeszcze dużo mu ich zostało. Magazynek zaskoczył. Wiedział, że z powodu siły odrzutu z pistoletu najlepiej strzelać, trzymając go oburącz. Nonszalancki strzał z jedną ręką opartą na biodrze, à la filmowi kowboje, na pewno by mu się nie udał. Kowboje. Prawdziwi mężczyźni i broń. Dlaczego szantażysta zwrócił się do niego, a nie do Tinki albo do nich obojga? Bo zabijanie to męska rzecz? Jak okrutny musi być, żeby stać się prawdziwym mężczyzną?

Mniej więcej na środku skały ze szczeliny wyrastała paproć. Postanowił celować właśnie do niej. Z jakiej odległości? Jak blisko będzie mógł podejść do swojej ofiary?

Zabiję człowieka, pomyślał. Tinka ma rację, to szaleństwo, tak nie wolno.

Czytał, że żołnierze podczas wojny specjalnie strzelali obok celu. W każdym razie wielu tak postępowało. Także podczas rozstrzeliwania większość celowała podobno trochę w bok. Te informacje go uspokoiły. Ale musieli przecież być i tacy, którzy nie mieli skrupułów albo trafiali niechcący. Pomyślał o przerażających wynikach słynnego eksperymentu Milgrama, podczas którego całkiem normalni ludzie w roli nauczycieli razili swoich „uczniów” prądem, jeśli błędnie odpowiedzieli na pytanie – robili to na rozkaz obserwującego ich „naukowca”! W Iraku amerykańscy

żołnierze strzelali do cywilów, bez potrzeby i bez rozkazu. Dla rozrywki. Jak można tak zdziczyć? Czy umiałyby spojrzeć sobie w oczy, gdyby kogoś zabił? Jak funkcjonują snajperzy, którzy, zgodnie z rozkazem, likwidują określone cele?

Spróbował odsunąć od siebie te wszystkie myśli. Teraz był czas na trening. Musiał nauczyć się strzelać, swobodnie panować nad pistoletem. Musiał się dowiedzieć, z jakiej odległości da radę trafić. „Do ćwiczeń” – tak napisał ten facet. To przecież nie przestępstwo, wcale nie oznacza, że się zdecydował. Przyjechał tutaj tylko poćwiczyć.

Stanął w rozkroku w odległości dwudziestu metrów. Lewą nogę wysunął nieco do przodu, pistolet uniósł na wysokość oczu. Całkiem profesjonalnie. Zauważył, że z pełnym magazynkiem broń była znacznie cięższa. Wstydził się tego, ale czuł się... zajebiście. Nie mógł znaleźć bardziej odpowiedniego słowa. Czy w tym tkwiła tajemnica? Czy broń nawet pokojowo nastawionych ludzi zmienia w potwory? Namierzył paproć przez wizjer i nacisnął spust. Intensywność huku go zaskoczyła. W telewizorze nie brzmi to tak głośno. Nie trafił w paproć. Co tu dużo mówić – nie trafił nawet w szeroką na dwa metry skałę. A odrzut był tak silny, że omal nie upuścił broni. Szczęście, że nikt go nie widział. Spróbował ponownie, tym razem biorąc pod uwagę agresję kryjącą się w tej maszynie do zabijania. Rozległ się huk i na ziemię posypało się trochę odłamków – trafił, tyle że prawie metr nad paprocią. Ale przynajmniej kierunek już był dobry. Dwadzieścia metrów to za dużo. Musiał podejść bliżej. Zrobił kilka kroków w stronę skały i opróżnił cały magazynek, w tym oddał serię siedmiu strzałów. Na koniec cała paproć była w strzępach. Nadgarstek go palił, miał wrażenie, że wibruje, w uszach mu szumiało. Przyłapał się na uśmiechu.

W drodze powrotnej zajmowało go pytanie, czy kryzys zmienia charakter mężczyzny, czy przeciwnie, wówczas ujawnia się jego prawdziwe oblicze.

Greger Forsberg wziął kartkę i napisał na niej:

*Poniedziałek, 15 sierpnia – Waleria zniknęła*

*Wtorek, 16 sierpnia – samobójstwo Magnusa Cederlunda*

*Środa, 17 sierpnia – Marta zgłasza zaginięcie C.*

*Środa, 31 sierpnia – pogrzeb C., Marta rozmawia z Evą R.*

*Czwartek, 15 września – odjazd Daga C., Marta umawia się na spotkanie z Evą na piątek, na 16 września, napad na Martę*

*Niedziela, 18 września – aresztowanie Oksany Bobrow*

*Poniedziałek, 19 września/Wtorek, 20 września – morderstwo Krulla, znalezienie ciała, głowa?*

Zaginione dziecko, samobójstwo, ciało bez głowy, kobieta w śpiączce, wyliczał w myślach Forsberg. Czy Iwan Krull był łącznikiem między Walerią a Cederlundem? Jakoś musieli się spotkać – dziecko emigrantki z dzieliczy Biskopsgården i biznesmen z Långedrag. Cederlund na pewno nie był typem, który snuł się po zaśmieconych placach zabaw na przedmieściach. Pomijając to, że rzucałby się tam w oczy niczym kolorowy pies, to prawdopodobnie za bardzo bałby się w ogóle postawić swoją stopę w takiej okolicy. I kto zadźgał Krulla i obciął mu głowę? Dlaczego nie palce, co by utrudniło identyfikację? A zatem nie o to chodziło. O co więc? O brutalność? Kolejna niewiadoma. Czy to była ta sama osoba, która zraniła Martę i splądrowała jej oba domy? Czy Marta nadal jest w niebezpieczeństwie? A może jego mózg miesza sprawy, które nie mają ze sobą nic wspólnego?

Zadzwoił telefon.

– Greger Forsberg.

– Erik Abrahamsson, wydział kryminalny w Jönköping. Chciałeś ze mną rozmawiać?

– Tak – odpowiedział komisarz. – Ta broń w domu... Wzięliście ją czy zostawiliście w szafie?

– Zostawiliśmy – wyjaśnił Abrahamsson. – Wzięliśmy tylko dubeltówkę. W szafie są jeszcze sauer S 90 Repetierer i glock 17.

Już nie, pomyślał Forsberg, podczas, gdy kolega z Jönköping ciągnął:

– Klucz schowany. Szafkę oczywiście zamknęliśmy.

– Co zrobiliście z kluczem?

– Oddaliśmy kierowcy, który odebrał samochód. Oddaliśmy mu także klucz od domu. Znajdował się w genialnej skrytce: za drewnianą boazerią obok drzwi wejściowych. Typowe! A potem zgłaszają się ludzie i narzekają, że im okradziono chałupę.

– Kiedy ten kierowca tam przyjechał? – spytał Forsberg.

– Poczekaj... – W słuchawce przez chwilę szeleściły tylko wertowane papiery. – W poniedziałek, 22 sierpnia. Wszystko było w porządku.

Powiadomiliśmy wdowę, że może odebrać samochód i że dom jest już wolny i znowu do jej dyspozycji.

Prawdopodobnie dom został splądrowany krótko po tym, pomyślał Forsberg. Z zamkiem w drzwiach wejściowych poradziła sobie nawet Eva, a i zamek szafki z bronią nie stanowił zapewne wielkiego problemu, włamywacz miał sporo czasu. Z wizytą w Långedrag musiał poczekać, póki nie wyjechali Dag i Mette. Włamanie się do domu zamieszkiwanego przez trzy osoby było oczywiście zbyt ryzykowne.

– Pytanie, które mnie nieustannie nurtuje... – zaczął Forsberg – to dlaczego zastrzelił się z dubeltówki, skoro mógł użyć pistoletu? Byłoby to poręczniejsze i nie narobiłoby takiego bajzlu.

– To całkiem proste – odparł Abrahamsson. – Do glocka nie było amunicji. W szafie leżało tylko kilka starych nabojuów śrutowych.

Całkiem proste, pomyślał komisarz.

– Słyszałem, że wasi spece od zabezpieczania śladów mają tam wejść jeszcze raz. Nie ufacie prowincjuszom, co? – spytał Abrahamsson.

Ton jego głosu był żartobliwy, ale Forsberg wiedział o wrażliwości kolegów z mniejszych miejscowości. Sam nie lubił być poniewierany przez supermózgi ze Sztokholmu.

– Nie, to z innego powodu. Wyszło powiązanie ze sprawą, którą teraz się zajmuję.

– No... – usłyszał zachętę.

– Nie mogę jeszcze o tym mówić, bo ktoś się może bardzo zdenerwować.

– A tym kimś jesteś ty, co? – Abrahamsson zaśmiał się donośnie.

– Też – odpowiedział Forsberg.

– To wszystko? – spytał Abrahamsson.

– Tak, dzięki!

Forsberg odłożył słuchawkę, zgniótł kartkę i wrzucił ją do kosza, który specjalnie stał trzy metry od biurka, tuż przy oknie. Trafiony. Potem wstał i chwycił kurtkę. Lepiej, żeby sam tam pojechał i powiedział technikom, czego mają szukać. Zdoła im też subtelnie wcisnąć papierek po batoniku, który znalazł w domu letnim Cederlunda.

– Nie będzie mnie kilka godzin – oznajmił.

Pokiwała głową, nie przestając żuć gumy, ale jej ciemne ptasie oczy przyglądały mu się bardzo uważnie.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, wstała, wyłowiła z kosza kartkę i ją rozprostowała.

Tam, gdzie teraz mieszkały, śnieg zdawał się bielszy, a lato było cieplejsze i jaśniejsze, lecz zima stawała się jedną długą nocą niczym przedsmak grobu. Podczas rozgwieżdżonych nocy płótno nieba zdobiły kunsztowne ornamenty połyskujących zielono łuków świetlnych. Wywoływały one u Lillemor piekielny strach, natomiast innych skłaniały najwyżej do wygłoszenia uwagi, że idzie mróz. I przychodził. Rzucił się na człowieka, ilekroć ten wystawił głowę za drzwi, nawet jeśli miał na sobie podwójnie ocieploną włóczkową czapkę i rękawiczki. Najgorszy jednak był ostry wiatr, który pędził z bieguna północnego po całym kraju, wieczorami wyjąc wokół domu niczym stado wilków i szarpiąc okiennicami.

Na początku Lillemor myślała, że Ingvar, u którego mieszkały, jest jej ojcem. Camilla przecież powiedziała jej, że syn Ingvara jest teraz jej młodszym bratem. Lillemor cieszyła się z tego niespodziewanie zyskanego rodzeństwa. Gdyby nie było tak zimno, chętnie chodziłaby z trzylatkiem na sanki. W domu bywało trudno, kiedy musiała go pilnować, ale starała się jak najlepiej wywiązywać z tego obowiązku, bo kiedy on coś zepsuł albo się skaleczył, to ona dostawała za to karę.

Ingvar był wobec niej przyjazny, ale nie opowiadał żadnych historii jak jej dziadek. A kiedy już raz opowiedział, była to historia o Bogu i Jezusie. Niezbyt interesująca. Czasami mówił w innym języku, jednak w domu zawsze używał szwedzkiego. Tylko z określonymi ludźmi rozmawiał inaczej. Każdej niedzieli stał w kościele w czarnej todze z białymi befkami, a ludzie siedzieli cicho i go słuchali. To się Lillemor podobało. To i śpiewy.

„Zły los – skarżyła się Camilla, kiedy Ingvara nie było w pobliżu – rzucił go do tej zapomnianej przez Boga dziury”. I dodawała, że za całą tę nędzę Lillemor może podziękować swojemu ojcu. Temu gnojkwowi. Oszustowi, który poślubił inną. Tamta zabrała Camilli jej miejsce w dużej willi w mieście nad morzem. Lillemor nie wiedziała, co to właściwie ta nędza,

a na pytanie, kto jest jej ojcem, zawsze słyszała jedną odpowiedź: „Wyjaśnię ci, jak będziesz starsza”.

Lillemor szybko nauczyła się czytać, tylko w liczeniu nie była najlepsza. A potem wydarzył się cud – matka znalazła pracę na pół etatu w bibliotece, która była otwarta trzy popołudnia w tygodniu. Camilla córkę zabierała ze sobą, a małego zostawiała pod opieką sąsiadki. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Lillemor godzinami mogła czytać, czytać, czytać... Chciała poświęcić swoje życie książkom. Marzyła, że kiedyś – tak jak matka – stanie za ladą i będzie pomagać ludziom znajdować odpowiednie książki. Pragnęła być panią wysokich regałów w jakiejś wielkomińskiej bibliotece. Ludzie pytaliby ją, gdzie szukać książki, ponieważ byłaby osobą, która najlepiej orientowałaby się w tej papierowej dżungli. Tak Lillemor wyobrażała sobie swoje przyszłe życie, kiedy wieczorami zamykała oczy.

Od czasu do czasu Ingvar znikał na dzień lub dwa. Odwiedzał wtedy inne gminy, jeszcze bardziej odludne. To bez wątpienia było przejściowe, twierdziła matka. Kiedyś wróćą do miasta.

– Do Kiruny? – spytała Lillemor.

Słyszała tę nazwę w szkole, bo jej nauczycielka stamtąd pochodziła.

– Na Boga, nie – zaśmiała się gorzko Camilla.

Camilla spędzała czas przed telewizorem albo kartkowała czasopisma i chciała, by wtedy nikt jej nie przeszkadzał. Potrafiła się zdenerwować dokładnie tak jak Ulrika. Wprawdzie bardzo rzadko wymierzała policzek, ale miała inne metody. Gdy Lillemor przynosiła ze szkoły złe stopnie albo dopuściła się innego uchybienia, jedna z jej zabawek lądowała w piecu. Dziewczynka sama musiała wskazać lalkę albo pluszaka. Camilla obstawała także przy tym, aby córka codziennie przed wyjściem do szkoły wypijała ciepłe mleko mimo obrzydliwego kozucha, który zawsze w nim pływał.

Pewnego dnia Lillemor zaczęła także brać książki do domu. Odtąd czytała w każdej wolnej chwili, a tych miała niewiele – na pewno mniej, niżby sobie życzyła – ponieważ coraz częściej musiała opiekować się przyrodnim bratem. Na Camillę nie można było właściwie liczyć. Notorycznie skarżyła się na migrenę i całe dni spędzała w zaciemnionej sypialni. Kiedy stamtąd wychodziła, brzydko pachniało jej z ust, a jej nastroje zmieniały się jak w kalejdoskopie. To była radosna, nawet

zabawna, to znowu rozczułała się nad sobą, obwiniając wszystkich o wszystko. Wieczorami, kiedy dzieci leżały już w łóżkach, kłóciła się z Ingvarem. Lillemor słyszała ich podniesione głosy nawet przez kołdrę, którą naciągała na głowę. Wydawało się, że Ingvarowi odpowiada „zapomniana przez Boga dziura” i wcale nie miał zamiaru się przenieść. Ale nie tylko dlatego się ścinali. W ogóle z Camillą nietrudno było wdać się w sprzeczkę.

Lillemor kochała swoją matkę – obecną i nieobecną zarazem. Podziwiała ją i robiła wszystko, by się jej przypodobać. Tęskniła za nią, choć mieszkały pod jednym dachem.



Tinka klęczała obok stosu ubrań i obracała w dłoniach małą czapeczkę. Pochodziła z bardzo drogiego sklepu z odzieżą dziecięcą. Była białobłękitno-różowa. Na ściągaczu zająć ścigał się z łosiem.

Oboje zgadzali się, że nie należy robić żadnego ołtarzyka. Łóżeczko Lucie znieśli do piwnicy. Teraz i tak byłoby już dla niej za małe, pomyślała Tinka. Tak samo ubrania. Ale nie chciała ich oddawać. Podczas przeprowadzki wszystkie rzeczy córki spakowali do skrzyni, którą postawili w pokoju nazywanym gościnnym, mimo że nikt w nim jeszcze nie nocował. A nie, kilka tygodni temu spał w nim Gunnar, pijany w sztok. Wcześniej siedział na sofie i wylewał swoje żale, jednocześnie wlewając w siebie dwie butelki wina. Uskarżał się gorzko, że ojciec obarcza go odpowiedzialnością za sprawy, na których on się nie zna, i że Greta nie jest dla niego wsparciem, i że Sanna odejdzie od niego, kiedy skończy się życie w luksusie, i zabierze ze sobą Williama. I tak dalej. Tinka i Leander po prostu pozwolili mu mówić, bo co mogli zrobić innego? Muszę kiedyś zaprosić ich oboje do nas, pomyślała Tinka. W końcu to rodzina, nawet jeśli Sanna jest głupią krową.

Malutki norweski sweterek! Lucie tylko raz miała go na sobie, wycięcie na szyję było za wąskie, więc przy wkładaniu i zdejmowaniu go pojawiały się łzy.

*Może wcale nie chcesz, żeby Lucie wróciła...*

Słowa Leandera ją zraniły. Czy tak mało ją zna? Czy nie wie, że Tinka chce zawsze wszystko doprowadzić do końca?

Lucie była niecierpliwie wyczekiwana, przede wszystkim przez Tinkę. Wyobrażała sobie, że dziecko przypieczętuje jej związek z Leanderem nawet bardziej niż małżeństwo. Dzięki temu ich geny byłyby na zawsze złączone i wtedy stanowiliby prawdziwą rodzinę. Kiedy Lucie pojawiła się na świecie, Tince wydawało się, że jest idealnie szczęśliwa. Uczucie w swej intensywności i wyłączności można było porównać tylko do stanu

zakochania. Znowu najważniejszy był ktoś inny: Lucie. Jednak taki stan trwał zaledwie kilka tygodni. Potem hormony wróciły do równowagi i zaczęły się codzienne zmagania o przestrzeń dla siebie, radość życia i chwilę prywatności. Nieraz miała wrażenie, że sala porodowa stanowiła jakiś rodzaj wehikułu czasu, który przeniósł ją do lat pięćdziesiątych, kiedy to miejsce kobiety było przy garach w kuchni.

Co pozostaje z romantyzmu i namiętności, kiedy w życie realizujących się zawodowo nowoczesnych i rozważnych ludzi wkracza codzienność w postaci nieszczególnie łatwego dziecka? Tinka coraz częściej zadawała sobie to pytanie. Co zostaje z miłości, kiedy trzeba bronić własnej tożsamości i ciągle na nowo szukać tego uczucia?

Czasami nachodziło ją podejrzenie, które niekiedy przeradzało się w pewność, że kocha Leandera bardziej niż córkę. Uważała to za coś strasznego, nie do pomyślenia. Matczyzna miłość, i to bezwarunkowa, powinna przecież stać ponad wszystkim. O tym się czyta w książkach, to się ogląda w filmach. To była norma. I taką matką chciała być też Tinka: normalną, kochającą. Nie matką, która niczym helikopter nieustannie krąży wokół dziecka, ale też nie taką, która wychowanie dzieci oddaje w dużym stopniu w ręce opiekunek – jak Greta.

– Czego chcecie, wy we dwoje radzicie sobie świetnie – powiedziała Tince, kiedy ta któregoś dnia zarzuciła jej, że sobie cholernie ułatwiała życie.

Trudno było temu zaprzeczyć.

Podczas gdy relacje między Tinką a Gretą były napięte, ojca ubóstwiała z jego wszystkimi kapryсами i dziwactwami. I z wzajemnością – Holger Nordin był całkowicie zadurzony w córce. Oczywiście, kochał też swego pierworodnego, Gunnara. Ale ta miłość była warunkowa: syn miał przejąć interes. A teraz zdawało się, że Gunnar zawiódł i nie mógł być już pewny ojcowskiej miłości. Córkę Holger kochał bezwarunkowo. Podczas gdy Gunnar zawsze kojarzył mu się z obowiązkami, Tinka łączyła się tylko z odpoczynkiem. Obciążanie jej obowiązkiem odgrywania ważnej roli w koncernie nigdy nie przyszłoby mu do głowy. Był człowiekiem starego porządku, którego przedstawiciele uważali, że świat biznesu nie pasuje do kobiet.

– Jesteście ofiarami społeczeństwa, które wam wmawia, że oprócz walki z dziećmi i kuchnią potrzebujecie jeszcze wymagającej pracy, żeby się

realizować – mawiał.

Zresztą Tinka nigdy nie ekscytowała się robieniem interesów. Pasjonowały ją nauki przyrodnicze, a ojciec ją w tym umacniał. Sam jako młody chłopak fascynował się biologią. W starym pokoju Tinki w domu jej rodziców wciąż wisiły szklane gabloty z kolekcją motyli, które ojciec zostawił jej w spadku.

Nie, Tinka nie chciała być jak jej matka.

Jednak po porodzie czuła się dziwnie zniewolona. Zdawało jej się, że egzystuje tylko w połączeniu z Lucie, jakby były jednym organizmem, rozdzielonym na dwa ciała. Lucie wyznaczała rytm dnia: decydowała o tym, kiedy matka jadła, kiedy spała, a przede wszystkim – kiedy nie spała.

Z jaką niecierpliwością Tinka czekała wówczas na dzień, w którym Lucie miała pójść do przedszkola. To był najwyższy czas na rozdzielenie i trochę swobody. Gdy Lucie robiła swoją przekorną minę – spuszczone głowa, wysunięta dolna warga, ściągnięte brwi i wrogie spojrzenie – Tinka czuła rosnącą nienawiść. Podobnie podczas napadów wściekłości córki, które często następowały po tej minie i trwały tak długo, póki dziewczynka nie otrzymała tego, co chciała. W tych momentach Lucie wydawała się Tince złośliwym trollem, którego zadaniem było ją zamęczać i psuć jej życie. Czasem aż musiała wyjść na chwilę z pokoju, żeby dojść do siebie. Wertowała poradniki, które mówiły o fazach rozwoju dziecka i odkrywaniu przez nie swojego „ja”. To minie! – tak brzmiało jej tajemne hasło bojowe. Nie, nie miała sobie nic do zarzucenia, zawsze się kontrolowała. Choć niekiedy z lękiem myślała, co by się mogło wydarzyć, gdyby któregoś razu straciła panowanie nad sobą.

Gdy dziś rozmawiali o córce, mówili o jej uśmiechu, dużych oczach, jedwabistych włosach, pierwszych nieporadnych krokach. Także na zdjęciach widać Lucie uśmiechniętą albo z uważnym wyrazem twarzy, pełnym zainteresowania lub zamyślonym. Ale Tinka wiedziała, że natura wspomnień jest zwodnicza i z upływem czasu miała uczucie, że pamięta Lucie, która nie istniała. Śmiech córki blaknął we wspomnieniach Tinki coraz bardziej, za to inne sytuacje pozostawały wyraźne: tamta kwietniowa niedziela, jeden z pierwszych ciepłych wiosennych dni, cały świat błyszczał, byli młodymi ludźmi z czarującą córeczką, którzy spacerowali po plaży. Ale Lucie wszystko psuła swoim nieustannym marudzeniem. Ciągłe

płakała, była przekorna i ze wszystkiego niezadowolona. Wówczas Tinka, przerażona samą sobą, wypierała myśl, że jej życie, jej małżeństwo byłoby bez Lucie piękniejsze.

Nagranie wideo trwało dziesięć–dwanaście sekund i podczas tej krótkiej chwili, kiedy można było zobaczyć twarz tego dziecka, Tinka nie była pewna, że to rzeczywiście ich córka. Tak, to mogła być Lucie, myślała. Ale nie mogłaby przysiąc, że to ona. Można dużo zobaczyć, jeśli się bardzo tego chce. Twarz wydawała się jej zbyt okrągła, nic nie zostało ze szczupłej małpki, a ta ściągnięta górna warga nie była też u dzieci rzadkością. Dopiero w ostatnich sekundach nagrania zmieniła zdanie. Kiedy dziewczynka przyglądała się czy przysłuchiwała czemuś, co się jej nie podobało. To zmarszczone czółko, to poirytowane spojrzenie – to Tinka rozpoznalaby zawsze. W głębi serca wiedziała, dlaczego postawiła wózek obok stoiska, nawet jeśli zachowanie było bezmyślne, a jego skutki absolutnie niezamierzone – chciała choć na chwilę wyzwolić się spod tyrańskiej władzy Lucie, jaką ta roztoczyła nad jej życiem.

Selma siedziała w tramwaju do Biskopsgården i przeklinała w myślach swoją głupotę oraz Forsberga i jego tajemnice.

Znowu wspięła się po pięciu schodkach, które wprowadziły ją w świat dziwnych zapachów. Dwóch chłopców, na oko trzynasto- i czternastolatek, wyszło jej naprzeciw.

– Ej, mój kumpel chce twój numer telefonu! – zawołał starszy.

– A on chce cię przelecieć! – zaskrzypiał młodszy, który właśnie przechodził mutację.

– W porządku – rzuciła Selma, rozchyliła lekko kurtkę, pokazując służbowy pistolet.

– Kurwa, człowieku, to glina! – syknął któryś z nich, po czym obaj z tupotem zbiegli po schodach.

Selma pukała i pukała, ale nikt nie otwierał. Czyżby pani Bobrow była w pracy? W której? Obojętne. Stracony czas! Ze złości walnęła pięścią w drzwi, które niespodziewanie ustąpiły. Weszła do przedpokoju, trzymając dłoń na kaburze z bronią.

– Pani Bobrow?

Nikt nie odpowiedział. Przy tak słabym zamku nie można nawet mówić o włamaniu, stwierdziła Selma, krzyknęła „hej” oraz pełne imię i nazwisko

Rosjanki, ale nadal panowała cisza. Tylko kilka much brzęczało wokół niej.

Zamknęła za sobą drzwi. Skoro Forsberg mógł się wedrzeć bez nakazu do domu Cederlundów, to ona też może zrobić kilka zdjęć dziecięcych obrazków! Pani Bobrow nawet nie zauważyła jej obecności.

W pokoju dziecięcym było ciepło i pachniało stęchlizną. Już w korytarzu poczuła ten zapach. Jakby ktoś za długo nie opróżnił kosza na śmieci.

Dwa rysunki nadal wisiały nad łóżkiem, ciągle stały tam też lalki i pluszaki, ale pościel zniknęła. Drzwi od szafy były otwarte, a półki puste. Brakowało też rzeczy Aleksandra. W łóżku malca leżał tylko brudny materac, po którym chodziło kilka much. Selma zatrzęsała się – nienawidziła much. Przejrzała stos podręczników obok łóżka Walerii. Pod książkami znalazła kilka luźnych kartek. Dziecięce rysunki. Wydawały się wcześniejsze niż te wiszące na ścianie, ich kreska była grubsza i nieporadna. Jakaś kartka wsunęła się też pod łóżko. Wyciągnęła ją i delikatnie strząsnęła z niej kurz. Czarny samochód. Ten rysunek również musiał wisieć w pokoju – na ścianie były dziurki po pinezkach. Zwinęła obrazek i schowała go do wewnętrznej kieszeni kurtki. Tak samo dwa rysunki ze ściany.

Zajrzała do łazienki. Brakowało kubka ze szczoteczkami do zębów. Szafka nad umywalką była opróżniona, podobnie kosz na pranie.

– Jasna cholera!

Materac z pianki, wytarta sofa, wieszak na ubrania. Tyle się ostało w dawnym salonie i sypialni pani Bobrow.

Jeszcze kuchnia. Otworzyła drzwi. Smród uderzył ją niczym pięść.

Stąd nic nie zniknęło, przeciwnie – po tym, co leżało na stole, pełzały liczne zielone połyskujące muchy. Poczwały się zaniepokojone i zawrzały, kiedy Selma podeszła bliżej. Ze środka owadziego roju spoglądały martwe oczy Iwana Krulla.

Leander zastał Tinkę siedzącą na podłodze w pokoju gościnnym między stosami dziecięcych ubranek i pluszaków. Głowę oparła na kolanach, blond włosy zakrywały jej twarz niczym zasłona. Podszedł do niej ostrożnie, jakby była dzikim zwierzęciem mogącym się spłoszyć albo ze strachu zaatakować.

– Nie będą już na nią pasować – powiedział cicho.

Podniosła wzrok. Oczy miała lekko podpuchnięte, ale teraz próbowała się uśmiechnąć.

– O niektórych rzeczach zupełnie zapomniałam – szepnęła. – Na przykład ta koszulka z owieczką. Kupiliśmy ją w Grecji.

– Nie chciała jej w ogóle zdejmować.

Ani słowa o pistolecie.

Leander ujął Tinkę za rękę, a ona pozwoliła mu się podnieść i przytulić. Położyła głowę na jego ramieniu, on drapał ją delikatnie po plecach. Stali tak dobrą chwilę. Ogarnęła go fala czułości i pożałował, że czegokolwiek kiedykolwiek od niej w ogóle wymagał. Tinka zasługiwała na szczęście, a jego zadaniem było się o to zatroszczyć.

– Dzwonił mój ojciec – odezwała się Tinka.

– Ale nic mu nie powiedziałaś?

– Oczywiście, że nie.

– Dobrze.

Tego by jeszcze brakowało, żeby starszy pan się w to mieszał.

– Chciał tylko wiedzieć, co u nas słyhać i czy już się uspokoiłeś...

– Uspokoiłem?

– Chodzi o sobotę. Przepraszał za Gretę.

– To ja muszę przeprosić. W każdym razie jego. Zadzwonię do niego – obiecał.

Sobota. Czy to rzeczywiście było kilka dni temu, urodziny Tinki i list od szantażysty?

Spekulowali, kto za tym stoi: kobieta czy mężczyzna. Intuicyjnie mówili „on”, mimo że równie dobrze mogła to być jakaś „ona”. Tinka dorastała w domu hołdującym tradycyjnej roli kobiety w społeczeństwie. Potem przeszła fazę buntu, sympatyzując z feminizmem. Ale po pięciu latach pracy pod kierownictwem kobiety nie łudziła się już, że płeć żeńska jest delikatniejszym czy nawet lepszym gatunkiem człowieka. Leander nigdy w to nie wierzył.

– Nie chcę nadawać mu czy też jej przezwiska – stwierdziła Tinka.

Zostali więc przy „kolesiu” albo „dupku”, albo „szantażyście”.

Potem usiedli na kanapie, Tinka z kubkiem herbaty i kocem na stopach.

– Czy wolałabyś pójść z tym na policję? – spytał Leander.

Po upływie prawie minuty odpowiedziała mu pytaniem:

– Ale z czym?

Leander milczał. No właśnie: z czym? Co najmniej od sprawy z nagraniem wideo było jasne, że ich przeciwnik nie jest głupi. Na pewno nie zostawił odcisków palców na liście. Nie wysyłał SMS-ów z zarejestrowanego numeru.

Gdy Leander ćwiczył strzelanie, Tinka nie tylko zajrzała do skrzyni z rzeczami Lucie, lecz także wysłała do szantażysty SMS. Zaoferowała mu dwadzieścia milionów koron. Dziesięciokrotność pierwotnej nagrody. Leander nawet nie pytał, skąd chce wziąć pieniądze. Zresztą stało się to zbyt szybkie, po tym jak przyszła odpowiedź: „Żadnej zmiany planów”.

Co mogłaby wymyślić policja?

– Musimy się dowiedzieć, kogo masz zabić – oznajmiła Tinka. – Z tym możemy pójść na policję. Będziemy mieć przynajmniej jakiś ślad. Szantażysta musi znać ofiarę, inaczej nie uciekałby się do takich zabiegów.

Leander myślał o broni leżącej w schowku w samochodzie.

– Obiecuj mi, że nikogo nie zabijesz – zażądała Tinka.

– Dobrze – odpowiedział.

Forsberg zawiózł Selmę do domu. Malin i Bergeröd oraz technicy od zabezpieczania śladów zostali w mieszkaniu pani Bobrow i zajęli się makabrycznym znaleziskiem. Milczeli przez całą drogę. Forsberg zatrzymał się przed domem przy Linnégatan. Budynek z żółtej palonej cegły, jak sądził z przełomu poprzedniego wieku, zdobiły ornamenty. Ptaszyca wciąż była kredowo blada, więc zaproponował jej sznapsa w barze na rogu, ale pokręciła głową:

– Muszę wziąć prysznic, teraz, natychmiast! Te muchy wszędzie... Mam uczucie...

– Tak, jasne – odparł.

Przy wysiadaniu Selma, przypominając sobie o czymś, rzuciła:

– Chodź ze mną na górę, muszę ci pokazać coś ważnego.

Forsberg nie dał się długo prosić. Był ciekawy, jak Ptaszyca mieszka.

Nieźle, stwierdził chwilę później.

Selma rzeczywiście natychmiast po przestąpieniu progu popędziła do łazienki i kilka sekund później zaszumiał prysznic.

– Weź sobie piwo z lodówki! – usłyszał zza zamkniętych drzwi. – Wódka też tam jest.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Sufit zdobiła sztukateria. Podłoga skrzypiała wytwornie pod stopami. Dawna świetność nosiła ślady zużycia, ale na białych ścianach nie było widać rys, a tynk nie sypał się na głowę. Z korytarza wychodziło pięćdziesiąt drzwi, jedno było otwarte. Skromne wyposażenie: metalowy regał, duże łóżko przykryte czarną narzutą, stolik z laptopem czy notebookiem, czy jak tam się te rzeczy nazywają. Czarne ubrania leżały rozrzucone po całym pokoju, książki, kable, sprzęt elektroniczny, filizanki z resztkami kawy, puste lub prawie puste butelki po wodzie mineralnej i coli. Selma nie wydawała się fanatyczką porządku, chociaż jej biurko na komisariacie było wysprzątane, podczas gdy na jego piętrzyły się stosy papierzyśk. Ale w końcu jako szef referatu miał więcej obowiązków. Wszedł do salonu wielkości sali tanecznej. Na środku stała kanapa z czerwonym aksamitnym obiciem i łukowato wygiętym oparciem. Z łatwością mogłaby na niej zasiąść kilkusobowa rodzina. Przed kanapą umieszczono stolik, a przy ścianie stał sprzęt grający z głośnikami wielkości człowieka. W kuchni siedział mężczyzna przy długim drewnianym stole i Forsberg już miał na ustach słowa przeprosin, kiedy zauważył, że to lalka. Manekin wystawowy! W lodówce znalazł marchewki, paprykę, kolekcję słoików po musztardzie, mocniejsze trunki i sześciopak piwa. Otworzył puszkę i usiadł obok kukły. Jej milczenie bardzo mu odpowiadało. On też musiał przetrwać widok głowy Krulla.

Ładne mieszkanie. Z pensją inspektora policji zwykle nie można sobie na coś takiego pozwolić, ale może ten Amundsen, o którym Ptaszyca wspominała, częściowo je finansował. Choć, zauważył fachowo Forsberg, nie wyglądało, jakby mieszkał tu facet. No ale nie widział wszystkich pokoi. Manekina siedzącego u szczytu stołu uznał za wyjątkową ekstrawagancję. Selma przywitała go słowami: „No, sir Henry, jak minął dzień?”. Ładnie pachniała, lasem i trawą. Podreptała prosto do lodówki, z której wyjęła puszkę piwa i butelkę likieru. Jej mokre włosy błyszcząły, jakby były zanurzone w oleju, miała na sobie wielki męski szlafrok w niebieskie i czerwone paski. Forsberg przyłapał się na myśli, czy ma coś pod nim.

– Chcesz jednego? – spytała.

– Lepiej zostanę dziś przy piwie.

Rozbawiony przyglądał się, jak Ptaszyca wlewa aquavit do kieliszka z logo Stena Line i duszkiem go wypija. Jej policzki znowu nabrały



kolorów.

– Cholera, dlaczego zawsze muszę znajdować jakieś obrzydliwe trupy? –  
Nalała drugi kieliszek i skręciła papierosa.

– Przykro mi – powiedział Forsberg. – Także z tą sprawą z domem  
letnim. Nie wiedziałem, że Cederlund tam... to znaczy, tak jak twój  
ojciec...

Selma przytknęła zapaloną zapałkę do papierosa, który się rozżarzył. Nie  
spytała, skąd wie.

– Nie widziałam ojca – zauważyła po chwili. – Zawsze sobie to tylko  
wyobrażałam. Ale nie aż tak źle.

– A twoja matka?

– Wróciła do Turcji, gdy tylko skończyłam szkołę. Nie spodobało się jej,  
że poszłam pracować w policji.

Biedna Ptaszyca, pomyślał, lecz jednocześnie przyszło mu do głowy, że  
równie dobrze mógłby pożałować samego siebie. Ojciec od lat nie żył, była  
żona tak samo, córka zniknęła, a matka mieszkała w domu starców i go nie  
rozpoznawała.

– A dlaczego wybrałaś policję? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Jakoś uważałam to za fajne. A ty?

Uśmiechnął się.

– Jako młody chłopak chciałem być kucharzem.

– Kucharzem?

– Mój ojciec przez wiele lat był kucharzem na statku, a później  
w restauracji. Niestety, nie odziedziczyłem jego talentu. Dlaczego zostałem  
policjantem, tego nie wiem.

Selma skinęła głową.

– A teraz? Ciągłe uważasz, że to fajne? – zaryzykował Forsberg.

– Tak, tylko myślałam, że w dziale do spraw osób zaginionych będzie  
mniej trupów.

Forsberg przyłożył puszkę do ust. Potem spytał:

– O co ci chodziło, tam na zewnątrz?

Spojrzała na niego tępo, odłożyła tłęcego się papierosa na skraj  
popielniczki i wstała.

Poszła zwymiotować? Trzeba przyznać, że odcięta ludzka głowa na stole  
kuchennym wytrąciłaby z równowagi większość jego kolegów. Usta zszyto

grubą czarną nicią.

Po chwili wróciła.

– Musimy porozmawiać o krowach – powiedziała i wciąż spowita zapachem świeżej trawy położyła na stole kilka dziecięcych rysunków.

– O krowach – powtórzył Forsberg. – Aha.

Pierwszy rysunek pokazywał dom, coś niebieskiego, pewnie staw, bo z rybami, oraz jasnozieloną plamę, a na niej brązowe zwierzęta z czterema kreskami w miejscu nóg. Krowy? Dalej można było zobaczyć coś przypominającego drzewa: brązowy pień, a na górze zielone kółka.

– To są rysunki Walerii. Wisiały nad jej łóżkiem! – Forsberg przypomniał sobie pierwszą wizytę u pani Bobrow.

– Tak. I? Nie rozpoznajesz tego? – spytała Selma.

– A powinienem?

Wzięła papierosa i zaciągnęła się głęboko, podsuwając mu tytoń. Forsberg otworzył paczkę i niezgrabnymi palcami zaczął zwijać papierosa.

– Byłeś przecież wczoraj w domu letnim Cederlunda. To jest dom, tu jezioro, a tu las z jagodami... – Selma pochyliła się nad stołem i wskazała niebieski punkt w zieleni. – A to są krowy. To widok z domu letniego, tyle że narysowała tu też sam dom.

Komisarz wykorzystał okazję i spróbował zerknąć w rozcięcie szlafroka. Forsberg! Ale równie dobrze można by próbować oduczyć psa merdania ogonem. Ma coś tam pod spodem czy nie?

– Skąd to wiesz? – spytał.

– Przecież masz to przed sobą! Gdzie indziej dziewczynka mogłaby zobaczyć krowy, po Biskopsgården nie biega ich za wiele.

– Nie o tym myślałem, tylko...

– A, o tym, że byłeś w domu? – Przechyliła głowę na bok jak ptak i spojrzała na niego. – No cóż...

Przyglądał się sceptycznie skręconemu papierosowi. Przypominał węża, który połknął świnię.

– To nie było... całkiem w porządku, że tam pojechałem. To znaczy bez nakazu przeszukania, kiedy sprawa Cederlunda nie jest nawet moja... to znaczy nasza.

– Myślisz, że mogłabym cię wydać? – spytała, a jej oczy zaświeciły groźnie.

– Nie – zapewnił ją szybko. – Nie, nigdy!

Selma wyjęła kolejny rysunek.

– Jej przyjaciółka Bahar.

Uśmiechnięta twarz dziewczynki w oknie samolotu. Forsberg zapalił i wciągnął dym głęboko do płuc.

– Ale samochody to są w Biskopsgården? – spytał przy ostatnim obrazku.

– Namalowała siebie siedzącą w samochodzie.

W tylnym oknie kanciastego czarnego samochodu była widoczna głowa z brązowymi włosami, które sięgały do podbródka. Takiej długości były włosy Walerii. W przeciwieństwie do dziewczynki z samolotu, ta się nie uśmiechała. Jej oczy były duże i okrągłe, usta zaznaczono krótką prostą kreską. Kierowca miał na sobie niebieską czapkę z daszkiem i wyglądało to tak, jakby najpierw narysowała brązowe włosy, a dopiero potem dodała bejsbolówkę.

– Samochód Cederlunda jest czarny – powiedziała Selma. – Jednak nie mogę sobie wyobrazić, że nosił taką czapkę. A jego włosy nie były brązowe, tylko siwe. I poza tym w tego typu zabawy nie wtajemniczałby raczej szofera.

– Może nie miała szarej kredki – zaproponował Forsberg.

– Nie, dzieci rysują dosłownie, a Waleria bardzo dbała o szczegóły. Patrz: jej włosy są brązowe, a Bahar czarne. Jagody są niebieskie. Dach jest pomalowany na szaro mazakiem. Dlaczego? – Zrobiła pauzę, a on patrzył na nią oczekująco. – Ponieważ dom letni ma dach łupkowy.

Komisarz palił i studiował rysunki.

– Krowę mogła oczywiście zobaczyć w telewizji – zauważył bez przekonania.

– Wierzysz w to?

– Nie. Ale rysunki są najwyżej poszlaką, nie dowodem. To musieliby zbadać technicy, a to trwa zawsze... – Machnął ręką, westchnął, potem spojrział na Selmę i powiedział: – Świetna robota, Selmo.

Ptaszyca się rozpromieniła, a Forsberg poczuł zalewającą go falę ciepła. Zmył ją dużym łykiem piwa.

– Czy Krull miał czarny samochód? – spytała Selma.

– Zobaczymy. – Forsberg zadzwonił na centralę i zapytał o auto topielca. Po chwili powiedział: – Stara toyota, czerwona.

– Cholera! – Selma zgasila papierosa i zagadnęła bez związku: – Jak ci się podoba mieszkanie?

– To? – spytał zirytowany.

– Tak, to.

– Ładne. Duże. Wspaniale położone. Nie stać by mnie było na takie.

– Uprawiam hazard.

– Hm?

– No, gram w karty. W knajpach. Czasami też w internecie.

Forsberg wyobraził sobie Ptaszycę wśród mężczyzn palących cygara. Pewnie to tylko stereotyp.

– Jesteś... mam na myśli...

– Nie, nie jestem nałogowcem. Gram dla pieniędzy i zawsze coś wygrywam. Czasem mniej, czasem więcej.

Zastanawiał się, dlaczego Ptaszyca mu to opowiada.

– Mógłbyś mieszkać w pokoju Anny, póki nie znajdziesz sobie mieszkania.

– Co? – Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Musisz się przeprowadzić. – Selma chwyciła swoje jeszcze wilgotne włosy. – Dziś rano myślałam, że masz łupież, a to był gips.

– To... to miło z twojej strony, że się tym martwisz – wyjąkał.

– Twój dom się wali – oznajmiła Selma.

Forsberg zgasił do połowy wypalonego papierosa i posłał jej przelotny uśmiech.

– A co powiedziała by na to twój przyjaciel, Amundsen?

Selma zaśmiała się swoim gruchającym ptasim śmiechem.

– Ach, tę sprawę już uregulowałam. On tak czy inaczej należy do Anny.

Forsberg poczuł przemożną potrzebę ucieczki.

– To tylko tynk – powiedział i wstał. – Ale dziękuję za propozycję. Teraz... już pójdę. To był długi dzień. Jeśli chciałabyś wziąć jutro wolne...

– Nie – odparła Selma.

Zacisnęła pasek szlafroka mocniej i odprowadziła go do drzwi.

– Albo jednak tak. Pół dnia wolnego.

– Jasne – zgodził się Forsberg. – Dobranoc.

– Dobranoc, Greger. – Selma się uśmiechnęła. Diabolicznie, uznał Forsberg.

– Myślę, że nieźle go wystraszyłam – powiedziała Selma do sir Henry'ego.

– Ale nie można przecież mieszkać w domu, który sypie się jak stary keks.

Wtuliła się w kąt czerwonej sofy, otworzyła notebook i zalogowała się na Facebooku. Dwa lata temu założyła tam konto na nazwisko Njála Kjeld, ale potem je sobie odpuściła. Jej profil przedstawiał mało znaną aktorkę, której zdjęcie Selma trochę przerobiła. Do tej pory miała całych dziesięciu „przyjaciół”. Tylko połowa z nich wiedziała, kto ukrywa się pod tym nazwiskiem. Tego konta używała czasami, aby porozmawiać z uzależnioną od Facebooka Anną. Ale teraz Anna nie była online. W Singapurze dochodziła trzecia w nocy.

Wczoraj wieczorem Selma jako Njála Kjeld polubiła kilka zespołów darkwave’owych, zarejestrowała się na fanpage’u Eyji de Lyn i zaprosiła do grona znajomych Borisa Lindströma – byłego chłopaka Anniki Carlberg. Córka Forsberga nosiła nazwisko swojej matki Benedikte.

„Hej, witaj w klubie”, odpisał jej Boris Lindström i zaakceptował jej zaproszenie. Teraz mogła zobaczyć grono jego dwustu czterdziestu pięciu „przyjaciół”, których w większości stanowiły kobiety, dowiedzieć się, gdzie w ciągu ostatnich trzech lat spędzał urlop – w Tajlandii, Egipcie i we Włoszech – i że ciągle lubi gotyckiego rocka. Selma dodała kilka życzliwych i nic niemówiących komentarzy pod zdjęciami Borisa, na których widać było plażę, morze i pijanych idiotów, a potem skomentowała kilka jego trochę starszych wpisów. Nie za dużo. Trzeba odczekać i zobaczyć, jak się sprawa rozwine. Portale społecznościowe są w końcu po to, żeby odnaleźć starych znajomych. Być może Annika nie ze wszystkimi ucięła kontakty.

Za wycieraczkę samochodu służbowego zatknęto mandat.

– Cholerne świnię!

Ci strażnicy miejscy byli naprawdę plagą – i obfitym źródłem wpływów do kasy Göteborga. Forsberg postanowił, że skoro jest dopiero pół do dziewiątej, to zostawi mandat na miejscu i usiądzie w pobliskiej knajpie. Niewiele się działo: garstka gości w podeszłym wieku, którzy wyglądali jak pozostałości po Partii Piratów. Zamówił piwo i zadzwonił do Evy Röög.

– Czy jest już za późno na jutrzejsze wydanie gazety?

– No tak... to zależy.

Odgłosy telewizora. Była chyba już w domu. Ze Stiegem. Stiegiem, który jeździ Z4, gotuje dla niej i doprowadza ją do śmiechu.

– Byłaś na konferencji prasowej z powodu ciała bez głowy znalezionego w Götaälv? – spytał.

– Nie, Fredrika tam była. Dziś byłam u Marty w szpitalu.

– Aha.

– Ciągłe jest w śpiączce.

Forsberg wypił łyk piwa.

– Dlaczego dzwonisz? – spytała Eva.

– Chciałem usłyszeć twój głos.

– Bardzo śmieszne!

– Znaleźliśmy rano głowę od tego ciała. W kuchni matki Walerii Bobrow. Na środku stołu.

Zostało uzgodnione, że prasa ma nie być informowana o zszytych ustach, żeby nie ściągać wariatów, którzy zawsze chętnie zgłaszają się jako sprawcy przy tego typu incydentach.

– Wow – powiedziała Eva. – Jak się tam znalazła, przyszła pocztą?

– Nie. Ktoś wyłamał drzwi i postawił głowę na kuchennym stole.

– Postawił?

– Tak, na szyi... To znaczy na skórze odciętej przy szyi.

– Imponujące! Nie masz przypadkiem zdjęcia?

– Słucham?

– Już dobrze. Nie opublikowalibyśmy go przecież. A kobieta?

– Spakowała manatki i związała. Trwają jej poszukiwania.

– Dziękuję, Forsberg. Jestem ci coś winna.

– Też tak myślę! Siedzę przypadkiem w knajpie w Linnégatan między hałaśliwymi i niedomytymi nerdami...

– Brzmi zachęcająco – zachichotała – ale może innym razem. Jestem już w domu.

– To może jutro wieczorem? – spytał Forsberg.

– Jutro jadę do matki.

– A potem?

– Jogging.

– Możesz wziąć prysznic u mnie – kusił. – Mam wspaniałe cytrynowe mydło!

– Zobaczę – zaśmiała się. – Słuchaj, muszę zadzwonić do redakcji, inaczej na jutro się nie uda. Dzięki! – Odłożyła słuchawkę.

Forsberg westchnął do swego piwa.

– Mamo, co piesz?

Lillemor zamknęła laptop i się odwróciła. Pokój był ciemny, paliła się tylko lampa na dużym stole. Marie przysła bosy w nocnej koszuli.

– Tylko jakąś historię – odpowiedziała.

– O elfiej księżniczce Ámundzie.

– Nie, tym razem nie. Co się dzieje, nie możesz spać?

Marie potaknęła.

– Chcesz jeszcze jedno kakao?

– O tak!

Puszka była pusta. Został tylko gotowy napój, który zamierzała podać córce na śniadanie. Wlała go do szklanki i podgrzała w mikrofalówce. W tym czasie Marie kartkowała zeszyty obok laptopa.

– Nie ma żadnych obrazków.

– Nie, nie ma – odpowiedziała Lillemor. – To napisała twoja babcia. Na długo przed tym, jak umarła. Mówi się na to pamiętnik. Ktoś zapisuje, co mu się przytrafiło w życiu.

– A co jej się przytrafiło?

– Och, bardzo dużo. Zapisuje się każdego dnia albo każdego tygodnia, co się zdarzyło, czym się człowiek zajmował.

– Też tak chcę – powiedziała Marie.

– Oczywiście, ale najpierw musisz pójść do szkoły i nauczyć się pisać.

Postawiła kakao przed Marie.

– Czy już zdecydowałaś, które ze zwierzątek chcesz wziąć ze sobą?

Dziewczynka napiła się, a potem potrząsnęła głową:

– Wszystkie!

– Ale do samolotu nie można wziąć za dużo bagażu, bo zrobi się za ciężki i nie polecą.

– Wszystkie! – padła szybka odpowiedź i bosa stopa tupnęła ze złością w podłogę.

– Dobrze, ale musisz je zapakować do swego plecaka i sama go dźwigać.

Marie potaknęła. Wypiła kakao, a Lillemor wzięła ją na ręce i zniosła do pokoju obok, gdzie dziewczynka bez sprzeciwu wśliznęła się pod kołdrę.

– A teraz śpij. Jutro musisz być w dobrej formie, to będzie długa podróż.

– Jak długa?

– Bardzo długa.

Wróciła do kuchni i otworzyła laptop. Do tej pory nie było trudno. Wprawdzie pamiętniki matki miały wiele luk, jednak dużo uzupełniła tym, co usłyszała od Camilli. Teraz, kiedy coraz więcej i więcej było o niej samej, zrobiło się trudniej. W przeciwieństwie do Camilli Lillemor nigdy nie prowadziła pamiętnika. Gdy tylko jej zasób słownictwa stał się wystarczająco duży, aby mogła wyrazić swoje myśli, zaczęła pisać historie, które były wytworem jej wyobraźni lub inspirowane tym, co przeczytała. Zaczęła już w trzeciej czy czwartej klasie. Jednak nie wpadła wówczas na pomysł, aby opisywać swoje życie. Bo co by miała do opowiadania?

Teraz było inaczej. Pisała dalej.

...Lillemor miała piętnaście lat i chodziła do ostatniej klasy. Kiedy pewnego dnia wyszła ze szkoły, Camilla stała przed bramą. Mimo że niebo było przesłonięte chmurami, miała na nosie okulary słoneczne. Lillemor pomyślała, że zdarzyło się coś złego, spalił się dom, ktoś umarł albo ciężko zachorował, bo jej matka jeszcze nigdy wcześniej nie przyszła po nią do szkoły. Wsadziła córkę do taksówki i pojechały na dworzec, gdzie kierowca wyładował dwie duże walizki, których Lillemor wcześniej nie widziała. Dziewczynka spytała o brata, ale Camilla powiedziała, że on już jej nie obchodzi. Jechały całą wieczność pociągami, ale może tylko dla Lillemor zdawało się to wiecznością, ponieważ była potwornie głodna, a Camilla nie zatroszczyła się o prowiant. Miała też inne zmartwienia. Zastanawiała się, czy matka zapakowała zeszyty z jej opowiadaniem. Pewnie tak, ale z Camillą nigdy nic nie wiadomo.

Zamieszkały w Öckerö, w domu Ulriki, babci Lillemor. Dziadka, którego całkiem dobrze pamiętała, nie było. Zmarł. Zostały tylko ławka, morze, kamienie i niebo.



Selma stała przed klubem Valand przy Vasagatan. Paliła i obserwowała ruch uliczny. To nie był ten rodzaj klubu nocnego, który preferowała, ale nie miała zamiaru do niego wchodzić, mimo że było jej trochę zimno. Żeby nie zmarznąć, chodziła w tę i z powrotem, skręcała za róg, odwracała się i znowu robiła tę samą rundę. Jak na czwartą rano w środę sporo się działo. Może, pomyślała, ze względu na targi książki, które jutro się zaczynają. Potrząsnęła głową. Targi książki. Od kiedy się tym interesowała? Ale ostatnio słuchała także podcastów audycji o literaturze.

Za godzinę, o piątej, kluby zostaną zamknięte, a na ulice wyjadą tramwaje. Teraz panował wzmożony ruch taksówek, zwłaszcza tych nielegalnych, które zabierały klientów bezpośrednio spod nocnych lokali. Liczne plakaty informowały o niebezpieczeństwie, jakie wiąże się z korzystaniem z tej formy transportu, i wskazywały drogę do oficjalnych postojów. Także policja, zachęcana przez korporacje, które w taksówkach jeżdżących na czarno widziały zagrożenie dla swego interesu, robiła regularne polowania na nielegalnie parkujące taksówki i była w pełni wspierana przez niechętnych strażników miejskich, którzy w ciągu dnia bezlitośnie prześladowali również nieprawidłowo parkujących kierowców. Ale mimo wszystkich tych zabiegów wokół dworca głównego i między Avenyn a Vasastaden nadal kursowała cała masa nielegalnych taksówek. Szczególnie nocą. Pijanym klubowiczom nie chciało się maszerować na oficjalny postój przy Heden albo przed Teatrem Wielkim. Całkiem zrozumiałe, pomyślała Selma, obserwując trzy chwiejące się i chichoczące dziewczyny w obcisłych minisukienkach w krzykliwych kolorach. Na wysokich obcasach, jakby wyciągnięte dźwigiem do góry, stały na skraju ulicy. Selma nigdy nie miała na sobie takich butów – butów, w których nie można chodzić. Niektóre kobiety same prowokują gnojków, stwierdziła, nie spuszczać oka z wciskających się do samochodu imprezowiczek. Jak na zawołanie, zza rogu wytoczyło się czterech barczystych facetów. Selma

przeszła na drugą stronę ulicy, żeby nie natknąć się na ten skumulowany ładunek testosteronu. Stopiła się z cieniem domów. W swojej czarnej skórzanej kurtce nie pasowała do wizerunku zdobywcy tych czterech, chyba że jako jej negatyw. Panowie świetnie się teraz bawili kosztem kumpla, który rzygał na krawężnik. Bekając i śmiejąc się, poszli dalej, a Selma znowu skoncentrowała się na ruchu ulicznym.

*Poszlaka i żadnych dowodów.* Forsberg miał oczywiście rację, jeśli chodziło o rysunki Walerii. Ale poszlaki były czasem pierwszym stopniem do mocnych sądowych dowodów i im więcej się ich uzbierało, tym lepiej.

Trzy kwadransy i cztery papierosy później kilka metrów od niej przy przeciwległej uliczce zatrzymał się ciemny mercedes. Selma przeszła przez jezdnię i triumfalnie zacisnęła pięść. Trafiony. Numer rejestracyjny samochodu się zgadzał, sprawdzała go już w rejestrze pojazdów i zapamiętała. Wiedziała też, że po raz pierwszy został zarejestrowany w roku 1998 i miał trzech poprzednich właścicieli. W dodatku kierowca nosił czapkę z daszkiem. W ciemności nie dało się wprawdzie rozpoznać jej koloru, ale Selma mogłaby przysiąc, że w dziennym świetle byłaby ciemnoniebieska.

Mimo że Selma dostała pół dnia wolnego, na komisariacie stawiała się już z rana. Forsberga nie było, więc nie mogła opowiedzieć mu o swoim odkryciu. Poszła zatem do kolegów z wydziału śledczego. Była tylko Malin. Cały blat jej biurka zakrywały czarno-białe zdjęcia. Na jednej fotografii wyraźnie odznaczał się gruby ścieg czarnej nici, którą Krollowi zaszyto usta, na innej można było przestudiować miejsce ucięcia szyi aż do najdrobniejszego szczegółu. Malin szybko zebrała zdjęcia.

– Minęło ci już wczorajsze przerażenie? – spytała i spojrzała na Selmę z macierzyńską troską.

– Tak – odparła Selma.

Nawet zdążyła się przespać kilka godzin. Śniło się jej, że ona i Forsberg stoją w myjni samochodowej przed czarnym mercedesem i komisarz chce spać jej usta zszywaczem.

– Mnie jeszcze nie. – Głos Malin lekko się załamał. – To najobrzydliwsza rzecz, jaką widziałam, pomijając... No tak, zostawmy to. To w każdym razie nie zdarza się codziennie.

– Miejmy nadzieję – powiedziała Selma. – Chętnie znalazłabym raz kogoś żywego.

– To znowu jeden z tych przypadków – westchnęła Malin. – Nie miał telefonu stacjonarnego, a jego komórka leży pewnie gdzieś na dnie rzeki. W mieszkaniu znaleźliśmy tabletki antykoncepcyjne, wódkę i kawior. Podrobione. I to mogłoby pasować do sutenerstwa. Był tam taki zeszyt...

Ze sterty dokumentów wyciągnęła kajet i go otworzyła. Imiona trzech kobiet: Olga, Roksana, Ludmiła. Sumy między dwoma a trzema tysiącami koron.

– Szczegółowe rozliczenia – powiedziała Malin. – Ale za coś takiego nie obcina się przecież głowy.

– Został zadźgany – przypomniała Selma. – Głowa to wiadomość dla Oksany Bobrow.

– Tak – zgodziła się Malin. – A ona jest już pewnie od dawna w Rosji, więc raczej jej nie odnajdziemy. Zastanawiam się, czy ta sprawa ma związek ze zniknięciem jej córki, czy chodzi o coś innego.

– A te dwie inne kobiety? Te z zeszytu? – zainteresowała się Selma.

– Bergeröd właśnie rozpytuje o nie w środowisku.

– Bergeröd.

– Kiedy się go lepiej pozna, nie jest taki zły.

Selma miała jeszcze w uszach głupekowate ordynarne teksty, które padły z jego ust na widok odciętej głowy. Stała i oglądała mapę regionu Västra Götaland.

– Coś jeszcze? – spytała Malin.

– Pernilla Nordin – powiedziała Selma.

– Co? – spytała Malin.

– Była żona Holgera Nordina, dziadka Lucie Hansson...

– Pamiętam. Okropna stara wiedźma. Co z nią?

– Wspomniała kobietę o imieniu Camilla, która pochodziła z Öckerö i z którą podobno Nordin miał nieślubne dziecko. Pracowała u niego przed jego drugim małżeństwem. Tak koło 1974 roku.

Siedemdziesiąt cztery. Czerwona siódemka i żółta czwórka... Nie tylko dźwięki mają kolory.

– Kiedy o tym wspominała?

– Wczoraj.

Malin ograniczyła się do pytającego spojrzenia.

– Nie ma o tym mowy w aktach sprawy – powiedziała Selma. – Nordin chyba nic o tym nie mówił?

– No myślę – parsknęła Malin. – Pierwszy raz o tym słyszę. Ale na pewno muszą być jakieś dokumenty informujące o osobach zatrudnionych w firmie w latach siedemdziesiątych. Albo spytaj w ubezpieczeniach społecznych...

– Już znalazłam nazwisko – przerwała Selma. – W latach pięćdziesiątych w Öckerö nie urodziło się zbyt dużo kobiet o tym imieniu. Myślisz, że warto się przyjrzeć naszej Camilli i jej dziecku?

– Na pewno – stwierdziła Malin. – Dlaczego pytasz? Czy Forsberg mówi coś innego?

– Nie – odrzekła Selma i podeszła do drzwi. – Dzięki.

– Selmo?

– Tak?

– Dobrze ci się z nim układa?

– Tak – odpowiedziała. – On jest przecież całkiem miły.

Drzwi się zamknęły. Malin się uśmiechnęła. Różnie mówiono o komisarzu Gregerze Forsbergu, ale miłym go jeszcze nikt nie nazwał.

– Mamy coś nowego w sprawie Walerii Bobrow?

– Jesteśmy tuż przed przełomem. – Forsberg siedział przed biurkiem Andersa Gulldén'a i przyglądał się salaterce z lukrecją, która stała na stercie dokumentów.

– Najwyższy czas! – warknął Gulldén, marszcząc na chwilę czoło, po czym nagle zapytał: – A jak ci się pracuje z tą nową inspektor?

– Świetnie – odpowiedział Forsberg.

Szef spojrzał na niego, jakby czekał na rozwinięcie wyjaśnienia. Komisarz zrobił mu tę przyjemność.

– Radzi sobie.

– Radzi sobie – powtórzył Gulldén.

– Tak – potwierdził Forsberg. – Musi się oczywiście jeszcze dużo nauczyć, ale radzi sobie dobrze.

– A jaki klimat panuje między wami? – Zdawało się, że Gulldén tego ranka nie ma nic lepszego do roboty, niż wiercić mu dziurę w brzuchu głupimi pytaniami.

– Klimat? – Forsberg się zastanowił. – Dobry. – Czuł się jak na przesłuchaniu. Co to wszystko miało znaczyć? Czy Ptaszyca się na niego skarżyła? Milczał i czekał.

– Naprawdę? Dobry? – drążył Gulldén.

– A co chciałeś usłyszeć? Wszystko idzie dobrze! Jest bystra i szybko się uczy. Czy może ktoś sądzi inaczej?

– Nie, nie – uspokoił go szef. – Tak tylko pytam... Miałem wrażenie, że na początku nie byłeś specjalnie zadowolony, że została ci przydzielona w ramach wsparcia.

– Nonsens! – zaoponował stanowczo Forsberg.

Brwi Gulldéna wystrzeliły w górę.

– Wydaje ci się – powiedział Forsberg.

– Jest wolne stanowisko w wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej, więc pomyślałem, że lepiej się z tobą skonsultuję, zanim je obsadzę.

Znowu mieć biuro tylko dla siebie. Kłaść stopy na biurku...

– Ją powinienes o to spytać – odrzekł Forsberg. – Nie chcę w żadnym wypadku stawać na drodze jej kariery.

Nils był sumiennym uczniem, dobrym z prawie wszystkich przedmiotów, ale jego prawdziwą pasję stanowiła biologia. Jako temat referatu wybrał porosty i mchy. Bogactwo ich form było właściwie nieskończone, podobnie jak kryształków śniegu. Jedne gatunki były karbowane i rurkowate, inne z kolei przypominały bujne poroże, wynaturzone głowy kapusty albo ropuchy pokryte brodawkami. W dodatku mieniły się wszelkimi odcieniami zieleni. Niektóre zdawały się żółtawe, inne wpadały w brąz lub fiolet albo były ubrane we wszystkie tonacje szarości, aż do bieli.

Teraz musiał zebrać materiał pogładowy. Matka surowo zabroniła mu chodzić do lasu, ale wybłagała u wujka, żeby towarzyszył chłopcu i pokazał, gdzie rosną najpiękniejsze porosty. Erik Ryman był myśliwym, więc znał się na przyrodzie. W każdym razie w swoim rewirze. Jak zawsze wziął ze sobą dubeltówkę i psa, ale przekonał się, że na darmo wlecze broń, bo chłopak przez całą drogę paplał. Nie było szansy, żeby zrobić użytek ze strzelby.

– Wujku, wiedziałeś, że niektóre porosty potrzebują lat, żeby urosnąć centymetr?

– Nie. Naprawdę?

– A niektóre mają tysiąc lat. Istnieje dwadzieścia pięć tysięcy gatunków porostów i właściwie nie są to prawdziwe rośliny, tylko formy pośrednie między algami a grzybami.

– Interesujące.

Od czasu do czasu siostrzeniec schylał się, wyciągał lupę z kieszeni i przypatrywał się jakiejś roślinie, której wujek nigdy wcześniej nie widział, mrużąc jakieś dziwne nazwy, jak „granicznik płucnik” lub „szkarłatek właściwy”. Kiedyś na pewno będzie z niego naukowiec, pomyślał Ryman. Nie wiedział jednak, co o tym sądzić.

– A gdzie jest to drzewo, z którego zwisało tyle porostów, wujku Eriku?

– Gdzie? Nie wiem... Ale spójrz na te kamienie między drzewami, całe są w tym...

– Ach to! To tylko złotorost ścienny, tego mam całą masę.

– Taaak, no cóż... – Erik Ryman poczuł się przeciążony przydzielonym mu zadaniem. W końcu był myśliwym, a nie zielarzem.

– Poszukajmy jeszcze tam na górze.

Zagwizdał na psa i zeszedł ze ścieżki, wchodząc w niezbyt bujne krzaki. Wujek zwrócił uwagę chłopca na lisie odchody, a ten zebrał szybko ich pozostałości do torebki. Może następny referat wygłosi o odchodach, pomyślał Ryman. Ruszył w stronę szkółki leśnej, która znajdowała się za grupą wysokich buków, licząc, że chłopiec znajdzie tam trochę mchu. Porosty, których szukał, rosły prawdopodobnie tylko na Islandii albo w Laponii. Nagle pies się zatrzymał, zaczął węszyć, po czym rzucił się przez gąszcz. Jego pan gwizdnął na niego, lecz czworonóg nie wrócił. Słysząc było jedynie nerwowe szczekanie.

– Przeklęty kundel – wymamrotał Ryman i skierował się w tamtą stronę.

Chłopak też ruszył sprintem przed siebie.

– Wujku Eriku, zobacz, buszowały tu dziki! – zawołał rozentuzjasmowany.

Rzeczywiście, między bukami ziemia była zryta. Ale dziki? W tym rewirze nigdy ich nie było. Pies zaczął kopać. Pojawił się kawałek szarej plastikowej folii. Ryman powstrzymał zwierzę, przypiął mu smycz, odciągnął psa i wcisnął smycz w rękę siostrzeńca.

– Czekajcie tu!

Podszedł bliżej. Na wilgotnej ziemi zauważył odciski łap. Nie były to odciski jego psa. Lisy tu grzebały. Odsunął butem liście i ziemię. Plastikowa folia na końcach była poszarpana, lisy więc i do niej musiały się dostać. Śmierdziało padliną. Ktoś zakopał tu szczątki swojego pupila? Pełny złych przeczuć wyciągnął nóż myśliwski, przyklęknął i rozciął folię. Nie, to nie było zwierzę. Nabrzmiała skóra z czarnymi i niebieskawymi siniakami. Czerwie. Żuki. To była zdecydowanie ludzka skóra. Rozpoznał głowę i brązowe włosy. Ciężko oddychając z przerażenia wstał i się cofnął. Uspokoił się i odwrócił. Chłopiec! Ale było już za późno. Nils stał metr od niego z buzią otwartą w niemym krzyku.

Granitowy kamień błyszczał niczym pokryty lakierem. Złota inskrypcja ukrywała zaś więcej, niż mówiła.

Camilla Ahlborg

18.08.1952–12.07.2011

Rejestr ludności zdradził Selmie nie tylko to, że Camilla niedawno zmarła, ale także że 2 listopada 1974 roku w Göteborgu urodziła dziewczynkę o imieniu Lillemor Ahlborg.

Adres, pod którym Camilla była zameldowana przez ostatnich dwanaście lat życia, znajdował się w pobliżu Västra Kyrkogården. W tym miejscu została zameldowana również Lillemor. Selma postanowiła więc, że w następnej kolejności właśnie tam zawita.

Są gorsze okolice, stwierdziła, kiedy stanęła przed wytworną kamienicą przy Slottskogsgatan. Budynek znajdował się tuż przy Slottskogen, göteborgskim Central Parku. Przeczytała nazwiska na tabliczce na drzwiach wejściowych. Nikt nie nazywał się Ahlborg. Szczupła starsza kobieta z twarzą charta podeszła do Selmy i przyjrzała się jej krytycznie. Selma pospiesznie wyciągnęła legitymację służbową, żeby pokazać ją kobiecie. Ta odstawiła koszyk na zakupy, założyła okulary, które zwisały jej z szyi na złotym łańcuszku, i przyjrzała się dokumentowi.

– Valkonen. Jest pani z Finlandii?

– Mój ojciec.

Nazywała się Åsa Svensson i pochodziła z Uddevalla, o czym bez tchu opowiedziała Selmie, kiedy wspinały się po schodach na czwarte piętro. Selma zaoferowała się bowiem, że wniesie koszyk z zakupami, na co pani Svensson z radością przystała.

– Nie jest człowiekowi łatwo, kiedy dobiega siedemdziesiątki.

Zajmowała trzypokojowe mieszkanie na poddaszu, którego lukarny wychodziły na wypielęgnowane podwórze. Za towarzystwo miała jedynie kota w tygrysie prążki i kiedy tylko znalazła kogoś do rozmowy, wykorzystywała tę okazję do cna. Selma lekko westchnęła. To potrwa. Przynajmniej została poczęstowana kawą i muffinkami. Po wysłuchaniu historii życia pani Svensson spróbowała skierować rozmowę na Camillę Ahlberg, która, jak już się jej udało dowiedzieć, niegdyś zajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze, z widokiem na ogród. Teraz mieszkała tam jakaś młoda rodzina.

– Zmarła w lipcu. Coś z sercem. Nie miała jeszcze pięćdziesięciu dziewięciu lat. To przecież nie jest wiek, w którym się umiera, prawda?

Selma potaknęła i zastanowiła się, jaki wiek byłby idealny na umieranie. Czterdzieści sześć jak u jej ojca? Tyle lat miał Forsberg. Forsberg w swoich nieśmiertelnych sztruksach. Forsberg mieszkający w wałącym się domu i czekający na córkę, która wysyła do niego puste kartki. Selma skoncentrowała się na swojej rozmówczyni. Pani Svensson chciała wiedzieć, dlaczego policja interesuje się Camillą Ahlberg. Selma odpowiedziała, że właściwie chodzi o córkę Camilli, Lillemor. Oszustwo podatkowe. Nie potrafiła wymyślić lepszego powodu.

Pani Svensson przyjęła to do wiadomości i mówiła dalej:

– Po śmierci Camilli mieszkanie szybko zostało uprzątnięte i sprzedane. W ciągu kilku tygodni. Widziałam tu pośrednika tylko raz czy dwa. Jednak lokalizacja jest dobra, a pokoje z widokiem na ogród są w cenie. Poza tym mieszkania od frontu są dwa razy większe niż moje. Ale na pewno musiała trochę stracić na sprzedaży...

Dygresji o cenach na rynku nieruchomości Göteborga w ciągu ostatnich trzydziestu lat Selma słuchała jednym uchem, jedząc muffinki z borówkami. Potakiwała tylko z pełną buzią. W końcu stwierdziła, że czas przejść do rzeczy.

– Z czego Camilla żyła? – zapytała.

– Miała sklep w Hadze. Sprzedawała norweskie swetry i cały ten turystyczny chłam. Ale potem zachorowała, zlikwidowała sklep i siedziała w domu. Musiała chyba otrzymywać jakąś emeryturę, miała też kiedyś męża, pastora.

Pani Svensson z zamyśloną miną skubała frędzle obrusu.



– Nie mogę sobie wyobrazić Camilli z pastorem. To w ogóle do niej nie pasowało! W każdym razie nie była zbyt pobożna i nie miała w sobie dobroci. A taka powinna być chyba kobieta, która zostaje żoną pastora, czyż nie?

– Tak – odpowiedziała Selma. – A jak nazywał się ten pastor?

– Drogie dziecko, tego nie wiem. Myślę, że nigdy nie wspominała jego nazwiska, a nawet jeśli, to moja pamięć w ostatnim czasie nie jest już najlepsza. Mówiła mi tylko, że kilka lat mieszkała z nim w Laponii, w pobliżu fińskiej granicy. To musiało być dla niej okropne, w każdym razie tak to przedstawiała. A potem wszystko się posypało. Podobno pił i zaraz po rozwodzie zmarł. Zresztą co też można robić innego tam na północy, gdzie zimą jest całkiem ciemno poza kilkoma zorzami polarnymi?

*Pić i umrzeć. Samobójstwo przez strzał z dubeltówki w głowę.*

– Jeszcze kawy? – Starsza pani podniosła zapraszająco dzbanek.

– Tak, proszę.

– Musi zjeść pani jeszcze jedną muffinkę. Jest pani chudziutka jak ptaszek.

Selma odetchnęła głęboko.

– A córka, Lillemor, także tu mieszkała?

– Nie, przychodziła tylko czasem z wizytą.

– A wie pani, gdzie mieszka?

– W Sztokholmie, tak myślę. Albo w Kopenhadze? – Pani Svensson zamrugała kilka razy i energicznie zamieszała kawę. – O ile sobie dobrze przypominam... w ostatnich latach przychodziła tu coraz rzadziej. Mimo że matka była już chora. Można by więc sądzić, że powinna się tu częściej pojawiać. Ale miałam wrażenie, że nie dogadywały się za bardzo.

– Czym jej córka zajmuje się zawodowo?

– Nie wiem. Może kiedyś Camilla o tym wspominała, ale nie pamiętam. Chociaż musi mieć pieniądze, mieszkanie należało do niej. Kto wie, może robi coś nieprzyzwoitego. Mimo że... nie, to nie jest ten typ.

– To jakim jest typem?

– Spokojna, trochę nieśmiała. Myślę, że kontakt z obcymi sprawia jej trudność. Jak jej matce, tyle że córka jest miłsza. Ma dziecko, dziewczynkę. Ale nie jest zameżna.

*Spokojna i nieśmiała.*

– Ile lat ma córka Lillemor?

– Teraz pewnie pójdzie do szkoły. Śliczna. Skóra zdjęta z matki.

– Kiedy ostatni raz widziała pani to dziecko?

Dwie pionowe zmarszczki pojawiły się u nasady jej nosa.

– Nie wiem dokładnie. Jakoś pół roku przed śmiercią Camilli, zimą, wtedy była tu jej córka z małą. Na pogrzeb przyszła bez niej, i to mnie zdziwiło. Ale oczywiście nie pytałam jej o to. Niektóre matki chcą swoje dzieci trzymać z dala od wszystkiego, co smutne.

– A wcześniej widziała pani to dziecko? – spytała Selma.

– Tak, oczywiście – odparła pani Svensson. – Już jako małego robaczka, w nosidełku. Wcześniej Lillemor odwiedzała najczęściej Camillę w sierpniu, w jej urodziny, widywałam więc małą od czasu do czasu, zawsze przelotnie. Nie byłam z Camillą w zażyłych stosunkach.

– Czy mieszka w tym domu ktoś, kto znał ją lepiej?

– Nie sądzę. Nie była szczególnie towarzyska, lepiej było schodzić jej z drogi.

Selma wstała, podziękowała i zostawiła swoją wizytówkę na stole.

– Gdyby coś się pani przypomniało o Lillemor Ahlberg, proszę do mnie zadzwonić.

– Nie chodzi o podatki, prawda?

Selma wzruszyła ramionami.

– Tak myślałam. – Pani Svensson zaśmiała się znacząco. – Byłam prawie czterdzieści lat nauczycielką, nie tak łatwo mnie oszukać.

– Czy mogło być tak, że w sprawie Lucie Hansson coś przeoczyliśmy?

Malin siedziała połową pośladków na biurku Forsberga, którego wzrok spoczywał na jej zgrabnych łydkach.

– Co masz na myśli?

– Sprawę z nieślubnym dzieckiem starego Nordina, do której dogrzebała się Selma.

Forsberg starał się ukryć zmieszanie, bez rezultatu.

– Powiedz mi, czy wy ze sobą nie rozmawiacie? – spytała Malin.

– Ależ skąd. Po prostu zostawiłem jej wolną rękę. Trochę więcej odpowiedzialności motywuje współpracowników – wyjaśnił.

– Nie ściemniaj! – Malin znała Forsberga zbyt dobrze, żeby mógł ją omamić.

Na jego skroni nabrzmiała żyła. Cholera, co wpadło do głowy Ptaszycy, żeby go stawiać w tak głupiej sytuacji? Czy to jej zemsta za przemilczenie sprawy z Cederlundem? Ale to nie powinno nikogo obchodzić! Zagryzając zęby, Forsberg musiał prosić Malin, żeby wyjaśniła mu, jaki jest najnowszy stan sprawy, co najwyraźniej niezmiernie ją cieszyło.

– ...i wyszła, żeby poszukać tej Camilli i jej córki, która zresztą powinna teraz mieć prawie trzydzieści siedem lat – zakończyła Malin i wyszczerzyła się od ucha do ucha.

– Wspaniale, że się tak dobrze rozumiecie – wymamrotał Forsberg. – Jeszcze kilka dni i zaczniecie sobie nawzajem zapłatać warkocze.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – zawołał Forsberg, któremu ta przerwa była na rękę.

Weszła Laura Engelbrektsson, ładniejsza z dwóch sekretarek wydziału śledczego.

– Właśnie dostałam telefon: w lesie w Jönköping znaleziono ciało.

Kiedy Selma wróciła do pracy, zastała pusty gabinet. Czyżby Forsberg znowu wybrał się na wycieczkę z dziennikarką? Nie było także Malin. Siedział za to Pontus Bergeröd, który wyjątkowo od razu przeszedł do sedna.

– Znaleziono zwłoki w Jönköping. Prawdopodobnie mała Rosjanka.

Selma przymknęła oczy. Niby się tego spodziewała, ale i tak poczuła się wstrząśnięta.

– A poza tym coś nowego? – zagadnęła.

Zdawało się, że jej pytanie go zaskoczyło.

– To znaczy?

– Dwie rosyjskie kobiety, które pojawiły się w rozliczeniach Krulla?

– Ach, to. Od wczoraj są nie do uchwycenia. Może zmieniły miejsce pracy. To nic nowego w tej branży, klienci lubią odmianę. – Bergeröd się zaśmiał.

– Z pewnością wiesz coś na ten temat – rzuciła Selma i ruszyła do wyjścia.

– Hej! – wrzasnął za nią.

Zatrzymała się w drzwiach.

– Co?

– Masz jakiś problem? – Bergeröd skrzyżował ramiona na swojej szerokiej klacie.

Selma popatrzyła na niego. Świdrowali się nawzajem wzrokiem.

– Nie wiem – odparła wreszcie. – Mam?

– Słuchaj, Malin mnie prosiła, żebym był dla ciebie miły, ale ty mi tego nie ułatwiasz.

– Tak – stwierdziła Selma. – Być może. – Zamknęła za sobą drzwi i poszła po kawę.

Kiedy w końcu usiadła za biurkiem, pomyślała, że odkąd tutaj pracuje, znajdują coraz więcej zwłok. Chętnie pojechałaby na miejsce odnalezienia ciała, żeby niczego nie przeoczyć. Chociaż, wystarczyło jej to, co zobaczyła wczoraj. Widok głowy ze zszytymi ustami odcisnę się w jej pamięci na zawsze. Przynajmniej tym razem nie wymiotowała.

Skoncentrowała się na Lillemor Ahlborg i jej córce. Camilla obchodziła urodziny 18 sierpnia, czarna jedynka, niebieska ósemka. Odwiedziny Lillemor pasowały do daty zniknięcia Lucie Hansson 17 sierpnia. Ale pani z twarzą charta widziała dziecko Lillemor w wieku niemowlęcym. A więc nie mogła to być Lucie.

Żując gumę, Selma wpatrywała się w okno i obserwowała strzępiaste chmury, które gnały po niebie. Dlaczego Lillemor Ahlborg była zameldowana w miejscu, w którym nie mieszkała? Choć w sumie wiele osób zapomina o wymeldowaniu i większość jest nieszkodliwa. Może Lillemor chciała uniknąć bombardowania reklamami, co przy przeprowadzce zdarza się często – jest to wadą zasady jawności, a w oczach Selmy niejedyną wadą.

Mimo wszystko ta sprawa nie dawała jej spokoju. Czuła się sprowokowana. Lillemor nie można było znaleźć w żadnej książce telefonicznej, również w Google nic się nie pojawiło. Centralny spis ludności zdradził, że Lillemor Ahlborg urodziła córkę o imieniu Marie 10 maja 2005 roku w Kopenhadze. Marie była więc siedem miesięcy starsza od Lucie Hansson i na pewno żyła, ponieważ nie było żadnej adnotacji o jej śmierci. Ale gdzie one mieszkały? Telefoniczne zapytanie w urzędzie skarbowym nic nie dało. Albo pani Ahlborg nie płaciła podatków, co było niemożliwe, bo miała wystarczająco dużo pieniędzy na drogie mieszkanie przy Slottskogen, albo uiszczala je gdzieś indziej. Wydawało się, że zatarła po sobie wszelkie ślady. Nie jest to proste w kraju, w którym istnieje wolny

dostęp do informacji, co stanowi prawdziwy koszmar, jeśli chodzi o ochronę danych osobowych, i raj dla stalkerów. Dlaczego? Co ukrywa? Czego się boi?

A może Selma tylko coś sobie ubzdurała, zatraciła się w jakimś szalonym pomysle? Może Lillemor Ahlberg mieszkała za granicą i po prostu zaniedbała wymeldowanie się w Szwecji. Jednak gryzła ją ta nieuchwytność. Chciała wiedzieć, co się z nią działo, gdzie żyła i z czego. Tego, jako policjantka, musi się, do cholery, dowiedzieć! Nie ma co liczyć na Holgera Nordina, który przemilczał istnienie nieślubnej córki, po tym jak jego wnuczka została uprowadzona. „Sztab Lucie” przepętał i sprawdził wówczas pół miasta; kolegów z pracy obojga rodziców, ich przyjaciół, matki, z którymi Tinka Hansson była na kursie nauki pływania dla dzieci, kobiety, które w tym samym czasie i miejscu urodziły dziecko... A ojciec Tinki Hansson nie uznał za stosowne wspomnieć o przyrodniej siostrze córki! Sama Tinka prawdopodobnie nie wiedziała o jej istnieniu. Nie zataiłaby tego przed policją.

Niemożność zrobienia czegokolwiek denerwowała Selmę. Czy nie warto, zastanawiała się, wrócić do jaskini lwa i nadepnąć mu na odcisk?

Malin siedziała za kierownicą, a Forsberg wpatrywał się w szarą ulicę albo w równie szare niebo i zastanawiał się, czy nie jedzie tam tylko po to, by przekonać się, że to nie Annika. Ilekroć znajdowano niezidentyfikowane ciało, zawsze było tak samo: strach, oczekiwanie i wreszcie pewność, że nadal będzie musiał żyć w niewiedzy. Czasem próbował sobie wyobrazić, co by było, gdyby pewnego dnia okazało się, że to Annika. Czy wówczas posprzątałyby jej pokój? Wyprowadził się?

Zwłoki odkryto na północny wschód od Huskvarny, w pobliżu Pukasjön. Forsberg nigdy nie był nad tym jeziorem. Gdy minęli usytuowane nad Landsjön Kaxholmen, wydawało się, że świat składa się tylko z lasu. Ale nieliczne drogi, które tam były, wystarczyły, żeby się zgubić, i w końcu komisarz musiał zadzwonić do Abrahamssona, który był już na miejscu. Malin zatrzymała się i wprowadziła współrzędne do systemu nawigacyjnego samochodu, bo Forsberg się na tym nie znał. Zazwyczaj w takiej sytuacji Malin nie darowałaaby sobie drwiących komentarzy, ale teraz dała mu spokój. To, czego oczekiwali u celu, rzucało cień na wszystko inne. Kiedy znowu ruszyli, Malin spojrzała przelotnie na Forsberga.

– W jakiś sposób lubię Selmę. Mimo że czasem jest niemożliwa. To znaczy jej sposób traktowania innych i tak dalej. Tak jakby było jej całkiem obojętne, co inni o niej myślą.

– *You can't be everybody's darling* – powiedział Forsberg.

Malin się zaśmiała.

– Wiesz, że oboje jesteście do siebie cholernie podobni.

– Bzdury! Ja i Ptaszyca...

– Nie nazywaj jej Ptaszycą!

Forsberg pomyślał o ptakach. Pracowite zwierzęta, ale ludziom obce. Nie nadają się do przytulania. Tak, pasuje do niej określenie Ptaszyca.

System nawigacyjny skierował ich na polną drogę z wyrwami wielkości zlewu.

– Czy opowiadała ci kiedyś o swoich prywatnych sprawach? – spytał Forsberg.

– Co masz na myśli?

– No to, co zwykle sobie opowiadają kobiety.

– Chcesz wiedzieć, czy jest lesbijką – powiedziała Malin.

– Tak – odparł Forsberg.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami. Bergeröd rzucił ostatnio, że kiedy ma przed sobą lesbijkę, od razu ją rozpoznaje, i że Selma jest nią na sto procent. Forsberg powiedział mu, że on od razu rozpoznaje dupka, kiedy ma go przed sobą. Może Bergeröd myśli tak o każdej kobiecie, która się nim nie interesuje.

– Nic mi nie opowiadała – stwierdziła Malin.

– A ty co myślisz?

– Że nic nas to nie powinno obchodzić.

– Mnie kiedyś wspomniała o jakimś Amundsenie. Ale w jej mieszkaniu nie było po nim śladu, nie było też żadnego kota, który by się mógł tak nazywać.

– Byłeś u niej w mieszkaniu?

– Tak, wczoraj – przyznał się Forsberg. – Patrz, z łaski swojej, na drogę!

– A ty? – spytała Malin.

– Nie jestem lesbijką – odpalił.

– Masz jakąś nową przyjaciółkę?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nowa fryzura, nowe ciuchy...

- Ciuchy były już mi potrzebne, a fryzjera zaskarżę...
- Daj spokój, mnie możesz powiedzieć!
- Nie mam nic do opowiadania.

Zamilkli.

W środku lasu stała kawalkada pojazdów. Malin zaparkowała na końcu. Podszedł do nich jakiś krępy rudy wąsacz.

- Erik Abrahamsson – wymamrotał.

Forsberg odpedził kilka komarów i przedstawił Malin Birgersson.

- Jak to wygląda?

– Przekłęte lisy... Najlepiej, żebyście porozmawiali z lekarzem sądowym.

Młody mężczyzna w ubraniu ochronnym zajmował się czymś, co kiedyś było małym człowiekiem. Forsberg i Malin otrzymali białe kombinezony. I dobrze, bo odkąd komisarz wysiadł z samochodu, miał wrażenie, jakby komary tylko na niego czekały. Przysmak z miasta. Forsberg już wcześniej widywał ciała, które przez kilka tygodni leżały zakopane pod ziemią, wiedział więc, czego się spodziewać. Jednak ten widok nim wstrząsnął. Może dlatego, że było to dziecko. Wyglądało na to, że proces gnilny i lisy okropnie obeszyły się z ciałem. Zawinięto je w worek na śmieci, teraz rozdarty. Można było zobaczyć kawałek różowego materiału.

Lekarz podniósł się i odwrócił. Był prawie o głowę niższy od Forsberga, a jego rysy twarzy wskazywały na azjatyckie pochodzenie.

– Cedric Tong – przedstawił się i gładko przeszedł do wyjaśnień: – Plastikowy worek opóźnił proces rozkładu, stąd nie mogę dokładnie stwierdzić, jak długo zwłoki tu leżały. Rozkład zaczął się na dobre, dopiero kiedy ciało zostało odkopane. Zakładam, że zrobiły to lisy. Twarz i miękkie części ciała noszą poważne ślady zwierzęcych ugryzień.

Z twarzy właściwie nic nie zostało.

– Chodzi tu o brązowowłose dziecko płci żeńskiej – kontynuował niewzruszenie Tong – wzrostu od metra dwudziestu do metra dwudziestu pięciu. O przyczynie śmierci nic jeszcze nie mogę powiedzieć.

– Zleciliśmy badanie DNA zaginionej dziewczynki, ma zostać zrobione porównanie.

Lekarz przytaknął, potem przywołał Abrahamssona, żeby zabrał ciało. Abrahamsson dał znak dwóm mężczyznom, którzy właśnie wyładowywali z furgonetki metalową trumnę do transportu zwłok.

Forsberg cofnął się, żeby zrobić im miejsce.

Kiedy wkładano szczątki do o wiele za dużej dla nich kapsuły, komisarz zastanawiał się, kto postawi nagrobek Walerii. Czy matka w ogóle się dowie, że znaleziono jej dziecko? Czy, gdziekolwiek teraz jest, ma dostęp do szwedzkich gazet, do internetu? A może wie o tym od dawna... Te zaszyte usta... O czym miała milczeć?

Był zły, że niczego z niej nie wyciągnął. Podczas przesłuchań wyglądała na przestraszoną, czasem nieobecną, a potem zrezygnowaną albo mrukliwą. A może smutną? Pomyślał o Hanssonach, o ich rozpacz, wściekłości, poczuciu winy i smutku.

Nie, powiedział do siebie, to niesprawiedliwe, żeby porównywać te dwa przypadki. Oksana Bobrow nigdy nie mieszkała w domku na ładnym osiedlu, wyłącznie na parszywych obrzeżach miasta, na marginesie społeczeństwa tego kraju.

Ale odpowiedzialność za dziecko jest taka sama, mówił w nim drugi głos.

W ciągu ponad dwudziestu lat służby Forsberg spotkał ludzi, których własne dzieci w ogóle nie obchodziły. Którzy widzieli w nich ciężar, niedoszlą iluzję albo coś, z czego można wyciągnąć korzyści. Nie chciał tego widzieć. Zawsze szukał jakiejś isierki człowieczeństwa, ale znajdował tylko obojętność lub chciwość. I wreszcie doszedł do przekonania, że to bieda sprawia, iż ludzie dziczeją. Jakby uczucia były luksusem, na który nie mogli sobie pozwolić. Waleria była biednym dzieckiem, urodzonym w kraju biednych ludzi i kilku oligarchów, którzy w obrzydliwy sposób tarzali się w pieniądzach zabranych swemu narodowi, oraz z rządem, który nic z tym nie robił. Prawdopodobnie Oksana Bobrow przyjechała do Szwecji w nadziei na lepsze życie. Ale każdego dnia musiała walczyć o przetrwanie. Sprzedawała swoje ciało, swoją duszę znieczulała narkotykami. Możliwe, że sprzedała także ciało i duszę swego dziecka. Albo udawała, że nie widzi, jak inni to robili. Co się działo ze społeczeństwem, że nie potrafiło ochronić dzieci? Im komisarz robił się starszy, tym bardziej podzielał lewicowe poglądy polityczne swojego ojca. Lasse Forsberg zawsze powtarzał, że każdy duży majątek jest splamiony krwią.

Poczuł, jak ogarnia go gniew na mężczyzn pokroju Cederlunda. Starał się uspokoić myśli, przypominając sobie, że przecież wcale nie wiadomo, czy



Cederlund miał z tym coś wspólnego. Ale instynkt podpowiadał mu, że tak było. Jama znajdowała się za blisko domu letniego. Dwadzieścia pięć, najwyżej trzydzieści kilometrów od niego. Jakby pojechał przed siebie i skręcił tam, gdzie system nawigacyjny pokazał mu jakiś większy kawałek lasu.

Jak dziewczynka zmarła? Dlaczego? Czy to był wypadek, czy tej perwersyjnej świni zachciało się silniejszego dreszczyku emocji?

Trzask drzwi furgonetki wyrwał Forsberga z zamyślenia. Opuścił odgradzoną strefę i zdjął ubranie ochronne. Zaczął się zastanawiać, czy już kiedyś prowadził śledztwo przeciw nieboszczykowi.

Selma przeczytała w internetowym lokalnym wydaniu gazety, że poszukiwany jest inwestor, który wsparłby zubożały koncern Nordina. „Zubożały” nie było słowem, które przyszło jej do głowy na widok posiadłości Nordinów w Utby. Stary drzewostan, żwirowa droga i staw w połowie pokryty liliami wodnymi. Budynek nie był szczególnie duży – harmonijna kompozycja z pomalowanego na waniliowo drewna i szarego granitu, otoczona rabatami jeszcze kwitnących róż. Selma, która dorastała w blokach z wielkiej płyty, zastanawiała się, jak taki widok oddziaływał na młodą kobietę skazaną na życie w cieniu swojej rodziny. Może i miała ojca z prawdziwego zdarzenia, ale za to zakłamaną matkę.

Od świata zewnętrznego posesję odgradzało metalowe ogrodzenie z ostrymi szpicami. Selma nacisnęła dzwonek przy bramie obok wjazdu. Odezwał się kobiecy głos:

– Tak, słucham?

Podiała nazwisko i uniosła ponad głowę w stronę kamery swoją legitymację służbową. Rozległ się brzęk i brama się otworzyła.

Barbie bardzo się już postarzała, przemknęło przez głowę Selmy na widok blondynki, która stanęła w drzwiach. Miała makijaż, jakby występowała na scenie operowej, oraz bluzkę w kwiecisty wzorek w krzykliwych kolorach. Piersi sterczały niczym przyklejone piłki.

– Jestem Greta Nordin. Pani nie jest z prasy?

Selma raz jeszcze pokazała legitymację służbową.

– O co chodzi? – chciała wiedzieć gospodyni.

– Chciałabym porozmawiać z pani mężem osobiście – powiedziała Selma.

Greta odparła, że pójdzie zobaczyć, czy to możliwe, i wspięła się w swoich różowych balerinkach na szerokie, zakręcone schody, jakie widuje się tylko w amerykańskich filmach.

W środku dom wydawał się większy niż z zewnątrz. Jasny drewniany parkiet, proste meble w kolorze orzecha i zasłony z piaskowobeżowego lnu w dużych kratkowanych oknach, roztaczały spokojną atmosferę niczym w centrum jogi. Ktoś ma dobry gust, pomyślała Selma. Być może architekt wnętrz.

Chwilę później Greta zeszła i oznajmiła wyniośle, że mąż przyjmie Selmę na górze. Sportowe buty Selmy zatapiały się w puszystym chodniku, gdy podążała za obleczoneymi w markowe dzinsy kościstymi pośladkami Greta. Kostki pani Nordin miała chude jak szprychy od roweru.

Wskazała uchylone drzwi.

Selma zapukała. „Proszę” zabrzmiało niczym uderzenie pałką. Selma znalazła się w gabinecie w kolorze sepii. Zasłony były zaciągnięte. Monstrualne biurko oświetlała lampka bankierska. Siedzący przy biurku szczupły mężczyzna na widok Selmy wstał i wyciągnął do niej rękę. Gęste siwe włosy i arystokratyczne rysy twarzy nad zapiętym kołnierzykiem koszuli uzupełniała kamizelka w szkocką kratę. Selma uznała, że nie zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła też porządnie wyprasowaną szkocką spódniczkę.

*Syn nauczycielki i urzędnika pocztowego...*

– Holger Nordin. Co mogę dla pani zrobić, pani...?

– Selma Valkonen, policja kryminalna. Pracuję z komisarzem Forsbergiem.

Po jego uścisku dłoni nie dało się poznać wieku. Był dość wysoki, na co Selma zwróciła uwagę, kiedy z powrotem usiadł. A może jego fotel specjalnie ustawiono wyżej niż krzesło, na którym usiadła, po tym jak je wskazał szybkim ruchem ręki. Jej źrenice przyzwyczyły się do półmroku i z ciemności wyłoniły się masywne meble, ciężkie zasłony i zabytkowy stojący zegar z dębowego drewna. Ściana przy drzwiach była zastawiona regałami z książkami, naprzeciw wisiały ryciny z okresu świetności Göteborga, z wieku osiemnastego, kiedy to Szwedzka Kompania Wschodnioindyjska przeżywała rozkwit, a przedstawiciele stanu kupieckiego miasta bogacili się i zdobywali wpływy. Czuć było dym papierosowy, ale może Selma tylko go sobie wyobrażała, ponieważ teraz

sama chętnie by zapaliła. Gdzieś w głowie słyszała chorał gregoriański, ale to na pewno nie było realne, lecz wynikało ze sposobu, w jaki urządzono pokój.

– Proszę wybaczyć, jeśli moja żona jest trochę nieufna. W tym momencie w naszej firmie mamy pewne zawirowania, a dziennikarze są czasem impertynency – rzekł z dobrze wystudiowanym uśmiechem.

*Nie miał nic poza urokiem osobistym.*

– Co panią do mnie sprowadza, młoda damo? Czy wiadomo coś nowego o Lucie?

Uderzył w ojcowski ton, pomyślała Selma, chociaż biorąc pod uwagę wiek, mógłby być raczej jej dziadkiem. Ale spojrzenie jego niebieskoszarych oczu było czujne i badawcze. Jest podstarzałym lwem, ale jednak ciągle lwem, powiedziała do siebie, i opuściła ją odwaga. Czy rzeczywiście Selma Nilay Valkonen chciała nadepnąć mu na odcisk, jak to zarozumiale wcześniej postanowiła? I od czego najlepiej zacząć, żeby nie wpadł od razu w furję, i nie wyrzucił jej na zbity pysk i nie poskarżył się na nią u Forsberga lub Gulldéna? To jak w pokerze, przekonywała siebie, przyjrzyj się dokładnie przeciwnikowi i pomyśl, jaką kartę najpierw wyłożyć na stół. Doszła do wniosku, że ona sama w żadnym wypadku nie wygląda na osobę budzącą respekt. On zaś był samcem alfa i należało dać mu to odczuć.

– Natknęliśmy się na coś, na co przez te wszystkie lata nikt nie zwrócił uwagi... – zaczęła.

Powiedziała „my”, mając nadzieję, że wzbudzi w przeciwniku wrażenie, że cały aparat policyjny stoi za nią murem.

– Chodzi o kobietę, która nazywała się Camilla Ahlberg. W lipcu tego roku zmarła.

Zasepił się. Wszystko w jego twarzy powędrowało w dół: kąciki ust, policzki, brwi, nawet powieki. Selma mówiła dalej:

– Camilla Ahlberg miała córkę, Lillemor Ahlberg. Z tego mógłby wynikać motyw uprowadzenia Lucie.

Wytrzymała jego spojrzenie, które zdradziło jej, że wie, o czym ona mówi. Minęło kilka nieprzyjemnych sekund. W zapadłej nagle ciszy słychać było jedynie miarowe tykanie zegara i ciche trzeszczenie dębowego parkietu, kiedy podstarzały lew przeniósł ciężar ciała do przodu, wciąż bez słowa mierząc Selmę wzrokiem.

– Chodzi o to, żeby znaleźć tę kobietę. Pod göteborgskim adresem zameldowania nie mieszka i chyba nigdy nie mieszkała. Miałam nadzieję, że pan może nam w tym pomóc.

– A dlaczego pani sądzi, że mogą to zrobić? – warknął.

Na pewno byś chciał, pomyślała Selma.

– Ponieważ Lillemor Ahlberg jest pana córką.

Podparty na łokciach, pochylił się tak bardzo, że wydawało się, iż zaraz się na nią rzuci. Blask lampy zalał jego twarz. Przypominał zwierzę wygnane z ciemnego kąta.

– Kto tak twierdzi? – spytał cicho.

Selma poczuła się nieswojo. Przezornie postanowiła pozostać przy prawdzie.

– Pana była żona. Pernilla. Powiedziała mi, że złożono pozew o ustalenie ojcostwa...

Nordin uniósł władczo dłoń, a Selma zamilkła i obserwowała, jak z westchnieniem wstaje i podchodzi do szafy. Zawiasy przeszklonych drzwi delikatnie zaskrzypiały, kiedy je otwierał. Jego oczy prześlizgiwały się po grzbietach segregatorów. Selma skoncentrowała się na galerii zdjęć na ścianie naprzeciw. Lucie w piaskownicy. Tinka i Lucie w ogrodzie, przed stawem. Tinka sama, oparta o pień drzewa, okulary słoneczne na długich blond włosach, rozmarzone spojrzenie skierowane w dół. Bez wątplenia elegancka kobieta, zauważyła Selma. Jeszcze jedno zdjęcie Tinki jako nastolatki w białej szacie i koronie ze świeatełek.

*Łucja ze światłem we włosach.* Selma się uśmiechnęła. Tak, Tinka była bez wątplenia reprezentacyjnym egzemplarzem nordyckiej królowej światła. Selma nigdy nie była Łucją, ani w przedszkolu, ani w szkole. Zawsze przydzielano ją do niesienia gwiazdy i to zazwyczaj gdzieś daleko z tyłu, na końcu pochodu.

I srebrna ramka ze zdjęciem syna, Gunnara Nordina, grzecznie uczesanego, obok pasującej do niego blondynki i małego chłopca, a na drugim zdjęciu w garniturze przed kolumnowym portalem Wyższej Szkoły Handlowej w Sztokholmie. Gunnar był z wyglądu podobny do ojca, szczególnie kiedy porówna się pierwsze zdjęcie z fotografią ślubną Holgera i Grety. Nawet kobiety wyglądają jak matka i córka.

*Ten sam typ. Człowiek niełatwo rezygnuje z nawyków.*

Jeszcze raz mały chłopiec, przed pełnym przepychu drzewkiem bożonarodzeniowym. Na innym zdjęciu na rękach Grety.

Nigdzie nie było fotografii Leandera Hanssona.

Czarna owca?

Holger Nordin wyciągnął z najwyższej półki segregator i położył go na stole. Znowu usiadł, nasunął okulary do czytania na swój nos Cezara i przewrócił okładkę. Jego ruchy były spokojne i opanowane, jakby miał bardzo dużo czasu. Widocznie od razu znalazł właściwe miejsce. Wyjął dwa dokumenty i wręczył je Selmie.

– Mam nadzieję, że ma pani pojęcie o grupach krwi.

Jego słowa zabrzmiały jakoś fałszywie, pomyślała Selma.

Coś tu nie gra, stwierdziła. I tak było: pierwszy dokument nosił nagłówek szpitala uniwersyteckiego Sahlgrenska. Sprawozdanie z laboratorium. Camilla Ahlberg miała grupę krwi A, a Holger Nordin 0. Ich potomstwo mogłoby więc mieć grupę krwi A lub 0. Dziecko miało jednak grupę krwi B. Drugie pismo pochodziło z sądu. Informowano w nim Holgera Nordina, że został przeciw niemu złożony pozew o ustalenie ojcostwa. Selma poczuła, że robi się czerwona na twarzy. Holger Nordin spoglądał na nią spod okularów, na poły z rozbawieniem, a na poły z naganą.

– Nie wiem, kto jest ojcem dziecka. Od czasu do czasu wychodziła z grupą studentów z Hagi, przypuszczalnie to jeden z nich. I tylko do pani wiadomości, pani Valkonen: mimo wszystko płaciłem na utrzymanie dziewczynki do czasu jej pójścia do szkoły, także kiedy udowodniono, że nie jestem jej ojcem.

– Dlaczego? – wymknęło się Selmie.

Nordin wzruszył ramionami i zdjął okulary.

– Ponieważ lubiłem Camillę, mimo że była wyrachowaną bestyjką. W jakiś sposób czułem się odpowiedzialny za jej los. Tak, mogłem być ojcem tego dziecka. Proszę nazwać mnie konserwatystą, ale jestem zdania, że miejsce dzieci do wieku szkolnego jest przy matce, a nie w żłobku czy całodziennym przedszkolu. I żeby umożliwić to Camilli i jej dziecku, dawałem jej pieniądze. Dwieście koron miesięcznie, to wówczas nie było mało. W każdym razie potem dowiedziałem się, że Camilla zostawiła dziecko u matki i że pracuje w jakimś domu towarowym. Mimo to dotrzymałem obietnicy, chociaż nigdy nie usłyszałem od Camilli słowa podziękowania. Potem straciłem z oczu zarówno ją, jak i jej córkę.

Wiadomość o śmierci Camilli jest pierwszą, jaką o niej słyszę od ponad trzydziestu lat.

Spojrzenie Selmy przywarło do jednej z rycin na ścianie. Budynek Thamska Huset, który stoi przy ulicy Norra Hamngatan. Niclas Sahlgren, dyrektor Szwedzkiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, był jednym z późniejszych właścicieli tego gmachu. Jego spuścizna umożliwiła założenie szpitala uniwersyteckiego Sahlgrenska, którego laboratorium badało próbki krwi. Świat jest mały, pomyślała Selma.

– Przykro mi, że... – powiedziała.

Machnął ręką.

– To mnie uspokaja, że sprawa mojej wnuczki nie poszła w zapomnienie. Czy to jedyny ślad, jaki państwo mają?

– Tak – odparła Selma i wstała.

Odwrót!

Nordin także się podniósł, lecz nie pokwapił się, żeby odprowadzić ją na dół. Dopiero w ogrodzie Selma głęboko odetchnęła. Wyciągnęła z kieszeni tytoń. Srebrnobiały warkot rozerwał przyjemną ciszę. Greta Nordin siedziała na kosiarce i skręcała między drzewami parku. Selma pomyślała, że chętnie dowiedziałyby się, czy Greta robi to dla przyjemności, czy też jest to pierwsza oznaka jej społecznego upadku.

Spędziły w Öckerö tylko kilka tygodni, potem Camilla znowu spakowała walizkę. Tym razem pojechały do Göteborga, do bloku z płyty w podmiejskiej dzielnicy Backa.

Duże miasto na początku przerażało Lillemor. W nowej szkole nikt nie chciał mieć z nią do czynienia. To jej nie przeszkadzało, przyzwyczaiła się do tego. Póki zostawiano ją w spokoju, a tak było przez dłuższy czas. Za mało było w niej punktów, o które można by zaczepić. Niezauważana przez otoczenie Lillemor stopniowo rozkwitała, podczas gdy Camilla co dnia jęczała, jak marnie im się powodzi. Lillemor nie mogła zrozumieć, co takiego działo się źle. Uznała, że życie im się polepszyło: matka już tyle nie piła i utrzymywała je dzięki różnym pracom. Miały mieszkanie, jedzenie, zimy były jaśniejsze i łagodniejsze. Na niebie nie było zorzy polarnej, ale za to miasto wieczorami połyskiwało niczym wielki świetlisty dywan. Czasem Lillemor jechała pociągiem do centrum, siadała na ławce i przyglądała się ludziom – tym ubranym elegancko i tym ubranym nędznie. Wymyślała im życiorysy. Krążyła po domach towarowych, wiele godzin spędzała w księgarniach. Gdy pewnego dnia odkryła imponującą bibliotekę miejską, Göteborg wydał się jej rajem.

Camilla oczywiście nie zabrała ze sobą jej opowiadań, więc dziewczyna napisała je od nowa. Dużo lepiej. Był początek lat dziewięćdziesiątych, ludzie zaczynali kupować sobie komputery. Dzięki temu Lillemor znalazła niedrogą używaną elektryczną maszynę do pisania. Wydała na nią całe swoje skromne oszczędności. W szkole był kurs, na którym nauczyła się dziesięciopalcowej metody pisania na klawiaturze. Notoryczne narzekania Camilli na stukot po prostu ignorowała.

Mniej więcej w tym czasie Camilla powiedziała córce, kto jest jej ojcem. Lillemor musiała jej przysiąc na wszystkie świętości, że będzie się trzymać od niego z daleka, ale któregoś dnia stanęła przed żelaznym ogrodzeniem i przyglądała się pięknemu domowi otoczonemu starannie przyciętymi

drzewkami. Od tej pory co kilka tygodni jeździła tam, nie wiedząc dokładnie po co. Te wizyty wzbudzały w niej dreszczyk emocji i jednocześnie ból, którego nie mogła niczemu przyporządkować. Od czasu do czasu widywała tam dwoje dzieci. Dziewczynka o blond włosach była może dwa lata młodsza od niej, a chłopiec trochę starszy. Dziewczynka była trochę do niej podobna, uważała Lillemor, tylko piękniejsza i ładniej ubrana. Raz zauważyła kobietę, którą jej matka nazywała „małpą” albo jeszcze gorzej. Była niezwykle elegancka, niczym z magazynu! Ojca natomiast mogła uchwycić tylko w przelocie przez przyciemnione szyby samochodu, kiedy przejeżdżał przez żelazną bramę. Był stary! Skórę na jego szyi pokrywała sieć zmarszczek. Opadnięte kąciki ust przypominały psie fagle. Lillemor patrzyła za nim, przysłuchując się swemu wewnętrznemu głosowi, ale ten milczał, i po roku czy dwóch latach szpiegowania straciła zainteresowanie sprawą.

Pojawiło się coś zdecydowanie ważniejszego.



Tinka przyszła do domu, odstawiła torbę do szafy i nastawiła wodę na herbatę. Wieczorem postanowili, że znowu zaczną żyć normalnie.

– Nie możemy przez cały czas siedzieć i czekać. Jutro zaczynają się targi książki. Przecież nie odwołam wszystkich spotkań. Jeśli on zadzwoni, to wymyślę jakąś wymówkę i wyjdę – powiedział Leander.

Tinka domyślała się, co stało za tą decyzją. Jeśli szantażysta odezwie się, gdy Leander będzie poza domem, nie powiadomi jej o tym. Tinka zaproponowała, że na wszelki wypadek pójdzie z nim, ale jej to wyperswadował. Więcej: gwałtownie odrzucił tę propozycję. Dlatego oboje poszli dziś rano do pracy, a Leander przysiągł Tince na wszystkie świętości, że da znać, jak tylko nieznajomy się z nim skontaktuje.

Zawsze umiała rozpoznać, że kłamie. Nie był w tym dobry. Dlatego wykryła romans. Wyłowiła jakiś fałszywy ton, kiedy powiedział, że musi iść na wieczór autorski, mimo że nie było w tym nic nadzwyczajnego. Poszła na to spotkanie literackie, a w drodze potępiała ten krok i usiłowała samą siebie przekonać, że się pomyliła. Ale jego tam nie było. Następnego ranka, karmiąc Lucie, spytała go, jak było na wieczorze. Leander też miał dobre wyczucie. Natychmiast zauważył, że ona wie, i powiedział jej całą prawdę. Poczowała, że ziemia usuwa jej się spod stóp, a świat się wali. Jednocześnie miała wrażenie, że w jakiś sposób mu ulżyło, co obudziło w niej niewiarygodną wściekłość.

Teraz znowu wiedziała, że Leander kłamie, zapewniając, że nikogo nie zabije. Zamierzał to zrobić. Ale znała go na tyle dobrze, że wiedziała, iż nie sprosta temu zadaniu.

Podczas gdy woda się gotowała, Tinka włączyła radio. W informacjach z siedemnastej usłyszała o znalezieniu w lesie, gdzieś za Huskvarną, zwłok dziecka. Ściągnęła syczący czajnik z kuchenki i pogłośniła odbiornik.

– ...oficjalnie jeszcze nie potwierdzono, że chodzi o ciało zaginionej około 15 sierpnia tego roku sześciolatniej Walerii Bobrow z Biskopsgården.

Policja kryminalna czeka na wyniki badań medycyny sądowej. Informacje gospodarcze. Istnieje szansa na pojawienie się inwestora, który uratuje zagrożony bankrutem koncern Nordinów. Toczą się negocjacje z partnerem chińskim. Kierownictwo firmy nie chce podawać dokładniejszych informacji. Czy dzięki temu dwieście miejsc pracy w całym kraju zostanie ocalonych, nie jest jeszcze...

Tinka wyłączyła radio i znowu wstawiła wodę. Chińczycy. Biedny Gunnar. Ojciec mu tego nie wybaczy. Jej brat kompletnie przespał globalizację, ostatnio się tym denerwował. Zdrętwiałymi dłońmi naląła herbaty. Potem przyniosła iPada. Wydania gazet codziennych on-line nie przyniosły wiele więcej na temat odnalezionego ciała. Zamieszczono zdjęcie miejsca zdarzenia. Właściwie przedstawiało tylko drzewa, policyjne samochody, stojących wokół ludzi w odzieży ochronnej, a na pierwszym planie taśmę odgradzającą. „Sześćioletnia Waleria Bobrow z Biskopsgården...”. Lucie w tym roku skończyłaby sześć lat. W dniu świętej Łucji, stąd wybór imienia. Czy to makabryczny przypadek, że rosyjska dziewczynka zniknęła mniej więcej w tym samym czasie, co Lucie. I że teraz została odnaleziona. Jeśli to była ona.

Gdzieś w portfelu Tinka miała wizytówkę komisarza Gregera Forsberga. Od tamtego dnia po zniknięciu Lucie nigdy z niej nie skorzystała i nigdy też nie towarzyszyła Leanderowi podczas wizyt na komisariacie. Coroczne odwiedziny były jego rytuałem, nie jej. Tego typu symboliczne działanie nie leżało w naturze Tinki. Rozum podpowiadał jej, że pierwsza by się dowiedziała, gdyby kiedyś cokolwiek się w tej sprawie zdarzyło.

Forsberg rozmawiał z Evą Röög przez telefon. Po raz kolejny zarzekał się, że nie może jej powiedzieć nic więcej niż to, co rzecznik prasowy policji podał do wiadomości publicznej.

– Mówisz, że jak daleko to miejsce jest oddalone od domu letniego Cederlunda?

– Prawie trzydzieści kilometrów – rzucił. – Poczekaj, co wykaże sekcja zwłok! Muszę teraz wracać do pracy!

– Jeśli ci się z czegoś zwierzę, dasz mi małą wskazówkę?

To zmija!

– Posłuchaj! – Głos Evy obniżył się do szeptu, najwyraźniej nie chciała, żeby koledzy z redakcji ją usłyszeli. – Spotkałam Daga, w szpitalu. Wyznał,

że nie może mi na razie powiedzieć, czego szukał ten ktoś, kto przetrząsnął ich domy.

– Hm.

– I coś jeszcze – dodała. – To nie Magnus Cederlund bił syna. To była Marta.

– Co?! – zawołał Forsberg tak, że głowa Ptaszycy, która właśnie stanęła w drzwiach z dwoma kubkami kawy w dłoniach, zatrzęsa się na boki w przerażeniu.

– A teraz ty coś powiedz, Gregerze Forsbergu.

– Dziecko miało brązowe włosy.

– Pięknie, no i?

– I nic.

– To wszystko, co masz mi do zaoferowania?

– Waleria miała brązowe włosy. Sięgające do brody.

– Wiem to.

– Powinnaś była ją widzieć. Nie dałbym sobie głowy uciąć, że to były zwłoki człowieka, tak się to bydlę obeszło z ciałem.

– O Boże – syknęła Eva po cichu. – Posłuchaj, jeśli miał z tym coś wspólnego wiesz-kto, to nasza gazeta musi przynajmniej dowiedzieć się o tym pierwsza i pierwsza o tym napisać. W przeciwnym razie inni nas rozszarpia!

– Jak tylko pojawią się niezbite dowody sądowe, odezwę się do ciebie. Aha, i miała na sobie coś różowego. Sukienkę czy coś.

– OK – westchnęła Eva. – Lepsze to niż nic.

Forsberg odłożył słuchawkę, Selma postawiła przed nim kawę. Czy mu się zdawało, czy się uśmiechnęła? Najwyższy czas, żeby zaczęła go darzyć większym szacunkiem.

– A co do ciebie... – Przybrał, jak mu się zdało, groźną minę. Jej ciemne źrenice wyczekująco wpatrywały się w niego. – Znasz powiedzenie: *Quod licet Iovi, non licet bovi?*

– Nie – odparła Selma. – Ale chciałam ci coś jeszcze...

Zadzwoił telefon Forsberga.

– Mówi Tinka Hansson.

– To nie Lucie – powiedział od razu.

– Jest pan pewien?

– Raczej tak. W sprawie Walerii Bobrow mieliśmy podejrzanego i miejsce znalezienia ciała znajduje się w pobliżu jego... domu.

– Ale może jest jakiś związek między obiema sprawami?

– Nie, absolutnie nie – zapewnił.

– Czy da mi pan znać, jeśli będzie pan całkowicie pewien, że to nie Lucie?

– Tak – obiecał.

Tinka podziękowała i się rozłączyła.

Znowu spojrzał na Selmę, która tymczasem pisała coś na komputerze, a potem usiadła ze skrzyżowanymi ramionami. Wyglądało na to, że czeka na zapowiedzianą reprimendę.

– Na czym skończyliśmy?

– Mówiliśmy po łacinie – przypomniała Selma i spojrzała na ekran. *Quod licet Iovi, non licet bovi.* „Co wolno Jowiszowi, tego nie wolno wołowi”. Właśnie to wygooglowałam.

Forsberg wpatrywał się w nią. To stworzenie jest przyczyną moich wrzodów żołądka, moim gwoździem do trumny! Ale kazanie, które zamierzał wygłosić, nagle wydało mu się śmieszne i uznał, że w ten sposób właściwie tylko by się zbłąźnił.

– A o co chodzi z tym nieślubnym dzieckiem Nordina? – spytał zamiast tego.

– To nie jest jego córka – odparła Selma.

– Skąd to wiesz?

– Ponieważ mi to powiedział – wyjaśniła i zrelacjonowała swoją wizytę.

– Co? Po prostu tam bezczelnie poszłaś i spytałaś o jego nieślubną córkę, a on pokazał ci test na ojcostwo?

– Tak – odrzekła Selma.

Forsberg załamał ręce.

– Boże święty! Z pewnością wniesie poważne zażalenie...

Zadzwoił jego telefon. Do cholery, czy tu można spokojnie załatwić porachunki ze swoim personelem?

– Forsberg!

Kobięcy głos przedstawił się jako Lena Staaf z laboratorium kryminalistycznego.

– Może mamy coś dla was.

– Wyniki porównania DNA?

- Nie, sierść psa.
- Sierść psa – powtórzył Forsberg.
- Tak. Była przyczepiona do resztek ubrania – powiedział dźwięcznie głos.
- Co to za pies?
- Tego jeszcze nie wiemy.
- Ciało znalazł mężczyzna z psem – powiedział Forsberg. – A raczej to pies je znalazł.
- To był wyżeł niemiecki – powiedziała Lena Staaf. – Włosy na zwłokach są bardzo delikatne i krótkie. I bardziej beżowe.
- Beżowe, pomyślał Forsberg.
- Czy można dopasować włosy do psa?
- Analiza DNA jest możliwa tylko wtedy, kiedy na włosach są pęcherzyki, a tu ich nie ma. Ale na pewno można określić rasę.
- Forsberg podziękował Lenie Staaf i zwrócił się do swojej współpracownicy:
  - Selmo, mam dla ciebie ważne zadanie. Dowiedz się, co się stało z mopsami Marty Cederlund.
- Ptaszyca patrzyła na niego oczami wielkimi jak spodki od filiżanek. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.
- Miała trzy mopsy. Chcę wiedzieć, gdzie są teraz.

W drodze do Öttenrod Eva zatrzymała się przy supermarkecie. Kupiła mleko, jogurty, owoce, warzywa i soki. Jej matce każdego popołudnia dostarczano obiad, porcja zostawała zwykle jeszcze na kolację, ale Eva uważała, że matka musi jeść zdrowsze rzeczy. W każdym razie podejrzewała, że połowę z tego albo wyrzuca, albo rozdaje.

Gudrun Röög była dziś w dobrej formie. Miała na sobie długą czarną spódnicę z dzianiny, niebieską bluzkę oraz jasne dzianinowe wdzianko. Siedziała wyprostowana w fotelu z wysokim oparciem. Na stole stał serwis do kawy i herbaty, na paterze czekały cynamonowe ślimaczki.

- Nie musisz dla mnie tak ładnie nakrywać do stołu.
- A dla kogo mam to robić? Nie muszę już oszczędzać rzeczy. Poza tym chcę, żebyś zachowała o mnie dobre wspomnienia, a nie takie, które łatwo przeminą.

Ciągle jeszcze trzymał się jej dobry humor.

– Wczoraj spotkałam Daga Cederlunda – powiedziała Eva już przy kawie.

– Ach, biedny chłopak – westchnęła Gudrun.

Eva nie była pewna, czy jej matka, chociaż nadal sprawna intelektualnie, zdawała sobie sprawę z tego, że Dag ma już trzydzieści dziewięć lat.

– Czy ty właściwie wiesz, dlaczego wtedy Dag uciekł z domu?

Padła odpowiedź, jakiej oczekiwała. Że to z powodu jego ojca. I z powodu bicia.

– Często sobie później robiłam wyrzuty, że nijak nie zareagowaliśmy w tej sprawie, twój ojciec i ja. Ale nie można przecież tak po prostu nasłać na sąsiadów policji, prawda?

Eva opowiedziała jej, czego dowiedziała się od Daga. Jej matka chwytała oddech.

– To była Marta? Na to bym nigdy nie wpadła. Zawsze myśli się, że to mężczyzna. Ojciec i ja czasem mówiliśmy: „Ta kobieta jest antypatyczna, ale bardzo nam jej szkoda”. – Potrząsnęła głową ukrytą pod wełnianą czapkę. Po ostatniej chemioterapii jej włosy odrastały cienkie jak u kurczaka. – Nigdy mi się nie podobało, że tam chodzisz – dodała.

– Dlaczego? – spytała Eva.

Gudrun upiła łyżeczek herbaty z dzikiej róży.

– Nie wiem. Ta cała atmosfera. Po prostu nie chciałam, żebyś chodziła do domu, w którym się bije. Gdybym wiedziała, że to Marta...

– Nie martw się, nigdy mi nic nie zrobiła.

– Tego by nie przeżyła – stwierdziła z przekonaniem Gudrun i obie się zaśmiały.

– A pamiętasz, na co umarła jej córka?

– Boże, nie. To było tak dawno. Może zresztą nigdy nie wiedziałam. Nie sądzisz, że Marta...?

– Nie, nie! – Eva pokręciła głową. – Tak mi przyszło teraz do głowy.

– Ta rodzina nigdy nie zazna spokoju – oznajmiła Gudrun.

*Spokój.* Eva pomyślała o Marcie, jak bez życia leży w szpitalnym łóżku.

– Mamo, powiedz... – zaczęła i zawahała się, ale zaraz dokończyła pytanie: – czy były jakiegokolwiek oznaki, że Magnus Cederlund miał skłonności pedofilskie?

Gudrun Röög spojrzała przestraszona na córkę.

– Ależ naprawdę, co też cię dzisiaj naszło. – Po chwili milczenia powiedziała jednak: – Z takimi pogłoskami trzeba być ostrożnym.

– Oczywiście – przytaknęła Eva i cierpliwie czekała, aż matka wypije herbatę i przezwycięży atak kaszlu.

– Kiedy było to podmorskie trzęsienie ziemi – ciągnęła Gudrun – i tsunami przeszło nad Tajlandią i Indonezją...

– Boże Narodzenie 2004 – uzupełniła Eva i zastanawiała się, do czego jej matka zmierza.

– Zgadza się. Wtedy było wiele akcji pomocowych w całym kraju. Cederlund z dużym szumem założył dom dziecka dla dzieci osieroconych w wyniku tego kataklizmu. Pisali o tym we wszystkich gazetach. Nawet królowa uczestniczyła w otwarciu.

– Tak, zgadza się. W pobliżu Linköping kupił budynek, w którym organizowano zielone szkoły, wyremontował go i założył fundację. Do niej miała spływać część zysków z wydawnictwa książek dla dzieci – powiedziała Eva, sama wówczas o tym pisała.

Także w nekrologu wspomniała o tym przedsięwzięciu. Dodała tę informację, dopiero gdy Sigrun wydrukowała jej własny artykuł. Sama dawno już o tym nie pamiętała.

– Twój ojciec zrobił wtedy dziwną uwagę – kontynuowała Gudrun. – Nie pamiętam dokładnie jego słów, ale powiedział, że Cederlund ma chyba za co się zrewanżować. Spytałam go, co ma na myśli, a on nazwał go... no...

– Dzieciojebcą? – Eva wiedziała, że takie słowa nie przechodzą matce przez gardło.

Gudrun pokiwała głową.

– Tak, spytałam go, skąd mu przyszło do głowy, żeby mówić coś tak ordynarnego, a on stwierdził, że to tylko „jego przeczucie”. Nie umiał tego uzasadnić. Myślę, że spodziewał się po Cederlundzie wszystkiego, co najgorsze, ponieważ sądził, że bije rodzinę.

Mogło tak być. Ojciec Evy rzadko liczył się ze słowami. W każdym razie pielęgnował pewne przekonania i odwiedzenie go od jakiegoś poglądu, który raz sobie wypracował, było właściwie niemożliwe. Doskonale pamiętała dyskusje, które wszczynała z nim jako krnąbrna nastolatka, chcąc go sprowokować. Rok po tsunami umarł. W sylwestra. Oglądał transmisję biegów narciarskich w telewizji i niespodziewanie doznał zawału serca.

Czy był to rezultat nadmiernej ekscytacji rywalizacją, tego nikt nie potrafił powiedzieć.

Matka wykazywała już pierwsze oznaki zmęczenia. Czas iść.

Leif Hakeröd i Fredrika Lindblom namawiali Evę, żeby przesunęła wizytę u matki i poszła z nimi na przyjęcie z okazji otwarcia targów książki, ale wyjaśniła im:

– Przyjęcie jest co roku, a ja nie wiem, czy za rok moja matka będzie jeszcze żyła.

Środowe wieczory i niedzielne popołudnia. Eva wiedziała, że jej matka organizuje sobie życie wokół tych dwóch terminów, że bierze kąpiel z pomocą pielęgniarki, ładnie się ubiera albo w ogóle się ubiera. Wizyty Evy były ważne. Stanowiły pewien cel. Zmuszały Gudrun do życia. Być może potrafi to zrozumieć tylko ktoś, kto sam ma krewnych, którzy są już w objęciach śmierci.

– To wpadnij później – zaproponowała Fredrika.

Tak, w zasadzie to dobry pomysł.

W ubiegłym roku Eva poszła na targi i spotkała Leandera Hanssona. Zamienili ze sobą tylko kilka słów, ponieważ był tam w towarzystwie Tinki i najwyraźniej nie chciał, żeby żona zauważyła, że rozmawiają. Jednak to ich spotkanie wytrąciło Evę na kilka dni z równowagi. Nawet potem Leander jej się śnił. Nie, nie potrzebowała tego typu uczuciowych zawirowań. Lepiej takim okazjom schodzić z drogi. Może zadzwoni do Forsberga i umówi się z nim na piwo. To mniej niebezpieczne.

– Psy są u sąsiadki, która znalazła Martę Cederlud – powiedziała Selma. Potrzebowała tylko kilku minut, żeby potwierdzić miejsce pobytu zwierząt.

– Mam tam jechać i wyrwać im trochę sierści?

– Nie – odparł Forsberg. – Tego powinien dopilnować wydział śledczy. Jeśli martwa dziewczynka to naprawdę Waleria Bobrow, to nasza praca jest w tym momencie zakończona.

Selma nie była z tego zadowolona. Siedziała ze zmarszczonym czołem i wpatrywała się w trzy rysunki, które leżały na jej biurku.

– To jest referat do spraw osób zaginionych. Naszym zadaniem jest odnajdywanie zaginionych, żywych lub martwych. Resztą zajmują się ci z wydziału śledczego – wyjaśnił Forsberg, zastanawiając się, kiedy zrobił się z niego taki leśny dziadek.



Selma milczała.

– Czasami oczywiście następuje wymieszanie obowiązków. Albo sobie pomagamy. Jesteśmy przecież jednym zespołem.

Nadal nic.

– Taka samowola, jaką dziś zaprezentowałaś, nie jest dobra. Muszę wiedzieć, gdzie przebywasz, i na odwrót. Chodzi o bezpieczeństwo i pracę zespołową.

– Jasne – powiedziała Selma. – Ale ja dziś miałam wolne przedpołudnie, pamiętasz?

– Tak, tak, oczywiście – skłamał.

– A kiedy ty w poniedziałek byłeś w domu Cederlundów... – zaczęła Selma.

Forsberg obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

– Ach tak – pojęła. – Jowisz i wół.

Twarz komisarza nieznacznie się zaczerwieniła.

– Czy ty robisz ze mnie głupka?

– Nie – zapewniła go Selma. – Jeśli chcę się przyczynić do wyjaśnienia morderstwa Walerii, czy muszę to robić przez wydział śledczy?

Zadzwoił telefon. Forsberg stłumił przekleństwo.

– Forsberg!

To była ruda z centrali telefonicznej.

– Wydaje mi się, że ktoś chce z tobą porozmawiać. – Połączyła go.

– *You police?*

– Tak, Forsberg, *police*.

Zdenerwowany kobiecy głos, prawie niezrozumiały, zły angielski z silnym obcym akcentem. *House*, to było wszystko, co Forsberg słyszał. Po chwili zrozumiał, że dzwoniła pani Bariat, Hinduska, która mieszkała nad nim z dwójką bardzo żywiołowych dzieci.

– Ty przyść – powiedziała nagłaco. – Przyść do domu. Szybko!

– Prześpij się, a ja na chwilę pojedę na wysypisko śmieci – powiedziała Eva do matki, która daremnie próbowała stłumić ziewnięcie.

W swoim dawnym pokoju nałożyła strój do joggingu i spojrzała przez okno na dom sąsiadów. Przy garażu wisiał kosz do koszykówki. Od lat na tamtej działce mieszkała rodzina nauczycieli, a ich dwoje małych dzieci zdążyło wyrosnąć.

– Zadzwoń jutro. I, proszę, zjedz mango – przypomniała matce, kierując się do drzwi.

– Dobrze, dobrze – obiecała Gudrun Röög, wciąż siedząc w swoim fotelu.

Pod wpływem impulsu Eva zawróciła i ucałowała matkę w chłodne jakby pergaminowe policzki.

– Do niedzieli.

Poszła do samochodu, wrzuciła torbę z ubraniami na tylne siedzenie i odjechała. W pobliżu znajdowało się „wysypisko śmieci”, jak Dansholmen nazywali najstarsi mieszkańcy. Powstało po tym, gdy torfowisko zostało zapełnione gruzem budowlanym i śmieciami, lecz dziś nie pozostał już po tym nawet ślad. Przeciwnie – okolica była idylliczna: łąki, skały, morze. O tej porze roku niewiele się tu działo, a jej czerwony peugeot był jedynym samochodem na parkingu dla przyjezdnych. Wsiadła i głęboko odetchnęła. Cudownie! Świeże, słone morskie powietrze! Nigdy nie chciałyby mieszkać tam, gdzie nie czułoby się morza.

Eva chętnie odwiedzała matkę, chociaż te wizyty ją przygnębiały. Nie znosiła patrzeć na jej cierpienie, na jej umieranie. Potem zawsze miała pilną potrzebę poruszania się, wyzycia się. Oddychać, pocić się, czuć, jak palą mięśnie, czuć, jak jej ciało działa, czuć, że żyje.

Zrobiło się chłodno. Trawy, wysuszone przez lato, chyliły się od wiatru, kłębiaste chmury zaciągnęły niebo. Blade światło rozświetlało krajobraz, a słońce przemieszczało się w kierunku horyzontu i barwiło morze na delikatnie różowy kolor. Powyżej, między skałami, Eva zauważyła pochyloną postać. Latem skałki są ulubionym miejscem spotkań zakochanych i młodzieży, która pali tam ogniska i organizuje pijatyki. Czy to był jakiś mężczyzna? Co tam robił, czy był niebezpieczny? Odruchowe rozmyślenia kobiety, która znalazła się sama na odludziu, stwierdziła Eva. Założyła buty do joggingu, które leżały w bagażniku. Kiedy była gotowa, na skałkach już nikogo nie dostrzegła. Być może jakiś spacerowicz musiał udać się na stronę, ale nie znalazł do tego odpowiedniego miejsca.

Zamknęła samochód za pomocą pilota i schowała kluczyki do kieszeni flauszowej kurtki. Komórkę wcisnęła do tylnej kieszonki przy pasku spodni. Zastanawiała się, w którym kierunku pobiec. Zdecydowała się na drogę wzdłuż morza i ruszyła. Układ krwionośny zaczął pracować, zrobiło jej się ciepło. Musi wybiegać trochę emocji: smutek z powodu umierającej

matki i złość na Stiega, z którym się rano pokłóciła. O co właściwie poszło? A tak, o podróż do Chin, w którą chciał się wybrać, ponieważ jego przyjaciele i klienci się nimi zachwycali. Ona nie zamierzała jechać. Uważała, że to za drogo, a poza tym nie widziała w tym kraju nic pociągającego. W końcu znowu poszło o finanse, ale teraz nie chciała myśleć o pieniądzach i o swobodnym stosunku Stiega do długów. Czy powinna poradzić Forsbergowi, żeby trochę bliżej przyjrzał się dobrym uczynkom Cederlunda? Nie, lepiej najpierw samej to sprawdzić, postanowiła. Jutro na pewno już będzie wiadomo, czy w lesie znaleziono zwłoki Walerii. A jeśli tak, to czy Cederlund miał z tym coś wspólnego. Biegła szybciej, oddychała w rytmie kroków. Gdyby się odwróciła, zobaczyłaby, jak spomiędzy skał ktoś celuje w nią z broni. Ale poczuła tylko ból, kiedy dosięgnął ją strzał. Nie słyszała huk.

Bar sportowy znajdował się w bocznej uliczce odchodzącej od Avenyn. Leciała tylko powtórka jakiegoś meczu piłki nożnej, więc lokal był dość pusty. Leander nie interesował się sportem, a dziś tym bardziej. Stała przed nim cola, musi być trzeźwy, gdyby... Równie dobrze mógłby objąć się w biurze albo pójść na przyjęcie z okazji otwarcia targów – zresztą Tince powiedział, że właśnie tam się wybiera. Ale coś go przyciągnęło do knajpy, w której nigdy przedtem nie był i do której normalnie by nie wstąpił. Chciał być sam, sam wśród obcych, chciał pomyśleć.

Dlaczego szantażysta nie chce po prostu wyjawić nazwiska ofiary i dać mu wolnej ręki? Ponieważ nie jestem zawodowym mordercą, odpowiedział sobie Leander. Mógłbym nawiązać z nią kontakt. Poza tym nie wiedziałby, na jaki dzień musi zapewnić sobie alibi.

Leander nieustannie łamał sobie głowę, kto za tym może stać. Nie był przekonany, że facet obraca się w bliskim otoczeniu ofiary, za czym obstawała Tinka. Choć było to bardzo prawdopodobne. A może, spekulował, chodzi także o mnie. Jest sporo ludzi, którzy uważają mnie za aroganckiego pajaca i może mają rację. Ktoś z rozgłośni poluje na moje stanowisko? Nawet jeśli panuje tam luźna atmosfera, to jednak jest to prawdziwe siedlisko rekinów, co do tego nie ma wątpliwości. Ale czegoś takiego Leander nie spodziewałby się po żadnym z kolegów. Może poza radiem? W ciągu najbliższych dni spotka się z kilkoma autorami, wśród których są i tacy, którzy go nienawidzą. Może któryś z autorów

kryminalów. Miałyby dość wyobraźni na tego typu sadystyczną grę. A Leander nie obchodził się z nimi szczególnie życzliwie. Przebiegł przez ostatnie miażdżące recenzje z roku, dwóch lat. Jednak równie dobrze mógłby to być ktoś, na kogo nie zwrócił uwagi. Brak uwagi jest czasem gorszy niż krytyka. Jednocześnie nie mógł sam siebie przekonać, że z powodu złej lub nie najlepszej opinii ktoś mógłby uciec się do czegoś takiego. Bzdura! Absurd! Równie dobrze mógłby to być ktoś, kto nie ma nic przeciwko niemu, jakiś szaleniec, któremu Leander służy wyłącznie za obiekt badań.

Szantażysta od wczoraj się nie odezwał, Leander także nie wysłał mu więcej żadnej wiadomości. Wszystko zostało powiedziane. Był podminowany. Oczekiwanie doprowadzało go do szaleństwa. Stan wyjątkowy, pomyślał. Rozejrzał się ukradkiem, ale inni goście, sami mężczyźni, nie zwracali na niego uwagi. Gdybyście wiedzieli... Gdybyście wiedzieli, że siedzi tu człowiek, który jest gotowy zabić. Który ma w samochodzie pistolet i tylko czeka na rozkaz, żeby zastrzelić człowieka.

Jeśli wykona zlecenie, znowu może być szantażowany. Jak on to wytrzyma? I czy rzeczywiście odzyskają Lucie?

Dziwiło go, że Tinka tak łatwo pozwoliła mu wyjść. Niemożliwe, że go nie przejrzała, prawie nigdy nie udaje mu się jej oszukać. Ale co pragnęła przekazać mu swoim milczeniem? Znał odpowiedź: chciała, żeby to zrobił. Dla Lucie. Dla nich.

*Dla nich.* Jeśli popełnię to morderstwo, bo będzie to morderstwem, myślał Leander, będziemy musieli z Tinką zostać razem na zawsze. Przystępstwo łączy mocniej niż przysięga małżeńska. Nie będziemy mogli się rozstać, nawet jeśli Lucie nie wróci. A gdy Tinka zostawi mnie któregoś dnia, ją także będę musiał zabić – dla pewności. Starał się odgonić te absurdalne myśli. Nagle zrobiło mu się ciepło, a nawet gorąco. Miał uczucie, że jego klatka piersiowa staje się coraz węższa. Co to było? Atak paniki, atak serca? Nie mógł dłużej wytrzymać, potrzebował powietrza. Gdy tylko wyszedł z knajpy, zadzwonił jego telefon.

Tinka.

Zastanowił się, czy nie zignorować połączenia. Ale przecież nic się nie wydarzyło. Powinien się zachowywać tak, jakby był na przyjęciu.

– Tak? – powiedział.

– Gdzie jesteś?

– W... mieście.

– Przyjedź samochodem do Dansholmen, potrzebuję twojej pomocy. Pospiesz się.

– Co?

Zakończyła rozmowę. Oddzwonił, ale nie odbierała. Skołowany wszedł do samochodu i ruszył. Na tyle szybko, na ile pozwoliły mu wieczorne korki. Co się tam działo? Kiedy stał na czerwonym świetle, otworzył schowek. Pistolet był na miejscu. Po co Tinka pojechała do Dansholmen? Czy to była pułapka? Czy ktoś uprowadził jego żonę i zmusił ją do wykonania telefonu i dlatego połączenie trwało tak krótko? Cholerny korek. Dlaczego te samochody nie posuwają się naprzód?

Zaczynało zmierzchać, kiedy Leander w chmurze kurzu zatrzymał się na parkingu. Stał tam tylko nieznany mu czerwony peugeot. Wysiadł. Nagle znikąd pojawiła się Tinka. Biegła przez plac w jego stronę. Dzięki Bogu, nic się jej nie stało!

– Musisz podjechać bliżej – powiedziała i podeszła do peugeota.

Poszłusznie pojechał za nią. Otworzyła drzwi i podniosła koc, pod którym leżało ciało. Leander wpatrywał się w nieruchomą postać byłej kochanki.

Malin Birgersson bez pukania weszła do gabinetu. Zastała tylko Selmę.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odparła Selma. – Odebrał telefon i bez słowa wybiegł. Właśnie robił mi wykład o Jowiszu i wole.

Malin oparła się o zasłane papierami biurko Forsberga i przewróciła oczami.

– Dobrze, że tu jesteś i trochę troszczysz się o porządek.

Porządek. Co Malin miała na myśli?

– Byliście kiedyś ze sobą – powiedziała Selma.

– Mówił ci o tym?

– To widać.

– Naprawdę?

– On nie jest taki zły – stwierdziła Selma.

– No tak. Znasz go też już trochę, więc wiesz, że za długo nie może być dobrze. Ta sprawa z Anniką ciąży nad nim jak ciemna chmura. – Malin kreśliła palcem kółka na wolnej powierzchni biurka Forsberga.

– Co sądzisz o pocztówkach? – spytała Selma.

– Pocztówkach... – Malin wyglądała na zdziwioną. – Rozmawiał o tym z tobą?

– Widziałam je – wyjaśniła Selma. – Siedem sztuk.

– Och. – Malin najwyraźniej uznała, że taki komentarz wystarczy, bo zaraz zmieniła temat: – Znalazłaś tę Camillę z Öckerö?

– To już załatwione – opowiedziała Malin jeszcze raz to, o czym doniosła już Forsbergowi.

Przy historii o ojcostwie Malin ponownie wydała z siebie zdziwione „och” i kiedy Selma skończyła, znowu zaczęła malować kółka.

– A więc on się przechwalał, że mimo negatywnych wyników testu płacił kilka lat na utrzymanie dziecka?

– Tak – potwierdziła Selma.

– Trochę zbyt wielka szlachetność, czyż nie?

– Co masz na myśli? – zaniepokoiła się Selma. Bez wahania uwierzyła w staroświecką altruistyczną postawę Nordina: dzieci powinny być przy matce w domu. Dała się nabrać na jego patriarchalny czar?

– Taki test można sfalszować. Laboranci są tylko ludźmi – powiedziała Malin.

– Ale dlaczego dobrowolnie... – zamilkła.

– Żeby Camilla się uspokoiła i nie była zbyt nachalna. – Malin wypowiedziała na głos jej myśl.

– OK. Ale nawet jeśli musiałyby płacić dwadzieścia lat, to byłaby to dla niego pestka – odparła Selma.

– Tu nie chodzi przecież o utrzymanie, tylko o spadek – tłumaczyła Malin. – W grę wchodzi dużo więcej pieniędzy. Opłaca się zainwestować w spreparowanie testu, a porzuconą kochankę uciszyć na kilka lat dzięki nędnym groszom.

Pięść Selmy uderzyła w blat stołu.

– Cholera! A ja mu uwierzyłam! Jestem taka głupia!

– Nie jesteś. – Malin starała się ją pocieszyć. – To właśnie tajemnica sukcesu takich ludzi jak Nordin. Robią wrażenie niesamowicie poważnych i przekonujących i w ten sposób owijają sobie każdego wokół palca.

– Ale ja jestem policjantką, mnie się to nie powinno było przydarzyć.

– A nawet jeśli by się to zgadzało – ciągnęła Malin – i on rzeczywiście nie był ojcem dziecka, nie oznacza to, że Camilla zaakceptowała ten fakt

i się z nim pogodziła. Być może chętnie pozostawiała siebie i córkę w przeświadczeniu, że ojciec dziewczynki jest znaczącym człowiekiem, a nie jakimś studentem, z którego nic by nigdy nie było. Zadziwiające, jak potrafimy czasem wyprzeć sprawy, w które nie chcemy uwierzyć.

– Masz rację – rzuciła stanowczo Selma. – Musimy odnaleźć Lillemor Ahlberg, jej córkę. Cały czas mam... a zresztą nieważne.

– Co? – spytała Malin.

– Jakieś przeczucie – odpowiedziała Selma. – To nieprofesjonalne.

– To jest coś, co podpowiada ci twoja podświadomość. Ona czasem wie więcej niż rozum. O Boże, mówię jak Ciocia Dobra Rada – zaśmiała się Malin.

– Mieszkanie! – przypomniała sobie Selma. – Sprzedała mieszkanie. Przez pośrednika. On musi mieć do niej kontakt.

– Dobry pomysł – pochwaliła ją Malin, odrywając się od blatu biurka Forsberga i przechodząc do sprawy, z którą przyszła: – A tak, chciałam wam powiedzieć, że znalezione w lesie ciało należy do Walerii. Włosy są identyczne z tymi na szczotce, którą zarekwirowało laboratorium kryminalistyczne. Poza tym w domu letnim Cederlunda znaleziono jej odciski palców na lalce i papierku po batoniku. Znaleziono także odciski na workach na śmieci, w które była zawinięta, ale nie należą do Cederlunda.

– Krull? – spytała Selma.

– Nie, też nie.

– Ktoś wykonał więc za Cederlunda brudną robotę – podsumowała Selma.

Przywołała Malin do swego biurka, na którym ciągle leżały rysunki Walerii.

– To wprawdzie tylko poszlaka, a nie dowód, ale może... – zaczęła. Nim jednak skończyła swoje wyjaśnienie, Malin wybiegła z pokoju, a Selma usłyszała, jak krzyczy jeszcze z korytarza:

– Bergeröööd! Kończ kawę, musimy natychmiast jechać do Biskopsgården...

Ten zapach. Znała ten zapach. Stare meble... ognisko... i mysi mocz. Eva zamrugała szybko. Materiał. Brązowawe paski. Delikatne światło. Lampa. Jej głowa leżała na czymś miękkim, wilgotnym i pachnącym lekką stęchlizną. Miała wrażenie, jakby obudziła się w nieznanym miejscu, w

hotelu, obcym mieszkaniu i musiała sobie dopiero przypomnieć, gdzie jest i dlaczego. Tyle że tym razem sekundy mijały, a ona nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Ba, nie miała w ogóle pojęcia, w jakim punkcie życia się znajduje. Wszystkie współrzędne gdzieś zginęły. To otępienie wzbudziło w niej panikę. Chciała krzyknąć, ale jej usta były wysuszone, gardło też. Głosy. Kobieta.

– ...teraz to nie potrwa długo.

– Oby!

To był... to był głos Leandera! Leander – przypomniała sobie tego niezwykle pięknego mężczyznę. Dlaczego słyszy jego głos? Dlaczego Leander? Jest przecież... wiking. Ma na imię Stieg. Tak, była żoną Stiega, przypomniała to sobie w tym momencie. Stieg. Z myślami o nim było związane coś nieprzyjemnego. Ale co? Jakby zostało to wymazane. Znowu usłyszała głos Leandera.

– ...nie trzeba było do niej z tego strzelać.

Kobieta:

– Skąd miałam wiedzieć, czy będzie współpracować?

Leander:

– Więc teraz już wiesz?

Kobieta:

– Nie zostawimy jej wyboru.

Przerwa.

Co to miało znaczyć? Jakiego wyboru?

Leander:

– Oszukałaś mnie!

Kobieta:

– To teraz jesteśmy kwita.

Leander:

– To nie zabawa, Tinko.

– Myślisz, że nie wiem?

Cisza. Charakterystyczne trzaski. Ogień. Kominiek. Mózg Evy przypominał komputer, który powoli się rozgrzewa. Scena za sceną wracały wspomnienia. Matka. Co opowiadała jej o Cederlundzie? Nieważne. Bieganie. Było zimno i wietrznie. Morze miało czerwonoróżowy odcień. Postać na skałach... Tinka? Tinka Hansson? To ona do niej strzelała?



Dlaczego więc nie jest martwa? Próbowła się podnieść, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa, a głowę przeszył ostry ból.

Światło przesłonił cień.

– Evo? Obudziłaś się?

Leander.

– Pić.

Poszedł. Eva podniosła głowę, co kosztowało ją wiele wysiłku. Znowu ten kłujący ból. Stopniowo przestrzeń nabierała konturów. Stół, na nim dzbanek z herbatą i dwa kubki. Przy nim Tinka Hansson. Miała na sobie dzinsy i bluzę z kapturem. Spoglądała na Evę. W blasku ognia, który palił się w otwartym kominku, jej włosy błyszczały niczym płynne złoto. Drewno musiało być wilgotne, bo w powietrzu unosił się dym. Sufit składał się z szerokich drewnianych belek, podłoga też była z drewna. Za stołem dostrzegła małą wnękę kuchenną i kredens z naczyniami.

Szałas albo stacja wodna.

Leander wrócił i pomógł jej usiąść. Koc, którym była okryta, zsunął się na podłogę. Eva zauważyła na kurtce z flauszu plamę. Wyglądała jak wyschnięta krew. Włożyła rękę pod koszulkę. Skóra pod nią nie miała najmniejszego zadrapania. Dziwne. Leander podniósł koc i wręczył jej szklankę z wodą. Zacisnęła na niej dłoń w nieporadnym chwycie i opróżniła ją jednym haustem. Tinka przyglądała się wszystkiemu ze zdystansowanym zainteresowaniem.

Eva chciała się zerwać i skoczyć im do gardeł, ale znowu nie udało się jej wstać. Po prostu nie mogła się podnieść, nie miała siły.

– Co mi zrobiliście? – krzyknęła, ale natychmiast tego pożałowała, bo efektem był piekielny ból głowy.

– To tylko ja. – Głos Tinki brzmiał spokojnie i surowo. – Funkcje motoryczne wróć. Dawka była może za wysoka, ale sądziłam, że celem będzie męczyzna.

– Męczyzna – powtórzyła zmieszana Eva, ale Tinka właśnie zniknęła z jej pola widzenia. Powiedziała do Leandera coś, czego Eva nie rozumiała. Drzwi zaskrzypiały.

Leander usiadł na poręczy kanapy i patrzył na nią zatroskany i jakby skruszony.

– Wszystko ci wyjaśnię – powiedział.

– Mam nadzieję – odparła Eva.

Dom był przechylony. Przez jedną ścianę ciągnęła się szeroka rysa. Dachówki podpadały, a czerwone cegły leżały na wjeździe do garażu. Jak po trzęsieniu ziemi, pomyślał Forsberg.

Ulicę zamknęto. Przed budynkiem stały dwa radiowozy, ambulans i trzy wozy straży pożarnej. Nie dostrzegł jednak wielu ratowników, pomocnicy snuli się z ważniackimi minami i telefonami komórkowymi przy uszach. Piszczwały krótkofalówki. Przed taśmami odgradzającymi utworzyło się małe zbiegowisko. Forsberg rozpoznał kilku mieszkańców domu, między innymi panią Birią, która do niego dzwoniła. Na szczęście był tam też jej mąż, próbując pocieszać melodyjnie lamentującą żonę. Dzieci wisały na ramieniu matki niczym parasole i ssały kciuki. Pozostali sąsiedzi wyglądali na tak samo zmartwionych i zirytowanych jak Forsberg.

– Musiało kiedyś do tego dojść! – zawołał Grantler z parteru. – Ile już razy pisałem do tego dupka, a on nie reagował! Dobrze wiedział, dlaczego sam nie mieszka w tej rozpadającej się budzie!

– Co teraz będzie z naszymi rzeczami? Mam dziecko, a zostałam na ulicy! – zawołała do strażaka młoda matka z pierwszego piętra, ale mężczyzna był zbyt zajęty.

– Tak blisko bagien nigdy nie powinno się niczego budować! – Forsberg usłyszał mężczyznę z nadwagą z domu naprzeciwko.

Nazywał go w myślach „dozorcą”, ponieważ nieustannie przechadzał się ze swoim owczarkiem po dzielnicy i składał donosy na każdego, kto źle zaparkował. Rozmawiał właśnie z jakąś kobietą, chyba sąsiadką, która mówiła:

– Teraz naprawdę będę szukać czegoś innego, i nam w końcu sufit spadnie na głowę.

Dwaj policjanci byli młodymi chłopakami, których Forsberg nie znał, złapał więc kierownika grupy ratunkowej strażaków i pokazał mu legitymację służbową.

– Czy ktoś został poszkodowany?

– Nie, wygląda na to, że nie – odpowiedział mężczyzna, brodaty barczysty blondyn, mniej więcej w wieku Forsberga.

– Co się dokładnie stało?

– Wygląda na to, że prawa część ściany się osunęła, całkiem niespodziewanie. Ale dlaczego...? – Wzruszył ramionami. – Nie było żadnej detonacji ani niczego podobnego. Także trzęsienia ziemi. –

Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał, kiedy napotkał rozgniewane spojrzenie Forsberga. – Musi to wyjaśnić biegły sądowy. Organizujemy właśnie wsporniki z placu budowy.

– Mieszkam tam, muszę na chwilę... – zaczął komisarz.

Strażak przybrał służbowy ton.

– To absolutnie nie wchodzi w grę! Istnieje poważne ryzyko zawalenia.

– Ono istnieje już od lat – odpowiedział Forsberg.

– Nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy całość się doszczętnie zawali. A co wtedy? – spytał kierownik i spojrzał na Forsberga niczym nauczyciel na krnąbrnego ucznia.

– Chciałbym tylko szybko wynieść kilka ważnych rzeczy...

– I kto ma za to ponieść odpowiedzialność? Ja nie! – zawołał i zmarszczył czoło, a potem w brodę wymamrotał: – Idź tylnym wejściem, ale uważaj, żeby cię nikt nie widział.

– Dobra już, dobra, zrozumiałem! – powiedział głośno Forsberg i skinął głową do brodacza.

Strażak mrugnął i wrócił do swojej pracy, która najwyraźniej polegała na dzwonieniu do kogoś.

Ważne sprawy, pomyślał Forsberg, skręcając rowerem za róg.

Przed tylnym wejściem stał młody policjant, który odsunął się z szacunkiem na widok odznaki służbowej Forsberga i jego energicznego „komisarz Forsberg, jednostka specjalna zabezpieczenia budynków”.

Klatka schodowa wyglądała jak zawsze, tylko trochę więcej kurzu niż zwykle leżało na schodach, na których poodciskały się ślady podeszew butów uciekających mieszkańców. W korytarzu jego mieszkania wszystko wyglądało na niezmienione, ale w sypialni sufit wygiął się niczym hamak. Forsberg stanął na palcach i ściągnął z szafy sportową torbę. Zły pomysł. Była pokryta ceglastym pyłem, który teraz opadł na niego i go przyprószył. Palił go w oczy.

*Ważne rzeczy...*

Przez łzy chwycił na chybił trafił kilka sztuk ubrań z szafy i wcisnął je do torby. W łazience w zlewie leżało rozbite lustro. Forsbergowi udało się uratować przybory do golenia i szczoteczkę do zębów. Z salonu, w którym nie było widać żadnych śladów spustoszenia, zabrał segregator z dokumentami, których odtworzenie byłoby niezwykle trudne, album ze zdjęciami Anniki i laptop, który Bergeröd określił ostatnio mianem

„dinozaura”. Dobrze, że ciągle nie sprawił sobie nowego telewizora, pomyślał i wrzucił do torby kilka płyt. Większości z nich nie słuchał od lat. Muzyka omijała rozum, trafiała bezpośrednio do duszy, a w ten stan bezbronności nie chciał się za często wprowadzać. Książki. Dla nich nie miał teraz miejsca. W kuchni na wszystkim leżała warstwa tynku i cegieł, a przez rysę w ścianie mógł obserwować ulicę. Pocztówki! Wykopał je spod sterty gruzu, który leżał na kuchennym stole. Znowu obsypał go pył, tym razem białoszara zaprawa. Między odłamkami gruzu zauważył plastikową lalkę, która z pewnością nie stanowiła części jego gospodarstwa domowego. Spojrzał w górę. Rysa na suficie była grubości ramienia, spokojnie mógł zajrzeć do kuchni Biriatów. Poczł, że kręci go w nosie, ale stłumił kichnięcie w irracjonalnym lęku, że mogłoby doprowadzić do ostatecznego zawalenia się domu, jak w komiksie. W torbie znalazło się jeszcze miejsce na zdjęcie Anniki, które, zabrudzone, ale nienaruszone, stało na kuchennej szafce, i szwajcarski nóż. Leciwa lodówka marki Zanussi funkcjonowała bez zarzutów. Forsberg wyjął z niej sześciopak norrlands guld i napoczętą butelkę wódki, po czym wyciągnął wtyczkę.

– Sorry, stara – wymamrotał.

Dopiero na pierwszym piętrze zorientował się, że nie był w pokoju Anniki. Ale co miałyby stamtąd wynieść? Co by wzięła z rzeczy, których jeszcze nie zabrała? Zrezygnował z ponownego wchodzenia do mieszkania. Kiedy zamknął za sobą drzwi, zrozumiał, że nigdy tu nie wróci. Zadziwiająca, ale nic przy tym nie poczuł.

– Miałbym coś całkiem szczególnego: ekskluzywne poddasze w Vasastaden, świetna lokalizacja, doskonale wyremontowana kamienica, łazienka z oknem, parkiet, właśnie odnowiony, sześćdziesiąt metrów kwadratowych plus duży balkon od strony południowej, co pani na to?

– Bardzo fajnie, ale ja właściwie chciałam...

– Wie pani chyba, jakie są trzy najważniejsze sprawy przy szukaniu nieruchomości? Lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja! A ta jest naprawdę pierwsza klasa!

Niski, okrągły mężczyzna rozpościerał przed Selmą kolejne strony katalogu i spoglądał na nią promiennym wzrokiem.

– To by się mogło pani spodobać.

– Tak, dziękuję – odparła. – Ale teraz jestem tu służbowo. W lipcu sprzedał pan mieszkanie w Slotsskogen, którego właścicielką była Lillemor Ahlberg.

Pośrednik ściągnął usta i potrząsnął głową.

– Ma pan jakichś współpracowników?

– Nie, jestem firmą jednoosobową – stwierdził dumnie Viktor Arvidsson.

– Od piętnastu lat najlepsze adresy w Göteborgu. Moi klienci zawsze wracają albo przysyłają do mnie swoje dzieci, kiedy te rozpoczynają samodzielne życie. Moim kapitałem jest zaufanie!

Selma jeszcze raz podała mu adres i powiedziała:

– To było dwa miesiące temu. Musi pan przecież jeszcze pamiętać o tej sprzedaży!

– Bardzo dobrze pamiętam mieszkanie, przepiękny obiekt, rarytas, poszło od razu do jednego z moich klientów z kartoteki, nie potrzebowałem dawać nigdzie ogłoszenia... Ale to nazwisko... chwileczkę. – Przekartkował rejestr, otworzył teczkę, a potem zamknął.

– Rzeczywiście, ma pani rację. Ahlberg. Chociaż jednak nie. Ahlberg to nazwisko lokatorki, która zmarła. Camilla Ahlberg.

– A jak nazywał się sprzedający? – spytała Selma.

– Tego nie wiem – odrzekł Arvidsson.

– Ale ktoś musiał przecież panu dać zlecenie.

– Miałem do czynienia z osobą upoważnioną i to tylko przez telefon. Na poświadczeniu notarialnym pojawił się prawnik. Tak się niekiedy zdarza, jeśli sprzedający lub kupujący nieruchomości mieszka za granicą albo nie chce się ujawniać. Jestem znany z dyskrecji. – Uśmiechnął się Arvidsson. Jego twarz przypominała księżyc w pełni.

Prawdopodobnie każe sobie za tę dyskrecję płacić kilka tysięcy bez pokwitowania, pomyślała Selma.

– Potrzebuję nazwiska pełnomocnika.

Księżycowa twarz się zachmurzyła.

– W takim razie nie zostaje mi nic innego, niż postarać się o nakaz przeszukania pana biura. Prowadzimy właśnie dochodzenie w sprawie morderstwa.

To nie odpowiadało do końca prawdzie, ale poskutkowało.

– Morderstwa? – Arvidsson przestraszony zamrugał zza swoich okrągłych okularów. – O mój Boże! Z czymś takim człowiek nie chce mieć

nic do czynienia.

– No właśnie – odparła Selma.

– To była kobieta. – Ponownie otworzył teczkę. – Catherine Tjäder ze Sztokholmu, a dokładniej mówiąc, z Östermalm, Valhallavägen. Bardzo ładna lokalizacja, jednak w niezbyt przystępnej cenie...

– Panie Arvidsson!

– A więc w zaufaniu: mnie się to wszystko także wydawało trochę śmieszne, dlatego wygooglowałem tę kobietę. Dziś się tak robi. – Pośrednik zaśmiał się figlarnie, najwyraźniej uważał się za cwane. – Myślałem, że będzie to jakaś prawniczka, ale się nieźle zdziwiłem.

– Dlaczego się pan zdziwił? – Selma starała się zachować cierpliwość.

– To agentka.

– CIA, FBI czy Mossadu? – spytała zirytowana.

Księżycowa twarz chyba nie chciała z niej zakpić?

– Nie... Agentka artystów. Dokładniej mówiąc: pisarzy. Do tej pory nie wiedziałem, że jest taki zawód i że ci ludzie zajmują się takimi rzeczami, sprzedawaniem mieszkań swoich klientów. Pewnie nie należy to do jej głównych zadań, tak myślę. Zapewne była właścicielka mieszkania jest jakąś sławną osobą, która chce pozostać incognito.

– Skąd pan wie, że mieszkanie należało do kobiety? – spytała Selma.

– Pani Tjäder, zresztą bardzo sympatyczna osoba, przynajmniej przez telefon, zawsze mówiła o „swojej klientce”. Ale nigdy nie wymieniła jej nazwiska. Pewnie było zapisane w umowie sprzedaży, ale tej mi nie przedłożono. Najlepiej, żeby zwróciła się pani do notariusza, u którego umowa została podpisana. Mogę dać pani jego adres.

– Dziękuję – powiedziała Selma.

– Proszę nie zapomnieć folderu! Proszę zadzwonić, pokażę pani to mieszkanie. Ale proszę się nie ociagać, bo lokalizacja jest niezwykle atrakcyjna. A jeśli chodzi o finanse, to mogę pomóc w znalezieniu korzystnego kredytu. Specjalne warunki dla urzędników państwowych.

– Zastanowię się – obiecała Selma, chwyciła teczkę i zbiegła szerokimi marmurowymi schodami.

Nie mogła się doczekać, kiedy zacznie poszukiwania. W tramwaju wyjęła notebook z plecaka.

Na stronie Catherine Tjäder wypisanych było dwudziestu czterech autorów, którymi się zajmowała. Selmie te nazwiska nic nie mówiły, poza

jednym: Eyja de Lyn.

– Cholera! – wyszeptała. – To nie może być prawda. To niemożliwe.

Omam nie przegapiła przez to swojego przystanku, w ostatniej chwili przecisnęła się przez drzwi. Pognała do domu, wbiegła na piętro i ze strachu wstrzymała oddech. Przed jej mieszkaniem stał biały duch z czerwonymi oczami.

– Forsberg – wysapała, gdy udało jej się zidentyfikować przełożonego. – Wyglądasz jak pączek w cukrze pudrze.

– Tak, wiem, powinienem schudnąć – odpowiedział. Odsunął się na bok, a biały kurz zadrzał w powietrzu. – Dom... no więc jeszcze stoi, ale nikt nie może wejść do środka. Mogę kilka dni...?

– Jasne. Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Nie wiem – przyznał się. – Ale siedzenie tutaj i rozmyślanie w spokoju dobrze mi zrobiło. Wpuściła mnie matka naszej małej przyjaciółki Wilmy. Dziwnie mi się przyglądała, kiedy powiedziałem, że idę do ciebie. Nie wiem czemu...

Selma otworzyła drzwi i poradziła Forsbergowi, żeby spojrzeć w lustro, wtedy może to zrozumie.

Pewnego zimowego wieczoru przed drzwiami stanął jej przyrodni brat z dwoma walizkami. Camilla nie wydawała się zbyt zaskoczona, najwyraźniej wiedziała o jego przybyciu, ale nie uważała za stosowne powiadomić o tym Lillemor. Jego ojciec umarł.

Lillemor nie tęskniła za przyrodnim bratem. Rzadko o nim myślała. Jednak ucieszyła się, kiedy go zobaczyła, i uznała za niezwykłą wspaniałomyślność ze strony matki, że ta go przyjęła. To, że od tej pory nie miała własnego pokoju i musiała spać z matką, podobało jej się już mniej. Jej maszyna do pisania stała pod łóżkiem i kiedy chciała pisać, musiała siedzieć przy stole, gdzie często jej przeszkadzano.

Dopiero dużo później dowiedziała się szczegółów: były mąż Camilli, Ingvar, po nabożeństwie w jakiejś oddalonej miejscowości zjechał z drogi do morza i się utopił. Prawdopodobnie był bardzo pijany. Przebąkiwano coś o samobójstwie, ale tego nie dało się dowieść. Ponieważ jego syn był niepełnoletni, a matka nie do znalezienia, prawnym opiekunem chłopca została babka. Nie mogła dojść do porozumienia z krnąbrnym wnukiem, a w związku z tym, że ten nieustannie pytał o Camillę i w końcu uciekł do Göteborga, kobiety doszły do porozumienia: matka Ingvara zostawiła Camilli chłopaka i rentę po ojcu na jego utrzymanie, której ta bardzo potrzebowała.

Jej brat był sprytny i przebiegły, a do tego, według Camilli, był „niezłym nicponiem”. Kiedyś Lillemor przyłapała go, jak siedział na łóżku i czytał jej maszynopis. Wściekła wyrwała mu kartki i wyrzuciła go z pokoju. Wiedziała, że brat przez dziurkę od klucza podgląda, kiedy Camilla albo ona są w łazience lub kiedy rozbierają się w sypialni. Oczywiście było to normalne u trzynastolatka. Lillemor to nie przeszkadzało. Przeciwnie, niekiedy ta wiedza przyprawiała ją o dziwne łaskotanie na skórze. Jednak czytanie jej historii to było zaglądnienie w najintymniejszy świat, a tego nikt nie miał prawa robić.



W wieku szesnastu lat Lillemor zrezygnowała ze swego dziecięcego marzenia o byciu bibliotekarką. Teraz pragnęła zostać pisarką. Nad tym, jak to osiągnąć, nie zastanawiała się w ogóle. To była mrzonka, coś niejasnego, co może kiedyś, jakimś zrzędzeniem losu przyjdzie do niej, tak po prostu. Autorzy książek, które czytała, i ci, których znała z gazet i telewizji, byli dorosłymi ludźmi, najczęściej dość starymi, a ona wątpiła, żeby kiedyś, jako osoba dorosła, mogła się stać tak mądra jak oni. Chowała więc zapisane kartki do dużej zamkniętej walizki, która leżała na szafie. Klucz do niej zawsze nosiła przy sobie.

Jednak kiedy kilka tygodni później wróciła ze szkoły, przekonała się, że walizka została siłą otwarta, a wszystkie rękopisy zniknęły.

Tinka siedziała z podciągniętymi nogami na ogrodowej ławce. Przez gałęzie drzew i krzewów, które otaczały mały dom niczym mur obronny, spoglądała na półksiężyc, który uśmiechał się nad Askimsviken.

Spotkanie Leandera z byłą kochanką otworzyło starą ranę. Trudno jej było zachować teraz trzeźwy umysł. Ale musiała to zrobić, koniecznie.

Eva Röög! Tego jej plan nie przewidywał.

Gdy Leander wybiegł z mieszkania z pistoletem, zostawił swój telefon. Tinka wysłała szantażyście SMS ze swoim numerem komórki i wiadomością, żeby w przyszłości nie używał do kontaktu poprzedniego numeru. Ponieważ wiadomość nadeszła z telefonu Leandera, facet jej uwierzył i zaakceptował rzekome środki ostrożności.

Tak, oszukała Leandera, ale to ona chciała pociągać za sznurki. To ona musiała coś naprawić, nie on.

Około siedemnastej dwadzieścia pięć, kiedy słuchała wiadomości i dzwoniła do Forsberga, przyszedł SMS: „Przyjedź na parking w Dansholmen”.

Tinka założyła sportowe buty i bluzę z kapturem. Pojechała do Fiskebäck. Stamtąd poszła na piechotę. Włosy ukryła pod kapturem, broń rozmontowała i spakowała do torby z niebieskiego żaglowego płótna, którą niosła na ramieniu. Wyglądała, jakby opuściła właśnie jedną z wielu łodzi, których maszty delikatnie kołysały się na wietrze.

„Już jestem”, napisała godzinę później, kiedy dotarła na pusty parking w Dansholmen. Szybko nadeszła następna wskazówka: „Celem jest osoba, która pojawi się między 19 a 20. Czerwony peugeot, ONG 866”.

Kiedy Tinka ze swej skalnej kryjówki zobaczyła, kto wysiadł z auta, pomyślała, że to podły żart, i zastanawiała się, czy powinna zrezygnować. Rozważała także zagadnięcie Evy i wyjawienie jej swoich planów. Ale co by było, gdyby ta wzbraniała się przed podjęciem gry? Nie, nie wiedziała, jak oceniać kobietę, z którą zdradził ją Leander. A więc żadnej zmiany

planów. Znalazła odpowiednie miejsce – stąd miała dobry widok na drogę. W zależności od tego, jaki kierunek obrałaby Eva, Tinka dopadłaby ją zaraz po rozpoczęciu biegu albo na jego końcu.

Aplikator pistoletowy pochodził z czasów, kiedy w laboratoriach doświadczalnych trzymano duże psy. Teraz przestało to być konieczne, bo większa część leków jest testowana na „dobrowolnych” ochotnikach, którzy często nie wiedzą, co podpisują, ponieważ nie umieją czytać. Nikt w firmie nie zauważył jego braku. Miał zasięg siedemdziesięciu metrów, a co ważniejsze – nie wydawał żadnych odgłosów.

Tinka była dobrym strzelcem. Jako nastolatka brała udział w biathlonie, a raz została nawet mistrzynią juniorów Västra Götaland. Lubiła to połączenie wysiłku, wytrwałości i koncentracji.

Kiedy Eva zaczęła biec, odwróciła się plecami do Tinki, tak że ta spokojnie mogła wziąć ją na cel, przy czym musiała przyznać, że wbicie strzałki ze środkiem odurzającym w tyłek tego babska sprawiło jej podejrzaną przyjemność.

Po strzale Eva zareagowała jak zwierzę: próbowała uciec. Wyrwała z ciała strzałkę i skierowała się w stronę parkingu. Po kilku metrach zaczęła się chwiać, na szczęście. Zanim narkoza zadziałała, była tuż koło swego samochodu. Tinka podbiegła do niej. To był ten krytyczny moment. Jeśli ktoś przechodziłby obok, musiałaby mu się wytłumaczyć i chcąc, nie chcąc, wezwać pogotowie. Zadzwoiła do Leandera i bez zbędnych wyjaśnień kazała mu przyjechać. Czas naglił. Odwróciła Evę i wylała krew z próbowki na jasnoniebieską kurtkę, mniej więcej w okolicy serca. Szybko zrobiła dwa zdjęcia, a potem z wysiłkiem wciągnęła bezwładne ciało do samochodu. Jak tego dokonała, dla niej samej było potem zagadką.

Przy tej okazji, pomyślała teraz, patrząc na morze, mogłaby dopiec Leanderowi, mówiąc mu, że czuła się tak, jakby strzelała w koński zad! Co on w niej widział?

Zabroniła sobie myślenia o tym. Spojrzała w okno. Oboje siedzieli przy stole i rozmawiali. Tinka jednak wyszła na zewnątrz nie tylko po to, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i się uspokoić. Cicho otworzyła drzwi saaba, a potem schowek.

Forsberg zamierzał wynająć pokój w hotelu i przesłać rachunek właścicielowi mieszkania, od którego je wynajmował. Chociaż, o ile znał

typa, nie zechce pokryć żadnych kosztów. Dokąd pójść? Zaraz w pierwszym hotelu, do którego zadzwonił, najzwyczajniej go wyśmiali. Targi książki. Mają komplet. Następnie przejrzał w głowie listę kobiet, które znał, ale większość z nich zdążyła wyjść za mąż albo była z kimś w bliskim związku, a u reszty ryzyko odmowy wynosiło mniej więcej dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

W tym momencie Forsberg zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby jeszcze raz poszukał wolnego lokum. Wylądował w pokoju dziewczęcym: turkusowe ściany z różowym borderem, różowa pościel, różowe zasłony, łóżko z baldachimem z jasnoniebieską zasłonką, biała szafa z naklejonymi różyczkami, toaletka na malutkich nóżkach z trzyczęściowym lustrem. Podłoga była pociągnięta szaroróżowym lakierem, jej kolor przypominał papier toaletowy na komisariacie, a ze ścian spoglądali na niego półnadzy chłopcy z jakiegoś boysbandu z głupkowato-aroganckimi minami. Tylko regał z książkami i biurko pozwalały stwierdzić, że mieszkała tu studentka, a nie księżniczka z filmu Disneya.

Najlepiej będzie, jeśli zaraz po wzięciu prysznic przejrzy w internecie ogłoszenia wynajmu mieszkań.

– Poza tym Anna jest całkiem w porządku – powiedziała Selma, choć kąci jej ust podejrzenie podnosiły się w uśmiechu.

Forsberg wysypał rzeczy z torby i w ich stercie szukał czegoś choć trochę czystego, ale ceglany pył wybrudził wszystko. Selma stała w drzwiach i opowiadała mu jakąś banalną historię o pośredniku, agentce i pisarce o dziwnym nazwisku, która prawdopodobnie mogła być Lillemor Ahlborg, nieślubną córką Holgera Nordina.

– Muszę wziąć prysznic – powiedział, kiedy skończyła i spoglądała na niego swymi lukrecjowymi oczami niczym pies, który właśnie pokazał jakąś sztuczkę. Brud nagle zaczął go swędzieć na całym ciele. Miał uczucie, że nie wytrzyma ani minuty dłużej.

– A to do prania! – Selma zaciągnęła stos ubrań do kuchni, gdzie stała pralka.

Forsberg zaprotestował. Nie chciał przez resztę wieczoru siedzieć owinięty w ręcznik.

– Możesz dostać Amundsena, ale tylko w ramach wyjątku – powiedziała Selma.

– Co takiego?

– Szlafrok kąpielowy. Wisi na drzwiach – wyjaśniła i w tym samym momencie pomyślała, że musi natychmiast, absolutnie pilnie odsłuchać podcast w internecie.

Pod prysznicem Forsberg zastanawiał się, czy kiedykolwiek poznał kobietę, która nadała swemu szlafrokowi imię. (Mężczyźni nigdy nie przyszedłby do głowy taki pomysł). I czy Selma rzeczywiście mogła wpaść na, jak twierdziła, „gorący ślad w sprawie Lucie”...

– Masz jakiś pomysł, kto mógłby życzyć ci śmierci?

Eva siedziała przy stole, piła herbatę i słuchała opowieści Leandera o wydarzeniach ostatnich dni.

– Będziesz się śmiał, ale już się nad tym zastanawiałam. Nie, nie mam pojęcia. I mogę ci zdradzić, że jest to gówniane uczucie.

Leander pokiwał głową. Mógł sobie wyobrazić, o co jej chodziło, ale był także rozczarowany tą odpowiedzią. Ona też nie знаła swoich wrogów. Zmuszał się, aby myśleć jak policjant.

– Kto wiedział, że wybierasz się pobiegać w Dansholmen?

– Każdy w redakcji. Wszyscy tam wiedzą, że w środę jeżdżę do matki, ponieważ zawsze punktualnie kończę tego dnia pracę. I że potem biegam. O czymś takim rozmawia się z kolegami w pracy. Wie o tym także moja matka i jej pielęgniarzka, i sąsiedzi.

– A mąż?

Eva przybrała wyraz twarzy, którego Leander nie potrafił zinterpretować.

– Tak, oczywiście, że wie, że biegam – odpowiedziała opryskliwie. – Ale dlaczego miałby...?

– Może z powodu pieniędzy? – podrzucił Leander, który przyłapał się na tym, że najprędzej mógłby oswoić się z takim rozwiązaniem zagadki.

Jednak Eva przyglądała mu się ponuro i odrzekła:

– Pomyśl tylko! Gdyby wiedział, gdzie jest Lucie, mógłby całkiem łatwo sprzedać wam tę informację, zakładając, że byłby takim draniem. Na pewno więcej mógłby wyciągnąć z tego niż z mojego skromnego spadku, mimo wszystkich problemów, które teraz przeżywa koncern Nordina, nie sądzisz?

– To z Lucie może także być kłamstwem – powiedział Leander. Wypowiedzenie tych słów dużo go kosztowało. – A może wykupił dla ciebie wysokie ubezpieczenie na życie?

– Przestań już! Stieg nie ma z tym nic wspólnego.

Może Eva miała rację, pomyślał Leander. Nie chodzi o pieniądze. Tinka przecież zaproponowała nieznanemu dużą sumę.

Jeśli to była prawda. W tej chwili Leander nie był pewny, czy może wierzyć swojej żonie. Był na nią tak wściekły, jak nigdy wcześniej, i wściekły na siebie, ponieważ jej nie docenił. Zaczynał się powoli zastanawiać, do czego jeszcze jest zdolna.

– Jediną osobą, po której mogłabym spodziewać się takiego zagrania, jest Leif Hakeröd, z powodu jego charakteru – mówiła Eva zamyślona. – Ale po co potrzebna byłaby mu moja śmierć? Moje stanowisko już ma.

– A co z twoją koleżanką... tą...

– Fredriką? No tak. Przez jakiś czas konkurowaliśmy o stanowisko, które teraz ma Leif. Gdyby on oszedł, co, jak zakładamy, wcześniej czy później nastąpi, wówczas wyścig prawdopodobnie zacząłby się znowu. A teraz, kiedy większość udziałów należy do Daga Cederlunda... Może boi się, że znajdzie się na gorszej pozycji, ponieważ ja i Dag znamy się od dawna.

– Myślisz, że mogłaby to zrobić?

– Ciebie też nie posądzałabym o to, że mnie ogłuszysz i przywleciesz do jakiejś chaty.

– Mieliśmy dobry powód – bronił się Leander. – W końcu chodzi o nasze dziecko.

– Ach tak? – wysyczała Eva, a jej oczy błyszczały ze wściekłości. – Wiesz, Anders Breivig także miał dobry powód, by zamordować ludzi. Chodziło mu o jego kraj!

– Nie porównuj nas z tym szalonym fanatykiem! – zdenerwował się Leander, głęboko dotknięty.

– Chcę tylko przez to powiedzieć, że każde przestępstwo da się wytłumaczyć.

Leander zamilkł. Argument, choć w dużej mierze przesadzony, był nie do zbicia. Poza tym Leander znał jej butny charakter i ostry język.

Napiła się herbaty i powiedziała trochę spokojniej:

– To nie było konieczne, Leanderze. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. *À propos...* – Odwróciła się sztywno i spojrzała w okno, za którym widać było jednak tylko ciemność. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

Znajdowali się w jednym z wielu domów letnich Nordinów. Leander i Tinka byli tu ostatni raz, kiedy Lucie miała pół roku. Także inni

członkowie rodziny nie korzystali za często z tej małej posiadłości przy Järkholmsvägen w Askim. Należała jeszcze do rodziców Holgera Nordina i przypuszczalnie jej standardy nie odpowiadały wymaganiom Grety. Leander uznał ją wtedy za śliczną, właśnie dlatego, że była tak prosta. Wprawdzie mieli tu prąd i bieżącą wodę, ale tylko zimną. W koszu na śmieci Leander znalazł karton po mleku ze stemplem z datą 24-06-09. Prawdopodobnie Gunnar i Sanna przed dwoma laty świętowali tutaj letnie przesilenie. Wydaje się, że od tego czasu nikogo tu nie było. Poza kilkoma myszami.

Leander wszystko wyjaśnił Evie.

Ta westchnęła:

– A więc jeszcze raz: chcesz wiedzieć, gdzie jest twoja córka, a ja chcę wiedzieć, kto zamierza się mnie pozbyć. – Gdy Leander potaknął, kontynuowała: – Ten szantażysta pierwotnie ciebie wyznaczył na zabójcę, dobrze zrozumiałam?

– Tak – odparł Leander.

– A więc to nie mógł być ktoś, kto o nas wiedział. Ponieważ ty chyba byś mnie nie...

– Nie, oczywiście, że nie! – Oby przynajmniej w to mu uwierzyła.

– To nas niestety nie posunęło za bardzo do przodu – powiedziała Eva. – Nikomu o tym nie opowiadałam, ani wtedy, ani teraz.

– Ja też nie – odrzekł cicho Leander i sądził, że na moment znowu poczuli tę magiczną więź. Ale zdawało się, że Eva tak tego nie odebrała, ponieważ nerwowym tonem spytała, co to było to czerwone na jej kurtce.

– Krew z laboratorium Tinki. Chodzi o zdjęcie.

– Które wysłaliście szantażyście?

– Tak.

– Czyja to krew?

– Prawdopodobnie szczura – wyjaśnił.

Jeśli ten magiczny moment w ogóle zaistniał, to teraz definitywnie przeminął. Eva parsknęła i przewróciła oczami.

– Macie jakieś papierosy?

– Nie, przykro mi – odrzekł Leander. – A co z Fredriką? Ona wiedziała...?

– Nie. Nie miałam ochoty na redakcyjne plotki. I zanim spytasz: Stieg także nic o tym nie wie. Jesteś moją słodką tajemnicą.

Leander szukał uśmiechu towarzyszącego tym słowom, ale go nie znalazł. W ciągu ostatnich lat między jej oczami i w kącikach ust pojawiło się kilka zmarszczek, ale, co zadziwiające, nie wyglądała z nimi źle. Kiedy rok temu spotkali się na przyjęciu z okazji otwarcia targów książki, stara zażyłość i iskrzenie między nimi znowu się pojawiły, ale teraz wyrosła przepaść, głęboka niczym Rów Mariański. Zielone oczy Evy patrzyły tak chłodno, że mimo ciepła, które oddawał kominek, Leander drżał. Nic dziwnego, pomyślał. Uwieszenie raczej u niewielu wywołuje romantyczne uczucia.

Poza tym Eva właśnie dowiedziała się, że ktoś chce ją zabić. Że nikomu ze swego otoczenia nie może już ufać. Coś takiego nie poprawia nastroju.

– Tylko Forsberg o tym wie – dodała Eva.

– Forsberg?

– Komisarz. Tinka mu to wtedy zdradziła. Nigdy cię o to nie zagadnął?

– Nie – zdziwił się Leander.

Napełnił herbatą pustą filiżankę Evy.

– Leanderze...? – zaczęła Eva.

– Tak?

– Czy gdyby Tinka cię nie oszukała, naprawdę zabiłbyś człowieka?

Zagryzł wargi, omijając jej świdrujący wzrok.

– Nie wiem, czy rzeczywiście mógłbym to zrobić.

– Ale chciałeś?

– Tak.

Eva milczała, spoglądając na ogień w kominku.

– Pogardzasz mną teraz? – spytał Leander.

– Nie. Chciałam tylko wiedzieć.

– Choćby to zabrzmiało bardzo banalnie, to nie zrozumiesz tego, póki nie masz dzieci.

– Może i tak – odpowiedziała.

Po tych słowach zapadła cisza. Leander wstał i dołożył grube polano do ognia.

– Może kiedyś będziesz mogła mi wybaczyć – rzekł. – To tutaj i... wszystko inne.

– Może – odparła i dodała: – Ale to może naprawdę długo potrwać.

Potaknął i zaryzykował drobny uśmiech, który jednak nie wywołał żadnego echa na twarzy Evy. Nawet wtedy, kiedy jej powiedział, że nie



mogą się więcej widywać, zostawiła dla niego uśmiech, chociaż smutny, przypomniał sobie. W tej chwili niczego więcej sobie nie życzył, jak tylko takiego jej uśmiechu.

– I co teraz? – spytała zamiast tego.

Wcześniej, zanim wyszła na zewnątrz, Tinka powiedziała:

– Dowiedz się, kto chciałby ją zabić, i wyjaśnij jej, że musi tu zostać przez jakiś czas. Idę teraz na dwór, nie zniosę obecności tej osoby.

Może, pomyślał Leander, Tinka żałowała, że w ręce miała tylko broń ze strzałkami.

– Musisz na jakiś czas pozostać w ukryciu – odpowiedział. – Udawać, że nie żyjesz. Póki nie dowiemy się, gdzie jest Lucie.

– Jak to sobie wyobrazasz? Mam siedzieć w tej chacie całymi dniami, podczas gdy moja matka i Stieg będą wariować z niepokoju, a policja będzie mnie szukać, sprawdzać moje połączenia telefoniczne, przetrząsać moje prywatne rzeczy i prawdopodobnie podejrzewać mojego męża podobnie jak ty? Poza tym jestem teraz na tropie gorącej historii, której nie zamierzam przepuścić. Mimo że... twoja historia także jest niezła. Tyle że niekoniecznie chciałabym w niej odgrywać rolę ofiary morderstwa.

– Evo, nie możesz pójść do domu jakby nigdy nic. Ktoś chce cię zabić!

– Nic mnie to nie obchodzi! – niemal krzyknęła. – Moja matka jest śmiertelnie chora, jeśli pomyśli...

– Nie masz wyboru! – rzuciła Tinka.

Stała w drzwiach. Sportowa torba, z której wystawała lufa aplikatura pistoletowego zwisała z jej ramienia, a w ręku trzymała glocka.

– Tinko, nie rób głupot – poprosił Leander.

– Nie robię żadnych głupot! Zostanie tu, dopóki nie odzyskamy Lucie. Mam jeszcze kilka zastrzyków.

– Dobrze, uspokój się – powiedziała Eva, która wyraźnie była mniej poruszona bronią w rękach Tinki. – Muszę pomyśleć. Mogę do toalety?

– Co? – spytał Leander, który czuł się, jakby wpadł między dwie rozjuszone bestie.

– Do toalety – powtórzyła zniecierpliwiona. – Muszę. Tyle herbaty...

Tinka lufą pistoletu wskazała małe drzwi obok wnęki kuchennej.

– Toaleta nie ma okna – uprzedziła.

Eva wstała. Jej chód był ciągle niepewny, tak czy owak daleko by nie zaszła. Zniknęła za drzwiami, słychać było, jak zasunęła skobel. Tinka

postawiła torbę w zasięgu ręki i usiadła przy stole. Unikała wzroku Leandera.

– Oddaj mi natychmiast pistolet! – warknął wściekły.

– Nie!

– Co jest, Tinko? Wściekłaś się kompletnie, bo to Eva? Czy początkowo nie mieliśmy zamiaru iść na policję, jak tylko dowiemy się, kto ma być ofiarą?

– A ty nie zamierzałaś przypadkiem tej osoby zastrzelić? – odparła Tinka.

Leander zastanawiał się, od jak dawna stała pod drzwiami. Jak chociaż przez moment mógł myśleć, że go nie przejrzała?

– Nigdy nie byłeś szczególnie dobry w oszukiwaniu mnie – stwierdziła. – Sądziłam, że ja będę w tym lepsza.

Za drzwiami słyhać było plusk. Tinka zniesmaczona przewróciła oczami. Zadzwoił telefon Leandera. Nieznany numer. Szantażysta. Czy uwierzył zdjęciom? Powie im, gdzie jest Lucie? Leander odebrał.

– Tak?

– To ja.

– Ach... Dlaczego do mnie dzwonisz? – spytał Leander i spojrzął na białe drzwi toalety.

– Bo mam telefon – odparła Eva.

Leander nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że właśnie wysłałam SMS do Forsberga. Powiedz swojej małżonce, że może schować broń. Sprawa załatwiona.

Cała ta sytuacja wydała się Leanderowi surrealistyczna. Ten dom, ich troje, broń w rękach Tinki... Coś takiego zdarza się tylko w filmach, to nie mogło być jego życie. Ale zaraz zdał sobie sprawę, że podobnie czuł się, kiedy powiedziano mu, że Lucie zniknęła.

– Co się dzieje? – spytała zaalarmowana Tinka, ale nim Leander zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły.

Teraz Eva się uśmiechała.

– Czy możemy na chwilę wejść? – Malin pokazała Janne Sisce legitymację służbową.

– Po co? – Pani Siska przyglądała się Malin Birgersson i Pontusowi Bergerödowi z wyraźną niechęcią. – Właśnie gotuję!

Owionął ich zapach czegoś przypalonego, a z głębi mieszkania dochodziły dziecięce głosy, które się o coś sprzeczały. Pani Siska zawołała przez ramię, że ma być spokój, i spytała, o co chodzi.

– Szukamy Oksany Bobrow – powiedziała Malin.

Bergerödowi kazała milczeć. Wcześniej na parkingu rozglądali się za mercedesem Sisków, ale nie znaleźli samochodu.

– Ja także – odpowiedziała Janne Siska i niczym głąz stała w drzwiach. – U mnie w każdym razie się nie pojawiła. Jest mi winna pieniądze za ostatnie dwa tygodnie. – Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zauważyła, jak bezdusznie musiały zabrzmieć. Chcąc zatuszować złe wrażenie, zatrzęsła się tak, aż jej potrójny podbródek zafalował, i powiedziała: – Straszna historia z tym jej przyjacielem.

– Wie pani, gdzie mieszkała, zanim przyjechała do Szwecji? – spytała Malin.

– Wiem tylko, że pochodzi z jakiejś dziury pod Sankt Petersburgiem, to wszystko. A teraz przepraszam, ale muszę przygotować dzieciom kolację.

– Czy pani mąż jest w domu?

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Ale co on mógłby wiedzieć, czego ja nie wiem?

– Mimo to chcielibyśmy z nim porozmawiać – odparła stanowczo Malin.

– Może nam pani powiedzieć, gdzie go znajdziemy?

– Pracuje – odpowiedziała szybko pani Siska. – Jeździ taksówką. To wszystko?

Za jej plecami przez korytarz przebiegły dwie dziewczynki. Jedna wyraźnie była jej córką, w każdym razie była bardzo podobna do stojącej w drzwiach kobiety. Drugą miała rysy azjatyckie. Obie szarpały kawałek błyszczącego materiału, niczym szczeniaki.

– Tak, to wszystko – odrzekła Malin i wręczyła pani Sisce wizytówkę. – Proszę, żeby pani mąż do nas zadzwonił, jak wróci do domu.

Pożegnali się i głośnymi krokami przeszli przez korytarz, aby po kilku metrach znowu się podkraść. Drzwi były wystarczająco cienkie, aby mogli usłyszeć, jak Janne Siska beszta dzieci. Potem zapanował spokój. Malin przypuszczała, że kobieta próbowała zatelefonować.

– Wie, że coś się święci – wymamrotał Bergeröd. – Obserwujemy?

– Obserwujemy – odpowiedziała Malin.

Malin zdążyła zejść na pierwszy schodek, kiedy winda się zatrzymała. Wsiadł z niej postawny mężczyzna. Trzymał przy uchu komórkę i wołał *labas*, czyli po litewsku „halo”. Malin cofnęła się i poszła za nim.

– Pan Siska? Policja kryminalna Göteborga, chcieliśmy...

Popchnął ją na ścianę i zaczął zbiegać po schodach. Nie uciekł daleko. Na najbliższym piętrze z jego podbródkiem zderzyła się pięść Bergeröda. Kilka sekund później, po krótkiej bijatyce, jego tłuste policzki dotykały posadzki, sto kilogramów masy mięśniowej klęczało na jego krzyżu, a lufa pistoletu Malin wwiercała się w jego byczy kark. Z głowy zsunęła mu się niebieska czapka z daszkiem. Bergeröd zakuł go w kajdanki.

Po prysznicu Forsberg poczuł się jak świeżo wyklute pisklę. Oddał się we włochate objęcia Amundsena i wziął sobie piwo z lodówki. Po tym, jak wypił pół puszki jednym haustem, zauważył, że jest okropnie głodny. Lodówka obiecywała pomoc. Nie jej zawartość, chyba że chciało się najeść dziewięcioma rodzajami musztardy. Jednak na drzwiach przyczepiono za pomocą magnesów oferty barów z jedzeniem na wynos: włoskich, hinduskich, chińskich, tureckich, wegetariańskich. Lokatorka miała rzeczywiście rozległe zainteresowania kulinarne. Zapukał do drzwi pokoju Selmy i spytał, czy dla niej także zamówić pizzę. Nie uzyskał odpowiedzi. Raz jeszcze spytał głośniejszym głosem, ale w pokoju panowała cisza. Czyżby wyszła? Ostrożnie otworzył drzwi. Siedziała po turecku na łożku, z notebookiem na kolanach i wpatrywała się w niego nieobecna, jakby była pod wpływem narkotyków. Nie miała w uszach żadnych zatyczek, a jej policzki przybrały kolor płomiennej czerwieni.

– Pizza? – wrzasnął Forsberg.

Selma potaknęła głową.

– Jaka?

– Obojętnie! – krzyknęła i zrobiła gniewny gest.

Forsberg zamknął drzwi i doznał nagłego *déjà vu*: Annika siedziała w tej samej pozycji na łożku i nic ani nikogo nie chciała widzieć ani słyszeć, a przede wszystkim swojego ojca.

Cholera, gdzie ten telefon? Ogarnęło go złe przeczucie. Ostatnio miał go w kieszeni spodni. Czy Ptaszyca w swej nadgorliwości włożyła go do pralki? W panice spojrzął na automat i poczuł ulgę. Komórka leżała na

pralce. Zadzwoił do pizzerii, a potem usiadł przy stole i śledził ruch niebieskiej skarpetki w bębnie.

– Zdrówko – powiedział do sir Henry’ego i właśnie zastanawiał się, czy zaraził się szaleństwem, kiedy Selma wpadła do kuchni.

– Musisz tego posłuchać! – zawołała i postawiła komputer na stole. – Początek można sobie darować, bo jest o nowej książce, ale teraz...

Z głośnika popłynął melodyjny głos Leandera Hanssona.

HANSSON: Pani de Lyn, unika pani pojawiania się publicznie, nie ma żadnych spotkań z panią. Nigdy nie występuje pani w telewizji, dlaczego?

DE LYN: Kiedy moja pierwsza książka została wydana, byłam jeszcze bardzo, bardzo młoda. Mój ówczesny wydawca obawiał się, że krytycy i czytelnicy nie będą mnie poważnie traktować, a więc nadano mi ten pseudonim i stworzono pisarkę Eyję de Lyn, kilka lat starszą ode mnie.

HANSSON: Tymczasem od prawie dwudziestu lat odnosi pani sukcesy, szczególnie ze swoją tajemniczą serią islandzką, nie tylko w Skandynawii. Pani książki przetłumaczono na trzydzieści języków, każda nowa pozycja oczekiwana jest z utęsknieniem przez coraz większą liczbę fanów. Czy nie najwyższy czas, żeby pokazać światu twarz Eyji de Lyn?

DE LYN: To, że występuję tutaj w radiu, jest pierwszym krokiem w tym kierunku. Ale zagadka mojej tożsamości stała się rodzajem mojego znaku rozpoznawczego i boję się, że fani mogliby się mną rozczarować...

HANSSON: Tego nie mogę sobie wyobrazić!

DE LYN: Myślę, że moi czytelnicy lubią tajemnicę Eyji de Lyn. Pozostawia miejsce na ich domysły. Kiedy widzę kogoś w tramwaju, kto czyta moją książkę, wtedy w skrytości cieszę się jeszcze bardziej. Nie jestem osobą ekstrawertywną. Gdybym musiała czytać publicznie moje książki albo występować w programach typu talk-show, to myślę, że nie dałabym rady. Nie, ja koncentruję się na pisaniu, błyszczczenie chętnie pozostawiam innym.

HANSSON: Tym bardziej cieszę się, że mogłem spotkać panią osobiście. Serdecznie dziękuję za rozmowę i życzę pani najnowszej książce równie wielkiego sukcesu, jaki stał się udziałem poprzednich.

Selma zamknęła klapę laptopa.

– Wiesz, co jest w tym najlepsze?

– Nie – odparł Forsberg.

– Rozmowa została wytransmitowana cztery lata temu, na początku targów książki w 2007 roku, kiedy pojawiła się jej nowa powieść. Ale zarejestrowano ją 17 sierpnia 2007 roku. Na godzinę przed zniknięciem Lucie. Właśnie dzwoniłam do radia.

Przez kilka sekund panowała cisza.

Forsberg wpatrywał się w oczy Selmy niewidzącym spojrzeniem.

– O mój Boże – wyszeptał. – Jak to się mogło stać?

Sprawdzał alibi Leandera Hanssona, to zrozumiałe, jednak nazwisko tej kobiety nigdy nie padło, o tym by pamiętał, widniałoby w protokole. Po tym, jak kilku współpracowników rozgłośni potwierdziło, że Hansson całe przedpołudnie był w domu, Forsberg nie dopytał, jak i z kim mężczyzna spędził ostatnie godziny przed zniknięciem córki. Sam Hansson także nie wspominał nic o wizycie sławnego gościa. Nic dziwnego, gdyż był całkiem rozstrojony.

Forsberg chciał natychmiast jechać do Sztokholmu i wytrząsnąć z tej agentki adres Lillemor Ahlborg, alias Eyji de Lyn. Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że wszelkie podróże są poza jego zasięgiem, chyba że chce występować w cudzym szlafroku kąpielowym.

– Daj mi pomyśleć – powiedział do Selmy.

Boso krążył po mieszkaniu. Zastanawiał się, do kogo w Sztokholmie mógłby zadzwonić, by wysłać go do tej agentki. Ktoś, komu można zaufać, ktoś, kogo zna. Knut Erichsen! Erichsen, też komisarz, jak on, chodził z Forsbergiem do szkoły policyjnej, utrzymywali sporadyczny kontakt mailowy, co u Forsberga oznaczało, że raz na dwa–trzy lata wysyłał mu życzenia na Boże Narodzenie. Miał jednak nadzieję, że Erichsen nie zostawi go w potrzebie.

– Może właśnie jest tutaj – rzuciła Selma, kiedy Forsberg zakończył obchód i znowu pojawił się w kuchni.

– Tutaj? – spytał Forsberg.

– W Göteborgu. Jutro zaczynają się targi. Porządna agentka literacka powinna się chyba pojawić na targach, nie?

Ptaszyca czasem była naprawdę niezła.

– Dobrze. Obdzwońmy najważniejsze hotele. Do tych, w których nie będą chcieli nam udzielić informacji, musimy kogoś wysłać. Ja teraz nie mogę wyjść z domu. Jak długo to jeszcze potrwa?

– Co takiego? – spytała Selma, nie spoglądając na Forsberga, lecz nieustannie stukając w klawiaturę notebooka.

– Pranie.

– Prawie godzinę.

Przeklął i rozejrzał się wokół bezradnie.

– Masz suszarkę do bielizny?

– Nie.

Poczuł się niczym więzień Amundsena.

– Mam suszarkę do włosów – oznajmiła Selma.

– Wspaniale! – Wyobraził już sobie, jak siedzi przy kuchennym stole i suszy majtki. – Co w tym śmiesznego?

To niemożliwe babsko nadal się śmiało.

– Suszarka stoi w piwnicy. Należy do Jolandy, matki Wilmy. Możesz z niej korzystać.

– Łatwo powiedzieć – narzekał Forsberg, podczas gdy Selma wystukiwała na komórce numer pierwszego hotelu.

Zadzwoił telefon komisarza. Malin.

– Gol! – zawołała podnieconym głosem. – Odciski palców Siski zgadzają się z odciskami na worku na śmieci, w którym było ciało Walerii.

– Kim jest Siska? – Forsberg nie zauważył, że Ptaszyca uniosła głowę.

– Jak to „kim jest Siska”? Mężem opiekunki. Ten z taksówką, którego samochód był na dziecięcym rysunku... Selma nic ci o tym nie mówiła?

– A tak, tak – odpowiedział Forsberg i wziął Selmę na celownik. No poczekaj tylko! – I gdzie on teraz jest?

– U nas, w pokoju przesłuchań. Żonę też aresztowaliśmy, żeby nie mogła zniszczyć żadnych dowodów.

– Czy Gulldén już o tym wie? – spytał Forsberg.

– Zaraz do niego zadzwonię, najpierw chciałam powiadomić ciebie. Sprawa wreszcie ruszyła z miejsca.

– Tak – odrzekł.

– Co się dzieje? – spytała Malin. – Twój głos brzmi dziwnie.

Przenikliwy dźwięk przebiegł przez mieszkanie. To pewnie dzwonek do drzwi.

– Pizza – wymamrotał i poprosił Selmę, żeby otworzyła. – Czeka! Ja zapłacę... cholera... gdzie mój portfel?

Selma machnęła ręką i poszła do drzwi. Forsberg usłyszał, jak rozmawia z dostawcą.

– Masz gościa? – spytała Malin.

Nie było sensu kłamać, nie było też ku temu żadnych powodów.

– Jestem u Selmy.

W odpowiedzi usłyszał przeciągłe:

– Ach.

– Trafiliśmy na ślad w sprawie Lucie Hansson, będziemy potrzebowali pomocy.

– O nie, od czterech godzin mam wolne. Póki Gulldén nie załatwi nakazu przeszukania mieszkania Siski, zamierzam się porządnie wyspać. Spytaj Bergeröda. Od godziny próbuje przesłuchać Siskę. Ten jednak nagle zna tylko jedno słowo po szwedzku, a brzmi ono: adwokat.

– Prawdopodobnie będziemy musieli jeszcze dziś odwiedzić w hotelu panią Tjäder, która może wiedzieć, gdzie jest Lucie...

– To dlaczego sam tam nie pójdziesz? – przerwała mu Malin.

Sprawiała wrażenie zniecierpliwionej. A może rzeczywiście była zmęczona.

– Ponieważ mam na sobie tylko szlafrok.

Zapanowała chwila milczenia, a potem Malin powiedziała:

– Wiesz co, Greger, możesz mnie pocałować gdzieś! Dziś zrobiłam już wystarczająco dużo dla bezpieczeństwa kraju, jest dziewiąta wieczorem, idę do domu, żeby mąż wymasował mi stopy.

– Dom się zawalił – powiedział Forsberg.

– Co?

– Mój dom. Nie mogę tam dłużej mieszkać, a hotele są przepełnione z powodu targów książki...

Dlaczego właściwie się przed nią usprawiedliwia?

– O mój Boże! Bardzo... bardzo mi przykro.

– Wszystkie ubrania są jeszcze w pralce. Gdybyśmy znaleźli tę Tjäder, to czy mogę do ciebie zadzwonić? Nie chciałbym Ptaszycy... – Ugryzł się w język, ale było już za późno. Selma rzuciła pudełkami z pizzą o stół, potem z impetem trzasnęła drzwiami kuchennymi i od swojego pokoju.

– Usłyszała – powiedziała Malin.

– Cholera, tak.

– No to miłego wieczoru! – Malin odłożyła słuchawkę.



Najpierw trzeba coś zjeść, może w tym czasie Selma się uspokoi. Poza tym na głodnego nie da się jasno myśleć. Forsberg zjadł pizzę prosto z kartonu, popił piwem z puszki i kiedy mówił właśnie do sir Henry'ego:

– Nie wiem, o co jej chodzi. Ptaszyca to przecież sympatyczne przezwisko – usłyszał zatrzasujące się drzwi wejściowe.

No, wspaniale! Teraz, kiedy jej pilnie potrzebuje. Zastanawiał się, czy powinien do niej zadzwonić, ale coś w nim się przed tym wzbraniało. Nie uniknąłby wymówek, na które zresztą zasłużył, ale ta dziecinna ucieczka... Mogła mu przynajmniej powiedzieć, na którym hotelu skończyła obdzwanianie. Kobiety!

Gdy Lillemor miała dziewiętnaście lat, wyprowadziła się od Camilli. Mieszkając w różnych miejscach, przymierzała miasta niczym ubrania – ciągle szukała miejsca, w którym mogłaby w spokoju pisać i być szczęśliwa. Jednak naprawdę szczęśliwa nie czuła się nigdzie. A jeśli już, to tylko na początku. Ale była twórcza, a praca i sukcesy sprawiały jej radość. W końcu zaczęła zyskiwać na tym także Camilla, która porzuciła blok z płyty w dzielnicy Backa i wprowadziła się do mieszkania przy parku.

Przyrodni brat wyrzucał Lillemor, że kupiła matce to luksusowe mieszkanie tylko po to, żeby go upokorzyć, a ją uleczenie jego zranionej dumy kosztowało dziesięć tysięcy koron.

Camilla przyjęła prezent chętnie i bez ceregieli. Dla przyzwoitości czytała książki Lillemor, lecz nie wiedziała, co ma właściwie sądzić o zawodzie córki i jej sukcesie. Nigdy nie poważała literatury. „Wymyślanie historii masz po moim ojcu, który nieustannie żył w innym świecie” – to było jedyne, co od czasu do czasu na ten temat mówiła.

Rozczarowana własnymi porażkami i beznadziejnie uwikłana w swoje przestarzałe wyobrażenia o spełnionym życiu wzbraniała się przed okazywaniem córce uznania, którego Lillemor tak bardzo brakowało. Może matka byłaby z niej dumna, gdyby ta poślubiła bogatego mężczyznę i osiągnęła to, czego nie udało się dokonać Camilli.

Kiedy do Lillemor stopniowo to docierało, zaczęła odwiedzać matkę rzadziej. Nie miały sobie wiele do powiedzenia, a poza tym przy każdej wizycie dziewczyna obawiała się wpaść na Sępa. Do śmierci Camilli kobiety czuły się sobą wzajemnie rozczarowane, chociaż Lillemor ciągle kochała matkę.

Wanna na środku pokoju to rzadkość, pomyślała Selma. Ale Avalon reklamował się jako hotel designerski, co można było poznać już z zewnątrz po oświetlonym basenie znajdującym się na dachu, którego rogi wystawały nad Kungssportsplatsen. Pływający w nim ludzie wyglądali z dołu jak kijanki.

Catherine Tjäder miała około pięćdziesiątki. Jej wysoko upięte włosy zdawały się należeć do innej epoki, ale fryzura doskonale harmonizowała z lekko kocimi rysami twarzy, w której dominowały ukośne jasnoszare oczy. Była dyskretnie umalowana, pachniała bergamotką i miała na sobie czarny kostium z wąską spódnicą i czółenka na wysokich obcasach. Wybierała się właśnie na przyjęcie. Jej początkowo radosny nastrój całkowicie się ulotnił. Najpierw próbowała zaprzeczać, że zna nazwisko Lillemor Ahlberg, jednak kiedy Selma wyjaśniła jej, o co chodzi, wydawała się zszokowana, a jej opór się zламаł.

– Dlaczego Lillemor miałyby uprowadzić dziecko? Przecież już jedno ma.

– Kiedy widziała pani to dziecko? – spytała Selma.

Pani Tjäder zaproponowała jej jedyne krzesło, które było w pokoju, a sama usiadła na krawędzi podwójnego łóżka, splatając palce w coraz to nowych konfiguracjach. Selma musiała się starać, żeby nie wpatrywać się w nią zbyt natrętnie. Istnieli ludzie, których naturalna uroda fascynowała Selmę, niezależnie od ich wieku i płci. Podobnie jak widok jakiegoś szczególnie pięknego zwierzęcia. Catherine Tjäder można było obserwować niczym jakiegoś przepięknego kota. Kocica i Ptaszyca, pomyślała Selma.

– Zaraz po narodzinach, na przykład. Byłam u niej w szpitalu, w Kopenhadze. Słodka dziewczynka, ma na imię Marie.

– Kto jest ojcem dziecka?

– Tego nie wiem. Powiedziała tylko, że to była wakacyjna miłość.

*Wakacyjna miłość*. Brzmiało jak tytuł filmu Rosamunde Pilcher. Ale i książki Eyji de Lyn miały zawsze w sobie szczyptę kłopotów sercowych, o ile Selma dobrze pamiętała. Skierowała rozmowę na dzień 17 sierpnia 2007 roku. Wywiad.

– Jesienią miała się pojawić jej nowa książka, po długiej przerwie. Potrzeba było trochę reklamy. Przekonałam ją do udzielenia kilku wywiadów.

– Także z Leanderem Hanssonem – powiedziała Selma.

– Tak. On jest uszczypliwy i czasem się wywyższa, ale nie jest blagierem. A ona występowała już u niego w audycji kilka lat wcześniej, więc nie było problemu, żeby ją do tego przekonać. Co nie zawsze się z nią udaje. Czasem przesadza z tą tajemniczością.

– Sprawa małej Lucie przetoczyła się przez wszystkie media. Pani klientka w dniu zniknięcia dziewczynki udzielała wywiadu jej ojcu. Czy na pewno nic się pani w tej sprawie nie przypomina? – naciskała Selma.

Catherine Tjäder potrząsnęła głową.

– Lillemor obiecała, że skontaktuje się z Hanssonem w sprawie wywiadu, kiedy będzie w Göteborgu, żeby odwiedzić matkę. Dokładny termin ustaliła z nim sama, ja go nie znałam. Dopiero we wrześniu napisała do mnie e-mail, że załatwiła już wszystkie wywiady.

To wyjaśnienie brzmiało szczerze i nie można było mu nic zarzucić. Selma nie sądziła także, że Catherine Tjäder ukrywałaby uprowadzenie dziecka. Robiła wrażenie rozsądnej osoby: chętniej do interesów, ale nie za wszelką cenę. Ostrożnie! – ostrzegł ją wewnętrzny głos. Pozwoliłaś już, żeby Nordin cię omotał.

– Mówiła pani coś o dłuższej przerwie. O jakim okresie mówimy?

Agentka energicznie zgarnęła luźne pasemko włosów za ucho. Jej głos mienił się odcieniami fioleto.

– Lillemor pracowała nad historią o księżniczce elfów, kiedy była w ciąży. W maju 2005 roku urodziło się dziecko. Wówczas powiedziała mi, że ma już dużo napisanego tekstu, a było jeszcze sporo czasu. Wiosną 2006 roku powinna oddać gotowy rękopis. Dopytywałam się, ile jej zostało. Lillemor jest bardzo sumienna i nigdy nie spóźnia się z terminami. Napisała mi, że nie zdąży. Bez uzasadnienia. Nie wiedziałam też, gdzie w tym czasie przebywała. Co zresztą nie było niczym szczególnym. Zawsze była nomadą, pomieszkiwała to tu, to tam. Założyłam, że nie doceniła, ile czasu

pochłania opieką nad małym dzieckiem, i to jeszcze bez ojca. Powiedziałam do siebie: „Na Boga, niedawno została matką, dlaczego nie miałyby sobie zrobić przerwy od pracy?”. Napisałam do niej z pytaniem, co się dzieje. Ale nic mi nie chciała powiedzieć. Pomyślałam, że może ma problemy miłosne albo depresję. Za bardzo też nie chciałam jej naciskać, nie jestem przecież jej terapeutką. A ona jest... no tak, ona jest moim największym i najbardziej niezawodnym źródłem dochodów. W żadnym wypadku nie chciałam się z nią posprzeczać. Zwodziłam więc wydawnictwo i w następnym roku się udało.

– To znaczy, że dopiero po roku znowu wyszła z ukrycia?

– Tak, na początku 2007 roku. W każdym razie w lutym albo w marcu przysłała mi gotowy maszynopis, zadzwoniłyśmy się i umówiłyśmy na spotkanie. Kilka tygodni później przysłała do agencji. Bez dziecka. Jeszcze nie wróciła do siebie, ale przynajmniej pracowała.

– A więc się zmieniła – stwierdziła Selma. – W jakim sensie?

– Wychudła, przybyło jej zmarszczek i sprawiała wrażenie... przygaszonej. Jakby brała środki na uspokojenie albo coś podobnego. Była też zaskakująco zdystansowana. Rozmawiałyśmy tylko o interesach, innych tematów unikała. I otaczała ją aura – przepraszam za to głupie słowo – ale wydzielala coś, na co później znalazłam tylko jedno słowo: smutek.

*Smutek*, pomyślała Selma. Opłakiwanie zmarłych.

– Kiedy po tym spotkaniu widziała pani dziecko Lillemor? Proszę podać możliwie dokładną datę.

Catherine Tjäder nie zastanawiała się długo.

– W lipcu 2008 roku. Marie miała prawie trzy lata. Śliczna mała dziewczynka i była podobna do Lillemor. W każdym razie tak mi się wydawało. I Lillemor wyglądała znowu lepiej niż rok wcześniej. Nigdy bym nie pomyślała... – Potrząsnęła głową.

Selma sięgnęła po plecak i na ekranie notebooka pokazała agentce zdjęcie Lucie, które po jej zniknięciu obiegiło całą prasę.

– Czy Marie wyglądała wówczas podobnie do tej dziewczynki?

Pani Tjäder przyjrzała się zdjęciu.

– Może oczy. Ale Marie miała ciemniejsze włosy i były one gładkie. W tym samym odcieniu co włosy Lillemor. W kolorze orzecha laskowego.

*Orzech laskowy*, pomyślała Selma i zastanawiała się, w jaki sposób można przekonać trzylatkę, żeby dała sobie pofarbować włosy. Kiedy

Wilma ma myte włosy, wie o tym cały dom. Lucie w sierpniu 2008 roku miała dopiero dwa i pół roku, przypomniało się Selmie.

– Mówi pani „mała dziewczynka”. Czy Marie wyglądała jak trzylatka?

Agentka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Przykro mi, nie znam się na dzieciach. Dwuletnie dziecko potrafię odróżnić od trzyletniego tylko wtedy, kiedy widzę je obok siebie.

– Ja tak samo – przyznała Selma i zapytała: – Gdzie odbyło się to spotkanie?

– W Bolonii. Byłam tam na targach książki dla dzieci, które organizowane są zawsze pod koniec marca. Lillemor w tym czasie mieszkała w Rzymie – w każdym razie tak mi opowiadała. Ma tam mieszkanie. Rok później przeprowadziła się do Szwecji, do Sztokholmu. Mieszkała tam mniej więcej dwanaście miesięcy. W tym czasie widziałam ją trzy czy cztery razy, także z małą. Potem spotkałam ją z dzieckiem dopiero pół roku temu. W Kopenhadze. Miałam tam trochę spraw do załatwienia, więc do niej zadzwoniłam. Zaprosiła mnie do siebie. Piłyśmy kawę, Marie też tam była. Wyglądało na to, że dobrze ze sobą żyją.

– Gdzie jest to mieszkanie? – spytała Selma, która nagle poczuła, że serce podeszło jej do gardła.

Catherine Tjäder westchnęła ciężko. Najwyraźniej zaczęło jej świtać w głowie, że także w jej życiu coś się zmieni, jeśli oskarżenia pod adresem Lillemor okażą się prawdą. Wyglądała, jakby zmuszono ją, aby zaprowadziła pod nóż swoją kurę znoszącą złote jajka.

– Czy muszę odpowiedzieć? – spytała nieszczęśliwa.

Selma zastanowiła się, blefować czy wyłożyć karty na stół?

– Nie – odpowiedziała.

Wstała i podeszła do okna. Rozciągał się stąd widok na Kungstorget. Można nawet zobaczyć stąd miejsce, z którego uprowadzono Lucie.

– Już dobrze – powiedziała Catherine Tjäder i skinęła zrezygnowana głową.

Kiedy Forsberg próbował upchnąć puste pudełko po pizzy w koszu na śmieci, zawibrował jego telefon. Dał sobie spokój z kartonem i spojrzał na wyświetlacz. Pta... Selma. Odebrał.

– Selmo... Przepraszam. To było... To w ogóle nie było pejoratywne... naprawdę nie. Poza tym pta... ptaki są ładnymi i mądrymi zwierzętami.

– Mam adres ostatniego mieszkania Lillemor Ahlberg – przerwała mu jego jękaninę. – Kopenhaga, Århusgade 14, w pobliżu Fælledparken in Østerbro.

Minęła sekunda. Dwie sekundy.

– OK – odparł Forsberg, czując, że za chwilę straci przytomność. – Gdzie jesteś?

– W Avalonie – wyjaśniła. – Ładne miejsce.

– Czy ta agentka jest z tobą?

– Tak.

– OK – powtórzył i zauważył, że gada głupoty niczym jakiś glina z amerykańskiego filmu. Wziął się w garść. – Uważaj, Selmo, ta agentka nie może ostrzec Lillemor Ahlberg, więc weź ją ze sobą na komisariat i bez pośpiechu sporządź protokół. Nie spuszcza jej z oka, zabierz jej komórkę, jeśli będzie szła do łazienki. Ja tymczasem dopilnuję, żeby tej Ahlberg ktoś natychmiast złożył wizytę. Będę cię o wszystkim informował.

– Dobrze – odrzekła i natychmiast odłożyła słuchawkę.

Forsberg zastanawiał się, czy przyjęła jego przeprosiny. Potem jednak uznał, że w tej chwili jest to zupełnie nieistotne. Czy to możliwe, żeby sprawa Lucie Hansson po tak długim czasie znalazła jednak dobre zakończenie? Dobrze, czyli jakie? Nawet przy najkorzystniejszym rozwiązaniu sprawy rodzicom zostały ukradzione cztery lata życia z ich córką. Dziecko po raz drugi straciłoby matkę i wróciłoby do obcych mu teraz ludzi. Ale przynajmniej mała żyła, w przeciwieństwie do Walerii Bobrow.

Komisarz przełożył snucie filozoficznych rozważań na później, a teraz zatelefonował do Andersa Gulldéna. Musi wprawić w ruch sprawy w Danii. Potrzebował prawie pięciu minut, aby wytłumaczyć szefowi, że to wszystko to nie urojenia, ale sprawa, która wymaga szybkiego działania. Musiał najpierw rozwiać obawy Gulldéna przed skompromitowaniem się przed Duńczykami, gdyby się pomylili. Jednocześnie zastanawiał się, jak ludzie, którzy są umyślowo ociężali niczym jaszczurki podczas zimowego snu, potrafią wylądować na stanowiskach kierowniczych. Był już bliski powiedzenia tego na głos, kiedy jego przełożony zgodził się poinformować o wszystkim duńskich kolegów.

– Natychmiast? – upewnił się Forsberg.

– Tak, oczywiście, natychmiast – odwarknął Gulldén.

– I informuj mnie o wszystkim na bieżąco – zażądał komisarz.

– Nie przesadzaj, Forsberg – odszczeknął Gulldén i zakończył rozmowę.

Forsberg uświadomił sobie, że znalazł się w sytuacji, kiedy siedzi w cudzym szlafroku w obcym mieszkaniu i jest skazany na mniej lub bardziej bezczynne czekanie. Postanowił poszukać suszarki, kiedy zadzwoniła jego komórka. Nieznany numer.

– Forsberg!

– Mówi Leander Hansson. Ja... musimy z panem pilnie porozmawiać.

Ptaszyca! Nie należało powiadamiać rodziców Lucie, zanim nie będzie informacji z Kopenhagi. Jak ona mogła to zrobić? Chciała się przypodobać Hanssonowi? Ostatnią rzeczą, której teraz potrzeba, są rozhisteryzowani rodzice, którzy co pięć minut będą chcieli wiedzieć, czy wiadomo coś nowego. Poczekaj no, Selmo Valkonen, poniesiesz za to konsekwencje!

– Panie komisarzu! – dotarł do niego głos Hanssona. – Czy jest pan tam?

– Tak – odpowiedział Forsberg.

– Możemy się spotkać? Ale jeśli to możliwe, to nie na komisariacie.

To życzenie było Forsbergowi na rękę.

– Czy może pan przyjechać do dzielnicy Linné? – spytał.

Lillemor pomyślała o ślubie tylko raz: kiedy poznała Jörena. Na zimę często wyjeżdżała w jakieś ciepłe miejsce, ale lato zwykle spędzała w swoim domu letnim na skalistej wyspie Smögen. Dom stał na brzegu samotnej zatoki z widokiem na otwarte morze. Lillemor kupiła go na początku kariery, żeby mieć spokój podczas pisania. To był jej azyl, tajemne miejsce, którego nie znajdzie nawet Sęp.

Pewnego letniego wieczoru jakiś mężczyzna wspiął się na skałę i rysował, podczas gdy nad horyzontem nadciągnęła ciemnoczarna burza z błyskawicami. Lillemor stała przy oknie i obserwowała go przez lornetkę. To, co zobaczyła, bardzo jej się spodobało: zabrązowana twarz, harmonijna budowa ciała, lekko skołtunione blond włosy. Odłożyła lornetkę, założyła niebieską sukienkę i niezdarnie wspięła się do niego po skałach. Żółtozielone oczy, szeroki uśmiech i dołeczek w brodzie.

Nie zamienili ani słowa, kiedy zawiął rześki wiatr, błyskawice rozświetliły kłębowisko chmur, a pierwsze krople deszczu rozpryskiwały się pod ich stopami. Przemoknięci do suchej nitki dotarli do domu. Zdjęli sobie nawzajem ubrania, jakby było to najbardziej oczywistą rzeczą na świecie, i kochali się, a w tym czasie przez morze przetoczyła się burza z piorunami. Deszcz ukołysał ich wreszcie do snu.

Jören był kilka lat młodszy od Lillemor, studiował sztuki piękne i pracował w kawiarni. Kiedy miał wolne, żeglował albo malował. Spod jego pędzla wychodziły dwa rodzaje obrazów. Jedne, kręcąc nosem, nazywał „ładnymi”. Na nich za pomocą farb akrylowych uwieczniał piękno zachodnich skalistych krajobrazów: morze, raz spokojne, raz wzburzone, kolorowe drewniane łódki rybackie, które próchniały w porcie, bo ich właściciele pracowali na statkach stosujących nawigację satelitarną, a także wszechobecne ciemnoczerwone domki rybackie z rozwieszonymi przed nimi sieciami. Jören twierdził, że nienawidzi tych landszaftów, ale to na nich zarabiał, sprzedając je turystom. Drugie obrazy uznawał za prawdziwą



sztukę. Lillemor po cichu bardziej lubiła te „ładne”. Zwariowane i wściekłe bazgroły wywoływały u niej uczucie dyskomfortu, jakby odkrywały tę jego stronę osobowości, o której nie chciała nic wiedzieć. Oczywiście nigdy mu tego nie powiedziała.

Jören rzucił pracę w kawiarni, przeprowadził się do Lillemor i przeżyli beztrudne lato. Pod koniec sierpnia Lillemor zaczęła go pytać, gdzie spędzą zimę. W oczywisty sposób zakładała, że będą mieszkać razem. Kochali się przecież, a ona zarabiała wystarczająco dużo, by ich oboje utrzymać. Ale nigdy nie otrzymała od niego jasnej odpowiedzi i kiedy miesiąc później pierwsza jesienna burza przegnała letnie ciepło i światło, zniknął także Jören niczym wędrowny ptak. Obiecał, że wróci następnego lata, ale ona wiedziała, że to nieprawda.

Bez niego nie mogła dłużej wytrzymać na wyspie. Przeprowadziła się do Kopenhagi, lubiła niemal południową lekkość i żywotność tego miasta. W końcu podczas zimowych miesięcy panował tu klimat prawie śródziemnomorski.

Po jakimś czasie stwierdziła, że jest w ciąży. Do tej pory w swoich planach życiowych nie uwzględniała potomstwa. Teraz ta myśl wydała jej się ekscytująca i z każdym tygodniem coraz bardziej cieszyła się, czekając na dziecko.

W maju 2005 roku urodziła się Marie i mimo iż Lillemor miała adres mailowy Jörena, nie napisała mu o tym. W ogóle do niego nie pisała. Była szczęśliwa ze swoją małą. To był całkiem nowy i inny rodzaj miłości, tak głębokiej i spełnionej, że czasem aż sprawiała ból. Nie, Lillemor nie potrzebowała więcej Jörena, nikogo już nie potrzebowała.

Kiedy Marie miała trzy miesiące, Lillemor odwiedziła matkę na kilka dni przed jej urodzinami. Nie chciała wpaść na Sępa. Rozpromieniona z dumy pokazała Camilli dziecko w nosidełku niczym z trudem zdobyte trofeum. Zignorowała westchnienie Camilli po tym, jak ta chciała dowiedzieć się, kto jest ojcem dziecka. Także uwagi, że dziecko jest nad wyraz spokojne, prawie nie płacze i mało się porusza, uznała za przejaw złośliwości. Na wszelki wypadek jednak trochę wcześniej, niż to było konieczne, poszła na wizytę kontrolną. Lekarz ostukał niemowlę, obejrzał z każdej strony, zaświecił w oczy, zrobił badania krwi i skierował Marie do neurologa, mrużąc pod nosem: „Proszę się nie martwić” i „To tylko środki ostrożności”.

Ale kłamstwo miał szkarłatem wypisane na twarzy.

Lillemor w radości oczekiwania na dziecko połykała wszystkie możliwe poradniki. Jednak żaden z nich nie przygotował jej na to, że pewnego dnia zostanie matką dziecka, które prawdopodobnie nigdy nie powie do niej „mamo”.

Nagle wszystko przestało mieć znaczenie: przedszkole, szkoła, lekcje muzyki, ukryte talenty, przyszły zawód. Wszystkie oczekiwania rodziców wobec ich pociech nagle przestały obowiązywać, ponieważ dla Marie nie było przyszłości. Nigdy nie sprawi, że jej matka będzie z niej dumna albo nią rozczarowana.

Marie umrze.

Genetyczna anomalia. Choroba Taya–Sachsa. Bardzo rzadka. Marie będzie się uwsteczniać. Pojawią się: paraliż, problemy z oddychaniem, utrata zmysłów, a w końcu wpadnie w śpiączkę i umrze. A to wszystko wydarzy się najprawdopodobniej przed jej trzecimi urodzinami.

Lillemor przeprowadziła się z córką na wyspę, do domu letniego. Chciała być sama ze swoim dzieckiem. Co miałyby zresztą robić w mieście? Marie nie będzie potrzebować lekcji pływania, wizyt w zoo, w teatrze i spotkań z innymi dziećmi w parku. Potrzebowała leków, które uśmierzą ból, oraz aparatu, który pomoże jej oddychać i połykać. To nie są sprawy, o których można rozmawiać z innymi matkami na placu zabaw. Zbyt okropne, by móc się tym podzielić z przyjaciółmi. Dziecko skazane na śmierć wywołuje dyskomfort i budzi strach. Lillemor świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Nie chciała się o tym przekonać na własnej skórze.

Nikommu nic nie mówiła. Nawet Catharine. Żyła w stanie beznadziei, jeśli chodzi o Marie, i starała się w myślach przygotować na dzień X, oczywiście nie mogąc sobie wyobrazić swojej dalszej egzystencji. Nauczyła się żyć chwilą, dniem dzisiejszym, a potem następnym i kolejnym. Czytała Marie bajki na dobranoc, chodziła na spacer nad morze, żeby mała pooddychała świeżym powietrzem. Wiedziała, że nie może zrobić nic więcej, niż kochać córkę bezwarunkowo przez ten czas, który im obu został, a potem pozwolić jej odejść.

Kwadrans później Tinka i Leander stali przed drzwiami. Mimo że ich oddech był spokojny, oboje wyglądali na wykończonych. Pachnieli, jakby spędzili wieczór przy ognisku, choć Leander Hansson w czarnych spodniach, białej koszuli i marynarce z włoskiej wełny nie był do tego odpowiednio ubrany. Już bardziej jego żona: czarna bluza z kapturem, dżinsy i buty sportowe stanowiły niecodzienny swobodny styl u Tinki Hansson, której dyskretną elegancję Forsberg doskonale pamiętał. Oczywiście, zauważył komisarz, akurat on nie był odpowiednią osobą, żeby drwić z ubioru swoich gości.

– Panie komisarzu, chciałabym przeprosić, że przeszkadzam panu w czasie wolnym od pracy – powiedziała Tinka, lekko unosząc brwi ze zdziwienia i kwitując drwiącym uśmiechem ubiór Forsberga, który ciągle złożony był jedynie z Amundsena. Suszarka do ubrań potrzebowała jeszcze całej wieczności, a użycie tej do włosów niewiele pomogło wilgotnym sztruksom.

Komisarz zaprosił ich do kuchni. Sir Henry został zesłany do pokoju Selmy. Zaproponował kawę, nie mając pojęcia, czy w ogóle jest jakaś kawa, ale oboje chcieli tylko szklanek wody. Po tym, jak wymieniono uprzejmości, wewnętrzny głos Forsberga podpowiedział, że będzie mądrze, jeśli na początek to on pozwoli gościom mówić. Chwilę później gratulował sobie, że podjął taką decyzję. Poza tym w myślach przeprosił Selmę za to, że posądził ją o chęć przypodobania się i plotkarstwo. Nie, para nic nie wiedziała o najnowszym rozwoju sprawy Lucie. Zamiast tego Leander Hansson poczęstował Forsberga historią, od której włosy stanęłyby mu dęba, gdyby nie padły niedawno ofiarą tureckiego fryzjera. Po co drugim zdaniu komisarz miał pokusę przerwać opowieść i spytać, dlaczego od początku nie wtajemniczyli go w tę sprawę, ale opanował się i ograniczył do rzeczowych pytań.

– Co to był za pistolet?

– Glock 17.

*Glock 17.* Bardzo powszechny model.

Teraz mówiła Tinka:

– A potem przyszedł SMS ze wskazanym miejscem w Dansholmen, a więc tam, gdzie zostały podrzucone już list i but.

Dansholmen. Forsberg znał tę okolicę. Przyjemna, niemal malownicza, ale o tej porze roku prawdopodobnie też opustoszała.

– Oczywiście nie chcieliśmy nikogo zastrzelić...

Oczywiście? Forsberg zastanawiał się, jak on by zareagował, gdyby to jemu ktoś złożył taką propozycję. Zabić człowieka, żeby odzyskać Annikę. Wzięłby to przynajmniej pod uwagę. Ale tak pewnie też zrobili i Hanssonowie.

– Z drugiej strony chcieliśmy też wiedzieć, kto ma być ofiarą, aby potem uzyskać trop nakierowujący nas na sprawcę – powiedział Leander Hansson.

– Nie mieliśmy pojęcia, że chodzi akurat o Evę Röög.

– Co?!

– Eva Röög, dziennikarka – powtórzyła Tinka niepewnie. – To, co napisała w SMS-ie...

– Jakim SMS-ie? – wtrącił Forsberg.

– Nie wysłała panu żadnego SMS-a? – spytał Leander Hansson.

Forsberg sięgnął po telefon i przejrzał archiwum wiadomości. Nic. Potrząsnął głową. Wydawało się, że rozbawiło to Hanssona. Uśmiech błąkał mu się po ustach.

– To podła świnia – wysyczała Tinka, która najwyraźniej na moment straciła panowanie nad sobą.

– Teraz to już obojętne – zbeształ żonę Hansson.

Zacisnęła usta i ciężko oddychała.

Coś tu się nie zgadza, zauważył Forsberg, przypatrując się niespodziewanym gościom. Jeśli Hansson otrzymywał listy i dostał paczkę z pistoletem, to dlaczego był ubrany jak na przyjęcie, a jego żona jak chuligan?

– Podsumowując: ktoś twierdzi, że wie, gdzie przebywa wasza córka, wysłał wam jej but i nagranie wideo, które można było obejrzeć tylko raz, oraz pistolet. Ten sam człowiek zażądał od was zamordowania Ewy Röög w zamian za dalsze informacje o miejscu pobytu Lucie. Czy wszystko dobrze zrozumiałem?

Przytaknęli.

– Gdzie ona teraz jest? – spytał Forsberg.

– Eva? W starym domu letnim w Askimsviken, który należy do rodziny Tinki. Przystała na nasz plan, żeby zostać tam w ukryciu, póki my... no tak, póki się czegoś więcej nie dowiemy – odpowiedział Leander Hansson.

– Czy podejrzewa, kto może za tym stać? – drążył Forsberg.

– Nie – odparł Leander. – I to jest problem. Policja musi ogłosić w prasie oficjalny komunikat o znalezieniu ciała Ewy, żeby szantażysta uwierzył, że ona nie żyje. Wprawdzie wysłaliśmy mu zdjęcie, oczywiście upozowane, ale na razie nie mamy żadnej odpowiedzi.

Forsberg poprosił o pokazanie tego zdjęcia i przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem. Eva rzeczywiście wyglądała na nieżywą, nawet usta miała lekko otwarte, co nie wyglądało ładnie. Zdziwiło go, o czym myśli w takiej chwili. Plama krwi była za duża i w ogóle nie przypominała prawdziwej rany po strzale, ale może to wystarczy, aby nabrać laika.

– Taki jest więc plan? – upewnił się Forsberg.

– Tak – odrzekła Tinka i pokiwała zdecydowanie głową. – Eva też ostatecznie chce wiedzieć, kto chciałby ją zabić. A my pragniemy odzyskać Lucie.

– Czy jest tam sama? – Forsberg musiał się opanować, żeby zachować spokój.

Leander potaknął.

– Zostawiliśmy jej pistolet. To był jej warunek. Oraz to, że pana o wszystkim poinformujemy i przekonamy do naszej gry.

Forsberg przyglądał się im obojgu i nie mógł uwierzyć, że ma przed sobą dorosłych ludzi. W ciszy, która zapadła, chwycił za telefon i zwrócił się do Tinki Hansson:

– Adres?

– Słucham?

– Adres tego domu letniego! – W tonie jego głosu pojawiła się nuta groźby.

– Dom stoi przy bocznej uliczce bez nazwy, która odchodzi od Järkholmsvägen.

Kiedy Forsberg notował te informacje, zadzwoniła Selma.

– Jakież wieści z Kopenhagi? – spytał jej zachrypnięty kruczy głos.

– Na razie nie. Jesteś na komisariacie?

– Tak. Już prawie skończyłyśmy.

To znaczyło: już dłużej nie mogę zatrzymywać pani Tjäder.

– Złap Bergeröda, który teraz zajmuje się twoim przyjacielem Siską. Jedź z nim najszybciej, jak to możliwe... masz coś do pisania?

– Tak.

Powtórzył namiary, które dostał od Tinki.

– To jest dom letni. W nim znajduje się Eva Röög, natychmiast przywieźcie ją tutaj.

– Do mojego mieszkania? – spytała Selma.

– Tak – odpowiedział Forsberg. – Ale bądźcie ostrożni, rozglądajcie się. Jej życie jest zagrożone.

– Przez kogo?

– Tego jeszcze nie wiem.

– Aha – odparła Selma. – Czy naprawdę muszę brać Bergeröda...

– Tak! I weź broń. Dam znać Evie, że przyjedziecie. Ma przy sobie pistolet.

– Świetnie – odpowiedziała Selma, a Forsberg udał, że nie dosłyszał.

– I jeszcze coś: niech jakiś radiowóz natychmiast przywiezie mi tutaj panią Tjäder, muszę jej zadać kilka pytań.

– W moim mieszkaniu? – znowu spytała Selma.

– Tak. Są tu także Hanssonowie.

– No naprawdę. Biorąc pod uwagę, że dopiero co się wprowadziłeś, to nieźle się już zdążyłeś rozgościć.

– Nie ruszaj się stamtąd, dopóki moi ludzie się tam nie pojawią i cię nie zabiorą! – dobiegł z telefonu głos Forsberga.

– Czy to naprawdę konieczne? Czy nie mogę zadzwonić po Stiega? – spytała Eva.

– Nie!

– No dobrze, skoro tak uważasz – poddała się.

– Tak, tak uważam!

Forsberg brzmiał wyjątkowo gburowato, ale w duchu Eva była całkiem zadowolona z jego telefonu. Perspektywa spędzenia dłuższego czasu w tej zatechłej chacie z minuty na minutę wydawała się coraz mniej kusząca. Na propozycję Tinki i Leandera przystała głównie dlatego, żeby się ich pozbyć i móc pomyśleć w spokoju. Ale zastanawianie niewiele jej przyniosło

i zanim zatelefonował Forsberg, była już bliska tego, żeby zadzwonić do Stiega i poprosić go, żeby ją stąd zabrał. Przypomniało się jej, że chciał wyjść na obiad z klientem. Alibi. Bzdura!

– Byłoby lepiej, gdybyś wyłączyła komórkę. Chociaż teraz i tak jest już za późno – powiedział Forsberg.

– No, naprawdę, Forsberg, wiesz, jak człowiekowi dodać odwagi – odpowiedziała Eva i sama zauważyła, jak cicho i bojaźliwie zabrzmiał jej głos mimo sarkazmu.

– Pilnuj, żebyś zawsze miała pistolet przy sobie. Umiesz się z nim obchodzić?

– Nie wiem...

– To jest glock. Nie odbezpiecza się go. Spust ma punkt nacisku, kiedy się go przewycięży, wówczas strzela.

– Dobrze. Spytaj tę urokliwą parę, czy pistolet jest naładowany.

– A czujesz, że jest ciężki?

Eva zważyła broń w dłoni.

– Dosyć.

– A więc jest naładowany. A teraz siedź tam spokojnie. Selma zaraz tam będzie.

– Kto?

– Selma Valkonen i Pontus Bergeröd. Bądź tak dobra i nie zastrzel żadnego z nich.

– OK – odpowiedziała Eva. – Właściwie to sądziłam, że to sprawa dla samego szefa.

Forsberg na to nie zareagował.

– Naprawdę nie wiesz, kto cię...? – spytał tylko.

– Myślisz, że bym to przed tobą ukrywała?

Pożegnał się dość nagle, a ona opadła na zabrudzoną poduszkę.

Gdy tylko Forsberg się rozłączył, znowu zadzwieczał jego telefon.

– Mam dobrą i złą wiadomość – powiedział Anders Gulldén.

Każdemu innemu komisarz jasno by powiedział, co sądzi o tego typu zdaniach, ale teraz opanował się, zerkając w stronę salonu, gdzie na czerwonej sofie siedzieli Hanssonowie. Wcisnęli się w jej kąty, wyczerpani, a jednak napięci, jak bokserzy przed ostatnią rundą. Leander trzymał puszkę z piwem. Przed Tinką na stole stała nieruszona szklanka wody.

Forsberg nic im nie powiedział, tylko poprosił, aby jeszcze chwilę tu zostali.

– Mieszkanie jest puste – wyjaśnił Gulldén. – Zostało w nim tylko kilka mebli. Dozorca powiedział, że pani Ahlberg bardzo wcześnie rano wsiadła do taksówki z trzema wielkimi walizkami i dziewczynką. Mieszkanie było wynajęte na nazwisko Catherine Tjäder i z końcem roku zostało wypowiedziane. Pani Ahlberg wrzuciła dozorczy klucz do skrzynki na listy i karteczkę, że może sprzedać meble i zatrzymać pieniądze za nie. Wygląda to dla mnie na pospieszny wyjazd. Duńczycy jeszcze przesłuchują mieszkańców domu. Potem zamierzają odnaleźć kierowcę taksówki.

– A jaka jest dobra wiadomość? – spytał Forsberg.

– No tak... dziewczynka... Technicy są teraz w mieszkaniu i na pewno znajdą ślady DNA, które będziemy mogli porównać. Jeśli to jest Lucie, to wówczas cały świat...

– Tak, jasne – odparł Forsberg. – Odezwę się, gdy porozmawiam z panią Tjäder.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego nie robisz tego wszystkiego z komisariatu? – spytał Gulldén.

– Tak, tak – rzucił Forsberg. – Muszę kończyć, słyszę dzwonek.

Skłamał, ale chciał wreszcie pójść do piwnicy i wyjąć z suszarki ubranie, żeby nie musieć przyjmować kolejnych gości w Amundszenie. Nie miał nic przeciw niemu, ale obawiał się, że ten ubiór podkopuje jego autorytet.

Selma wczepiła się paznokciami w siedzenie obok kierowcy radiowozu i zastanawiała się, dlaczego Hanssonowie są teraz w jej domu, a ta dziennikarka w domu letnim Hanssonów. Czy Forsberg to zaaranżował? Dlaczego? Czy miał w tym jakiś interes? Zaciśnęła zęby. Żadnych uwag o stylu jazdy Pontusa Bergeröda! Zresztą był podobny do jej stylu: agresywny i głupi. Przyspiesza, mimo że z daleka widać czerwone światła, tylko po to, żeby zaraz zahamować z piskiem opon. Właściwie Selma nie miała ochoty z nim rozmawiać, ale może to by go uspokoiło.

– Jak się mają sprawy z Siską?

Bergeröd uśmiechnął się i podniósł prawą pięść. Skóra wokół kłykci była zaczerwieniona i opuchnięta.

– Chciał prysnąć.

– A przesłuchanie?



– Wszystkiemu zaprzecza i piszczy o prawnika.

Selma skinęła głową. To było do przewidzenia. Rzeczywiście Bergeröd jechał trochę wolniej, żeby móc skoncentrować się na rozmowie. Wielozadaniowość to najwyraźniej nie jego specjalność.

– Na worku na śmieci są jego odciski palców, ale Siska twierdzi, że to ten drugi typ, Krull pożyczył worki od niego. Musimy poczekać, co przyniesie przeszukanie domu i analiza połączeń telefonicznych. Laboratorium może porównać odciski butów w okolicy znalezienia ciała. Jeśli dziewczynka była w samochodzie Siski, to da się to udowodnić!

Bergeröd mówił tak, jakby mocą słów chciał sprawić, żeby wynik był zgodny z jego oczekiwaniami.

– Jutro Gulldén we własnej osobie weźmie go na klatę.

– No tak.

– Jak właściwie wpadłaś na trop tego faceta?

– Przez rysunki dziecięce.

– Aha.

Wyprzedził ciężarówkę, jakby życie było mu niemiłe. Selma oddychała z trudem.

– Mam w sobie dużo zrozumienia, ale takie świnię należałoby powiesić za jaja – wyrwało się jej koledze, kiedy z piskiem opon objeżdżał rondo.

Selma zasadniczo była tego samego zdania, ale nie miała ochoty przysłuchiwać się brutalnym fantazjom Bergeröda, które wyraźnie osłabiały jego umiejętności kierowcy.

– Powiedz mi, jak tam wejdziemy – poprosiła zamiast tego.

Jak przypuszczała, Bergerödowi pochlebilo, że dobrowolnie zdała się na jego decyzję. Przy czym było to całkiem jasne: on był starszy stopniem i miał więcej doświadczenia w tego typu akcjach. A więc i tak nie posłuchałby jej propozycji.

– Najpierw wysondujemy, czy panienka na pewno jest sama, a jeśli tak, to damy się zauważyć, żeby wiedziała, że to my, a nie morderca – zaproponował Bergeröd.

No, coś takiego, pomyślała Selma.

– Masz stracha? – spytał.

– No, tak, jak na mój gust mógłbyś jechać trochę wolniej – udała, że błędnie go zrozumiała. – Nie jestem dobrym pasażerem, przykro mi.

Jednocześnie zastanawiała się, czemu jest dziś tak ugodowa. Uśmiechnęła się w duchu.

– Sorry – odparł Bergeröd. – Malin też zawsze narzeka na mój styl jazdy. Chodziło mi o to, czy masz stracha przed akcją.

– Nie – powiedziała Selma, a ponieważ rozpierała ją energia, dodała: – Przecież jadę tam z tobą.

Rzucił jej nieufne spojrzenie, ale ona tylko uśmiechnęła się nieśmiało. Kiedy chciała, potrafiła całkiem nieźle odgrywać rolę kobiety, a skoro w grę wchodziła strzelanina, to tym chętniej zostawiała pierwszeństwo Bergerödowi. Poza tym teraz prowadził auto bardzo porządnie. Zadzwoił telefon Selmy. Forsberg.

– Macie Lucie? – zapytała.

– Nie, mieszkanie jest puste.

– Cholera.

– Ale bardzo prawdopodobne, że Lucie w nim była. Gdzie jesteście?

– Za Björlanda.

– Czy Bergeröd też tam jest?

– On prowadzi. Nie ufasz mi? Z tego powodu dzwonisz?

– Nie. Chcę wiedzieć, jak otwiera się tę przekłętą suszarkę! – krzyknął sfrustrowany. – Wyłączyłem ją, ale te gówniane drzwi się nie otwierają.

Selma się zaśmiała.

– Cała siła leży w spokoju. Musisz poczekać minutę, zamek puści jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. To taki mechanizm bezpieczeństwa, żeby palce się nie...

Rozłączył się.

– Naprawdę wpadłaś na ślad Lucie Hansson? – spytał Bergeröd.

– Wiemy, kto ją uprowadził i z kim teraz jest. Byliśmy tuż-tuż, ale ta kobieta nam zwiąła.

– Mimo wszystko – zauważył z podziwem. – Nieźle.

– Dzięki – odpowiedziała Selma i pomyślała, że jeśli Bergeröd w ciągu najbliższego kwadransa nie zginie, to jeszcze zostaną przyjaciółmi.

Puszka w dłoni Leandera zrobiła się ciepła. Od dawna była pusta. Sytuacja wydawała się nieco absurdalna: to mieszkanie, te gorączkowe telefony... Wyglądało na to, że Forsberg martwi się o bezpieczeństwo Evy. Ale o co chodzi z Lucie? Spisał ją na straty? Wiedział więcej, niż mówił? Żadnego

słowa na temat możliwości odkrycia śladu dzięki szaradzie Tinki. Plan może nie był idealny, ale co mieli do stracenia? Jaką mieli inną szansę?

O to wszystko chciał spytać komisarza, ale ten jak na niego zaskakująco autorytarnie kazał im tu zostać i czekać. Niebawem coś im wyjaśni w sprawie Lucie. To zdanie sprawiło, że Leander zamilkł. W nadziei? Ze strachu? *Coś wyjaśni*. Leander, ateista, bezgłośnie modlił się, żeby Forsberg im łagodnie nie oznajmił, że ta martwa dziewczynka w lesie to ich córka.

Spoglądał ukradkiem na Tinkę. Wpatrywała się w sufit ze skrzyżowanymi rękami i w tej bluzie z kapturem wyglądała jak nastolatka, która coś zbroiła i teraz trochę ze strachem, a trochę z przekorą czeka na konsekwencje. Ale Tinka była nie tylko zestresowana, lecz także porządnie wkurzona. Rozpoznał to po jej ustach. Zaciśnięte przypominały prostą kreskę. Forsberg znajdzie się w tarapatkach, jeśli za chwilę czegoś nie wymyśli, żeby ją uspokoić. Tinka zrobiła naprawdę wiele, żeby kontrolować sytuację, oszukała nawet jego, Leandera, i to tylko po to, żeby komisarz w szlafroku, z fryzurą w typie Bruce'a Willisa wszystko zniszczył i kazał im siedzieć jak dwójce idiotów? Nie będzie już dłużej tego tolerować. A gdzie w ogóle jest Forsberg? A tak, w piwnicy. Poszedł po swoje ubrania. *Zawalenie domu*. Co za obłąd. Jak u Kafki, pomyślał Leander. Zaraz zastanowił się, czy to określenie pasuje do sytuacji i czy powinien spytać Tinkę, ale ona pewnie odpowiedziałaby: „Nie masz teraz innych zmartwień?”. Z Evą mógłby o tym podyskutować, nawet w takiej sytuacji. Eva. Leander starał się nie myśleć o tej chwili, kiedy zobaczył ją leżącą w samochodzie i sądził, że Tinka ją zamordowała. W ogóle Tinka... Jak jej się to udało, żeby Evę, znacznie od niej większą i cięższą donieść do samochodu? Kolejny dowód na to, że skok adrenaliny wyzwala w ludziach niespodziewane siły. Żona na pewno mogłaby mu całkiem dokładnie wyjaśnić ten fenomen, pomyślał i ogarnęła go czułość. Spojrzał na Tinkę i się uśmiechnął. Wyczuła jego spojrzenie, potem także się uśmiechnęła, a po chwili zamknęła oczy, jakby chciała zatrzymać tę chwilę, a Leander wiedział, że ona wie, że jej wybaczył. Nie potrafiłby nie wybaczyć.

Nerwowo chrząkając, Forsberg wszedł do pokoju. Znowu był normalnie ubrany, nawet jeśli nieszczególnie szykownie: wytarte brązowe dzinsy, wymięta koszula, jasnoszara czy też biała, ale wyprana z ciemnymi rzeczami. Sofa była wystarczająco szeroka, teoretycznie między Leanderem a Tinką wystarczyłoby miejsca dla połowy Göteborga, jednak komisarz

przyniósł krzesło kuchenne i usiadł naprzeciw Hanssonów, zachowując dystans. Tinka wyprostowała się niczym kobra na chwilę przed ukąszeniem. Również Leander zmienił swoją swobodną pozę.

Forsberg przeprosił, że kazał im czekać.

– Panie Hansson – zwrócił się potem do Leandera – w dniu, kiedy zniknęła pana córka, gościł pan w rozgłośni pisarkę Eyję de Lyn?

– Tak – odpowiedział szybko Leander.

Przed jego oczami stała autorka tych nader popularnych czytań fantasy: średniego wzrostu, szczupła, włosy w kolorze ciemny blond ścięte na pazia. Widział przed sobą dwoje obrysowanych czarną kredką oczu, których koloru nie pamiętał, mógł jeszcze powiedzieć, że miała wąską twarz. Nic więcej. Zapamiętał natomiast jej głos, który mu się spodobał, czysty i jasny, a nie piszczący. Mówiła w spokojny i rozważny sposób, bardzo opanowany, prawie za bardzo. Sprawiała wrażenie skromnej, wolnej od arogancji, jakby nie była świadoma tego, jak wielki odniosła sukces. Leanderowi wydało się to sympatyczne. A wcześniej wcale się na to nie zapowiadało!

Jej agentka zadzwoniła do niego kilka tygodni wcześniej, żeby go powiadomić, że jej autorka może udzielić mu wywiadu. „Co za łaskawość!”, pomyślał wówczas i omal nie powiedział tego na głos. Ale oczywiście się zgodził, ponieważ nie każdy mógł gościć w swoim studiu Eyję de Lyn. Termin spotkania miała potwierdzić dopiero dzień przed rozmową i poprosiła go, aby w audycji nie mówić o tym wcześniej. Im mniej ludzi będzie wiedziało, że ma tam wystąpić, tym lepiej. To był ten chwyt z zagadką jej tożsamości, zwykły zabieg marketingowy.

– Słuchałem nagrania tej audycji – powiedział Forsberg. – O czym jeszcze rozmawiał pan z tą kobietą?

Leander zastanawiał się, do czego komisarz zmierza. Pomyślał. Zrekonstruowanie rozmowy sprzed czterech lat nie było łatwe.

– O niewielu innych sprawach – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Przy pożegnaniu spytałem ją, czy przyjechała do Göteborga na festiwal kultury, a ona powiedziała, że nie, że jej matka ma urodziny. To było wszystko, o czym rozmawialiśmy, powiedzmy, niesłużbowo, o ile sobie przypominam.

– Czy mówił jej pan o żonie albo dziecku? – spytał Forsberg.

– Nie – odparł Leander.

Nigdy tego nie robił. Dla pisarzy miał być krytykiem, osobą budzącą szacunek albo aroganckim dupkiem, ale w żadnym razie mężem czy ojcem.

– Czy wspominał pan może nazwisko Nordin?

– Nie, oczywiście, że nie – niecierpliwie odpowiedział Leander.

Co za pytania zadaje ten dziwny człowiek.

– A ona? Opowiadała o czymś? Może o swojej córce?

Leander potrząsnął głową.

– Nie. Nie wiedziałem w ogóle, że ma dziecko.

– Czy ta kobieta uprowadziła Lucie? – wybuchnęła Tinka.

– Jeszcze chwilę, proszę – powiedział Forsberg i uniósł dłoń w jej kierunku niczym sędzia. Oparł łokcie o kolana i znowu wziął na muszkę Leandera.

– Jak dokładnie przebiegała ta wizyta?

– Jak inne – odpowiedział Hansson. – Odebrałem ją sprzed bramy wejściowej, potem poszliśmy do mojego biura, gdzie zostawiła swoje rzeczy. Kurtkę i torebkę. Tam krótko omawiam z pisarzami pytania, które im zadam, ale z nią tego nie musiałem robić. Powiedziała, że będzie lepiej, jeśli odpowie spontanicznie. Niektórzy tak wolą, są wtedy mniej spięci. A zaraz potem poszliśmy do studia.

– Kiedy to było?

– Nie wiem... – Leander przerwał. Nagle pojawił mu się przed oczami obraz.

– Co takiego? – spytał Forsberg, który zauważył zmianę w twarzy Hanssona. Także Tinka spoglądała na męża z napięciem.

Leander poczuł, jak przyspiesza mu puls, kiedy opisywał Forsbergowi, co zapamiętał.

– Po nagraniu, trwało tylko kwadrans, wróciliśmy do biura, żeby wziąć jej rzeczy. Miałem się z nią pożegnać, kiedy zadzwoniła Tinka. Ja... Krótko rozmawiałem z żoną, a ona stała obok, gotowa do wyjścia. Dałem jej znak ręką, żeby zaczekała. Więc stała. A na szafie z dokumentami... na szafie stoi zdjęcie Tinki z Lucie. Myślę, że podczas rozmowy spojrzałem na nie...

Coś zacisnęło mu gardło.

– Czy ona to jakoś skomentowała? – spytał Forsberg.

Leander mógł tylko potrząsnąć głową.

– Niech pan wreszcie powie, czy to ta kobieta uprowadziła Lucie?! – Tinka nie wytrzymała.

– Możliwe – odpowiedział Forsberg.

Po jego słowach nastąpiła pełna napięcia cisza.

Leanderowi zrobiło się gorąco. Znowu pojawiło się to uczucie ucisku w klatce piersiowej, dokładnie takie samo jak przed kilkoma godzinami w barze sportowym. Starał się złapać oddech. Tinka chwyciła go za rękę i podała mu szklankę z wodą, którą on wypił jednym haustem.

– Przepraszam – wymamrotał.

Wstydził się trochę z powodu swojej słabości, słuchając jednocześnie Forsberga opowiadającego o opuszczonym mieszkaniu w Kopenhadze, które aktualnie przeszukuje duńska policja.

– A więc ona żyje? – zawołała Tinka, tracąc panowanie.

– Musimy porównać DNA. Jeśli oczywiście duńska policja znajdzie w mieszkaniu jakieś ślady DNA, zostały tam bowiem jeszcze meble.

– Mój Boże – wyszeptała Tinka. – Gdzie teraz jest Lucie?

– Tego nie wiemy. Może osoba, która was szantażowała, z jakiegoś powodu nawiązała kontakt z tamtą kobietą, a może ona sama poczuła, że jest obserwowana... Ale teraz znamy jej tożsamość, będzie poszukiwana na całym świecie. Jej prawdziwe nazwisko brzmi Lillemor Ahlborg. Czy to coś pani mówi? Albo Camilla Ahlborg?

Forsberg skierował to pytanie do Tinki. Ona przecząco potrząsnęła głową, lecz Leander nie był do końca przekonany, czy słowa komisarza rzeczywiście do niej trafiają. Na jej policzkach płonęły nierównomierne czerwone plamy, jak zawsze, kiedy się mocno denerwowała. Mrugała szybko, usiłując powstrzymać łzy.

– A dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? – spytał Leander, który znowu trochę wziął się w garść.

– Ponieważ my sami dopiero od kilku godzin o tym wiemy – odparł Forsberg.

– Dlaczego teraz, po czterech latach? – upierał się Leander.

Ale nie otrzymał odpowiedzi, bo właśnie zadzwieczał dzwonek. Forsberg zerwał się z miejsca, mówiąc:

– To pani Tjäder, agentka. Może ona będzie mogła nam pomóc.

Kapitan poinformował pasażerów samolotu, że start zostanie chwilę opóźniony, co wywołało nerwowe pojękiwanie i stłumione pomrukiwanie zza otwartych gazet. Lillemor westchnęła i ugładziła rozczochrane włosy Marie. Wtulona w poduszkę dziewczynka obserwowała pas startowy. Mrugała szybko. Zaraz zamkną się jej oczy. Podczas pierwszego lotu była jeszcze zdenerwowana i zniecierpliwiona, ale pobyt na frankfurckim lotnisku ją zmęczył. Także Lillemor była wyczerpana, odpręży się dopiero, kiedy znajdą się w powietrzu. Spojrzała na komórkę. E-mail od Catherine. Brazylijskie wydawnictwo kupiło licencję na jej trzy ostatnie książki. Dobrze. Odpowie jej, jak dotrą na miejsce. Z nowego numeru. Wyłączyła telefon.

Zaraz po tym, jak rozległ się głos pilota, zapalił się komunikat zapięcia pasów i maszyna wreszcie ruszyła. Lillemor sprawdziła, czy Marie ma zapięte pasy.

Kiedy jeszcze ukrywanie tożsamości stanowiło część marketingową maszyny, zabawa z Sępem w kotka i myszkę przychodziła jej łatwo. Nie była to sprawa życia i śmierci. Teraz wszystko się zmieniło. Wkrótce Marie pójdzie do szkoły. Nie będą mogły się już nieustannie przeprowadzać. Nowy początek był jej jedyną szansą. Nowy kontynent, nowe paszporty, nowy język. Jak dobrze, pomyślała Lillemor, że od dawna przyzwyczaiała się do tego, by nie zostawiać po sobie żadnych śladów, być niezauważalna.

Ani ona, ani jej wydawca nie liczyli się na początku z tym, że tajemniczość Eyji de Lyn stanie się niemal kultowa. Ale chwilę później ten stan był jej na rękę. Przyrodni brat Lillemor był zdania, że w przeważającej mierze swoją karierę zawdzięcza jemu, ponieważ to on wysłał wówczas jej maszynopisy do wydawnictwa. Nie wzbraniał się również przed żądaniem od niej wyrazów wdzięczności za swój wkład w jej genialne dzieła. A ponieważ miał skłonności, by żyć ponad stan, zgłaszał się do Lillemor bardzo często. Na początku regularnie „pożyczała” mu pieniądze, ale

pewnego dnia postanowiła nie dawać się już więcej wykorzystywać. Stwierdziła, że nie jest mu nic winna, ponieważ i bez jego pomocy osiągnęłyby to wszystko, co teraz ma, najwyżej kilka lat później. Poszukała profesjonalnej pomocy i znalazła Catherine Tjäder, lojalną osobę, która nie tylko troszczyła się o jej książki i cały ten kram, lecz także była łącznikiem między nią a światem, jej murem ochronnym przed Sępem i innymi sępami tej planety, dla których od tej pory Lillemor nie była już dostępna.

Samolot wjechał na pas startowy i przyspieszył, mechanizm napędowy zawarczał. Koła oderwały się od ziemi. Marie zatkała uszy z powodu ciśnienia. Lillemor uspokajająco położyła rękę na jej ramieniu.

Świat zrobił się taki mały. Jedno kliknięcie aparatu jakiegoś ważniaka mogłoby rozprzestrzenić wieść z prędkością światła i już byłyby ścigane.

Forsberg przyniósł do salonu jeszcze jedno krzesło kuchenne, na którym ze skrzyżowanymi nogami spoczęła drobna Catherine Tjäder. Siedzący obok niej komisarz przypominał wymiętą ścierkę. Poza tym jego spodnie miejscami nadal były mokre, co, miał nadzieję, widział tylko on.

Leander Hansson i Catherine Tjäder uścisnęli sobie dłonie, a Hansson sarkastycznie zauważył, że właściwie powinni byli spotkać się dziś wieczorem raczej na przyjęciu z okazji otwarcia targów. Tinka Hansson poza wyszeptanym „hej” się nie odezwała. Forsberg sądził, że przyczyną tego nie była jego prośba, by pozwolili mu pierwszemu porozmawiać z panią Tjäder. Po prostu nowy obrót spraw odebrał jej mowę.

Agentka literacka trochę niezadowolona spytała, dlaczego się tu znalazła, przecież wszystko powiedziała już na komisariacie.

– Mieszkanie, którego adres nam pani podała, jest puste. Świadkowie widzieli pani klientkę, jak dziś rano wsiadała do taksówki z wielkim bagażem.

Mówiąc to, obserwował ją. Robił to z powodów taktycznych, ale przyglądanie się tej kobiecie sprawiało mu także przyjemność. Wyglądała na zdziwioną.

– Ale ona chciała wyjechać dopiero zimą. Mieszkanie miała wynajęte do końca roku.

– To pani je wynajmowała – stwierdził z naciskiem Forsberg. – Na umowie widnieje pani nazwisko.



– Tak. Często tak robiłyśmy. Nie chciała nikomu przedstawiać się jako Eyja de Lyn, a jako Lillemor Ahlberg nie mogłaby wykazać żadnych dochodów, nie ujawniając swego pseudonimu. Wynajmujący mieszkania lubią klientów z dochodami. Dlatego też najczęściej to ja wynajmowałam różne lokale na swoje nazwisko. Już wcześniej... to znaczy, zanim... – zaczęła się jąkać i powiedziała w przestrzeń: – Naprawdę nic o tym nie wiedziałam! Widziałam jej dziecko, kiedy było niemowlęciem, a potem dopiero w wieku trzech lat. Nigdy nie przyszedłoby mi do głowy...

Leander skinął głową, Tinka zagryzła usta. Była blada. Mam nadzieję, że mi tu nie zemdleje, pomyślał Forsberg.

– Czy powiedziała pani, dokąd zamierza się przenieść?

– Nie. Przed kilkoma dniami napisała do mnie w związku z wypowiedzeniem mieszkania. Że nadszedł czas na zmianę. Nic więcej. To dla niej typowe.

– A co by było, gdyby pani do niej zadzwoniła i spytała, gdzie teraz jest?  
– zaproponował komisarz.

– Sądzi pan, że powiedziałyby mi prawdę? – odparła Catherine Tjäder.

– A jak pani myśli?

– Jeśli rzeczywiście ucieka z uprowadzonym dzieckiem, to raczej nie.

– Dlaczego? Nie ufa pani?

– Nie wiem – westchnęła agentka. – Jeszcze godzinę temu odpowiedziałabym twierdząco, ale teraz... Właśnie sobie uświadomiłam, że chyba nigdy jej tak naprawdę nie poznałam.

– Sprawdźmy – nalegał Forsberg.

Przytaknęła.

– Dobrze. Ale proszę poczekać! Muszę... muszę coś wymyślić, dlaczego dzwonię do niej tak późno, jest już prawie dwudziesta trzecia.

Komisarz zaproponował jej coś do picia, a Catherine Tjäder wskazała na puszkę piwa Leandera, która stała na małym stoliku.

– Czy mogłabym też dostać zimne piwo?

Forsberg poszedł do kuchni, a ona powłokła się za nim niczym żebrzący pies. Najwyraźniej nie chciała zostać sama z Hanssonami. To zrozumiałe, pomyślał.

Wzięła puszkę z piwem i nerwowo chwiejnym krokiem chodziła na obcasach po kuchni w tę i z powrotem, pijąc małymi łyżkami. Trwało to dwie minuty, potem odstawiła puszkę.

– OK. Udam, że poszłam na przyjęcie na targach, że jestem trochę pijana i spotkałam kogoś, kto jest zainteresowany prawami do filmu na podstawie jej ostatniej powieści.

– Dobrze – zaaprobował pomysł Forsberg. – Proszę jej powiedzieć, że pilnie musi się spotkać z reżyserem.

Agentka wygrzebała telefon z torebki i odetchnęła głęboko. Jej policzki nabrały różowego blasku. Potem nacisnęła przycisk i czekała, lewą ręką trzymając telefon, prawą przyciskając do piersi, jakby chciała stłumić zbyt głośne bicie serca.

– Ma wyłączony telefon – powiedziała chwilę później. – Abonent jest niedostępny...

– Potrzebuję numer do zlokalizowania telefonu – zażądał Forsberg.

Podawała mu telefon, a on zapisał numer na drugiej stronie rachunku za pizzę. Leander Hansson stanął w drzwiach i nie robił tajemnicy z tego, że przysłuchuje się ich rozmowie.

– Nie posunęliśmy się do przodu – poinformował go Forsberg i odwrócił się znowu do agentki, która usiadła na krześle sir Henry’ego. – Pani Tjäder, Hanssonowie w ciągu ostatnich dni byli szantażowani przez kogoś, kto twierdził, że zna miejsce pobytu Lucie. Kto poza panią mógłby wiedzieć, gdzie mieszka Lillemor Ahlberg?

Catherine Tjäder najpierw spojrzała na Forsberga, potem z niedowierzaniem na Hanssona, a na koniec potrząsnęła głową.

– Naprawdę nie wiem. Czasem nawet jej matka nie wiedziała, gdzie przebywa córka.

Napomknięcie o matce sprawiło, że Forsbergowi coś przyszło na myśl.

– Camilla Ahlberg umarła w lipcu, a Lillemor była na pogrzebie. Skąd wiedziała o śmierci matki?

– Ode mnie. Jej brat napisał do agencji e-mail. Przesłałam go Lillemor.

Przez chwilę Forsberg stał z otwartymi ustami.

– Lillemor ma brata?

Dlaczego, do diabła, Ptaszyca to przeoczyła? Przecież dzieci są wypisane czarno na białym w ewidencji osobowej!

– Właściwie to przyrodni brat. To on był jednym z powodów, dla których Lillemor niechętnie występowała pod swoim nazwiskiem. Kiedyś mi powiedziała, że w przeciwnym razie on by ją wiecznie naciągał i że nie może go znieść. Starła się, na ile było to możliwe, schodzić mu z drogi

i być dla niego nieosiągalna. Nie zawsze się to udawało, kilka razy ją wyśledził. Wydawało się, że był to dla niego rodzaj sportowej ambicji.

– Jak on się nazywa? – spytał Forsberg.

– Leif. Nazwisko... Przepraszam, właśnie wypadło mi z głowy, Lillemor zawsze nazywała go Sępem. Ale wiem, że pracuje w „Göteborg Dagbladet”.

*Dzwoni Leif.* Ten smarkacz! Forsberg ujrzał przed sobą zdjęcie na telefonie Evy. Leif Hakeröd! Tak się nazywa ten typ, którego Eva nie mogła znieść, ponieważ w bardzo krótkim czasie został szefem działu wiadomości, czyli objął stanowisko, na które liczyła. Ale dlaczego miałby chcieć ją zabić? Gdyby było odwrotnie, byłoby to jeszcze zrozumiałe, zakładając, że stanowisko na średnim szczeblu kierowniczym w dość dużej gazecie mogłoby w ogóle stanowić motyw morderstwa. W takim razie o co chodzi?

Forsberg odwrócił się, chcąc spytać Leandera Hanssona, czy zna Hakeröda osobiście, ale ten nie opierał się już o framugę. Nie było go także w łazience i w salonie. Jego żona siedziała sama na ogromnej sofie, ramionami oplatała kolana. Otaczała ją aura niedostępności.

– Dokąd poszedł pani mąż? – spytał komisarz.

Tinka Hansson spojrzała na niego pustym wzrokiem. Cała się trzęsła. Agentka stanęła obok Forsberga i wyszeptała do niego:

– Jest w szoku. Najlepiej, żebyśmy ułożyli ją z nogami w górze. Proszę przynieść szklankę wody.

Forsberg posłusznie poszedł do kuchni.

– Chyba wiem, dokąd mógł pójść jej mąż – krzyknęła za nim agentka. – Na przyjęcie z okazji targów. Tam będą dziś krążyć wszyscy dziennikarze.

Okolica była coraz bardziej ponura, a zabudowa stała się rzadsza. Koniec świata, pomyślał. Z przodu była zatoczka parkingowa. Zatrzymał się. Jest jeszcze czas, powiedział sobie z nagłą beztroską i zwinął sto koron w rulonik. Wykorzystał iPada jako podkładkę i wciągnął kreskę. Czekając na szum w głowie, spoglądał na ekran tabletu. Telefon Evy od kilku godzin nie dawał znaków życia, ciągle znajdował się w Askimsviken. Zastanawiał się, co to mogło znaczyć. Że Hansson odmówił. Że poinformował Evę. Może nawet policję. Nie, raczej nie, w przeciwnym razie byłby już na

komisariacie, a nie gdzieś w jakichś krzakach. Kryjówka, przeleciało mu przez głowę.

Ona i Hansson grają na czas. Wkrótce podadzą zgłoszenie o zaginięciu i będą mieli nadzieję, że on się na to nabierze i powie im, gdzie jest dziecko. Tak jak na to dyletanckie zdjęcie, które przesłał mu Hansson. Teatralna poza, dużo za duża plama krwi na piersiach... Śmieszne! Czy glock zrobiłby taką dziurę jak sztucer do polowania na słonie? Nie, nie tak, moi przyjaciele, głupka możecie sobie robić z kogoś innego.

W zasadzie jego eksperyment dobiegł końca. Co za cyrk urządzili Hanssonowie! Ten płaczliwy apel do porywacza, ta wystawiona na pokaz rozpacz. Omal nie sprawili wtedy, że zaczął im współczuć i żałować, że pomógł swojej zwariowanej siostrze. Tak, wówczas znowu był jej potrzebny, po tym jak Lillemor od kilku lat schodziła mu z drogi. To on zabrał ją z dzieckiem na tę parszywą wyspę i do jesieni zaopatrywał w jedzenie, żeby nie musiała wychodzić z domu. Nie zrobił tego dla Lillemor ani też dla pieniędzy, które znowu zaczęły do niego regulanie spływać. Nie, zrobił to dla Camilli. Jedynej osoby, która go kiedyś kochała, na swój sposób. Jego rodzona matka związała, kiedy był jeszcze małym dzieckiem, a ojciec w zasadzie kochał tylko alkohol i swoją głupią religię. A na koniec po pijaku wjechał w to cholerne morze, ani trochę nie przejmując się tym, co stanie się z jego synem. Tyle jeśli chodzi o rodzicielską miłość. Nie mówiąc już o babce, obłudnej starej jędzy, która go cały czas dręczyła.

Ale Camilla go przyjęła, powiedziała mu, że zawsze chciała mieć syna, a więc teraz go ma. Te słowa chłonał jak gąbka. Tak, bardzo lubił Camillę, z jej wszystkimi słabościami i dziwactwami, z których powodu Lillemor w swojej zarozumiałości patrzyła na matkę z góry. Kiedy przyrodnia siostra po ukończeniu szkoły wyprowadziła się, zaproponował jej, że będzie się nią opiekował za jedną trzecią jej dochodów. W końcu, argumentował, to jemu zawdzięcza, że w tak młodym wieku zarabia fortunę. Lillemor popukała się w czoło i go wyśmiała. Pokłócili się. Powiedziała, że Camilla przyjęła go tylko z powodu pieniędzy, które dostawała za opiekę nad nim od babki. Oczywiście nie uwierzył w ani jedno jej słowo.

– To dlaczego nie wzięła cię ze sobą do Göteborga, kiedy miała już dość twojego pijanego ojca? – spytała go przyrodnia siostra.

Słowa, którymi go obrzuciła na pożegnanie, wżerały się w jego duszę niczym kwas.

Leif nie został więc menedżerem Lillemor. Ale jakoś udało mu się wybić. Pracował to tu, to tam, dość długi czas zarabiał jako model, dopóki to także nie okazało się ułudą. Z dnia na dzień odczuwał narastającą wściekłość.

Tak, zrobił to wszystko dla chorej i rozgoryczonej Camilli, której jedyną radością od dłuższego czasu była rzekoma wnuczka. Nie mógł jej powiedzieć, że ta gadzina, ta wariatka uprowadziła dziecko z samego centrum Kungstorget. I to na jego oczach, wtedy 17 sierpnia, przed czterema laty.

Ta fińska grupa tańcząca tango nie pojawiła się na spotkaniu z prasą, a Eva Röög śpieszyła się do kolejnego rozmówcy. Leif zapewnił ją, że chwilę poczeka na Finów przed Avalonem, ale gdy tylko znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, on też stamtąd zniknął. Usiadł w kawiarni przed halą targową, żeby leczyć kaca, który zaczął się wieczór wcześniej. Do diabła z Finami. Do diabła z Evą Röög.

Kiedy dostał etat w redakcji i został pracownikiem Ewy, natychmiast uległ fascynacji. Ta kobieta okazała się inna niż wszystkie. Nie była szczególnie piękna, ale miała w sobie coś, co przyprawiało o szaleństwo. To ona, ta jedyna, pomyślał – właśnie on, który konsumował kobiety jak alkohol i narkotyki. Tak, zakochał się. Na poważnie. I pewnego wieczoru był bliski tego, żeby jej to powiedzieć, a przynajmniej się z nią przespać.

Ale potem ona nagle się wycofała, mimo że była już dosyć pijana, co spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Dobra, pomyślał, może nie czuła się dobrze, z kobietami nigdy się nie wie, dlaczego tracą humor. Ale chodziło o coś innego. Od tamtej pory inaczej go traktowała. Z dystansem. Jakby to, co mogło się zdarzyć, było dla niej krępujące. Jakby się tego wstydziła, a jego nie darzyła nawet drobną sympatią. To nie pierwszy raz, kiedy dostał kosza od kobiety, ale pierwszy raz od takiej, w której był zakochany. Tej hańby nigdy jej nie wybaczy, podobnie jak Lillemor czy matce, która także go nie chciała.

Takie myśli kotłowały się w jego skacowanym mózgu, gdy mieszał kawę i obserwował przepływający tłum. Aż nagle zobaczył ją: Lillemor. Nie wiedział, że jest w mieście. Mimo znajomości metod, które podpatrzył, kiedy przez rok pracował w biurze detektywistycznym, od trzech lat nie udało mu się odnaleźć jej miejsca pobytu. Automatycznie wstał, by do niej

podejść. Właśnie odjechała sprzed stoiska z dzieckiem, o którym opowiadała mu Camilla, ale zaraz w tłumie stracił ją z oczu. Obojętne, pomyślał, pewnie spotka ją jutro na urodzinach Camilli, w jej mieszkaniu. Po co innego miałyby przyjeżdżać do miasta i to z dzieckiem? Z jego siostrzenicą, uświadomił sobie. Przybraną siostrzenicą.

O tym, że z Kungstorget uprowadzono dziecko, dowiedział się dopiero, kiedy wrócił do redakcji. Blondynkę. W czarnej spacerówce. Wszystko sobie poskładał i rzeczywiście: kiedy wieczorem pojawił się u Camilli, jego matka i siostra siedziały na balkonie i piły wino, a dziecko, którego zdjęcie pojawiło się na wszystkich kanałach telewizyjnych, spało spokojnie w gościnnym łóżku.

Do śmierci Camilli Leif nigdy nie dowiedział się, czy miała świadomość, co naprawdę się stało. Musiała wiedzieć, nie była głupia. Ale zdawał sobie sprawę z tego, że ludzie są dobrzy w wypieraniu rzeczy, których nie chcą widzieć. Szczególnie Camilla.

Potem, dobre dwa miesiące temu, Camilla zmarła. Do Leifa zadzwoniono ze szpitala. Ogarnął go prawdziwy smutek. Camilla była jedynym człowiekiem, który coś dla niego znaczył. Wprawdzie nie odwiedzał jej za często, tylko dwa, trzy razy w miesiącu wpadał na kawę, ale dobrze było wiedzieć, że jest. Napisał do agentki Lillemor wiadomość o śmierci Camilli i był ciekaw, czy siostra pojawi się na pogrzebie. Przyszła, tyle że bez dziecka. W ubiegłym roku znowu przestała mu płacić, ale nie było tak źle, ponieważ znalazł sobie inne tryskające źródło. Ale w końcu chodziło o zasady, a kiedy spytał Lillemor, co zamierza zrobić z mieszkaniem – wyobrażał sobie, że będzie mógł się tam wprowadzić za darmo – znowu się pokłócili. Ona zawsze wiedziała, jak go zranić, a tego dnia odarła go z ostatnich złudzeń co do Camilli. Twierdziła, że matka cały czas wiedziała o Marie. Milczała tylko ze strachu, że będzie musiała wyprowadzić się ze swojego ładnego mieszkania, jeśli Lillemor zostanie aresztowana.

Po tych słowach okropnie się pozarli. Leif groził Lillemor, że ją wyda, a Lillemor groziła Leifowi, że zostanie wówczas oskarżony o pomoc w uprowadzeniu dziecka. W końcu zaproponowała, że da mu połowę dochodu ze sprzedaży mieszkania, jeśli nie będzie się jej więcej naprzykrzać. Zgodził się. Ale kilka tygodni później jego nienawiść zapłonęła na nowo, ponieważ dochód ze sprzedaży, a więc i jego połowa,

okazały się niższe, niż sobie wyliczył. Lillemor sprzedała mieszkanie za bezcen, można było otrzymać za nie co najmniej o jedną trzecią więcej. Zrobiła to tylko po to, żeby mu zaszkodzić, nie miał co do tego wątpliwości. W tych dniach dojrzała w nim decyzja, żeby ukarać siostrę. Odebrać jej „Marie” i zadbać o to, żeby wylądowała za kratkami. Teraz, kiedy Camilla już nie żyła, nie musiał brać pod uwagę jej uczuć. Nikt nie uwierzyłby Lillemor, gdyby oskarżyła go o współudział, a nawet jeśli – jak by mu to udowodniono?

Teraz znowu wiedział, gdzie mieszka jego przyrodnia siostra. Po pogrzebie Camilli kazał ją śledzić. Dodatkowo wynajął drobnego przestępcę, aby zrobił jej kilka zdjęć. Albo nawet lepiej – żeby nagrał film wideo z nią i dzieckiem. Na szczęście cztery lata temu tknięty jakimś mglistym przeczuciem zabrał bućki Lucie. Pomyślał, że przyda mu się jakiś fant.

Dodatkowo wpadł na wyrachowany pomysł, aby Leander Hansson, ten zblazowany, postmodernistycznie ironiczny intelektualista, słono zapłacił za odzyskane rodzinne szczęście. Zrobi z niego mordercę. Córka w zamian za niewinność, za uczciwość. Ta myśl go uskrzydlała. Co za genialny socjologiczny eksperyment!

Szybko znalazł odpowiednią osobę na ofiarę morderstwa: kobietę, która go odrzuciła, kobietę, która go znowu prowokowała, która mu właśnie zaczęła niebezpiecznie zagrażać, ponieważ wtykała nos w sprawy, które absolutnie nie powinny jej obchodzić.

A więc Leander Hansson zawiódł! Co za mięczak! Ale Leif nie wściekał się z tego powodu. To był tylko eksperyment, mógł się powieść albo nie. Gdyby musiał robić zakłady, szacowałby szanse pół na pół. Nie, nie odczuwał zadowolenia z rezultatu, który potwierdził to, co zawsze mu się wydawało: wszystko to kłamstwo, gruba przesada, te mity o pełnej poświęcenia miłości do swego potomstwa, miłości, która nie zna granic, która stoi ponad wszystkim. Głos krwi, bzdura! Teraz to wiedział.

Nieudolność Hanssona miała jedynie taką konsekwencję, że teraz będzie musiał sam zająć się sprawą Evy Röög. Ale Hansson, można tak powiedzieć, podał mu ją na srebrnej tacy. Spojrzał za siebie. Na tylnym siedzeniu leżała broń myśliwska. Naładowana.

Leif poczuł znane swędzenie u nasady nosa i jego gorączkowy nastrój przerodził się w euforię. Ostatni rzut oka na ekran. Bez zmian. Aplikacja

pokazywała lokalizację telefonu jak GPS. Tu na zewnątrz była sieć satelitarna, której program potrzebował, by móc obliczyć współrzędne, wprawdzie nie tak gęsta jak w mieście, ale nie szkodzi. Za to domy stoją dalej od siebie. Lepsze warunki. Tak, był już całkiem blisko.

Pistolet leżał na brzuchu Ewy niczym ciężka bryła. Po rozmowie z Forsbergiem poczuła się spokojniejsza. Tylko wilgotne polana wydawały dźwięki. We dwoje mogłoby tu być nawet romantycznie, pomyślała. Teraz jednak ogarnął ją raczej strach. O! Co to za hałas? Szuranie czy stukot? Dochodził z góry, z dachu. Nasłuchiwała z napięciem, ale odgłos się nie powtórzył. Uspokój się! To był ptak. Albo spadło gniazdo. Znowu się odprężyła. Pomyślała o Leanderze, o ich pierwszej wspólnej nocy. O namiętności, z jaką się kochali, o mieszance lekkości i oddania. Z żadnym innym mężczyzną jej tak nie było, ani wcześniej, ani później. A przed chwilą był jej tak obcy. Może to z powodu obecności Tinki i tej absurdalnej sytuacji. A może to wina czasu, który minął. Nie powinno się nigdy spotykać z byłymi kochankami, a przynajmniej z tymi dobrymi, pomyślała. To może działać otrzeźwiająco. Potarła powieki. Wzrok jakoś się jej zamglił. Rozkaszała się, a oczy zaczęły ją palić. Kominek! Kopcił niczym wulkan. Przecież nie układała żadnego świeżego drewna, skąd więc ten dym, który rozprzestrzeniał się po całym pokoju? Wstała. Musiała natychmiast wyjść na dwór! Nabrała powietrza i chwyciła pistolet. W ciągu kilku sekund dym tak zgęstniał, że nic nie widziała. Poszła po omacku do drzwi, znalazła klamkę i słaniając się, wyszła na dwór, w jasną jesienną noc. Stała pod małym murkiem, wykaszliwała dym z płuc i wdychała głęboko chłodne nocne powietrze. Pięknie tu na zewnątrz. Sierp księżyca wychynał właśnie zza chmur i sprawił, że mogła cokolwiek dostrzec wokół siebie. Dom okazał się mały, raczej niewielka chata, z trzech stron otoczona krzakami. Ogród był zarośnięty, najwyraźniej nikt się o niego nie troszczył. Po drugiej stronie muru biegła wąska droga, a dalej były już tylko kamienie i woda. To właściwie marnotrawstwo, żeby tak zaniedbano urokliwe miejsce. Jednak tak się właśnie zdarza, gdy ludzie mają za dużo pieniędzy. Eva usłyszała za sobą trzaski. Odwróciła się i dostrzegła zarys ludzkiej sylwetki, a wraz z hukiem poczuła rozżarzony, ciepły ciąg powietrza tuż obok swojego ucha. W odpowiedzi odruchowo strzeliła. Nie celowała, po prostu nacisnęła spust, strzeliła cztery razy w kierunku postaci. Napastnik



znowu użył broni, ale i tym razem chybił. Eva rzuciła się na niego. Nie natrafiła na duży opór i udało się jej wyrwać mu broń. Trafiła go.

– Cholera, cholera, ja krwawię! – wydyszał Leif, chwytając powietrze i przyciskając dłonie do brzucha.

Eva stanęła przed nim, mocno ściskając pistolet.

– Dzwon po doktora, ja krwawię! – charczał Leif.

– Najpierw chcę uzyskać kilka odpowiedzi! – Jej głos jeszcze drżał ze strachu.

Dostrzegła, że sięga do kieszeni kurtki. Wyświetlacz jego telefonu ożył. Kopniakiem wytrąciła mu go z dłoni i wysokim łukiem wyrzuciła w krzaki. Teraz także zobaczyła, co spowodowało pojawienie się dymu w chacie: na kominie leżała gruba, liściasta gałąź. Na pewno sama tam nie spadła. Jej gniew wzrósł. Zastrzeli tego gnojka, tak, zrobi to! W obronie własnej, to oczywiste. Ale najpierw chce się dowiedzieć kilku rzeczy.

– Dlaczego? – spytała.

– Jeszcze pytasz? Ponieważ działasz mi na nerwy. Ciągłe czaisz się, żebym popełnił jakiś błąd, żebyś mogła donieść na mnie do Hinnforsa, stale kpisz ze mnie za moimi plecami. Po prostu nie możesz znieść, że dostałem tę posadę. Myślisz, że miło jest pracować z osobą, która ciągle czyha na twoje stanowisko?

– Dobrze, że to omówiliśmy. A teraz mów prawdę albo pozwolę ci tu zdechnąć.

Milczał. Ona czekała. Minęła minuta, dwie. Eva nagle przestraszyła się samej siebie. Tej podejrzanej przyjemności, którą odczuwała, trzymając broń i przyglądając się cierpieniu Leifa. Teraz to ona miała władzę. Opanowała się i właśnie postanowiła opuścić dłoń, kiedy Leif wychrypiął:

– Cederlund.

– Co z nim?

– Był pedofilem – mówił, jakby musiał sobie wydzielać powietrze.

– I z tego powodu go szantażowałeś – powiedziała Eva, która właśnie wszystko zrozumiała.

Markowe ciuchy, drogi samochód, mnóstwo tych rzeczy, których nie da się kupić za jego pensję.

– Pobiliś Martę i splądrowałeś domy?

– Słyszałem, co Marta powiedziała do ciebie na pogrzebie. Było jasne, że zaczęłabyś węszyć. Do tego nie mogłem dopuścić.

- Całkowicie się z tobą zgadzam – odparła lodowato. – Czego szukałeś?
  - Wszystkiego, co mogłoby naprowadzić policję na mój ślad. A teraz dzwoń po pogotowie! – nalegał.
  - Jeszcze nie skończyliśmy. Gdzie jest Lucie?
  - Wezwij lekarza!
  - Najpierw adres. Ja mam czas, ty nie.
  - Århusgade 14 w Østerbro, Kopenhaga – wystękał. – A teraz dzwoń!
- Bezczelny ton rozzłościł Evę na nowo, ale zanim zdążyła zareagować, w ciemności odezwał się męski głos:
- Policja, proszę odłożyć broń.
- Potem zapaliły się reflektory i ją oślepiły.
- To nie jest tak, jak to wygląda – powiedziała Eva. – To ja jestem ofiarą.
  - Wiemy – odparła Selma i odebrała jej pistolet.

A więc to jest ta kobieta, na której punkcie Forsberg tak oszalał. Interesujący typ. W końcu sama dopadła swego przeciwnika, co zasługuje na uznanie.

Wcześniej Forsberg opowiedział Selmie przez telefon niewiarygodną historię, w której ten facet, leżący teraz ranny na ziemi, odegrał rolę łajdaka.

Uzgodnili, że Bergeröd odwiezie dziennikarkę do jej samochodu, który ciągle stał w Dansholmen.

- Zeznanie złożę jutro, teraz muszę wziąć prysznic i chwilę się przespać
- oznajmiła Eva ze stanowczością, której Bergeröd nie umiał się przeciwstawić.

Potem poszła do chaty po komórkę. Selma zaproponowała, że przy Leifie Hakerödzie poczeka na przybycie pogotowia.

- A jak wrócisz do miasta? – spytał kolega.

- Jego SUV-em, zawsze chciałam się takim przejechać – odpowiedziała.

Na ostatnim odcinku prowadzącej tutaj drogi rzuciło się jej w oczy ukryte w krzakach masywne volvo XC90.

- Jeśli o mnie chodzi, jedziesz nim na swoją odpowiedzialność – odpowiedział Bergeröd.

Potem Selma poczekała, aż znikną jej z widoku.

Z glockiem w jednej dłoni i latarką z wozu służbowego w drugiej stanęła przed mężczyzną, który skulony leżał z boku. Skierowała w jego stronę

promień światła i broń.

– Gdzie są Lillemor Ahlborg i Lucie Hansson? – spytała bez ceregieli. – I nie opowiadaj mi o Kopenhadze, bo ich tam nie ma.

– Nie wiem – wyjąkał Leif Hakeröd, próbując osłonić oczy przed rażącym światłem.

– Przysięgam, że zrobię ci jeszcze jedną dziurę w brzuchu, jeśli zaraz nie zaczniesz mówić – powiedziała cicho Selma.

– Nie zrobisz tego.

– Jesteś pewny? – wycedziła. – Nikt nie widział, co się tutaj zdarzyło. Jedna kulka więcej w twoich wnętrznościach nikogo nie zdziwi.

Hakeröd wydał z siebie przekorne parsknięcie.

Selma nacisnęła spust. Rażąco zielony huk. Tuż przy głowie Hakeröda rozprysnęły się piasek i trawa.

– Jesteś szalona! – wykrzyknął i jęcząc, ponownie położył dłonie na brzuchu. Krew tryskała spomiędzy jego palców.

– Często to słyszę – przyznała Selma. – A więc?

– Naprawdę nie wiem – wyjęczał Hakeröd w kolorze wodnistobeżowym. W oddali zawyła syrena.

– Taaak – powiedziała Selma i uniosła broń.

– Poczekaj! – wyszeptał. – Poczekaj! Jest jeszcze dom letni na Smögen...

Po tym, jak wycisnęła z niego wszystkie dane, schowała broń i zaczęła skręcać papierosa. Dźwięk syreny wzmagął się, a postrzelony leżał nieopodal i mamrotał pogrózki. Chwilę później nadszedł ambulans. Hakeröd został przypięty do noszy i zanim wsunięto go do karetki, Selma wyłowiła jeszcze z jego marynarki kluczyki do samochodu.

Protestował, ale przypomniała mu, że i tak nie będzie więcej potrzebował auta.

– Ani w więzieniu, ani na tamtym świecie.

Potem drzwi się zamknęły, karetka odjechała. Jasnozielone światło syreny zbladło.

Selma spojrzała na wodę. Była czarna i cicha, kilka świateł poruszało się w oddali. Zapaliła jeszcze jednego papierosa i napisała SMS do Forsberga, że postrzelony Hakeröd jest w drodze do szpitala, a Eva nieposzkodowana właśnie wraca do miasta. To musiało mu na razie wystarczyć. Odłożyła

telefon i zobaczyła zbliżające się reflektory. Schowała się za murem. Jakiś mężczyzna wysiadł z saaba i podszedł do chaty.

– Leander Hansson! – Selma się podniosła. – Trochę za późno. Facet z kilkoma dziurami w brzuchu został odwieziony do szpitala.

– Pani mu to zrobiła?

– Nie, Eva Röög. Jej też już tu nie ma. Z nią wszystko dobrze.

Uśmiechnął się i odetchnął z ulgą. Co oni wszyscy widzą w tej babie?

– A co pani tu jeszcze robi? – spytał.

To samo pytanie chciała mu właśnie zadać Selma, ale teraz odpowiedziała:

– Palę. A potem jadę do Smögen. Tam Lillemor Ahlborg ma swój dom letni.

Bar hotelu Gothia Towers był wypełniony pijanymi ludźmi, ale Forsberg nie mógł dostrzec między nimi ani tego smarkacza, ani Leandera Hanssona. W każdym razie obaj byli tu widziani tego wieczoru, tak mu mówiono, jednak zeznania co do godziny znacznie różniły się od siebie, więc ostatecznie zrezygnował z przepytывania ludzi. Hansson nie odbierał telefonu i Forsberg chciał właśnie zlecić poszukiwanie obu mężczyzn, kiedy otrzymał SMS od Selmy.

O kilka zmartwień lżejszy wziął taksówkę i pojechał do mieszkania Selmy, które teraz było także jego domem, w każdym razie na najbliższy czas. Musiał się dopiero do tej myśli przyzwyczaić.

Nikogo nie zastał, co go nie zmartwiło. Catherine Tjäder zostawiła mu karteczkę, że zabrała Tinke do domu i wezwała jej lekarza.

– Dobra dziewczynka – wymamrotał i ziewnął.

Czuł się jak przekręcony przez wyżymaczkę. Wszechmogący Boże, co za dzień! Najpierw martwa dziewczynka w lesie, potem zawalenie się domu, a na koniec całe to zamieszanie z Lucie Hansson. Już każde z tych zdarzeń z osobna było wystarczające, żeby wyprowadzić człowieka z równowagi. Ale Eva była bezpieczna, szantażysta unieszkodliwiony, Leander Hansson już pewnie w domu ze swoją żoną, a za Lillemor Ahlborg i Lucie Interpol wysłał pościg. Szanse na ich odnalezienie były znacznie większe niż wcześniej. Wszystko wygląda nieźle, stwierdził Forsberg.

Tylko Anniki nadal nie było. Gdyby wróciła, nie zastałaby domu, w którym mieszkali.

Poszedł do łazienki, spryskał twarz wodą i wszedł do pastelowego piekła. Jutro będzie miał kupę roboty, pomyślał. Najlepsze, co może teraz zrobić, to trochę się przespać. Z tymi myślami opadł na łóżko z baldachimem i zagłębił się w nim niczym w chmurach. Bardzo niedobry dla kręgosłupa ten materac. Ale jednak... niebiański. Był śmiertelnie zmęczony. Oczy mu się zamykały. Jego telefon zawibrował.

Eva.

– Co się stało? – spytała.

– Dużo – odpowiedział Forsberg.

– Z twoim domem?

– To znaczy?

– Właśnie przed nim jestem. Jest krzywy, stoi przed nim radiowóz i wszystko jest zablokowane. Gdzie jesteś?

Wszystko jej wyjaśnił.

– Byliśmy na dziś umówieni. Po bieganiu. Pamiętasz?

– Tak – skłamał.

– Jestem jeszcze tak nakręcona, że potrzebuję pilnie wypić kieliszek wina. I wziąć prysznic. A może jesteś zbyt zmęczony?

– Ani trochę – odparł. – Ale mam tylko piwo i wódkę.

– Świetnie.

– I nie będę cię rozśmieszał – ostrzegł ją.

– Nie jestem w nastroju do śmiechu – oświadczyła z nutką obietnicy w głosie.

Czas do ich spotkania Forsberg wykorzystał na umycie zębów, wypicie kawy i przygotowanie wywieszki z kartonu po pizzy, którą zawiesił na drzwiach dziewczęcego pokoju: „Proszę nie przeszkadzać. W żadnym wypadku!”.

– Facet inwigilował pół redakcji – powiedział Leander Hansson.

– Taką aplikację instaluje się szybko, wystarczy na chwilę dostać w ręce włączony telefon komórkowy. A kiedy się go namierza, właściciel telefonu nic o tym nie wie. Jest bardzo popularna wśród zazdrosnych małżonków – wyjaśniła mu Selma. Siedziała za kierownicą, podczas gdy Hansson przeglądał iPad Leifa Hakeröda.

Wcześniej rozmawiał z żoną. Nie była zadowolona z jego wyprawy, ale on się uparł.

– Zadzwoń, gdy tylko się czegoś dowiem – powiedział, a potem odłożył słuchawkę.

Program do inwigilowania komórek rzeczywiście działał znakomicie, w każdym razie Selma, spoglądając na ekran, mogła wyraźnie zobaczyć, że aparat Evy zastygł na chwilę w miejscu, w którym znajdowało się jej mieszkanie. Późne przesłuchanie? Uśmiechnęła się. Gdy kota nie ma w domu, myszy... Leander Hansson chyba miał podobne przemyślenia, bo zmarszczył czoło. Potem dalej zajął się przetrząsaniem iPada.

– Większość danych jest zaszyfrowana – stwierdził po chwili.

– Spece z komisariatu dobiorą się do nich. Nie chciałabym zresztą wiedzieć, co tam jest – odparła Selma.

– Dlaczego? Co masz na myśli?

Selma opowiedziała mu o Walerii Bobrow i Magnusie Cederlundzie, o podejrzeniach, które potwierdziły się, kiedy zobaczyła miejsca docelowe w systemie nawigacyjnym Leifa Hakeröda. Były wśród nich dom letni nad jeziorem Werter oraz dom Marty i Magnusa Cederlundów w Långedrag. Z drugiej strony Leif był dziennikarzem, więc mógł być tam w celach służbowych.

– Możesz sprawdzić, czy pojawia się gdzieś tam nazwisko Siska. Na przykład w e-mailach? – spytała Selma.

– Później, dobrze? – poprosił Leander. – Teraz nie czuję się najlepiej.

– Przykro mi – powiedziała. – Tak źle prowadzę?

– Nie. Po prostu całe to zdenerwowanie...

– Nie masz dziś przy sobie czekolady? – zażartowała.

Leander Hansson, śmiejąc się, potrząsnął przecząco głową i otworzył podręczny schowek.

– Napój energetyzujący, batoniki müsli, ray-bany i kilka gramów koki, jeśli dobrze rozpoznaję. Facet naprawdę niczego sobie nie żałował.

Selma zwiększyła nawiew.

– Patrz przed siebie. To pomaga.

Odwinął batonik z papierka, podstawił pod twarz Selmy i dał jej gryza. No wspaniale, teraz jem mu z ręki, pomyślała z zadowoleniem. Pomijając fakt, że właśnie łamię przynajmniej tuzin przepisów.

– Z moim żołądkiem nie nadawałbym się do twojej pracy – zauważył Leander.

– Ja z moim też się nie nadaję. Ani z moim usposobieniem. Ale może się jeszcze przyzwyczaję – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Na chwilę pogрузzyła się w myślach, a potem Leander zapytał:

– Jak właściwie wpadliście na trop Eyji de Lyn i to akurat teraz?

Selma zamierzała mu wszystko wyjaśnić. Przypadkowe spotkanie z Pernillą Nordin i rzucona uwaga, która obudziła jej ciekawość. Jednak te informacje na pewno nie służyłyby temu, aby podtrzymywać pokojowe stosunki między Hanssonem a Nordinami.

– Przypadek – powiedziała więc tylko. – Słuchałam twoich podcastów.

– Interesujesz się literaturą?

– Tak sobie – odrzekła. – Lubię twój głos. Jest ciemnoczerwony.

– Ciemnoczerwony? – powtórzył.

– Tak. Czasem też kobaltowoniebieski. Tylko kiedy kłamiesz, jest jasnoczerwony.

– Słyszysz to?

– Widzę. Tam w środku. Kilka synaps nie styka się ze sobą prawidłowo. Widzę więc dźwięki i słyszę lub czuję kolory. Nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć, nie zrozumie tego ten, kto sam tego nie doświadcza.

– Synestezja – powiedział Leander. – To dar, a nie choroba. Niektórzy artyści mieli taką umiejętność.

– Wiem – odrzekła Selma, zastanawiając się, dlaczego akurat jemu o tym mówi. Ale komu innemu miałyby o tym opowiadać?

– To praktyczne przy przesłuchiowaniu. Jesteś niczym żywy detektor kłamstwa.

– Nie zawsze działa. No i na komisariacie nikt o tym nie wie. Już i tak uważają mnie za dziwaka.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Może z powodu czarnych ubrań. Ale ja noszę je tylko dlatego, że czarny jest bezdźwięczny, rozumiesz?

– Tak sądzę – odparł. – Też tak kiedyś miałem... Potrafiłem widzieć dźwięki i słyszeć obrazy.

– Naprawdę?

– Tak. Jako student po zażyciu LSD. To było całkiem... dziwaczne. Ale też jakoś...

– Fajne? – odpowiedziała Selma.

– Tak – stwierdził. – A co z białym?

– Też jest cichy, ale nie tak jak czarny. Poza tym nie chcę chodzić ubrana jak pielęgniarka albo panna młoda.

Zaśmiał się.

– A więc ja brzmię ciemnoczerwono.

– Tak.

– A ty?

– U samej siebie nic nie widzę.

Była druga w nocy, kiedy przejechali most prowadzący do Smögen.

– Byłem tu już kiedyś – odezwał się Leander. – W Kungshamn mają dobre krewetki. Myślisz, że Lucie tu jest?

– Może. To dobre miejsce na ukrycie dziecka.

– No nie wiem. Nie jest to wcale odludna wyspa – powątpiewał.

– Drzewo najlepiej ukryć w lesie – odparła Selma. – Wakacyjni goście nie znają się nawzajem. A jeśli dom należy do niej od dawna, to była tam już może z dzieckiem, ze swoim własnym. A więc sąsiedzi, którzy tam mieszkają na stałe, myślą automatycznie, że to jest to samo dziecko. Tak jak pani Tjäder.

Leander potaknął.

– Dom leży na zachodnim wybrzeżu – zauważyła Selma. – Może tam jest spokojniej.

– A co z systemem nawigacyjnym? – spytał.

– Nie ma żadnego adresu.

– To jak znajdziemy ten dom?

– Leif Hakeröd był tak miły, że wszystko mi wytłumaczył – powiedziała Selma. – Proponuję, żebyśmy poczekali, aż zrobi się jasno. Nie ma sensu błądzić po skałach.

– Dobrze – zgodził się Leander.

Selma wyjechała z miejscowości, minęła cmentarz i zatrzymała się na pustym parkingu. Szylt informował, że droga stąd prowadzi w dół na plażę. Leander otworzył dach, podczas gdy ona oświetlała latarką najbliższą okolicę, paląc przy tym papierosa. Usiedli na tyle samochodu i włączyli radio. Klasyczny rock w żywiołowych kolorach. Leander otworzył napój energetyzujący i podał butelkę Selmie. Napiła się. Niebo się rozjaśniło, gwiazdy migotały. Leander spoglądał w górę, a potem potrząsnął głową.

– Co jest? – zapytała Selma.

– Mam wrażenie... ach, nie wiem. Wszystko jest tak szalone.



– Chciałabym cię o coś spytać – powiedziała.

– Tak?

– Czy wyglądam jak ptak?

– Tylko z profilu – odrzekł i się zaśmiał.

Przyjacielski, jasnobrązowy śmiech.

– Jaki ptak? – spytała.

– Kruk – zadeklarował. – Definitywnie.

– Z powodu moich włosów.

– Nie – odrzekł. – Tak po prostu.

– Kruk – powtórzyła.

– Kruki są ładne. Tajemnicze, mądre i płochliwe. I trochę wzbudzają strach, ale to z winy Poego.

Zaśmiała się, a potem jego długie palce pogładziły jej włosy, obrysowały kontur twarzy i zastygły na karku.

Na całym ciele dostała gęsiej skórki.

– Skręcisz mi jednego? – spytał.

– Jasne.

Na zmianę zaciągali się papierosem do wtóru *Smoke on the Water* – piosenki lecącej z głośników, nie w ich głowach. Po chwili się pocałowali. Krótko, niezgrabnie. Potem dłużej.

– Naprawdę w schowku jest kokaina? – spytała Selma.

Forsberg obudził się o świcie i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Przede wszystkim irytowało go ciepłe kobiece ciało w bieliźnie, które zajmowało więcej niż pół łóżka z baldachimem. Rozejrzał się wokół, wspomnienia powoli zaczęły do niego wracać. Ciągle miał na sobie wczorajszą koszulę i sztruksy. Buty grzecznie stały przy łóżku. Podniósł się, poszedł do toalety, umył zęby, żeby pozbyć się smaku martwego szczura. No to Ptaszyca będzie miała o nim wspaniałe zdanie. Kobiece odwiedziny już pierwszej nocy.

Kiedy wrócił do pokoju, Eva wyprostowana siedziała na łóżku, przyglądając się swoim dłoniom i obrączce. Oznajmiła, że zostawi Stiega.

– Byłem tak dobry? – spytał Forsberg.

– Czegoś takiego jeszcze nigdy nie przeżyłam – odpowiedziała.

– Co w takim razie zrobisz, kiedy będę w swojej najlepszej formie? – uśmiechnął się Forsberg, którego ogarnęły właśnie strach i trwoga.

– To nie ma z tobą nic wspólnego.

Oby!

– Pomyśl o jego Z4 – upomniał ją.

– Po prostu nie pasujemy do siebie. Zrozumiałam to wczoraj w tej chacie.

Koniec żartów, pomyślał Forsberg. Zdjął ubranie i wśliznął się z powrotem do łóżka.

– A więc szybko rozpoczniemy jeszcze romans, zanim się rozwiedziesz.

Eva przekręciła się na bok, położyła głowę na łokciach i spojrzała na niego. Dienne światło sączyło się przez różowe zasłony. Była piękna, chwila wieczności, pomyślał.

– Jesteś niemożliwy! – zaśmiała się.

– Tak – odparł.

Dobłą godzinę później komisarz siedział w kuchni. Postanowił, że jeszcze odczeka pięć minut, a potem obudzi Ptaszycę. Nie słyszał, jak ta wróciła do domu, ale to nic dziwnego, jeśli wierzyć zeznaniom Evy: podobno po wypiciu piwa, wódki i nieudanym wyznaniu miłości zasnął na kuchennym stole, a potem, jak w transie, poszedł za Evą do pokoju, gdzie zwałił się na łóżko niczym wór z ziemniakami i zaczął chrapać jak niedźwiedź.

Zmył szklanki, wytarł stół i wyrzucił do kosza pizzę, którą wczoraj Selma wzgardziła w usprawiedliwionej złości.

No, pół do ósmej, robi się późno! Zapukał do jej drzwi, a kiedy nie zareagowała, zajrzał do środka. Sir Henry siedział na łóżku i spoglądał na Forsberga z niemym wyrzutem.

– Już dobrze – powiedział komisarz i zaciągnął go z powrotem do kuchni, na jego stałe miejsce. Żadnego SMS-a, w skrzynce mailowej pusto.

Czy powinien się martwić? Z drugiej strony – co on wie o jej prywatnym życiu? Może została na noc u przyjaciela albo przyjaciółki. Postanowił pojechać na komisariat, a jeśli do dziesiątej Selma się nie pojawi albo nie odezwie, to wtedy do niej zadzwoni.

Słońce przedzierało się przez mgłę, silny morski wiatr rozdmuchiwał smugę kurzu, którą wyglansowany XC90 Leifa Hakeröda wzniecał za sobą. Pojazd okazał się bardzo pożyteczny podczas jazdy prowadzącą w górę wąską nieutwardzaną drogą. Hakeröd zapewne nie chciałby być świadkiem

tego, jak Selma pozwalała mu podskakiwać na zwirowanej drodze niczym kłusującemu koniowi.

Leander wczepił się w siedzenie i gorączkowo myślał, czy może polegać na opisie drogi Hakeröda i pamięci Selmy, czy zaraz nie osuną się w przepaść.

– Dobrze, że jednak nie jechaliśmy tędy nocą.

– Tak – odpowiedziała Selma.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, a on odwzajemnił uśmiech.

W kawiarni na przystani zjedli śniadanie, głodni, małomówni i zakłopotani, chwilę trwało, nim znowu mogli spojrzeć sobie w oczy. Leander zastanawiał się, dlaczego zawsze czuje magiczne przyciąganie do dziwnych kobiet. Pomyślał o Tince, kiedy wczoraj siedziała na sofie, o tej chwili, w której był tak mocno przekonany, że ją kocha. Nie mógł przypuszczać, że kilka godzin później prześpi się z tą ptasią istotą, Selmą, która potrafi widzieć dźwięki i słyszeć kolory. I do tego w samochodzie, jak nastolatki! Kokaina nie może służyć za wymówkę, ona tylko wszystko... wyostrzyła. Już kiedy zobaczył Selmę po raz pierwszy w biurze Forsberga, uznał ją za pociągającą i wyobrażał sobie to wszystko, co teraz nastąpiło. Cholera, co się z nim dzieje? Ma wspaniałą żonę, pracę, którą lubi, w każdym razie zazwyczaj lubi. To wystarczy, żeby nie być niezadowolonym. A do tego wzrosła pewność, że Lucie żyje. Żyje i nie cierpiała, nie wpadła w ręce pedofila i na pewno ją znajdą.

Za zakrętem zobaczyli dom. Szary i pochylony wtulał się w małą zatoczkę, jakby był tu od zawsze. Może to baza dla przemytników. Stał sam i robił wrażenie samotnego, mimo że następna miejscowość była oddalona najwyżej o kilometr. Wygodniej było dotrzeć do niego wodą. Daleko w dole, gdzie kończyły się skały, przy malutkiej zwirowej plaży znajdowała się przystań. Wykute w kamieniu schody prowadziły w górę. Nie dostrzegli ani łódki, ani samochodu. Dom zbudowano z grubych szarych kamieni. Wyglądał na opuszczony i senny, pnące róże zarosły pół dachu, a niebieskie okiennice były zamknięte. Leander już wcześniej nie wierzył, że znajdzie tu Lucie, mimo to poczuł lekkie rozczarowanie.

Podjechali pod dom, Selma zgasła silnik, wysiadła i poszła obejrzeć budynek. Także Leander opuścił samochód i się rozejrzał. Od strony morza zobaczył ogród, przy czym słowo „ogród” było tu przesadzone, chodziło bowiem o teren z wysuszonymi krzakami i drzewem pochylonym od

wiatru, otoczony kamiennym murem. W kącie leżała reszta drewna. Po drugiej stronie muru były już tylko skały, z których szczelin wyrastały wysuszone krzaki, a gdzieś tam delikatne kwiaty chylące się na wietrze. Skały i morze, nic więcej. Krajobraz, który przyprawiał go o dreszcze. To nie miejsce dla dziecka. Czy Lucie tu była? Jak długo? Jak to wytrzymała? Pamiętał, że wszystko się jej tak szybko nudziło.

Selma wróciła do samochodu, wzięła jakieś narzędzie i kilka minut później wyważyła drzwi. Leander znowu poczuł ucisk w klatce piersiowej. Kiedy się to wszystko zakończy, musi pójść do kardiologa.

Zrobiło mu się lepiej, gdy weszli do środka i otworzyli okiennice. Dom był urządzone prosto i wydierał ten typowy zastały zapach budynków, które są rzadko zamieszkiwane. Na dużej przestrzeni znajdował się salon z kuchnią. Właścicielka postawiła wielkie mahoniowe biurko przy oknie tak, że poprzez ogród mogła spoglądać na Skagerrak. W sypialni stało szerokie łóżko z metalu, a przy ścianie dziecięce łóżeczko z białymi szczebelkami. Przed nim leżał różowy utkany dywanik. Leander dotknął materaca. Czy Lucie na nim leżała?

W szafie na ubrania były jeszcze pościel i prześcieradło oraz dwie letnie sukienki, niebieska i kolorowa. Obok szafy stała komoda. Otworzył górną szufladę. Rzeczy dziecięce. Przejrzał je. Nic należącego do Lucie, oczywiście, że nie. W drugiej szufladzie znajdowały się chusteczki, pieluszki jedno- i wielorazowego użytku, a w ostatniej... Przestraszył się. Co to za dziwne urządzenia? Inhalator. Lampa emitująca podczerwień. Cienkie rurki, jednorazowe strzykawki i przedmiot, który wyglądał jak maska tlenowa. Czy Lucie była chora? Bzdura! To jej własne dziecko było chore, ciężko chore. Może umarło. W przeciwnym razie po co uprowadziłaby inne? Powoli zaczął rozumieć, czego Selma szukała. Wrócił do salonu.

Kłęczała przed żelaznym wjazdem w podłogę. Krótco spojrzała na niego i wskazała na drzwi zapadowe z grubym żelaznym kołem.

– Ja to zrobię – powiedział i pociągnął za drzwi. Poszło łatwiej, niż sądził. Kamienne stopnie prowadziły w ciemność. Poczuli zimny podmuch.

– Przyniosę latarkę – rzuciła Selma i poszła do samochodu.

Dom nie był podłączony do sieci elektrycznej, gdzieś jednak musiał znajdować się generator prądu, ponieważ dostrzegł lampy. Lodówki nie zauważył, a kuchenka była napędzana butlą gazową.

– Czy mam tam wejść? – spytał, kiedy Selma wróciła.

– W żadnym razie. To moja praca.

Oświetliła schody i zaczęła schodzić. Leander znowu poczuł, że się trzęsie. Pochylił się nad wjazdem i obserwował, co promienie światła wyławiają z ciemności. Mała spiżarnia, na tyle wysoka, żeby Selma mogła się wyprostować. Regały z metalu, skalne ściany. Puszki z konserwami, głównie z owocami, środki czystości, napoczęte puszki z farbą, kanister ze środkiem myjącym do drewnianej podłogi. Narzędzia: piła, młotek, wiertarka. W kącie stały łopata, kilof i grabie. Nic nadzwyczajnego, poza metalową półką, którą dopiero po kilku sekundach zidentyfikował jako stojak do kroplówki. Odwrócił się, podszedł do okna. Mgła się rozplynęła, niebo zrobiło się ciemnoniebieskie, jednak z zachodu napłynęło kłębowisko chmur. Mewy przechadzały się po pomoście. Dlaczego nikt nie wiedział o śmierci dziecka? Czy to możliwe, żeby z powodu jakiegoś błędu w urzędzie w aktach nie została odnotowana śmierć dziecka?

Usłyszał, jak Selma wchodzi na górę i zamyka drzwi zapadowe. Stała obok niego przy oknie i chuchała w dłonie. Objął ją ramieniem i potarł jej ręce, żeby się rozgrzały.

– Jej głos – powiedział. – Też go słyszałaś. Jaki miał kolor?

– Niebieski – odparła Selma. – Jak morze dzisiaj.

– Może wrzuciła dziecko do morza – zastanowił się.

– Własne dziecko?

Wiedział, co ma na myśli. Wyobrazenie, jak mewy albo ryby nadgryzają ciało. Albo że przypłynie do jakiegoś portu w postaci padliny. Nie.

– Może ona je zabiła? Ponieważ było chore – gdybał dalej.

Zabiła i wzięła sobie zdrowe. Jego.

– Obojętne, co się wydarzyło. Swojego martwego dziecka nie wrzuca się do morza ani nie kładzie w piwnicy. Grzebie się je – stwierdziła stanowczo Selma.

*Grzebie się je.* Jak można kogoś pogrzebać, skoro ziemia składa się tylko ze skał.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Ogród! – zawołała Selma i wyciągnęła go za rękę na zewnątrz. Przedzierali się przez trawę, która sięgała im do bioder. Za skarłowaciałym, przechylnym od wiatru drzewem leżała sterta kamieni. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak pozostałość po budowie muru, ale po chwili dostrzegł, że

ktoś wydłubał jego kawałki i usypał je pieczołowicie w długą na metr kopułę.

Bez słowa zaczęli odsuwać kamienie na bok. Po chwili pojawiła się piaszczysta gleba.

– Przyniosę łopatę – zaproponował Leander i szybko się oddalił.

– Ja to zrobię – powiedziała Selma, kiedy wrócił z łopatą i kilofem.

Potrząsnął głową i wbił szpadel w twardą ziemię.

– Leanderze! – krzyknęła Selma. – To moja praca. I jeśli ktokolwiek tam leży, to nie jest Lucie! Lucie żyje i wkrótce zostanie odnaleziona.

Przerwał.

– Przecież wiem – szepnął.

Jego instynkt opiekuńczy wziął górę. Sama Selma zresztą przyznała, że takie rzeczy „uderzają ją po żołądku i nastroju”.

– Proszę, daj mi to zrobić. Nikomu nie powiem.

– OK – zgodziła się w końcu, usiadła na murku i zaczęła skręcać papierosa.

Warstwa piasku i ziemi nie była głębsza niż na pół metra. Już po kilku ostrożnych ruchach łopatą pojawiła się pierwsza kość. Była brązowa. Przypominała kość przedramienia. Leander starannie odkopywał dziecięcy szkielet. W kilku miejscach zostało coś, co wyglądało jak pomarszczona skóra. Widać było również materiał, który kiedyś musiał być biały. Leanderowi przypomniawszy się stara opowieść ze stołówki: ktoś opowiadał o wakacjach na Lesbos i że tam chowa się krewnych tylko na trzy, cztery lata. Potem rodzina ich odkopuje, spotyka się na cmentarzu na „czyszczenie kości” i na końcu oczyszczone szczątki wędrują do skrzyni, a ta do swego rodzaju magazynu przy cmentarzu. Kolega zrobił nawet zdjęcia regałów z podpisanymi skrzyniami i wszystkim pokazywał. Wówczas Leander uważał to za makabryczne i obrzydliwe. Zadziwiające, że nie odczuwał obrzydzenia, odkopując martwe dziecko kobiety, która zabrała mu jego własne. Ujawniając jej tajemnicę. Z gniewną satysfakcją wyobrażał sobie jej przerażenie, kiedy o tym usłyszy lub przeczyta.

Pojawiła się czaszka. Małe brązowe zęby tkwiły w górnej szczęce. Żadnych włosów. Włosy rozkładają się przecież dość powoli, pomyślał Leander. Ale tu nie było żadnych.

– Wystarczy. – Selma położyła chłodne dłonie między jego łopatkami.

Podniósł się. Nie wiedział, jak długo już tam stała i go obserwowała.

– Chodź, wracamy – powiedziała.

Marie zmarła cztery miesiące przed drugimi urodzinami, pewnej lodowatej styczniowej nocy. Przed śmiercią spędziła osiem tygodni w śpiączce, a Lillemor czasami, w chwilach słabości, marzyła już o jej śmierci, w następnym momencie wstydząc się swoich myśli i prosząc Boga, by podarował jej jeszcze wiele dni z córeczką. Ale ten dzień musiał w końcu nadejść. Kiedy śmierć rzeczywiście się zbliżała, ból był nie do zniesienia. Lillemor czuła się oszukana. Dawano jej perspektywę trzech lat życia, a minęło dziewiętnaście miesięcy. Jak mogli się tak pomylić? Wzbraniała się przed daniem za wygraną, ignorując rzeczywistość. Przewijała Marie, podawała kroplówki z płynnym pokarmem, kąpała ją i ubierała w czyste ubrania. Ale wzrok dziewczynki stawał się coraz bardziej szklisty i skierowany w pustkę, na jej skórze pojawiały się ciemne siniaki, a z głowy wypadły włosy. Wzmagający się zapach rozkładu zmusił pewnego dnia Lillemor do skonfrontowania się z prawdą. Marie była martwa. Co się teraz zdarzy? Co się robi, kiedy ktoś umarł? Wzywa się lekarza, firmę pogrzebową. Ale Marie nie potrzebowała już lekarza, a Lillemor nie chciała, żeby jakiś przedsiębiorca pogrzebowy dotykał małego ciała jej dziecka. Nie chciała pogrzebu, ani na cmentarzu przykościelnym na wyspie, ani nigdzie indziej. Co łączy Marie albo Lillemor z cmentarzem? Nic! Poza tym pytaliby ją, dlaczego tak długo czekała, i wszędzie oskarżano by ją o śmierć córki, ponieważ nie zabrała jej do szpitala. Wybrała miejsce, które dobrze widziała, gdy siedziała za biurkiem. Kilofem uderzała w zamrożoną ziemię, aż jej prawie odpadły ramiona, wkrótce natrafiła na skałę nie do przebicia. Założyła Marie białą koszulkę nocną i włożyła ją do skalnego łóżeczka. Rękoma nagarnęła ziemię i ostrożnie przyklepała. Mamrotała przy tym modlitwę, którą pamiętała z czasów Ingvara Hakeröda, męża matki: „Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie... Ojciec nasz, który jesteś w niebie...”. Żeby żadne zwierzę nie dobrało się do ciała, wyłubała z muru kamienie i ułożyła je w stos.



Podobnie jak w kurhanach, których pełno w całym kraju. Ustawiła przed nim znicze. Aby wypełnić pustkę, która pozostawiła po sobie Marie, skończyła książkę, zaczęta w ciąży. W zadziwiający sposób udało jej się skoncentrować i po czterech tygodniach powieść była skończona. Ale samotność, którą wcześniej tak ceniła, teraz ją przytłaczała. Pospiesznie opuściła więc wyspę i martwą córeczkę. Nikomu nie opowiedziała, co się wydarzyło. Marie była tylko jej dzieckiem i jej śmierć nikogo nie powinna obchodzić.

Forsberg z mieszanymi uczuciami zarejestrował nieobecność Ptaszycy. Dowiedział się też, że chce się z nim widzieć Dag Cederlund. Zaprosił go więc do gabinetu. Mężczyzna, którego widział pierwszy i jedyny raz na pogrzebie jego ojca, niezgrabnie zajął miejsce na krześle dla odwiedzających i skubiąc kanty spodni, zaczął z wahaniem:

- Jestem tu z powodu oskarżeń wobec mojego ojca.
- Tak – odpowiedział Forsberg.

Czego chciał? Poskarżyć się? Wtedy raczej przyszedłby z prawnikiem. Dag Cederlund przesunął węzeł krawata, a komisarz ujrzał przed sobą chłopca, który musiał radzić sobie z napadami agresji matki oraz wstydem i bezradnością ojca. A teraz ojciec okazał się jeszcze pedofilem. Rodzina, pomyślał Forsberg. Powinna być dla dzieci opoką, a jednak często wypacza je i rani.

- Włamanie i napad na moją matkę. Czy to miało z tym coś wspólnego?
- Staramy się tego dowiedzieć – wyjaśnił Forsberg. – Wczoraj aresztowaliśmy dwóch podejrzanych i od godziny przeszukujemy ich mieszkania.

Cederlund potaknął.

- Eva Röög powiedziała mi, że matka chciała się z nią spotkać. Ale ten napad...

- Tak – odrzekł Forsberg i zerknął na zegarek.

Już prawie dziewiąta i ciągle brak wiadomości od Selmy. Przy najbliższej okazji będzie musiał z nią poważnie porozmawiać.

Dag Cederlund sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i położył na biurku dużą brązową kopertę.

- W dokumentach matki znalazłem to pokwitowanie. Dwa dni po śmierci mojego ojca otworzyła w Forex Banku skrytkę depozytową. To dość zaskakujące, bo nasza rodzina nie miała do tej pory nic wspólnego z tą placówką. Dyrektor powiedział, że nie może mi udzielić dostępu do

schowka, bo matka nie jest... nie jest przecież martwa. A ja, póki co, nie jestem jej pełnomocnikiem. Nie podjąłem zresztą żadnych kroków w tym kierunku, ponieważ lekarze pozostawiają mnie ciągle w niepewności, jak długo to wszystko może jeszcze trwać.

– Sądzi pan, że w tej skrytce jest coś, co mogłoby nam pomóc?

Dag Cederlund potaknął.

– Nie znam procedury prawnej w takich wypadkach, ale może prokuratura miałaby do tego szybki dostęp, gdybym wkroczył na drogę sądową – powiedział sztywno, a Forsberg przyjrzał mu się i spostrzegł, jak mu z tym wszystkim trudno. Najwyraźniej jednak zależało mu na wyjaśnieniu tej sprawy. Czy chciał to wyjaśnić, żeby wreszcie znaleźć spokój, czy może miał nadzieję, że w skrytce będzie coś, co oczyścić z zarzutów jego ojca?

– Dowiem się – obiecał Forsberg. – Dziękuję, że mi pan o tym powiedział. To odważny krok z pana strony.

Cederlund przyjął pochwałę bez widocznej reakcji.

– Jest coś jeszcze – rzekł. – Kiedy przeglądałem księgowość wydawnictwa, moją uwagę zwróciło konto, na które co sześć miesięcy przelewano tantiemy. Najczęściej w sześciocyfrowej kwocie. Ale książka, za którą je wypłacano, nie istnieje, podobnie jak jej autor. To konto w Lichtensteinie. Wyciągi znajdują się w tej kopercie. Może znajdą państwo ich właściciela podczas... podczas przeszukiwania mieszkań.

– To całkiem możliwe – powiedział Forsberg.

– Mam tylko prośbę – zaznaczył Cederlund. – Czy byłby pan tak miły, żeby mnie informować o wszystkim, co będzie dotyczyć mojego ojca, zanim dowie się o tym prasa?

– Tak – odrzekł komisarz. – To oczywiste.

I pomyślał: Ale przecież teraz to on jest prasą.

Dag Cederlund wstał, podziękował i pożegnał się z typową dla niego sztywnością.

Telefon Forsberga zadzwonił. Wreszcie, Ptaszyca!

W poniedziałek 26 września Selma siedziała spięta obok Forsberga i Malin w dużej sali konferencyjnej, gdzie Anders Gulldén prezentował chmarze dziennikarzy wyniki śledztwa z ostatnich tygodni. Eva Röög zajmowała

krzesło w pierwszym rzędzie i uwadze Selmy nie uszły poufałe spojrzenia, które wymieniała z Forsbergiem.

– Chodziło o organizację przestępczą, która pośredniczyła w przekazywaniu pedofilom dzieci między czwartym a czternastym rokiem życia. Na podstawie danych telekomunikacyjnych, internetowych i dokumentów, które znaleźliśmy w mieszkaniach podejrzanych, stwierdziliśmy, że należeli do niej obywatel Litwy, Michael Siska, rzekomy kierowca taksówki, i jego żona, Janne Siska. Pani Siska zajmowała się opieką nad dziećmi rodzin imigrantów z Biskopsgården. Michael Siska dostarczał swoim liczным klientom między innymi właśnie te dzieci, które zostały powierzone opiece jego żony. Czy Janne Siska o tym wiedziała, tego jeszcze nie udowodniono, ale sądzimy, że tak. Rodzina Sisków wykorzystywała zaufanie rodziców, wśród których wielu żyło w Szwecji bez pozwolenia na pobyt i bez dobrej znajomości języka. Możliwe jest także, że w pojedynczych przypadkach sami rodzice dzieci wiedzieli o ich wykorzystywaniu i na ile to możliwe, zarabiali na tym.

Głośne westchnięcie słuchaczy. Selma spojrzała na Malin. W piątek matka pewnej pięciolatki zeznała jej, że Michael Siska zapewniał ją, iż fotograf będzie małej „tylko robił zdjęcia” i ona – oczywiście! – zgodziła się, za co otrzymała pięćset koron.

Anders Gulldén zerknął na swoją kartkę i mówił dalej:

– Starsze dzieci Michael Siska przyprowadzał, że tak powiem, z ulicy. Wabił je drobnymi kwotami albo prezentami. U Walerii Bobrow znaleźliśmy pluszowe misie i lalkę. Waleria Bobrow znała rodzinę Sisków, ponieważ często przyprowadzała do nich młodszego brata albo go stamtąd odbierała. Mieszkali w tym samym bloku. Możliwe również, że przyjaciel i sutener matki Walerii, Iwan Krull, przekazał dziewczynkę Michaelowi Sisce. Iwan Krull, obywatel Estonii, pochodził z Tallina. Wcześniej był karany za przemyt i bimbrownictwo. Iwan Krull i Michael Siska znali się od dawna i prowadzili razem nielegalne interesy.

Gulldén zrobił pauzę. Jego słuchacze gorączkowo bazgrali w notatnikach albo stukali w klawiatury. Teraz dopiero będzie gorąco, pomyślała Selma, kiedy szef policji kryminalnej zaczął mówić dalej:

– 15 sierpnia tego roku Waleria Bobrow zmarła w domu letnim wydawcy Magnusa Cederlunda. Zakładamy, że był to wypadek. Prawdopodobnie dziecko podczas czynności wykorzystywania seksualnego doznało ataku

astmy, wskutek czego zmarło. Niestety, jak państwo wiedzą, świadek nie może nam nic o tym powiedzieć, ponieważ dzień później zastrzelił się w tym samym domu. Zanim to zrobił, zadzwonił do Michaela Siski, jak wynika z analizy połączeń telefonicznych. Michael Siska usunął ciało dziewczynki, zakopując je w pobliżu Pukasjön, co mogliśmy udowodnić na podstawie badań śladów przeprowadzonych przez laboratorium kryminalistyczne. Przypuszczamy, że Iwan Krull z powodu śmierci córki przyjaciółki stał się niebezpieczny dla Michaela Siski albo dlatego, że go tym szantażował, albo dlatego, że puściły mu nerwy. A więc Michael Siska zwabił Iwana Krulla w pułapkę i go zabił. Oksana Bobrow, która wiedziała, że Iwan Krull i Michael Siska robili razem interesy, znalazła na kuchennym stole odciętą głowę swego przyjaciela z zaszytymi ustami.

– Co takiego? – zawołał ktoś.

– Tak jak mówię – odszczeknął Gulldén. – Usta były zaszyte. Czarną nicią. Taką samą znaleźliśmy w domu Siski.

– To coś nowego – skarżył się przerywający przemowę dziennikarz.

– Sądzę, że jest pan tu właśnie po to, żeby dowiedzieć się czegoś nowego – odparował zdenerwowany Gulldén. – Czy mogę kontynuować? Na koniec będą państwo mogli zadawać pytania.

Znowu spojrzął na swoją kartkę.

– Michael Siska i Iwan Krull byli odpowiedzialni za dostarczanie dzieci. Ale skąd mieli klientów? Za to odpowiadał znany większości z państwa Leif Hakeröd.

Mimo że ta wiadomość już się rozeszła, to teraz i tak przez salę przebiegł pomruk.

– Trzy lata temu Leif Hakeröd podczas zbierania materiałów na temat półświatka natknął się na listę klientów zastrzelonego sutenera, który nielicznym z nich dostarczał małoletnich. Ten mężczyzna był, powiedzmy, kompanem Michaela Siski. Zamiast przekazać informacje odpowiednim urzędnikom, Hakeröd zdecydował się zachować je dla siebie. Szantażował co najmniej pięć osób z tej listy. Wiemy to z analizy wyciągów z jego konta w Lichtensteinie. Wobec tych ludzi trwa postępowanie, dlatego też ich tożsamość nie zostanie na razie ujawniona.

Pomruk się wzmógł, a Gulldén poprosił o spokój i mówił dalej:

– Jedną z tych osób był Magnus Cederlund, pracodawca Leifa Hakeröda. Od niego zażądał on nie tylko wysokich sum, lecz także przeforsowania go

na stanowisko kierownicze. Dowody na to znajdują się w laptopie, który wdowa po Magnusie Cederlundzie przed swoim pobiciem umieściła w bankowej skrytce depozytowej.

Selma i Forsberg wymienili spojrzenia. Pomyśleli o kolekcji zdjęć pornograficznych z dziećmi, które Marta musiała tam znaleźć obok wspomnianych już informacji.

– Na szantażu Leif Hakeröd jednak nie poprzestał. Nawiązał kontakt z Michaelem Siską i zaczął współpracę z organizacją przestępczą. Miał dostęp do najlepszych kręgów społecznych, naganiał Sisce klientów, pod fałszywym nazwiskiem wynajmował różne mieszkania, gdzie dochodziło do wykorzystywania dzieci.

Selma wiedziała, że te informacje pochodzą od Siski, któremu prawnik doradził, żeby zeznawał przeciwko Hakerödowi.

Gulldén zrobił pauzę, nabrał powietrza, a potem z widoczną odrazą powiedział:

– W tablecie Leifa Hakeröda znaleźliśmy poza tym materiał zdjęciowy. Można powiedzieć: katalog ze zdjęciami dzieci obu płci, z informacjami co do ich wieku, ich... umiejętności... – Gulldén przerwał, a potem dodał, tracąc kontrolę: – Muszę powiedzieć, że była to najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem!

– Nigdy nie mogłem znieść tego dupka! – zawołał ktoś głośno, a po sali rozniósł się pełen aprobaty pomruk.

– Proszę, moi państwo!

Tłum się uspokoił.

– Czy Hakeröd stoi także za napaścią na Martę Cederlund? – spytał blondyn z pierwszego rzędu.

– Tak nam się wydaje – odpowiedział Gulldén. – Na razie się do tego nie przyznał, Marta Cederlund nadal jest w śpiączce, a jej stan, niestety, z każdą chwilą się pogarsza.

– A gdzie on teraz jest?

Gulldén w zwięzłych słowach powtórzył to, co już było wiadome, a mianowicie, że Hakeröd został w środę wieczorem postrzelony podczas aresztowania. Od tej pory leży w klinice i jest pod ścisłym nadzorem. Jego stan jest stabilny i umożliwia przesłuchanie, ale zatrzymany odmawia składania zeznań. O strzelaninie i okolicznościach, które doprowadziły do

aresztowania Hakeröda, szef policji kryminalnej milczał „ze względu na dobro śledztwa”.

Selma знаła prawdziwe powody: Hanssonowie, wspierani przez Holgera Nordina, poprosili, żeby na razie, o ile to możliwe, nie podawać do wiadomości publicznej historii o szantażu. Także Eva Rögg nie chciała, by zostało ujawnione, jaką rolę odegrała w tej sprawie. Opinia publiczna i tak wcześniej czy później się o tym dowie, wystarczy, że Hakeröd stanie przed sądem za podżeganie do morderstwa. Na razie nie ujawniono też, że Glock 17, z którego Eva postrzeliła Hakeröda, pochodził z domu letniego Cederlunda, tak samo jak sztucer Sauer S90, z którego Hakeröd strzelał do Ewy. I tak mediom dostało się dużo pożywki.

W ubiegły czwartek laboratoria kryminalistyczne z Kopenhagi i Göteborga przekazały wyniki badań porównawczych DNA zachowanej szczoteczki do zębów Lucie i śladów z kopenhaskiego mieszkania. Jeszcze tego samego dnia Gulldén pozwolił wybuchnąć bombie i oficjalnie potwierdził, że pisarka Eyja de Lyn naprawdę nazywa się Lillemor Ahlberg i jest podejrzana o uprowadzenie Lucie Hansson. Od tej pory telefony nie przestawały dzwonić.

W komputerze Hakeröda znaleziono wideo, którego wycinek wysłał do Leandera. W oryginalnej wersji było widać także Lillemor. Fotografie jej i Lucie obiegały cały świat.

W piątek pojawiły się pierwsze zdjęcia domu letniego na Smögen, a także grobu córki Lillemor. Pielgrzymowały tam setki fanów pisarki i zwykłych sensatów, a książki de Lyn od soboty w rankinach sprzedaży Amazonu zajmowały miejsca od pierwszego do dwudziestego. To mogło być pewną pociechą dla Catherine Tjäder, pomyślała Selma. Agentka ukrywała się, ponieważ jej sztokholmskie biuro również było oblegane przez wielbicieli skandali.

– Na koniec chciałbym dodać, że wyjaśnienie sprawy zawdzięczamy niestrudzonej pracy naszego wydziału śledczego, ale przede wszystkim poświęceniu komisarza Gregera Forsberga z referatu do spraw osób zaginionych i jego koleżanki, inspektor Selmy Valkonen. Wstańcie oboje!

– O cholera – wymamrotali Forsberg i Selma chórem.

Komisarz uniósł rękę w obronnym geście, ale aparaty już pstrykały.

Po konferencji Forsberg poprosił Selmę o rozmowę w cztery oczy. Jego prośba zabrzmiała nadzwyczaj formalnie, tym bardziej że przecież w gabinecie tak czy inaczej przebywali sam na sam, a poza tym jego głos nagle zrobił się szary. Selma nie wiedziała, co ma o tym sądzić. Być może nastąpi teraz od dawna zapowiadane kazanie. Fakt, nie była zbyt zdyscyplinowana i złamała całą masę przepisów. Reprimendę za to, że użyła samochodu Hakeröda, mimo że był materiałem dowodowym, dostała już od Gulldéna.

– Czy mogę tylko przynieść sobie kawę? – spytała.

– Pewnie – odpowiedział sztywno Forsberg.

Z wyraźnym poczuciem dyskomfortu Selma dała się jeszcze wciągnąć w krótką pogawędkę z Malin i Bergerödem przy automacie z kawą, ale w końcu musiała stawić czoła nieuniknionemu.

– W ubiegłym tygodniu rozmawiałem o tobie z Gulldémem – rozpoczął Forsberg.

– Aha – odparła Selma.

– Jest wolne stanowisko w wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej...

Selma milczała.

– Gulldén uważa, że byłoby to odpowiednie miejsce dla ciebie. Mogłabyś się tym wykazać.

Gula w gardle robiła się coraz większa.

– Ja też tak myślę.

Potaknęła głową.

– Rozumiem. Wolisz być sam.

– Nie, nieprawda. Ale obecne stanowisko jest ślepą uliczką. Zostaniesz komisarzem, dopiero jak przejdę na emeryturę albo zrezygnuję. A takie przypadki jak Walerii czy Lucie są wyjątkami. Zazwyczaj ma się tu do czynienia z ludźmi, którzy uciekli z domu starców, albo mężami, po pijaku hulającymi po burdelach.

Albo z zaginionymi nastolatkami, pomyślała Selma. Anniką Carlberg na przykład.

– Jesteś za dobra, żeby tu zgnić. Z twoimi umiejętnościami zrobisz prawdziwą karierę. Nie chciałbym stać ci na drodze.

– Dobrze – odrzekła. – Pomyślę o tym.



Forsberg pokiwał głową, przejechał dłonią po odrastającym ściernisku na głowie i przełożył kilka papierów z prawej strony biurka na lewą.

Selma włożyła do ust gumę do żucia.

– Dobra. Już się zastanowiłam. Powiedz Gulldénowi, że może swoją przestępczość zorganizowaną wsadzić sobie gdzieś.

– Proszę bardzo – odpowiedział Forsberg, a jego głos znowu miał kolor szalwii. – Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli za dziesięć lat będziemy przypominać kłótlive stare małżeństwo.

*Małżeństwo*, Selma się uśmiechnęła. Wczoraj dostała e-mail od Leandera Hanssona: „Jak właściwie brzmi zorza polarna?”. Odpowiedziała: „Jak dziewiąta Beethovena”.

– Forsberg?

– Co?

– A jaki ptak?

Uśmiechnął się.

– Kruk, a jaki inny?

Lillemor i Marie stały na malutkim balkonie hotelu Radisson Blu Plaza i spoglądały na mrowie Central Business Districts. Po tej stronie globu panowała wiosna, a słońce płonęło na niebie dokładnie tak samo jak każdego dnia...

Nie planowała tego. Kiedy po wywiadzie stała w biurze Leandera Hanssona, zadzwonił jego telefon. Lillemor musiała stłumić uśmiech, ponieważ wielki i straszny krytyk literacki stał się nagle normalnym mężem, który dyskutował z żoną o pomidorach, fasolce i rybie. Tinka to nie jest imię szczególnie popularne. Zaintrygowana Lillemor przypomniała sobie dawne czasy, kiedy snuła się przy willi Nordinów i obserwowała swoje rzekomo przyrodnie rodzeństwo: Gunnara i Tinkę. Uprzywilejowanych, nieosiągalnych, zabronionych. A potem podążyła za wzrokiem Leandera Hanssona i zobaczyła zdjęcie. Tak, to była ona. Tinka Nordin. W ciągu tych niemal dwudziestu lat prawie się nie zmieniła. Ale kiedy Lillemor dokładniej przyjrzała się dziecku, omal jej nie zatkało. Marie! Lillemor starała się ukryć kipiące w niej emocje. Musiała jak najszybciej wyjść, natychmiast. Sięgnęła po torebkę i kurtkę. Chciała stamtąd uciec, ale Leander dał jej znak, żeby zaczekała. Potrząsnął głową i skończył niecierpliwie rozmowę drobnym kłamstwem. Pozwoliła mu odprowadzić się do bramy, gdzie się pożegnali.

Nie potrafiłaby teraz powiedzieć, jak dotarła do Älvsnabben, jak dostała się na statek i wysiadła z niego w Lilla Bommen, niewiele też pamiętała z tego, jak przeszła przez miasto. Nie miała żadnego celu, w każdym razie nie była go świadoma. Po prostu pozwoliła się prowadzić. Ale coś zawiodło ją do Kungstorget, jakby przyciągał ją jakiś magnes. Nagle stanęła na placu, przed sceną, ciągle oszołomiona tym przeżyciem w biurze Hanssona. A potem ją zobaczyła. Marie. Siedziała w wózku obok kilku skrzynek z sałatą i wyglądała na nieszczęśliwą. Jej dziecko! Nagle siedem ostatnich samotnych miesięcy zniknęło. Nie było niczego przedtem. Cierpienia,

śmierci. Marie siedziała żywa i gotowa za chwilę się rozplakać. Lillemor podeszła do niej. Nie zwracała uwagi na ludzi wokół, na Tinkę. Widziała tylko swoje dziecko. Pierwsze małe oznaki niezadowolenia już torowały sobie drogę na twarzy jej córeczki, więc przyklękła przy niej i się uśmiechnęła. Marie w jednej chwili przestała się dąsać i spojrzała jej prosto w oczy. Ożywiona i z zainteresowaniem, jakby ją... tak! Jakby ją rozpoznała.

– Marie – wyszeptała, a mała się uśmiechnęła. – Chodź, Marie – powiedziała. – Twoja babcia ma jutro urodziny, musimy ją odwiedzić.

Stanąła za wózkiem, zwolniła hamulec – dobrze znajome czynności – a potem ruszyła przed siebie. Dopiero po przejściu kilku metrów zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Ale nie mogła się zatrzymać, nie mogła zostawić wózka lub z nim wrócić. Tylko na kilka godzin, pomyślała. Dla Camilli. Pod ochroną samochodów dostawczych, które stały zaparkowane za stoiskami, pchała Marie coraz dalej i dalej, bez oglądania się za siebie, byle dalej, za sceną, potem przez most, przez park, dalej przez ulice, aż do mieszkania matki. Marie cały czas była cicho, a kiedy Lillemor nachylała się do przodu, spoglądając na nią, ta odwzajemniała jej spojrzenie dużymi ciekawskimi oczami. Nie płakała.

Lillemor przypomniała sobie zaskoczony łagodny uśmiech Camilli, która spytała o ich bagaż.

– W hotelu – odpowiedziała Lillemor. – Przyniosę go później.

– Kiedy wreszcie pójdziemy do akwarium? – kaprysiła Marie.

Była w złym nastroju i nic dziwnego. Lillemor tyle jej naobiecowała, a teraz nie ma odwagi wyjść z nią na ulicę ze strachu, że ktoś mógłby ją rozpoznać.

Cały świat urządził na nią polowanie i będzie tylko gorzej. Minął już miesiąc i wyglądało na to, że nie zamierzają przestać, na co Lillemor tak liczyła.

Jedenaście piętér niżej zatrzymały się dwa policyjne wozy. Cofnęła się. Przyklękła przed Marie, jak wówczas na Kungstorget i pocałowała ją w policzki.

– Kocham cię – powiedziała.

– Dlaczego płaczesz? – spytała Marie.

– Ach, tak sobie.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi.

– Marie, otworzysz, proszę?

Dziewczynka, zadowolona z każdego urozmaicenia, podeszła do drzwi i je otworzyła.

Policja wtargnęła do pokoju, a Marie odwróciła się przestraszona w stronę matki. Ale ta zniknęła.

Tinka wpatrywała się w tablicę informacyjną. Samolot wylądował. Poczowała dłoń Leandera na ramieniu. Cztery dni temu otrzymali telefon: znaleziono Lucie. Na drugim końcu świata. Lillemor Ahlberg w końcu sama zadzwoniła na policję. Na chwilę przed aresztowaniem skoczyła z balkonu z jedenastego piętra hotelu Radisson Blu Plaza w Sydney. Właściwie na oczach Lucie, którą od razu objęto opieką psychologa. Ma się dobrze, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, powiedzieli.

Teraz Tinka wpatrywała się w drzwi automatyczne. Za kilka minut przejdzie przez nie jej córka. Jej obca, prawie sześćioletnia córka, wychowywana przez psychopatkę. Prawdziwa matka będzie dla Lucie nieznaną. Lucie, która nie zna nawet swojego imienia.

Spytała Catherine Tjäder, jak wspomina jej córkę. Agentka odpowiedziała, że zdawała się jej bystra i zadowolona.

– Chociaż Lillemor zrobiła wiele złego, to Marie traktowała z miłością.

*Z miłością.* Czy skok z jedenastego piętra na oczach dziecka ma coś wspólnego z miłością? Przynajmniej definitywnie mają ją z głowy. Może dzięki temu samobójstwu naprawdę zrobiła Lucie przysługę.

Natychmiast chcieli lecieć do Australii i odebrać córkę. Ale przekonano ich, że lepiej, by od razu mogli iść z Lucie do domu, a nie po pierwszym spotkaniu jeszcze narażać ją na wyczerpujący lot. Teraz towarzyszyła jej psycholog z Czerwonego Krzyża. Ukradkowo Tinka rozejrzała się wokół. Czy reporterzy już gdzieś krążą?

Odkąd nagłośniono tę sensacyjną wiadomość, ich dom był oblegany. Pod osłoną nocy pojechali do jej rodziców. Ojciec zwerbował trzech goryli ze służby strażniczej, którzy trzymali paparazzich z dala. Oczywiście te kreatury snuły się po wszystkich skandynawskich lotniskach już od kilku dni, dlatego odbierali Lucie we Frankfurcie. Przenocują w hotelu, a potem pojedą samochodem do Göteborga. Nie dało się tego zrobić inaczej. W przeciwnym razie nie udałoby im się uniknąć spotkania z Lucie wśród

spragnionej sensacji zgrai. Bez internetu pewnie Lillemor dłużej udałoby się przebywać w ukryciu. Ale teraz życie Tinki, Leandera i Lucie nagle stało się dobrem powszechnym, każdy sądził, że ich los w jakiś sposób należy do niego.

Wyszli pierwsi pasażerowie.

Tinkę ogarnął paniczny lęk. Co się stanie z moim życiem? Znowu przecina się na pół. Walczyła i wygrała. Ale zwycięstwo jest jakieś mdłe, bezbarwne. Tam, gdzie do tej pory była tęsknota, a teraz powinna być radość, panoszył się strach. Miała wrażenie, że walka dopiero się zaczyna.

Czy jestem okropną matką?

– Boję się – szepnęła Tinka.

– Ja też – odparł Leander. – Ale wszystko będzie dobrze.

Wziął ją za rękę. W drugiej trzymała małą pluszową żyrafę. Może Lucie ją rozpozna.

– Damy radę – powiedział Leander.

*My.*

On znowu poczuje się przytłoczony, tak samo jak wtedy, gdy zaczął ją zdradzać. Ale dokończę to, co zaczęłam, zapowiedziała sobie Tinka, przewyciężywszy chwilę słabości. Będę mieć rodzinę. Męża i córkę.

Potem zobaczyła przechodzącą przez drzwi kobietę z dzieckiem, z dużym dzieckiem. Lucie. Kobieta powiedziała coś do niej i wskazała w ich kierunku. I Lucie spojrzała Tince w oczy, tym wzrokiem, którego ta nigdy nie zapomniała.

# Przypisy

- [1] daffodil (DAF) – samochód osobowy holenderskiej produkcji, rodzaj dwudrzwiowego sedana [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].
- [2] Powieść Douglasa Adamsa.
- [3] Powieść Mikaela Niemi, zainspirowana powieścią Adamsa.
- [4] Asgard – kraina z mitologii nordyckiej zamieszкана przez dwa szczepy bogów: Asów i Wanów.